

*Ta książka zachwyca. Daję innym autorom dziesięć na dziesięć,
ale Lisa to dla mnie zawsze pewna setka.* GILLIAN MCALLISTER

LISA

JEWELL

POZOSTAŁA

RODZINA

Przełożyła **Agnieszka Brodzik**



LISA
JEWELL
POZOSTAŁA
RODZINA

Przełożyła
Agnieszka Brodzik



Tytuł oryginału: *The Family Remains*

Copyright © Lisa Jewell, 2022

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Brodzik, 2023

Redaktor prowadzący: Bogumił Twardowski

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Mirosław Ruszkiewicz

Korekta: Agnieszka Pawlikowska, Mirosław Krzyszkowski

Skład i łamanie: MELES-DESIGN

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Kseniya Kopna/Pexels

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

ISBN 978-83-67815-09-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel. 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rodziny spod Cheyne Walk 16

Prolog. Czerwiec 2019

CZEŚĆ PIERWSZA

1. Lipiec 2018

2. Czerwiec 2019

3. Sierpień 2016

4. Czerwiec 2019

5. Październik 2016

6. Czerwiec 2019

7. Październik 2016

8. Czerwiec 2019

9

10. Listopad 2016

11. Czerwiec 2019

12

13. Listopad 2016

14. Czerwiec 2019

15. Grudzień 2016

16. Czerwiec 2019

17

18. Grudzień 2016

19. Czerwiec 2019

20

- 21. Luty 2017
- 22. Czerwiec 2019
- 23
- 24
- 25. Marzec 2017
- 26. Czerwiec 2019
- 27
- 28
- 29
- 30
- 31. Kwiecień 2017
- 32. Czerwiec 2019

CZĘŚĆ DRUGA

- 33
- 34
- 35. Kwiecień 2017
- 36. Czerwiec 2019
- 37
- 38
- 39. Kwiecień 2017
- 40. Czerwiec 2019

CZĘŚĆ TRZECIA

- 41
- 42
- 43. Kwiecień 2017
- 44. Czerwiec 2019
- 45
- 46. Wrzesień 2017
- 47. Czerwiec 2019
- 48
- 49. Luty 2018
- 50. Czerwiec 2019
- 51

- 52. Luty 2018
- 53. Czerwiec 2019
- 54. Czerwiec 2018
- 55. Czerwiec 2019
- 56
- 57. Lipiec 2018
- 58. Czerwiec 2019

CZĘŚĆ CZWARTA

- 59
- 60
- 61. Lipiec 2018
- 62. Czerwiec 2019

CZĘŚĆ PIĄTA

- 63
- 64. Lipiec 2018
- 65. Czerwiec 2019
- 66
- 67. Lipiec 2019
- 68. Sierpień 2019
- 69. Dwa miesiące wcześniej

Epilog. Osiem miesięcy później

Podziękowania

Pamięci Steve'a Simmondsa

Rodziny spod Cheyne Walk 16

Lambowie

Henry Lamb sen. i Martina Lamb

Henry Lamb jun., ich syn, który nazywał siebie również Phineasem
Thomsonem

Lucy Lamb, ich córka, niegdyś żona Michaela Rimmera; matka Libby, Marca
i Stelli

Libby Jones, córka Lucy, dawniej Serenity Lamb; w związku z dziennikarzem
Millerem Roe

Thomsenowie

David Thomsen i Sally Thomsen

Clemency Thomsen, ich córka, teraz zamieszkała w Kornwalii

Phineas Thomsen, znany też jako Finn Thomsen, teraz zamieszkały
w Botswanie

Birdie Dunlop-Evers, muzyczka

Justin Redding, chłopak Birdie

Prolog

CZERWIEC 2019

Samuel

– Jason Mott?

– Tak. Tutaj. To ja.

Patrzę na młodego człowieka, który stoi nizej, po kostki w błocie na brzegu Tamizy. Ma włosy piaskowego koloru, które wiszą po obu stronach jego delikatnej, piegowatej twarzy. Na nogi wciągnął sięgające kolan gumiaci, do tego włożył kamizelkę koloru khaki z licznymi kieszeniami, a otacza go krąg gapiów. Podchodzę do niego, starając się nie ubrudzić butów.

– Dzień dobry – mówię. – Jestem inspektor Samuel Owusu. A to Saffron Brown z naszego zespołu techników medycyny sądowej. – Widzę, że Jason Mott bardzo się stara ukryć swoją ekscytację obecnością dwojga prawdziwych detektywów. Nie idzie mu to najlepiej. – Słyszałem, że coś pan znalazł. Może mógłby pan wytłumaczyć?

Jason kiwa z zapalem głową.

– Tak. No więc, jak już mówiłem przez telefon, jestem przewodnikiem zbieraczy. Profesjonalnym. I byłem tu dzisiaj rano ze swoją grupą, kiedy ten młody człowiek – wskazuje chłopaka, na oko dwunastoletniego – grzebał w błocie i otworzył tę torbę. – Teraz kieruje naszą uwagę na czarny worek stojący na jakimś kamieniu. – Pierwszą zasadą zbieraczy jest nie dotykać, ale to tak sobie leżało, jakby ktoś to tutaj przed chwilą wyrzucił, więc chyba mógł to otworzyć.

Chociaż nie mam bladego pojęcia o zasadach zbieraczy, rzucam chłopakowi pokrzepiające spojrzenie, a on wzdycha z ulgą.

– Tak czy inaczej, nie wiem, to znaczy żaden ze mnie ekspert... – Jason Mott uśmiecha się nerwowo do Saffron i trochę się przy tym rumieni. – Ale

pomyślałem, że wyglądają, jakby, no, były ludzkie.

Podchodzę ostrożnie do kamienia i rozchylam lekko worek. Saffron podąża za mną i zagląda mi przez ramię. Pierwsze, co nam się rzuca w oczy, to ludzka szczęka. Odwracam się i patrzę na techniczkę. Ona kiwa głową, po czym wciąga rękawiczki i rozkłada folię.

– Cóż – rzucam, wstając i spoglądając na grupkę stojącą w błocie. – Musimy wszystkich stąd wyprosić. Byłbym wdzięczny za współpracę.

Przez chwilę nikt się nie rusza. Potem Jason Mott nagle ożywa i udaje mu się sprawić, by wszyscy wycofali się z plaży na dalszą część nabrzeża, gdzie stoją i dalej się gapią. Zaraz w ich rękach pojawiają się smartfony, więc wołam:

– Proszę. Żadnego filmowania. To bardzo delikatna sprawa policji. Z góry dziękuję.

Telefony znikają.

Jason Mott zatrzymuje się w połowie schodów prowadzących na brzeg i odwraca do mnie.

– Czy to... – zaczyna. – To ludzkie?

– Na to wygląda – odpowiadam. – Ale nie będziemy wiedzieć na pewno, dopóki nie zostaną zbadane. Dziękuję za pomoc, panie Mott. – Uśmiecham się do niego ciepło, licząc, że w ten sposób dam mu znak, by przestał zadawać pytania i odszedł.

Saffron odwraca się z powrotem do kości i zaczyna je wyjmować z worka na folię.

– Małe – mówi. – Możliwe, że należały do dziecka. Albo drobnej osoby dorosłej.

– Lecz zdecydowanie człowieka?

– Tak, zdecydowanie.

Słyszę czyjś głos wołający z nabrzeża. To Jason Mott. Wzdycham i spokojnie zwracam się ku niemu.

– Wiadomo, ile mają lat? – krzyczy Jason. – Tak na pierwszy rzut oka?

Saffron uśmiecha się do mnie cierpko, po czym mówi do Jasona:

– W tej chwili trudno ocenić. Proszę przekazać swoje dane funkcjonariuszowi przy radiowozie. Będziemy pana informować.

– Dziękuję. Naprawdę dziękuję. Super.

Chwilę później Saffron wyjmuje z czarnego worka niedużą czaszkę. Obraca ją i kładzie na folii.

– Tutaj – wskazuje. – Spójrz. Widzisz? Pęknięcie na linii włosów.

Kucam. I widzę to. Prawdopodobna przyczyna śmierci.

Unoszę wzrok i wodzę nim po plaży aż do zakrętu rzeki, jakby zabójca mógł w tej chwili biec tamtędy z narzędziem zbrodni w ręce. A potem znowu spoglądam na maleńką czaszkę w kolorze popiołu i moje serce wypełnia się zarówno smutkiem, jak i determinacją.

W tym małym worku kości znajduje się cały świat.

Czuję, jak prowadzące do niego drzwi właśnie się otwierają, a ja wchodzę do środka.

Część pierwsza

LIPIEC 2018

Wciąż zaspana, Rachel zerknęła na wyświetlacz telefonu. Dzwonił ktoś z francuskiego numeru. Komórka wyslizgnęła jej się z rąk i spadła na podłogę, Rachel znowu ją chwyciła, gapiąc się na cyfry szeroko otwartymi oczami. Adrenalina buzowała jej w żyłach, chociaż nie wybiła nawet siódma rano.

Wreszcie Rachel odebrała. Wciągnęła powietrze.

– Halo?

– *Bonjour*, dzień dobry. Z tej strony detektyw Avril Loubet z Police Municipale Nice Côte d'Azur. Czy mam przyjemność z panią Rachel Rimmer?

– Tak – odparła. – To ja.

– Pani Rimmer, obawiam się, że dzwonię z bardzo smutnymi wieściami. Proszę mi powiedzieć, czy jest pani sama?

– Tak. Tak, jestem sama.

– A czy jest ktoś, kto mógłby pani teraz towarzyszyć?

– Mój ojciec. Mieszka niedaleko. Ale proszę, niech pani mówi.

– Cóż, niestety dzisiaj wcześniej rano ciało pani męża, Michaela Rimmera, zostało odnalezione przez gosposię w piwnicy jego domu w Antibes.

Rachel wciągnęła gwałtownie powietrze, wydając przy tym dźwięk trochę podobny do parowozu.

– Och, nie!

– Tak mi przykro. Obawiam się, że to prawda. I najwyraźniej został zamordowany przez zadanie rany kłutej wiele dni temu. Nie żyje przynajmniej od weekendu.

Rachel wyprostowała się i przyłożyła komórkę do drugiego ucha.

– Czy to... Czy wiedzą państwo, dlaczego ktoś to zrobił? Albo chociaż kto?

– Technicy są na miejscu. Odkryjemy każdy ślad, jaki jest do odkrycia. Jednak pan Rimmer nie uruchomił kamer bezpieczeństwa, a tylne drzwi były otwarte. Bardzo mi przykro, że nie mam żadnych konkretów, pani Rimmer. Naprawdę mi przykro.

Rachel zgasiła telefon i opuściła go na kolana.

Przez chwilę patrzyła oniemiała w okno, gdzie letnie słońce przesączało się przez żaluzję. Westchnęła ciężko. Później naciągnęła z powrotem opaskę na oczy, położyła się na boku i znów pogrążyła we śnie.

Jestem Henry Lamb. Mam czterdzieści dwa lata. Mieszkam w najlepszym apartamencie w eleganckim bloku art déco tuż za rogiem od Harley Street. Skąd wiem, że to najlepszy apartament? Bo tak mi powiedział portier. Kiedy przynosi mi na górę paczkę – nie musi tego robić, ale jest ciekawski – zagląda mi przez ramię i oczy mu błyszczą na widok tego fragmentu wnętrza mieszkania, który widzi z progu. Skorzystałem z usług projektanta. Mam doskonały gust, jednak zwyczajnie nie wiem, jak połączyć ze sobą gustowne rzeczy, by stworzyć choć cień wizualnej harmonii. Nie. Nie nadaję się do tworzenia wizualnej harmonii. To nic, jestem dobry w wielu innych rzeczach.

W tej chwili nie mieszkam sam i odczuwam to na każdym kroku. Przed ich przybyciem zawsze mi się wydawało, że jestem samotny. Wracając do swojego nieskazitelnego, bogato wyposażonego mieszkania i nadąsanych persów, myśląc: och, jak miło byłoby porozmawiać z kimś o tym, jak mi minął dzień. Albo jak miło by było, gdyby ktoś teraz przygotowywał w kuchni smaczny obiad, otwierał butelkę czegoś zimnego czy, jeszcze lepiej, szykował jakiś koktajl. Bardzo długo użalałem się nad sobą. Jednak już od roku mam gości – swoją siostrę Lucy i dwójkę jej dzieci – i nigdy, przenigdy nie jestem sam.

W mojej kuchni nieustannie kręcą się ludzie, ale nikt nie miesza koktajli ani nie otwiera ostryg, nie pyta mnie, jak minął dzień; zamiast tego korzystają z grilla do panini, żeby przygotować coś, co nazywają „tosteczkami”, podgrzewają czekoladę w złym garnku, wrzucają niesegregowane śmieci do pojemnika na segregowane i odwrotnie. Oglądają hałaśliwe, niemądre rzeczy na smartfonach, które im kupiłem, i krzyczą do siebie zupełnie bez powodu. No i jeszcze jest pies. W typie jack russell teriera, moja siostra znalazła go na nicejskiej ulicy pięć lat temu, kiedy grzebał w śmietnikach. Nazywa się Fitz i mnie uwielbia. Z wzajemnością. W sercu jestem psiarzem, a koty wziąłem tylko dlatego, że są łatwiejsze w opiece dla egoistycznych ludzi. Rozwiązałem

test w internecie – *Jaka jest twoja idealna kocia rasa?* – i po odpowiedzeniu na trzydzieści pytań dowiedziałem się, że to pers. Wydaje mi się, że słusznie. Wcześniej, jeszcze jako dziecko, znałem tylko jednego kota, to było wredne stworzenie z ostrymi pazurami. Jednak te persy są zupełnie inne. Żądają miłości i nie ma wyjścia, trzeba je kochać. Niestety nie przepadają za Fitzem i nie podoba im się to, że ja za nim przepadam, więc atmosfera między zwierzętami jest przeokropnie napięta.

Moja siostra wprowadziła się rok temu z powodów, których chyba nie umiałbym wytłumaczyć. Krótsza wersja jest taka, że była bezdomna. Bardziej skomplikowana wersja wymagałaby napisania całego wypracowania. Gdzieś między jedną i drugą znajduje się opowieść o tym, jak miałem dziesięć lat, a nasz (bardzo duży) dom został przejęty przez sadystycznego oszusta i jego rodzinę. Przez ponad pięć lat ten człowiek zdołał opanować umysły moich rodziców i stopniowo pozbawić ich wszystkiego, co posiadali. Wykorzystał nasz dom jako osobiste więzienie i plac zabaw, bez skrupułów zdobywając dokładnie to, czego chciał, od ludzi dokoła, w tym swojej żony i dzieci. Przez ten czas wydarzyła się niezliczona ilość niemożliwych do opisania rzeczy, na przykład moja siostra zaszła w ciążę jako trzynastolatka, urodziła jako czternastolatka, a potem zostawiła swoje dziesięciomiesięczne dziecko w Londynie i uciekła do południowej Francji, kiedy miała zaledwie piętnaście lat. Później urodziła dwójkę kolejnych dzieci, splodzonych przez dwóch mężczyzn, zarabiając na ich utrzymanie grą na skrzypcach na ulicach Nicei, spędziła kilka nocy bez dachu nad głową i w końcu postanowiła wrócić do domu, kiedy (pomijając parę innych rzeczy) wyczuła, że może dostać całkiem pokaźny spadek z funduszu powierniczego założonego przez naszych rodziców.

Dobre wieści są takie, że w zeszłym tygodniu te pieniądze zostały wypłacone w pełnej kwocie – przydałyby się tutaj jakieś fanfary – i teraz oboje jesteśmy milionerami, co oznacza, że ona może kupić swój własny dom i przeprowadzić się tam z dziećmi i psem, a ja ponownie zostanę sam.

I wtedy będę musiał stawić czoła kolejnej fazie swojego życia.

Czterdzieści dwa lata to dziwny wiek. Ani się nie jest młodym, ani starym. Gdybym był hetero, pewnie właśnie rozpaczliwie szukałbym żony z funkcjonującymi jajnikami. Jednak hetero nie jestem i nie jestem też kimś,

z kim inni mężczyźni chcieliby się wiązać na stałe, więc pozostaję w najgorszej sytuacji z możliwych – niekochanego geja z gasnącą urodą.

Dobijcie mnie.

Ale pojawiła się iskierka czegoś nowego. Pieniądze są przyjemne, lecz pieniądze nie iskrzą. Iskrzy zaginiony fragment układanki mojej przeszłości; mężczyzna, którego kochałem, gdy byliśmy jeszcze chłopcami w moim rodzinnym domu grozy. Mężczyzna, który teraz ma czterdzieści trzy lata, rzadką brodę i głębokie zmarszczki mimiczne, a pracuje w rezerwacie przyrody w Botswanie. Mężczyzna, który jest – niespodzianka – synem oszusta, tego który zniszczył moje dzieciństwo. A także – druga niespodzianka – ojcem mojej siostrzenicy, Libby. Tak, Phineas zapłodnił Lucy, kiedy miał szesnaście lat, a ona trzynaście, i tak, to niewłaściwe pod wieloma względami i można by pomyśleć, że z tego powodu poczuję niechęć, i faktycznie przez jakiś czas tak było. Tylko że wszyscy robiliśmy złe rzeczy w tamtym domu, nikt nie wyszedł stamtąd nieskazitelny. Nauczyłem się traktować nasze grzechy jako strategię przetrwania.

Nie widziałem Phineasa Thomsena od czasu, kiedy ja miałem szesnaście, a on osiemnaście lat. Jednak w zeszłym tygodniu na przyjęciu urodzinowym mojej siostrzenicy jej chłopak, który pracuje jako dziennikarz śledczy, powiedział, że go dla niej namierzył. Taki niezwykle prezent urodzinowy dla dziewczyny. *Patrz! Mam dla ciebie zaginionego ojca!*

I w taki oto sposób znalazłem się tutaj, w ten jasny środowy poranek w czerwcu, skryty w cichej sypialni, z otwartym laptopem, opuszkami palców głaszcząc touchpad, delikatnie prowadząc kursor po stronie poświęconej rezerwatowi, dla którego pracuje Phin i który zamierzam odwiedzić bardzo, bardzo niedługo.

Znałem go jako Phina Thomsena, kiedy mieszkaliśmy razem w dzieciństwie.

Finn Thomsen to pseudonim, za którym ukrywał się przez te wszystkie lata.

Byłem tak blisko. F zamiast Ph. Tyle czasu i mógłbym go znaleźć, gdybym tylko wpadł na to, by pobawić się alfabetem. Sprytne. Bardzo sprytne. Phin zawsze był najbardziej błyskotliwą osobą, jaką znałem. Cóż, poza mną, oczywiście.

Podskakuję, słysząc pukanie do drzwi. Wzdycham.

– Tak?

– Henry, to ja. Mogę wejść?

Moja siostra. Wzdycham jeszcze raz i zamykam laptopa.

– Tak, pewnie.

Otwiera drzwi na tyle, by wślizgnąć się do środka, a potem ostrożnie zamyka je za sobą.

Lucy jest piękną kobietą. Kiedy zobaczyłem ją w zeszłym roku pierwszy raz, odkąd byliśmy nastolatkami, zaskoczyła mnie jej uroda. Jej twarz opowiada wiele historii, odbiło się na niej każde z czterdziestu lat, Lucy prawie o sobie nie dba, ubiera się w szmaty, a jednak zawsze jakoś udaje jej się wyglądać bardziej uroczo niż wszystkim innym kobietom w otoczeniu. Rzecz chyba w połączeniu jej bursztynowo-orzechowych oczu ze złocistymi pasmami brudnego blondu we włosach, jej nieważkości, słodkiego głosu i tego, w jaki sposób dotyka, patrzy i się porusza. Mój ojciec wyglądał jak chodzący kawałek wieprzowiny w cieście, a siostra miała fart odziedziczyć wygląd po naszej eleganckiej matce pół-Turczynce. Ja plasuję się gdzieś pośrodku. Też dopisało mi szczęście i cieszę się dobrym wyglądem matki, lecz dostałem także w spadku całkiem sporo grubo ciosanych rysów ojca. Zrobiłem, co w mojej mocy, by wykorzystać do cna, co dała mi natura. Pieniądze może nie kupią miłości, ale za to wyrzeźbioną szczękę, idealnie równe zęby i pełne usta – owszem.

Moja sypialnia wypełnia się zapachem olejku do włosów z brązowej buteleczki, która wygląda tak, jakby siostra kupiła ją na wiejskim targu.

– Chciałam pogadać – mówi, zdejmując marynarkę z krzesła na środku pokoju, żeby móc tam usiąść. – O tym, co było w zeszłym tygodniu na urodzinach Libby.

Posyłam jej spojrzenie, które mówi „tak, słucham, kontynuuj”.

– O czym rozmawiałeś z Libby i Millerem?

Libby to moja siostrzenica. Córka Lucy i Phina. Miller to jej chłopak, dziennikarz. Kiwam głową.

– O tym, że polecisz z nimi do Botswany, prawda?

Znowu potwierdzam. Wiem, co zaraz usłyszę.

– Rzeczywiście zamierzasz?

– Tak, oczywiście.

– I myślisz... myślisz, że to dobry pomysł?

– Tak. Uważam, że to wspaniały pomysł. Dlaczego nie?

– Nie wiem. To chyba miał być romantyczny wyjazd tylko dla dwojga...

Cmokam.

– Miller wspominał o zabraniu swojej matki, więc chyba jednak nie taki romantyczny.

Oczywiście gadam głupoty, ale czuję potrzebę, żeby się bronić. Miller chce zabrać Libby do Botswany, żeby spotkała ojca, który ostatni raz widział ją, kiedy była niemowlęciem. Jednak Phin jest też częścią mnie. Nie tylko częścią mnie, lecz niemal całym mną. Myślałem o nim dosłownie (i używam tutaj tego słowa w najbardziej dosłownym sensie) przynajmniej raz w każdej godzinie, odkąd skończyłem szesnaście lat. Jak miałbym nie lecieć do niego teraz, natychmiast?

– Nie będę im wchodził w drogę – rzucam. – Dam im pełną swobodę.

– Jasne – odpowiada Lucy z powątpiewaniem. – A co będziesz robił?

– No... – Waham się. Co będę robił? Nie mam pojęcia. Po prostu będę z Phinem.

A potem, cóż, potem zobaczymy, prawda?

Rachel poznała Michaela w aptece na Martha's Vineyard pod koniec lata w roku dwa tysiące szesnastym. Czekala, aż pewien mlody i nieco osadzajacy męczyzna zrealizuje jej receptę na pigułkę dzień po. Michael stanął przed nią i przywital farmaceutę szybko:

– Gotowe?

Krytyczny farmaceuta zamrugął powoli i powiedział:

– Nie, proszę pana. Czy mógłbym prosić, żeby pan usiadł? To nie zajmie długo.

Michael zajął miejsce obok Rachel. Skrzyżował ręce na piersi i westchnął. Wydawał się chętny do rozmowy i faktycznie zaraz zagaił.

– Przyjemniaczek – mruknął.

Rachel zaśmiała się i odwróciła, żeby przyjrzeć się nieznanemu. On był po czterdziestce, ona dekadę młodsza. Był też opalony, co oczywiste, w końcu właśnie kończyło się lato na Martha's Vineyard i nie ostał się nikt bez opalenizny. Jego włosom przydałoby się strzyżenie; pewnie czekał z tym do powrotu do miasta.

– I tak patrzy krytycznie – odparła cichym szeptem.

– No – zgodził się Michael. – Dziwne, przecież jest taki mlody.

W tamtym momencie Rachel zdawała sobie sprawę, że do jej skóry przywarł świeżo zmyty pod prysznicem pot chłopaka o imieniu Aiden, że piecze ją podrażniona skóra po wewnętrznej stronie ud, gdzie wpijały się jego kości biodrowe, a w zakamarkach jej ciała wciąż krył się cukrowy zapach oddechu tego mlodego człowieka. A teraz siedziała tutaj, czekając na antykoncepcję awaryjną, i flirtowała z mężczyzną, który mógłby być ojcem Aidena.

Naprawdę nadszedł już czas, żeby Rachel wróciła do domu. Lato było desperackie i brudne, a ona czuła się zużyta i zmęczona.

Farmaceuta ściągnął papierową torebkę z karuzeli z klipsami, która znajdowała się za nim, i spojrzał na etykietę.

– Panna Rachel Gold? – zawołał. – Mam pani zamówienie.

– Och. – Uśmiechnęła się do Michaela. – To ja. Mam nadzieję, że nie będziesz musiał czekać zbyt długo.

– Cwaniara, przeskoczyłaś kolejkę – rzucił Michael z sardonicznym uśmiechem.

Wpisała swój PIN na czytniku kart i odebrała pigułki od farmaceuty. Gdy odwróciła się do wyjścia, Michael wciąż na nią patrzył.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Z Anglii.

– Tak, to oczywiste, ale z jakiej części Anglii.

– Z Londynu.

– A skąd dokładnie?

– A znasz Londyn?

– Mam mieszkanie w Fulham.

– Och, no proszę. Ja mieszkam w Camden Town.

– A gdzie dokładnie?

Roześmiała się.

– Przepraszam, jestem anglofilem. Mam obsesję na punkcie Anglii. Nie zadaję więcej pytań i nie zatrzymuję cię, Rachel Gold.

Uniosła wolną rękę i pomachała mu z roztargnieniem, a potem wyszła szybko z apteki na ulicę.

Dwa miesiące później Rachel jadła lunch przy biurku w swoim studiu, kiedy w jej skrzynce odbiorczej pojawiła się wiadomość z tytułem „Od amerykańskiego anglofila do angielskiej cwaniary”.

Potrzebowała chwili, żeby jej mózg mógł połączyć kropki i rozwikłać zagadkę na pierwszy rzut oka pozbawionych sensu słów. A potem kliknęła na e-mail.

Cześć, Rachel Gold,

to ja, Michael. Spotkaliśmy się w aptece na Martha's Vineyard w sierpniu. Pachniałaś dymem drzewnym i piwem. W pozytywnym sensie. Wybieram się na kilka miesięcy do Londynu i zastanawiałem się, czy poleciłabyś mi jakieś ciekawe miejsca w Camden. Nie bywałem w okolicy od czasów nastoletnich – chciałem wtedy kupić haszysz, a ostatecznie zamiast tego wróciłem stamtąd z pasiastym plecakiem i bongiem. Jestem pewien, że w Camden można znaleźć coś więcej niż narkotyki, i z chęcią posłuchałbym porad kogoś, kto tam mieszka. Jeśli moja wiadomość wzbudziła w Tobie przerażenie, proszę, skasuj ją, zignoruj albo od razu zadzwoń po policję. (Nie, proszę, nie dzwoń!) Jeśli nie, byłoby mi miło, gdybyś odpisała. Swoją drogą, to moja nieco obsesyjna znajomość kodów pocztowych Londynu naprowadziła mnie na Twój adres e-mail. Wygooglowałem „Rachel Gold” i „NWI”, po czym pojawiła się Twoja strona internetowa. Cóż za doskonały zbieg okoliczności, że projektantka biżuterii ma na nazwisko Gold. Gdybym tylko ja nazywał się Diamond, stworzylibyśmy idealną parę. Niestety jestem Rimmer. Nie wiem, co Ty na to. Tak czy inaczej, jeśli się odezwiesz, fajnie, a jeśli nie, kupię coś z Twojej strony i podaruję matce na urodziny. Jesteś bardzo, bardzo utalentowana.

Serdeczności,

Michael

Rachel siedziała przez chwilę, wstrzymując oddech i zastanawiając się, czy chce się teraz uśmiechnąć, czy skrzywić. Przywołała w pamięci twarz tamtego mężczyzny, ale nie do końca potrafiła. Cały czas wracał do niej obraz Michaela C. Halla. Na dole e-maila znajdował się podpis z nazwą firmy. MCR International. Wpisała ją w wyszukiwarkę i znalazła dość anonimową stronę, najwyraźniej należącą do jakiegoś rodzaju logistyczno-transportowej organizacji, z adresem w Antibes na południu Francji. Wygooglowała „Michael Rimmer Antibes” i po chwili grzebania wreszcie znalazła go w lokalnym serwisie informacyjnym, jak trzyma kieliszek szampana na przyjęciu z okazji otwarcia nowej restauracji. Powiększyła jego twarz i gapiła się na nią przez moment. W niczym nie przypominał Michaela C. Halla. Wyglądał... przystojnie w takim klasycznym stylu, tak by to określiła. Klasyczny przystojniak. Jednak w tym, jak jego biały podkoszulek spotykał się z paskiem pary niebieskich dżinsów, było coś pociągającego. Nie był schowany. Nie wisiał. Dwa brzegi delikatnie się dotykały. Jakby zapraszająco. Rachel poczuła niespodziewaną i nagłą ekscytację, a kiedy jej wzrok wrócił na jego twarz, wydawał się już więcej

niż klasycznie przystojny. Wydawał się twardy. Niemal okrutny. Jednak Rachel nie przeszkadzały takie cechy w mężczyźnie. Mogła to wykorzystać, gdyby chciała.

Wyłączyła pocztę. Podjęła decyzję, że odpowie. Spotka się z nim. Będzie uprawiać z nim seks. Tylko że jeszcze nie teraz. Niech chwilę poczeka. W końcu nie śpieszyło jej się.

CZERWIEC 2019

Następnego ranka wybieram się na przebieżkę. Muszę być szczery i przyznać, że naprawdę nie lubię biegać. Jednak nie lubię też chodzić na siłownię i patrzeć na tych wszystkich idealnych chłopaków, którzy nie odwzajemniają tego nawet jednym spojrzeniem. Siłownia kiedyś była moim placem zabaw, lecz to już przeszłość. Teraz już się nie stroję, spuszczam wzrok i zaciskam zęby, aż poczuję to kojące, satysfakcjonujące połączenie między swoimi stopami, ziemią, myślami i rytmem muzyki w uszach, a potem robię to przez pełne okrążenie wokół Regent's Park. Później reszta dnia jest już moja.

Ale dzisiaj jakoś nie mogę się zgrać. Oddycham ciężko i cały czas mam ochotę przystanąć, usiąść. Coś jest nie tak. Wszystko wydaje się nie tak, odkąd dowiedziałem się, że Phin wciąż istnieje.

Moje stopy uderzają w asfalt tak mocno, że niemal czuję drobinki kruszywa przez podeszwy butów. Słońce nagle wyłania się zza cienkiej kotary czerwcowych chmur, kłując mnie w oczy. Wkładam okulary i w końcu się zatrzymuję.

Zgubiłem drogę. I tylko Phin może pomóc mi ją na powrót odnaleźć.

*

W domu dzwonię do Libby.

Kochanej Libby.

– Hej, hej!

Jest właśnie kimś takim, kto mówi „hej, hej”.

Odwzajemniam to powitanie na tyle wylewnie, na ile mnie stać.

– Hej, hej!

– Co tam?

– Co tam? Och, nic właściwie. Właśnie wróciłem z biegania. Wziąłem prysznic. I tak sobie myślę o tym, o czym rozmawialiśmy na twoim przyjęciu urodzinowym.

– Masz na myśli safari?

– Tak, safari. Lucy mówi, że nie powinienem z wami lecieć.

– Och, dlaczego?

– Jej zdaniem chcecie z Millerem, by to był romantyczny wyjazd tylko dla was dwojga.

– Och, skądże. Oczywiście, że jesteś mile widziany. Ale mamy mały kłopot.

– Kłopot? – Prostuję się.

– Tak. Miller zadzwonił do domku letniskowego, żeby zapytać o możliwość dodania kolejnej osoby do rezerwacji, i najwyraźniej Phin... – Zawiesza głos.

– Tak?

– Wyjechał.

Opadam ciężko na oparcie, z szoku otwieram szeroko usta.

– Wyjechał?

– Tak. Powiedział, że to pilne sprawy rodzinne. Nie wiadomo, kiedy wróci.

– Ale... – Robię pauzę. Jestem wściekły. Chłopak Libby jest bardzo szanowanym detektywem śledczym. Poświęcił rok na szukanie Phina (nie dla mnie, oczywiście, lecz dla Libby), by pięć sekund po oficjalnym namierzeniu go zrobić coś najwyraźniej wystarczająco głupiego, żeby Phin uciekł. To taki dziennikarski ekwiwalent nastąpienia na suchą gałązkę w trakcie polowania. – Nie rozumiem – mówię, siląc się na spokój. – Co poszło nie tak?

Libby wzdycha i wyobrażam sobie, jak dotyka swoich rzęs; często jej się to zdarza w trakcie rozmowy.

– Nie wiemy. Miller był bardzo dyskretny przy rezerwowaniu noclegu. Jedyne, co nam przyszło do głowy, to że Phin jakoś rozpoznał moje nazwisko. Założyliśmy, no wiesz, że będzie znał tylko to nadane przy narodzinach. Ale może znał też to adopcyjne. Z jakiegoś powodu.

– Zakładam, oczywiście, że Miller swojej rezerwacji dokonywał pod pseudonimem?

Na moment zapada cisza. Wzdycham i przeciągam dłonią po mokrych włosach.

– Z pewnością o tym pomyślał, prawda?

– Nie wiem. A dlaczego miałby to zrobić?

– Bo napisał długi artykuł o naszej rodzinie, który ukazał się cztery lata temu w popularnym czasopiśmie. I może Phin zajmuje się czymś więcej niż tylko siedzeniem na jeepie i pozowaniem do zdjęć. Może, no wiesz, korzysta z internetu? – Zamykam usta. *Brzydko brzydko brzydko. Nie mów brzydko do Libby.* – Przepraszam. Wybacz, to po prostu frustrujące i tyle. Pomyślałem, że...

– Wiem – odpowiada. – Wiem.

Jednak wcale nie wie. Nie ma pojęcia.

– No to co planujecie zrobić? – pytam. – Nadal się tam wybieracie?

– Nie jestem pewna. Zastanawiamy się. Może to przełożymy.

– A może moglibyście – zaczynam, gdy w mojej głowie formuje się potencjalne rozwiązanie – ustalić, gdzie on teraz jest?

– Tak. Miller próbuje wpłynąć na tego gościa z rezerwatu. Sprawdza, czy da się z niego coś wyciągnąć. Niestety chyba nikt nie wie zbyt wiele na temat Phina Thomsena.

Doprowadzam rozmowę do końca. Drobinki rzeczy, o których nie mogę wspominać Libby, bzyczą mi w głowie i potrzebuję ciszy oraz spokoju, żeby mogły się ostatecznie uformować w koherentne myśli.

Znowu wchodzę na stronę internetową rezerwatu Phina. To bardzo szanowany rezerwat dzikich zwierząt. O międzynarodowej sławie. O doskonałej wiarygodności w kwestiach ekologicznych, środowiskowych i społecznych. Oczywiście, przecież Phin nie pracowałby byle gdzie.

Kiedy miał piętnaście lat, powiedział mi, że pewnego dnia będzie przewodnikiem na safari. Nie mam pojęcia, jak pokierował swoim życiem, żeby dotrzeć tam, startując z naszego domu grozy, ale jakoś tego dokonał. Czy ja chciałem wtedy być współzałożycielem modnej butikowej firmy zajmującej się rozwiązaniami software'owymi? Nie, wiadomo, że nie. Chciałem, żeby życie wybrało za mnie. Żebym został tym, kim można zostać, kiedy się nie spędzało dzieciństwa w domu grozy, a wczesnej dorosłości samemu w kawalerkach, bez żadnego wykształcenia, przyjaciół czy rodziny. Chciałem być właśnie kimś

takim. Jednak w historii, jaką dał mi ten wiecznie obracający się wizytownik z niekończącymi się i bezkresnymi wszechświatami, właśnie w takim miejscu się znalazłem i powinienem się cieszyć, powinienem być wdzięczny. I w pewnym sensie jestem. Chyba w innym ze wszechświatów mogłem, jak kiedyś mój ojciec, usiąść i utuczyć się, czekając, aż rodzice umrą, przekazując mi swój majątek. Mogłem prowadzić życie wypełnione nudą i gnuśnością. Ale nie miałem innego wyjścia, niż pracować, dzięki temu osiągnąłem sukces i to chyba dobrze, prawda?

Jednak Phin, oczywiście, Phin nawet wtedy wiedział, czego chce. Nie czekał, aż ukształtuje go wszechświat. To on ukształtował wszechświat wedle swojej woli.

Idę do pracy i przez dwa spotkania oraz telekonferencję dręczy mnie ten sam brak skupienia. Warczę na ludzi, na których nie zdarzyło mi się warczeć, a potem czuję odrazę do samego siebie. Wracam o siódmej do domu i widzę swojego siostrzeńca Marca, jak siedzi na sofie ze szkolnym kolegą, miłym chłopcem, którego poznałem już kiedyś i nawet wysiliłem się, by być dla niego uprzejmym. Kiedy wchodzę, on wstaje i mówi:

– Dzień dobry, panie Henry. Marco powiedział, że mogę przyjść. Mam nadzieję, że się pan nie gniewa.

Chłopiec ma na imię Alf i jest rozkoszny. Jednak w tej chwili nie chciałbym, żeby siedział na mojej sofie, więc nawet się do niego nie uśmiecham.

– Proszę, tylko nie mówcie, że planujecie gotować? – mamroczę.

Alf rzuca Marcowi niepewne spojrzenie; obaj potrząsają głowami.

– Nie – odpowiada Alf. – Nie, tak tylko sobie siedzimy.

Kiwam sztywno głową i ruszam do swojego pokoju.

Wiem, co zrobię. I naprawdę muszę coś zrobić, bo eksploduję. Nie mogę siedzieć i czekać, aż załatwi to smętny Miller Roe. Muszę wziąć sprawy w swoje ręce.

Wchodzę na Booking.com i rezerwuję sobie czterodniowy pobyt – all inclusive, ze „złotą gwiazdką” – w Chobe Game Lodge w Botswanie.

Dla jednej osoby.

W wieku trzydziestu dwóch lat Rachel starała się nie myśleć zbyt dużo o tym, że całe jej dorosłe życie to miraż. Właścicielem jej mieszkania był ojciec, który też wspierał finansowo jej biznes. Ta zależność od uwielbienia i szczodrości ojca postępowała powoli, więc Rachel nawet nie zauważyła, kiedy sytuacja zmieniła się z „tak postępują rodzice, żeby pomóc dzieciom w starcie” na coś, o czym wstydziła się mówić. Jej salon z biżuterią przynosił jakieś pieniądze, lecz jeszcze nie zyski. Rachel mogła się oszukiwać, że to zysk, gdy przychodził przelew z jej kieszonkowym i spłacał debet. Ale w rzeczywistości od zarabiania na siebie dzielił ją co najmniej rok, a nawet wtedy pod warunkiem, że wszystko będzie szło dobrze i nic nie pójdzie źle. Za sześć miesięcy Rachel skończy trzydzieści trzy lata, już dawno wypłynęła daleko poza bezpieczne brzegi trzydziestki, a spodziewała się w tym wieku być w pełni niezależna od ojca.

Jednak dla postronnego obserwatora Rachel Gold była imponującą osobą: miała metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, była wysportowana i zadbana, trzymała lekki dystans. Wyglądała jak kobieta, która doszła do wszystkiego sama, która sama spłacała kredyt, sama finansowała sobie karnet na siłownię i przejazdy uberem.

W piątkowy wieczór pod koniec października, tydzień po niespodziewanej wiadomości od Amerykanina, na którą jeszcze nie odpowiedziała, Rachel wybrała się po pracy na drinka z kobietą z sąsiedniego studia w kompleksie na rogu West Hampstead i Kilburn. Paige miała dwadzieścia trzy lata i wciąż mieszkała z mamą, lecz zarabiała dość dużo, żeby dokładać się do czynszu, płacić za swoje wakacje, drinki i rzęsy u kosmetyczki. Paige tworzyła biżuterię z metali nieszlachetnych, w przeciwieństwie do Rachel, która używała złota i platyny. Paige żyła skromnie i odkładała pieniądze. Raptem dwa lata wcześniej skończyła szkołę artystyczną, a już była bardziej dorosła od Rachel.

W pubie Rachel postawiła pierwszą kolejkę – butelkę pinot grigio. Taras był ogrzewany, więc piły na zewnątrz, z kocami na kolanach. Rachel zapytała Paige, czy się z kimś spotyka.

– Coś ty – odparła tamta. – Cisza, spokój, żadnych randek. A ty?

– Jest taki koleś – zaczęła Rachel, z początku z wahaniem, a później z niespodziewaną pewnością, że powinna o tym porozmawiać. – Poznałam go w Stanach, w te wakacje, a potem namierzył mnie przez internet i napisał wiadomość przez moją stronę. I chyba... – Włożyła butelkę do wiaderka z lodem. – I chyba nie mogę przestać o nim myśleć. Z początku wydawało mi się to takie, no wiesz, trochę nie na miejscu. No i jest starszy.

– Boże. Ile lat starszy?

– Bo ja wiem, jakieś dziesięć? Tak na oko jest tuż po czterdziestce. Zobacz. – Obróciła telefon wyświetlaczem do Paige, pokazując jej zdjęcie Michaela Rimmera, które zapisała sobie w galerii.

– Seksi.

– Tak uważasz?

– Pewnie. Tak, wiesz, na swój sposób.

– Jaki sposób? – Popatrzyła na Paige zmrużonymi oczami, nie chcąc, by koleżanka wypowiedziała na głos te same dziwne myśli, które krążyły jej po głowie na temat tego niespodziewanego człowieka.

– Wygląda, jakby mógł cię niezłe wypieprzyć. A potem leżałby zupełnie nagi, z rękami za głową, i poprosił o drinka.

– Cholera. – Wyrwała telefon z ręki Paige.

– Ale w takim, no, pozytywnym sensie, wiesz?

– Boże. Nie wiem. Może. To dobrze i niedobrze, nie? W przyszłym roku skończę trzydzieści trzy lata. Czy tego właśnie chcę?

– Nie wiem, sama mi powiedz. – Paige spojrzała na nią pytająco, prowokując ją do odpowiedzi.

– Nie. Nie. To znaczy tak. Dla zabawy. Jednak nie do małżeństwa, dzieci i tak dalej.

– A czy chcesz małżeństwa, dzieci i tak dalej?

– Niekoniecznie, ale może bym zechciała, a utknę z kolesiem, który nie ma w sobie nic z opiekuna, prawda? Trzeba mieć kolesia z opiekuńczym genem, jeśli chcesz mieć dzieci. A ten gość – raz jeszcze spuściła wzrok na Michaela Rimmera z kieliszkiem szampana w tandetnej restauracji na Lazurowym Wybrzeżu – nie wygląda jak opiekun.

– Cóż – stwierdziła Paige – jeśli nie jesteś gotowa na małżeństwo i dzieci, może potraktuj go jako tego ostatniego, który nie jest tym jedynym. Skoro przyjeżdża do Londynu na kilka miesięcy, po prostu go wykorzystaj.

Po sugestii Paige Rachel poczuła dreszcz nerwowej energii. Właśnie usłyszała, jak ktoś formułuje na głos jej niewypowiedziane myśli.

– Tak – zgodziła się. – Tak, może to zrobię.

CZERWIEC 2019

Lucy podchodzi do młodego mężczyzny w obcisłym szarym garniturze, który ściska pod pachą aktówkę. Wyciąga do niego rękę.

– Max Blackwood – przedstawia się mężczyzna. – Miło panią poznać. Mam nadzieję, że nie miała pani problemów z dotarciem na miejsce?

– Żadnych – odpowiada Lucy. – Wpisałam adres do Google Maps. W tych czasach szukanie drogi jest dziecinnie proste, prawda?

– Prawda – przyznaje Max, a potem zabawia ją anegdotkami o Google Maps prowadzących ludzi do ślepych zaułków albo na łąki pełne owiec i prywatne ogródki. W tym czasie powoli idą w stronę domu. Lucy stara się nie pokazać po sobie, jaka jest podekscytowana i zachwycona. Ma na sobie strój wybrany przez Henry'ego, jej brata. Powiedział jej, że jeśli szuka domu za milion funtów, musi wyglądać, jakby miała milion funtów. Przeciągnął ją po modnych francuskich butikach przy Marylebone High Street i kazał jej kupić ubrania specjalnie na polowanie na dom, a składały się one z miękkich bluzek, dobrze skrojonych spodni, długich zwiewnych sukienek, blezerów i białych tenisówek z metalicznymi wzorami. Potem zaprowadził ją na trzy godziny do salonu z mężczyzną o imieniu Jed, który obciął jej dwadzieścia centymetrów spalonych słońcem włosów, a resztę pomalował w pasemka koloru waniliowego blondu.

Krótko po tym, jak zamieszkała u Henry'ego, kazał jej wybielić zęby. Zauważyła, że wzdryga się za każdym razem, gdy się uśmiechała, więc w końcu zapytała:

– Czy coś jest nie tak z moimi zębami?

A on na to:

– Chyba łatwo zbagatelizować takie rzeczy, kiedy przez dłuższy czas nie ma się regularnego dostępu do lustra.

Straszny dupek z tego jej brata. Ukrywał to pod płaszczkiem czarnego poczucia humoru, ale czasami Lucy podejrzewała, że ta czerń sięgała znacznie głębiej.

Przesuwa okulary z nosa na czubek głowy i spogląda na stojący przed nią dom. To dawna plebania z czterema sypialniami, tuż za granicą St Albans. Na podwórku znajduje się sad, drewniana huśtawka, trampolina oraz prawie dwadzieścia metrów kwadratowych ogrodu porośniętego trawą, z altaną na końcu. Jego wielodzielnych kamiennych okien strzegą gargulce. Podwójne drzwi wejściowe z mosiężnymi kołatkami i skrobaczkami do butów są oflankowane przez wbudowane ławki. Całość jest zaniedbana i trochę zniszczona. Zastłony widoczne w oknach wypłowiwały na słońcu i porwały się. Jednak poza tym to właściwie jeden z najpiękniejszych domów, jakie kiedykolwiek widziała.

– Ładny – mówi z miną pokerzystki.

– Naprawdę ładny – zgadza się agent, szukając klucza do drzwi frontowych. – Takie domy rzadko się trafiają. Zna pani tę okolicę?

– Tak, moja córka mieszka w St Albans, niedaleko centrum.

Te słowa wciąż przyprawiają ją o przyjemny dreszcz. Moja córka. Libby Jones. Serenity Lamb. Musiała ją porzucić, kiedy mała była jeszcze niemowlęciem, ale odnalazła ją rok temu, gdy Libby skończyła dwadzieścia pięć lat. Ma miękkie jasne włosy i jasnoniebieskie oczy, a kiedy się z nią rozmawia, patrzy w taki sposób, że ma się poczucie, jakby się mogło powiedzieć jej o wszystkim, a ona przyjmie to bez oceniania. Ma londyński akcent, nie wytworny angielski akcent jak Lucy, która chodziła do szkoły, gdzie kazali jej nosić słomkowy kapelusz i bluzkę z wysokim kołnierzykiem, lecz akcent z obciętych krawędziami i spłycony, pozbawiony końcówek w niektórych słowach. Taki akcent bierze się z publicznych szkół i podmiejskich szeregowców. Ma piegi na ramionach i nosi włosy z przedziałkiem z boku; chowa je za uchem co kilka minut i czasami dotyka czubków rzęs palcem, jakby sprawdzała, czy ciągle tam są. Pachnie wanilią. Często myje ręce. Lubi owoce. Bardzo schludnie pisze. Jest niesamowita.

– Och – rzuca Max, odwracając się do niej z uśmiechem. – To dobrze. Z pewnością się ucieszy, gdy mama zamieszka tak blisko.

Dom jest pusty. Właściciele zdążyli już się przenieść do mieszkania w nowym budynku. Zostawili po sobie kilka mebli, by stworzyć iluzję domowego ogniska, jednak one tylko podkreślają fakt, że istniejący tu niegdyś bogaty wszechświat przepadł: dzieci wyleciały z gniazda, rodzinny harmider i chaos skarłał do pary w średnim wieku, egzystującej w jakimś mieszkaniu, od wizyty do wizyty, od telefonu do telefonu.

– Wymaga lekkich napraw – tłumaczy Max, szukając po drodze włączników światła. – Właściciele wydali na remont duże pieniądze tuż po zakupie, ale oczywiście to było ponad dwie dekady temu. Dlatego trochę czuć tutaj, powiedzmy, poprzedni wiek.

Lucy już wie, że go kupi. Wiedziała to, gdy tylko zobaczyła szczegóły w internecie. Budynek ma nietypowy rozkład pomieszczeń. Lucy wychowała się w domu opartym na symetrii: centralny korytarz prowadzący do pokoi o równych rozmiarach, drzwi w drzwi. Już dość tej symetrii. Lucy chce kącików i wnęk, i małych śmiesznych zaułków, i niespodziewanych przejść prowadzących do pomieszczeń, które nie mają sensu.

Drzwi pokoi na piętrze wciąż są oznaczone imionami dzieci, które niegdyś w nich spały. Oscar. Maddy. Milly.

To łagodnie brzmiące imiona, lecz nie można powiedzieć, by dzieci łagodnie obeszły się z domem: Lucy widzi pozrywaną tapetę, bazgroły na ścianach i coś neonowozielonego, co przykleiło się do taniego dywanu – pewnie masa żelowa.

Po roku mieszkania w nieskazitelnym apartamencie Henry'ego, zdejmowania butów w progu, używania specjalnych sprayów do usuwania nieszkodliwych plam i specjalnych ściereczek do różnego rodzaju powierzchni, nieustannego pilnowania dzieci, żeby niczego nie upuściły, nie pobrudziły i nie zniszczyły, Lucy chce właśnie tego – domu, w którym można się tłuc, w którym można wgnieść masę żelową w dywan, który przyjmie ich wraz z ich niedoskonałościami.

Lucy ignoruje plamy rdzy na umywalkach i sedesach, zielone ślady po wodzie wokół kranów, brakujący witraż w szafie na pranie, który zastąpiono brązową płytą wiórową. Z przyjemnością zapłaci milion funtów za dom, który jest porysowany i połatany, za brudne dywany, porozbijane szyby i trampolinę porośniętą mchem. Zapłaci każdą cenę za dach nad głową tej małej rodziny, którą wychowywała na ulicach, na plażach, na sofach, w tymczasowych

kwaterach – a przez kilka pierwszych lat życia Marca także w domu przemocowca.

Po obejrzeniu budynku Lucy wraca do samochodu i odbiera dokumenty ze szczegółowymi danymi od Maxa, jeszcze raz ściska jego dłoń i żegna się. Kładzie papiery na fotelu pasażera, potem wpisuje adres Henry'ego w Google Maps. Jednak zanim odjedzie, wstukuje też krótką wiadomość do Libby:

Właśnie obejrzałam dom przy Burrow's End. Jest idealny. Złożę ofertę. Super!

Następnie wkłada telefon w uchwyt i rusza, patrząc na dom w lusterku wstecznym, aż całkiem zasłonią go drzewa.

PAŹDZIERNIK 2016

Później tego samego wieczoru Rachel napisała odpowiedź Michaelowi Rimmerowi. Nie była do końca trzeźwa, ale też nie na tyle pijana, by przerosła ją obsługa klawiatury.

Drogi Michaelu,

byłam KOMPLETNIE zaskoczona, widząc Twoją wiadomość. Naprawdę KOMPLETNIE zaskoczona. Jednak nie niemiło. I dziękuję za komplementy na temat moich projektów. Może dla lepszego obrazu dodam, że ze swojego mieszkania mam widok na kanał w drodze do King's Cross. Mieszkam sama. Nie mam zwierząt. Piję alkohol i czasami palę papierosy. Tak, jestem Bridget Jones, dziękuję, że pytasz.

Z przyjemnością zabrałabym Cię na zwiedzanie okolicy. Podaję swój numer telefonu – wyślij mi esemesa, kiedy będziesz wolny, i zaplanujemy coś.

Serdeczności,

Rachel

Sczytała całość tylko raz, po czym nacisnęła przycisk „wyślij” i posłała wiadomość z mocą, z werwą, bez zastanowienia w świat, tym samym zmieniając swoje życie w sposób, jakiego nigdy nie byłaby w stanie sobie wyobrazić.

*

Gdy obudziła się następnego dnia, odpowiedź od Michaela już na nią czekała. Było prawie południe. Przegapiła zajęcia jogi. Ciągle przegapiała zajęcia jogi. Osiem tygodni temu zarezerwowała i opłaciła dwanaście zajęć, do tej pory udało jej się dotrzeć na dwa. Sięgnęła po telefon i odłączyła ładowarkę, odblokowała ekran i pojawił się on, Michael Rimmer, którego pośpiesznie

zaprosiła do swojego życia zeszłego wieczoru po butelce wina, shocie wódki i małej miseczce faszerowanych oliwek.

Cześć, Rachel!

Miło, że odpisałaś! I pewnie już się domyślasz, że Bridget Jones to moja wymarzona kobieta, więc wszystko się zgadza. Przylatuję ósmego, może spotkamy się któregoś wieczoru w tym tygodniu? Odezwę się, gdy już dotrę na miejsce. I nie mogę się doczekać. Naprawdę.

Serdeczności,

Michael

Rachel westchnęła. Czyżby dopadły ją wątpliwości? Nie do końca. Chociaż, może trochę. Tak czy inaczej, do ósmego zostało jeszcze dziesięć dni. Do tego czasu Michael Rimmer mógłby umrzeć. Ona mogłaby umrzeć. Jego samolot mógłby spaść do Atlantyku. Nie ma sensu się tym stresować. Nie ma sensu o tym rozmyślać. Jeśli Michael Rimmer jest jej pisany, wszystko się samo ułoży.

Dziesięć dni później pojawiła się wiadomość:

Cześć! Rachel, tutaj Michael Rimmer! Właśnie przyleciałem do Londynu. Co robisz jutro wieczorem?

Rachel poczuła ucisk w żołądku. Michael nie odezwał się ani słowem od czasu, gdy odpowiedział na jej pijackiego e-maila. Ona ostatnio rozmawiała z pewnym kołesiem z Tindera, trochę od niej młodszym, ale całkiem dojrzałym. Miał na imię Charlie. Pracował jako kurier medyczny. Mieszkał gdzieś w południowo-wschodnim Londynie. Bóg jeden wie gdzie. Tamta część miasta to dla Rachel zagadka. Niemniej znajomość była dość intensywna. Rozmawiali już o rodzinie i marzeniach, o tym, jakie mają cele i czego żałują, a nawet zahaczyli o politykę. Jednak Charlie wciąż nie zaproponował jej spotkania i, szczerze mówiąc, Rachel ma już swoje lata i nie zamierza czekać, aż chłopiec o imieniu Charlie zaprosi ją na drinka. A tutaj pojawił się Michael Rimmer, śmiało przepchnął się na początek kolejki swoją czterozdaniową wiadomością, przechodząc od razu do sedna w sposób, który sugerował Rachel, że może jutro o tej porze będzie uprawiać seks. A naprawdę miała ochotę uprawiać seks jutro o tej porze.

Przejrzała galerię na telefonie, szukając zdjęcia Michaela Rimmera, które zapisała sobie po tym, jak pierwszy raz się z nią skontaktował; stoi na nim z kieliszkiem szampana w ręku, wydaje się dobrze odżywiony i pewny siebie. Przybliżyła sobie obraz palcami i przez chwilę przesuwała go po ekranie, wyobrażając sobie Michaela.

Potem przełączyła aplikację, żeby odpisać, i szybko wstukała:

Jasne. Przyjdź do mnie, ruszymy stąd.

Michael Rimmer pojawił się przed drzwiami jej mieszkania o dziewiętnastej nazajutrz, promieniejąc opalenizną po powrocie z kraju, w którym nadal jest lato. Miał ze sobą kwiaty. I szampana. Bukiet wsadziła do wody, a szampana do lodówki, potem zaś zabrała Michaela na koktajle, bo gdyby otworzyli szampana teraz, uprawialiby seks za dwadzieścia minut, a ona chciała rozkoszować się doświadczeniem prawdziwej randki i narastającym nieznośnie seksualnym napięciem, zanim przekroczą tę granicę.

Okazał się przystojniejszy, niż go zapamiętała. Mniej zwyczajny. Ubrał się w jasnoniebieską koszulę, dżinsy i buty sportowe. Pachniał rzeczami świeżo wyjętymi z walizki i lekką wodą po goleniu, której Rachel nie potrafiła rozpoznać. Przytrzymał jej drzwi i przysuwał krzesła, czego raczej nie spodziewałaby się po kurierze medycznym Charliem.

Zamówił sobie margaritę, a dla Rachel dark'n'stormy, i zaczęli rozmawiać.

– Masz dzieci? – zapytał ją.

Nieco ją to zaskoczyło. Pomyślała, że to trochę dziwne, jakby pytał, czy wciąż ma wszystkie swoje zęby. Rachel nadal czuła się młodo, o wiele zbyt młodo, żeby być postrzegana jako matka. Jednak Michael nie był pierwszym mężczyzną, który ją o to zapytał w ostatnim roku czy dwóch; w jakiś sposób, nie zauważając tego, przeszła przez pewną niewidzialną granicę do strefy matek. Starła się nie dać po sobie poznać zdumienia i rzuciła:

– Nie, nie. Jeszcze nie. A ty?

Zobaczyła, jak jego twarz się rozpromienia.

– Tak – odparł. – Tak, jedno. Synka. Marca. Cóż... urodził się w dwa tysiące szóstym, więc, Boże, ma teraz jakieś dziesięć lat?

– Nie wydajesz się zbyt pewny.

– To skomplikowane. Dawno go nie widziałem.

– Rozwiodłeś się?

– Tak, rozwiodłem się. A moja eks... – Wypuścił powietrze z płuc w sposób, który sugerował, że była problematyczna. – No wiesz, to niełatwe sprawy, moja eks wie, gdzie mnie znaleźć, jednak woli tego nie robić. Ma niepokładane życie. Proponowałem wsparcie, dla niej i dla chłopca. Tylko że właściwie zerwała ze mną kontakt. No więc, smutne. A Marco... Boże, gdybyś mogła go zobaczyć, to najwspanialszy i najpiękniejszy chłopiec. Niestety takie życie nie przyniesie mu nic dobrego.

Rachel zobaczyła, jak oczy Michaela zachodzą łzami, i poczuła, jak ich spotkanie wchodzi na inny poziom, który wydawał się rzutować na niewypowiedzianą obietnicę nieuniknionego seksu, wyraźnie obecną w całej ich poprzedniej rozmowie, ale też mógł zabrać ich w jakieś inne miejsce, zupełnie niespodziewane, prawdziwe, dorosłe.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. On obrócił swoją i zacisnął palce wokół jej palców.

– To nic – powiedział, a jego oczy znowu były suche. – Po prostu szkoda, wiesz, że życie potrafi zabrać człowieka daleko od tego, co naprawdę ważne.

– Walczyłeś o prawo do opieki?

– Nie – odpowiedział, głaszcząc ją delikatnie. – Nie, to był szybki rozwód. Niczego ode mnie nie chciała. Myślałem, że kiedyś się dogadamy. Z początku bardzo często widywałem Marca. Jednak później poleciałem do Stanów na kilka tygodni, w sprawach zawodowych, a gdy wróciłem na południe Francji... – Zabrał rękę, żeby gestem pokazać, że kobieta rozplynęła się w powietrzu.

– Czyli mieszkasz na południu Francji?

– Mieszkam w wielu miejscach. Ale tak, mam dom w Antibes. Jest różowy. Mam różowy dom. Spodobałby ci się.

– W jakim odcieniu? Chyba nie landrynkowym?

– Nie. Nie. To bardzo subtelny róż. Moja była mawiała, że to kolor zwiędłych róż.

– Zwiędłych róż? Nieźle. Dziwnie poetyckie.

– Cóż, Lucy jest taka właśnie dziwnie poetycka.

Lucy, pomyślała Rachel. *Lucy*. To imię tamtej kobiety. Tej, która była wcześniej.

Lucy obraca klucz w zamku drzwi wejściowych mieszkania Henry'ego, wstrzymując oddech, jak zawsze przy powrocie. Nie tyle boi się, że coś się stało, ile po prostu wie, że Henry wolałby już nigdy nie słyszeć chrobotu jej klucza w jego zamku, a sam fakt, że wchodzi do apartamentu, odkłada torebkę, woła jego imię, otwiera jego lodówkę, wciąga i wypuszcza powietrze w przestrzeni utworzonej przez cztery ściany wyznaczające jego własną, bardzo prywatną strefę, wywoła u niego tego rodzaju dyskomfort, który przełoży się na ostry komentarz, pedantyczną uwagę albo ponurą obecność za drzwiami jego sypialni – drzwiami, które ostatnio coraz częściej pozostają zamknięte.

Stella spędza dzisiaj czas z Freyą G (nazywają ją Freyą G, ponieważ jej druga najlepsza koleżanka też ma na imię Freya), a Marco gra w coś na wielkim telewizorze w salonie ze swoim miłym kolegą, Alfem. Lucy rzuca nerwowe spojrzenie na przejście prowadzące do sypialni, w nadziei, że dźwięki nie niosą się na tyle, by dotrzeć do pokoju Henry'ego.

– Ściszcie trochę – prosi łagodnie. Marco nie odrywa wzroku, ale sięga po pilota i zmniejsza głośność.

Alf odwraca się i uśmiecha do Lucy.

– Cześć, Lucy – mówi. – Jak ci minął dzień?

– Dobrze. A tobie?

– Też dobrze... O cholera. – I już go nie ma, znowu skupia uwagę na grze, a Lucy idzie do kuchni i nalewa sobie kieliszek wina.

Chce powiedzieć Henry'emu o niesamowitym domu w St Albans, jednak wie, że wystarczy mu jedno spojrzenie na szczegóły, by oznajmił, że chyba oszalała, że się myli, że za chwilę popełni ogromny błąd. Zacznie ją ostrzegać, że wyrzuca pieniądze w błoto, że nie rozumie rynku nieruchomości, że będzie tego żałować. Lucy nie ma ochoty tego wysłuchiwać.

Zanim Henry zdąży zasiać w niej ziarenko niepewności albo skłoni ją do zmiany zdania, Lucy pisze wiadomość do agenta nieruchomości i składa ofertę.

Następnego ranka o ósmej trzydzieści, gdy wraca po podrzuceniu Stelli do szkoły, Lucy zauważa, że drzwi do pokoju Henry'ego są w dalszym ciągu zamknięte. Normalnie jej brat właśnie wychodzi do pracy, czasami nawet mijają się na chodniku pod blokiem. Lucy na palcach przechodzi korytarzem i bardzo cicho naciska klamkę, potem otwiera drzwi i wtedy zdaje sobie sprawę, że pokój Henry'ego jest pusty, łóżko zasłane, a żaluzje podniesione.

Woła do niego, na wypadek gdyby był w łazience, jednak odpowiada jej cisza.

Lucy zakłada, że jej brat wyszedł na wczesne spotkanie. Jednak nie było jej w domu zaledwie dwadzieścia minut. Jego kabina prysznicowa jest sucha. Nie ma pary na lustrze. Henry zdecydowanie jeszcze nie wstał, kiedy ona wychodziła; niemożliwe, żeby zdążył się obudzić, wyszykować i wyjść podczas jej nieobecności. Henry nigdy nie opuściłby domu bez porannego prysznica.

Już sięga po telefon, żeby napisać wiadomość, kiedy coś zwraca jej uwagę: w łazience nie ma szczoteczki do zębów Henry'ego, gadzeciarskiej, elektrycznej, która ładuje się przez kabel USB. Urządzenie ma wiele ustawień i niebieską diodę, zawsze stoi na marmurowym blacie, mrugając. Teraz go nie widać.

Wtedy Lucy czuje ucisk w żołądku. Przypomina sobie: okrucuch chwili, przebudzenie z głębokiego snu, gdy na zewnątrz wciąż jest ciemno, Fitz leży w nogach łóżka z nastawionymi uszami, niski pomruk wydostający się z jego gardła. Oboje siedzieli przez moment zupełnie nieruchomo, nasłuchując głuchego odgłosu jadącej windy, który niósł się z korytarza za drzwiami mieszkania, a potem z powrotem zasnęli.

Zakładała, że to ktoś z sąsiadów ich obudził, ale może nie.

Odblokowuje telefon i pisze wiadomość do Henry'ego:

Gdzie jesteś?

Wbija wzrok w ptaszka. Pozostaje pojedynczy i szary. Aplikacja twierdzi, że Henry ostatni raz był online kwadrans przed ósmą rano.

Lucy otwiera jego szafę i wysuwa szuflady. Nie wie, czego właściwie szuka, za to nie ma wątpliwości, co jej chodzi po głowie. Henry wyszedł z mieszkania w środku nocy, żeby złapać samolot do Botswany i szukać Phina. I z jakiegoś głęboko zakorzonego w niej, przyprawiającego o mdłości powodu myśl o tym, że miałby go znaleźć, napawa ją lękiem.

Podróż w klasie biznesowej. Jeśli się jej nie odbyło, trudno ją sobie wyobrazić. A kiedy się już ją odbędzie, nie da się jej sobie nie wyobrażać – pozostawia w tobie trwale ślady. To prawdopodobnie najważniejszy powód, żeby być bogatym.

Popijam szampana. Jest dopiero ósma rano, a ja nie śpię od trzeciej, moje podniebienie nie jest gotowe na jego kwaśną wytrawność, ale i tak piję, bo mogę. Przywołuję obraz Lucy w Londynie, jak wraca ze szkoły, zastanawiając się, dlaczego nie krzątam się po kuchni i gdzie jestem. Podejrzewam, że szybko się domyśli. Może i różnimy się od siebie, jednak nasza więź jest głęboka, nawet po dwudziestu pięciu latach życia oddzielnie. Tak już jest z dziećmi, które łączy wspólna trauma: jest zupełnie tak, jakby biegł między nami cienki drut i od czasu do czasu któreś z nas czuje, jak szarpie. Na przykład teraz. Wiem, że Lucy za moment zadzwoni do Libby, Libby zadzwoni do Millera, a moje zniknięcie stanie się sprawą, dramą. Ale ej, jestem w powietrzu. Kiedy wysiądę z samolotu, nie będą mieli pojęcia, jak mnie wyśledzić.

Uznają, że poleciałem do Botswany. Tylko że nie. Właśnie jestem w drodze do Chicago.

Wszystko wydarzyło się trochę szybko. Oczywiście.

Zabukowałem lot na lotnisko Victoria Falls i wynająłem auto, które miało mnie zabrać na teren rezerwatu. Straciłem mnóstwo pieniędzy, ale na szczęście rezerwację hotelu dało się odwołać, chociaż tyle. I szczerze mówiąc, cieszę się, że jednak nie muszę jechać do rezerwatu dzikiej przyrody w Afryce. Moim zdaniem to nie jest sposób na dobre spędzenie czasu, inaczej niż Chicago.

No więc dlaczego akurat Chicago?

Cóż, późną nocą wszedłem na Tripadvisora, żeby przeczytać opinie o Chobe Lodge Resort. Pomyślałem, że dobrze byłoby mieć lepsze pojęcia o tym miejscu

i o tym, na co się porwałem. Natrafiłem na recenzję bardzo wesołej, rozmownej kobiety, która zatrzymała się tam w pojedynkę dwa tygodnie wcześniej. W tekście zawarła imiona członków obsługi, którzy okazali się szczególnie pomocni i uprzejmi, a wydawała się przy tym osobą, która z przyjemnością podzieli się wrażeniami z kimś zupełnie obcym, kto pisze do niej z nienacka. Moje przeczucia były słuszne. Nancy Romano z New Jersey. Bardzo gadatliwa. Zapytałem, czy mogłaby polecić jakiegoś przewodnika; czy w rezerwacji był ktoś, kogo powinienem poszukać, kto ma większą wiedzę od pozostałych?

„Tak! – odpisała. – Szukaj Finna! Jest Anglikiem, tak jak ty, dość małym, ale bardzo inteligentnym i obeznanym w temacie. Potrafi ładnie opowiadać, takim barwnym językiem. Przemiły z niego człowiek”.

Odpowiedziałem mniej więcej tak, że szkoda, bo ktoś inny już mi go polecił, ale od obsługujących rezerwację dowiedziałem się, że podobno wyjechał z powodu nagłego wypadku w rodzinie.

„Och, tak – odpisała Nancy. – Ma rodzinę w Chicago, o ile dobrze pamiętam. Mam nadzieję, że nie wydarzyło się nic złego”.

Kto wie, czy ta „rodzina w Chicago” istnieje naprawdę, czy nie?

Nasza czwórka – ja, Lucy, Phin i jego siostra Clemency – musieliśmy żyć skrycie i w fałszu, każdy musiał się ukrywać, zmienić nazwisko, wymyślić nieprawdziwe życie i historie. Dopiero dziesięć lat temu załatwiłem sobie paszport; kiedyś udawałem, że boję się latać, by wymigać się od zagranicznych wycieczek z przyjaciółmi, a później nabawiłem się też lęku przed tunelami, gdy ktoś zasugerował, że pojedziemy do Francji Eurostarem. Dlatego bardzo możliwe, że Phin przygotował sobie jakąś bajeczkę, której używa do tłumaczenia się przed nieznanymi. Jednak mam silne przeczucie, że to jego drugie życie w Chicago może być prawdziwe. Tak czy inaczej, niedługo się przekonam.

Rachel odwróciła się i po cichu powąchała czubek głowy Michaela. Zawsze miała taką teorię, że jeśli lubisz zapach czyjejś skóry na głowie, zapewne jesteście dopasowani seksualnie. A zapach Michaela jej się podobał. To była woń kogoś, kto codziennie używa szamponu, kto nigdy nie śpi na nieświeżej pościeli, nie wkłada zapoconej bejsbolówki, nie je tanich burgerów, by potem przeciągnąć brudnymi palcami po włosach. Czuć było od niego świeże akcenty drzewa sandałowego i cytrusów, a przy tym akurat tyle hormonalnego piżma, by odróżnić ten zapach od tanich perfum.

Przyjrzała się twarzy Michaela. Interesująca jest twarz mężczyzny, który pierwszą młodość ma już za sobą. Dostrzegła kilka otwartych porów na nosie, głębokie zmarszczki na czole i ostrą linię po obu stronach ust, lecz jego skóra pozostaje miękka i sprężysta. Rachel była ciekawa, czy używa jakichś kosmetyków; miała silne podejrzenie, że może korzystać z usług kosmetyczki. Nie stanowiło to dla niej żadnego problemu.

Wieczór okazał się sukcesem o tyle, że odbyli przyjemną rozmowę, zjedli smaczne jedzenie i uprawiali dobry seks. A teraz już prawie wybiła ósma i oto Rachel wąchała jego głowę, przyglądała się jego porom i dostrzegała jego atrakcyjność nawet wtedy, gdy spał. Na palcach jednej dłoni mogła policzyć randki, które opisałyby aż tak dobrze.

Szczegóły zeszłej nocy wracały do niej we fragmentach. Pamiętała, że mówili o domu na Martha's Vineyard („nie ma basenu, ale za to jest jacuzzi z zabójczym widokiem”) oraz łodzi zacumowanej w porcie w Antibes. Łódź miała nazwę, coś związanego z diamentami? Albo srebrem? Wspominali o domku letniskowym w kurorcie narciarskim. „No, właściwie to bardziej mieszkanie, ale wydaje się większe”. Rachel nigdy wcześniej nie jeździła na nartach, jednak nazwa tamtego resortu wydawała się znajoma, więc założyła, że chodzi o jeden z droższych.

- Lubisz narty?
- Nie – odparła sucho. – Ale za to lubię pić i jeść.
- Cóż, w takim razie spodobałby ci się urlop w górach.
- Tak właśnie myślałam.

Wyszli po dwóch koktajlach i talerzu *charcuterie*, po czym ruszyli do jej mieszkania, gdzie otworzyli szampana i stali przez chwilę na balkonie z widokiem na kanał, śmiejąc się z bijącego od niego smrodu, a każde szukało coraz barwniejszego sposobu na jego opisanie: „Tania kielbasa wieprzowa z nutą zepsutej makreli oraz zeszlonocej spermy”.

Później kiedy ich śmiech już przebrzmiał, Michael powiedział:

- Chciałbym cię pocałować. Wejźmy do środka.

Spodziewała się czegoś ostrzejszego, bardziej pośpiesznego, bardziej na czworaka niż z patrzeniem sobie w oczy. Była przyjemnie zaskoczona intensywnością towarzyszących im emocji.

Zaskoczona, lecz także przejęta.

Michael Rimmer miał być jej ostatnią przygodą.

Nie pierwszym mężem.

*

Później tego samego dnia Rachel zjadła lunch z ojcem. Chciał wiedzieć wszystko o jej randce z „tym gościem z Ameryki”.

Postanowiła nie dać po sobie poznać, jakie zrobił na niej wrażenie.

- Był miły – stwierdziła, odsuwając się od stolika, żeby kelner mógł postawić przed nią prosecco. – Spodobałby ci się.
- Tak? – Ojciec popatrzył na nią, unosząc brew.
- Tak mi się wydaje. Jest inteligentny, czarujący, zamożny.
- Stary.
- Trochę starszy.
- A dokładnie?
- Ma czterdzieści sześć lat.
- Hm.

– Co „hm”?

– Dlaczego nie jest żonaty?

– Nie wiem, tato. Dlaczego ja nie jestem zamężna?

Zaśmiał się głośno i rozerwał bułeczkę na pół, potem wytarł ubrudzone mąką palce o lnianą serwetkę leżącą na kolanach.

– Po prostu uważaj. Mężczyzna w jego wieku, który nigdy nie był żonaty...

– Był żonaty.

– Słucham? Przecież właśnie powiedziałaś...

– Powiedziałam, że nie jest żonaty. Ale był. Rozwiódł się. Ma syna.

– Bagaż.

– No, w pewnym sensie. Nie do końca. Nie widuje się z synem. Jego była mu na to nie pozwala.

Ojciec teatralnie opadł na oparcie krzesła.

– Och, Rachel.

– Słuchaj – przerwała mu. – To nic poważnego, okej? Przyleciał tutaj tylko na pół roku. Spędzimy ze sobą trochę czasu dla przyjemności. Nie myśl za dużo.

– Ktoś tutaj musi za dużo myśleć, Rachel. Ktoś tutaj musi myśleć, kropka.

Zmienili temat, jak zawsze, na sprawy biznesowe.

Rozmowy niegdyś były emocjonujące i ekscytujące. Wtedy gdy miała jeszcze dwadzieścia kilka lat, a ojciec „pomagał jej rozkręcić biznes”. Teraz praktycznie go finansował, a rozmowy wzbudzały w niej poczucie niższości i złość.

Otworzyła na telefonie aplikację, w której prowadziła swój sklep, żeby pokazać ojcu zamówienia. Jednak coś jej nie pasowało w kolumnach liczb. Kliknęła najnowsze i na moment zastygła.

Ktoś zażyczył sobie biżuterii za pięćdziesiąt cztery tysiące funtów. Jedna osoba. Włączając w to pierścionek z białego złota w kształcie znaku nieskończoności, z żółtymi diamentami, który był najdroższą pozycją dostępną na jej stronie i kosztował osiem i pół tysiąca funtów.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał ojciec.

– Eee, tak. Właśnie dostałam duże zamówienie. Naprawdę duże zamówienie. – Obróciła telefon, żeby mu pokazać. Jego twarz się rozpromieniła, klasnął w dłoń.

– Widzisz. Cały czas ci to mówiłem. Wystarczy jedno duże zamówienie i ruszysz z miejsca.

Słuchała go jednym uchem. W głowie już przeliczała, ile czasu zajmie jej realizacja tego zamówienia i jak szybko zdoła załatwić kamienie – w magazynie miała tylko kilka – a serce zaczynało jej trochę przyspieszać pod wpływem stresu.

– Nie jestem pewna – powiedziała, scrollując kolejne pozycje. – Nie jestem pewna, czy dam radę to wszystko zrobić w sześć tygodni. Nie w pojedynkę.

– Cóż – odparł ojciec – w takim razie musisz wziąć kogoś do pomocy. Może znajomego z college’u? A może jakiegoś artystę z budynku, w którym wynajmujesz studio? Tę miłą sąsiadkę?

– Paige?

– Tak, Paige. Zrób tak. Napisz do klienta. Poinformuj go, że w przypadku tak dużego zamówienia realizacja wydłuży się o jakieś dwa tygodnie. Powiedz, że potrzebujesz pięćdziesiąt procent zaliczki. Zaproponuj Paige współpracę za dziesięć procent. Pracuj od rana do nocy. Zrealizuj zamówienie. Proste. Czyż nie?

Rachel pokiwała głową, ale w głębi ducha nie czuła się przekonana. Nacisnęła przycisk powrotu na telefonie i wybrała „szczegóły klienta”. A potem wciągnęła ostro powietrze.

Michael Rimmer

Moynihan Mansions, mieszkanie nr 4

Radcliffe Gardens

Londyn

SW6 2AS

– Rachel?

Uniosła wzrok na ojca.

– Będzie dobrze, wiesz? Dasz sobie radę. Totalnie dasz sobie radę.

Szybko zamknęła okienko i uśmiechnęła się.

– Tak – powiedziała. – Tak, chyba dam radę.

Lucy słyszy sygnał i spogląda na stół jadalni, gdzie leży jej komórka. To nie agent nieruchomości ani Henry. To wiadomość ze szkoły Stelli. Coś w sprawie kiermaszu ciast. Ignoruje esemesa. Nie może teraz myśleć o ciastach, gdy w głowie ma pełno domów i Henry'ego.

Sięga po pusty talerz i zanosí go do zmywarki, upewniając się, że układa go zgodnie z rozmiarem: największe z tyłu, mniejsze z przodu. Czasami kiedy o tym zapomina, słyszy, jak Henry je przestawia; raz zrobił to o trzeciej nad ranem, zaraz po powrocie z miasta. Potem przypomina sobie, że Henry prawdopodobnie jest teraz po drugiej stronie świata, a ona może zapełniać zmywarkę, jak jej się żywnie podoba, więc wyjmuje talerz i wkłada go między mniejsze.

Znowu odzywa się telefon. I znowu wiadomość ze szkoły. Postscriptum do poprzedniej o ciastach.

Prosimy wszystkich wolontariuszy o wejście przez tylne drzwi, które zostaną otwarte o 15:20. Dziękujemy!

Angielskie szkoły wciąż zadziwiają Lucy. We Francji nauczyciele nie chcą mieć z rodzicami nic wspólnego; czasami wydawało jej się, że woleliby, aby dzieci właściwie nie miały żadnych rodziców. Tutaj matki i ojcowie praktycznie mieszkają w szkole: a to czytanie w klasie, a to specjalne zebrania, a to co chwilę jakieś kiermasze.

Jest czternasta. Lucy nie ma żadnego zajęcia do czasu, aż trzeba będzie odebrać Stellę, więc żeby się nie zamartwiać, wyciąga książkę z przepisami z małej kolekcji Henry'ego stojącej na półce w kuchni i szuka inspiracji. Dzieci ze szkoły podstawowej Havering prawdopodobnie nie będą zainteresowane cytrynową roladą z granatem czy buraczanym sernikiem, więc googluje

„babeczki” na telefonie, znajduje przepis o nazwie „najłatwiejsze babeczki na świecie” i zaczyna zbierać składniki.

Dziesięć po piętnastej żegna się z Fitzem i zanosí plastikowy pojemnik do szkoły za rogiem. Uśmiecha się uprzejmie do innych matek zebranych przy tylnym wejściu; każda ściska reklamówkę albo własny pojemnik, czekając na otwarcie. Lucy nie próbuje poznawać bliżej rodziców ze szkoły Stelli; nie zatrzymuje się na dłużej przy bramie nad ranem ani na placu zabaw. Nie chce, by padły pytania, na które nie będzie chciała odpowiadać. A poza tym jej czas w tej okolicy i tak już się kończy. Jednak wie, jaka szczęśliwa będzie Stella, kiedy wyjdzie z klasy tego popołudnia i zobaczy swoją mamę pośród innych mam za stolikami.

Przy bramie pojawia się stróż i po chwili wszyscy wchodzą na maleńki, miejski plac zabaw. Jedna matka w jedwabnej narzutce i z chustą na głowie pyta ją z uśmiechem:

– W której klasie jest twoje dziecko?

Lucy musi się zastanowić, bo jest przyzwyczajona do francuskiego systemu.

– W pierwszej – odpowiada w końcu.

– Tak. Moje też. To nasz stólik. – Wystawiają swoje ciasta; druga matka przyniosła trzy tace z babeczkami z Tesco. Zdejmuje folię, mówiąc nieco obronnym tonem: – Nie mamy w pokoju piekarnika, tylko mikrofalę.

Lucy kiwa głową. Chciałaby powiedzieć, że przeprosiny nie są potrzebne, bo ona też kiedyś mieszkała z dziećmi w jednym pokoju bez piekarnika. A nawet na ulicy. Jednak to nie jest rozmowa, którą chciałaby prowadzić. Spogląda na buty sportowe, które Henry kazał jej kupić w Whistles, i myśli o dwóch milionach funtów czekających na jej koncie bankowym. Zalewa ją fala przerażenia i wstrętu z powodu własnego szczęścia. Chciałaby oddać pieniądze tej kobiecie, żeby odmienić jej życie. Chciałaby oddać pieniądze wszystkim, którzy żyją tak jak ona kiedyś.

Wyjmuje swoje babeczki z pojemnika i układa na tacy. Każda jest oblana różowym albo niebieskim lukrem, z czekoladową drażetką na szczycie. Myśli o bałaganie, który zostawiła w kuchni, zlewie zastawionym miskami,

szpatułkami i tacami do pieczenia. Jeszcze raz wspomina Henry'ego i czuje dziwny dyskomfort. Przychodzą kolejne matki i dodają swoje wypieki do już wystawionych; gadają ze sobą nad głową Lucy, potem dzieci zaczynają wychodzić z budynku szkoły i Lucy szuka w tłumie złocistych loczków córki. I oto jest, jej kochana Stella, której twarz rozpromienia się na widok matki. Odbiega od koleżanek, obu o imieniu Freya, i staje przed stolikiem.

– Upiekłaś babeczki? – pyta zdyszana.

– Tak – odpowiada Lucy. – O te.

Stella wciąga głośno powietrze, patrząc na różowy i niebieski lukier.

– Mogę?

– Tak, ale musimy zapłacić.

– Ile?

Lucy zwraca się do kobiety z chustą na głowie.

– Ile liczymy za ciasto?

– Za te? – Wskazuje wypieki Lucy. – Pięćdziesiąt pensów?

Jest dwanaście kawalków. Czyli sześć funtów. Lucy myśli o tym, na ile zda się sześć funtów w szkole, w której dziewięćdziesiąt procent uczniów pobiera stypendium socjalne, po czym otwiera portfel, wyciąga dwadzieścia funtów i dyskretnie wkłada je do skrzyneczki, a następnie podaje Stelli babeczkę.

Kiermasz mija szybko, pośród wyciągniętych rąk i lepkich monet, nagle nie ma co sprzedawać i jest już prawie szesnasta, a stróż pomaga im odstawić stoliki. Lucy przytrzymuje otwarty czarny worek, zaś Stella napełnia go śmieciami i zużytymi papierowymi serwetkami. Matki opuszczają teren szkoły w przyjaznej atmosferze. Lucy niespodziewanie rozmawia z Francuzką z Wybrzeża Kości Słoniowej o zadaniu domowym z matematyki sprzed tygodnia, w którym najwyraźniej brakowało cyfry. Całkiem nieźle udaje, że ją to obchodzi, chociaż naprawdę ma to gdzieś.

Matki rozchodzą się w cztery strony świata, a Lucy chwyta Stellę za rękę i już mają ruszyć do domu, kiedy jej telefon znowu wibruje. Jakiś szósty zmysł każe jej się zatrzymać i go wyciągnąć.

No i jest, tak jak się spodziewała.

Wiadomość od Henry'ego.

To zdjęcie, na którym siedzi na pokładzie samolotu, trzymając mały kieliszek szampana, a do tego podpis:

Sayonara, siostrzyczko, ruszam do Phinlandu!!

Lucy przechodzi zimny dreszcz. Henry zwraca się do niej lekkim tonem, lecz jego zamiary, co jest dla niej przerażająco jasne, mają zupełnie inny charakter.

Zarezerwowałem sobie dwuosobowy pokój w najlepszym hotelu w Northalsted, dzielnicy Chicago. Wybrałem go w zasadzie przypadkowo, ale też kierując się szczyptą logiki. Northalsted było kiedyś znane jako Boystown i jest najbardziej przyjazną osobom LGBT dzielnicą w całych Stanach Zjednoczonych. Nie mam pojęcia, czy Phin naprawdę jest gejem; nigdy tego nie powiedział. Jednak zawsze zakładałem, że jest, i nawet jeśli nie mieszka konkretnie w tej okolicy, on albo jego znajomi mogą się tutaj często pojawiać.

Kładę się na moim ślicznym hotelowym łóżku i spoglądam w telefon. Dostałem wiadomość od Lucy. Właściwie to kilka wiadomości i z ukłuciem niepokoju zdaję sobie sprawę, że w czasie trwającej dziewięć godzin podróży po pijaku wysłałem jej esemesa z informacją, co właśnie robię. Musiała zostać automatycznie dostarczona w momencie, gdy włączyłem komórkę na lotnisku.

Dokąd lecisz?

Wiesz, gdzie on jest??

Henry? Gdzie jesteś? Proszę, odezwij się do mnie, zanim porozmawiasz z Phinem.

Henry. Co ty, kurwa, wyprawiasz????

Wzdycham. Trzeźwy Henry nigdy by nie pozwolił, żeby pijany Henry wysłał taką wiadomość, właśnie z tego powodu. Przez tę lekką histerię. To podejrzenie, że coś knuję. Nie jestem teraz w stanie zajmować się Lucy. To nie ma z nią nic wspólnego, za to wiele ze mną. Blokuję jej numer zamaszystym gestem i zaglądam do galerii, gdzie mam jedyne zdjęcie Phina, jakim dysponuję – to ściągnięte ze strony internetowej safari.

W zeszłym tygodniu, kiedy pierwszy raz je zobaczyłem, byłem bardzo zaskoczony. Gdy jeszcze mieszkaliśmy razem, Phin był zawsze nieskazitelny. Miał miękkie i gładkie jasne włosy, które niezmiennie sięgały mu tuż nad oko. Idealną cerę bez widocznych porów. Lekko zarysowane kości policzkowe, równą linię szczęki, miękko wyrzeźbione usta. To była twarz, za którą gonilem

całe życie; przy każdej wizycie u chirurga plastycznego, przy każdym zabiegu upiększającym właśnie taki efekt chciałem osiągnąć. Jednak Phin nie jest już tamtą osobą. Nie pozostał, w przeciwieństwie do mnie, upiornym chłopcem na skraju zepsucia. On nie walczył z upływem czasu, pozwolił sobie na dojrzałość, na męskość, dał swojej skórze spiec się na afrykańskim słońcu, dał swoim zmarszczkom wgryźć się w twarz, a połowę swojego piękna schował pod rudozłotą brodą.

Biorę prysznic i przebieram się, spryskuję się czymś ładnym, żeby wyglądać i pachnieć zachęcająco. Wychodzę z hotelowego foyer i kieruję się w stronę ulicy pełnej ceglanych barów, turkusowo-aksamitnych *brasseries* oraz meksykańskich knajp z jednosylabowymi nazwami. Wybiła osiemnasta, wieczór jest ciepły i nabrzmiały wyczekiwaniem, możliwościami, seksem.

Polegam wyłącznie na intuicji. Nie mam żadnego wielkiego planu. Właściwie nie mam żadnego planu. Otwieram drzwi knajpy o nazwie Gray Area, podchodzę do baru i zamawiam shota mescal, na nerwy, oraz kieliszek pinot gris, żeby mieć czym zająć ręce. A potem zbliżam się do grupki mężczyzn, którzy wyglądają na tuż przed albo tuż po czterdziestce, podkręcam swój brytyjski akcent i rzucam:

– Przepraszam za bezczelność. Nazywam się Joshua Harris i szukam dawnego przyjaciela, który być może zaginął. Nazywa się Phin. Phin Thomsen.

Schylają się, żeby spojrzeć na zdjęcie w moim telefonie. Jeden z nich przybliży je dwoma palcami. Wszyscy potrząsają przecząco głowami i przepraszają.

Powtarzam to jeszcze kilkanaście razy i kilkanaście razy dostaję w odpowiedzi potrząsanie głów i przeprosiny. Przenoszę się do baru obok; ten jest trochę mniej elegancki, jakiś brodaty didżej na pokrytej graffiti platformie gra taką muzykę, od której bolą mnie uszy. Zamawiam sobie drugi kieliszek pinot gris i pytam dziewczynę za barem, czy widziała kiedyś Phina Thomsena, mężczyznę ze zdjęcia w moim telefonie. Mówi, że nie. Zabieram kieliszek wina i kręcę się po knajpie, tu i tam przerywając ludziom rozmowy. Teraz muszę przy tym podnosić głos, żeby przekrzyczeć muzykę. Widzę, że pojawia się inny barman, więc wracam do baru, by pokazać mu zdjęcia. Pokazuję je też didżejowi. Wychodzę z tego lokalu i ruszam do następnego. Spędzam w ten sposób czas aż do trzeciej nad ranem; sto, a może nawet dwieście osób widzi

fotografie Phina. Nikt go nie kojarzy. Nikt go nigdy nie spotkał. Właściwie nie wiem, czego się spodziewałem. Ale jutro też jest dzień.

Rachel przez chwilę trzymała twardo palec na mosiężnym guziku przy wejściu do apartamentowca z cegły w Fulham. Potem przestała i czekała. Żadnej reakcji. Nacisnęła jeszcze raz. Nic. Wyciągnęła telefon z torebki i postukała drżącymi palcami w ekran, a następnie przystawiła go gwałtownie do ucha i czekała, aż połączenie zostanie odebrane.

– No hej, co tam?

Rachel przyłożyła komórkę do drugiego ucha i powiedziała:

– Nic dobrego. Wręcz przeciwnie. Gdzie jesteś?

– Wracam ze sklepu do mieszkania. A ty?

– Przed twoim blokiem.

– Och. Fantastycznie. To przyśpieszę. Zaraz będę.

Trochę rozbroił ją lekkością swojego tonu w odpowiedzi na informację, że Rachel stoi pod jego blokiem. Wielu mężczyzn, z którymi umawiała się w ostatnich latach, uznałoby to za stalking i od razu chcieliby trzymać się od niej z daleka.

Chwilę później wyszedł z za rogu, trzymając kubek kawy na wynos oraz płócienną torbę z dumnie wystającą z niej bagietką owiniętą w papier. Miał na twarzy kilkudniowy zarost i był ubrany w bardzo elegancki wełniany płaszcz. Na moment uderzyło ją poczucie, że on już w jakiś sposób jest jej bliski, jest kimś więcej niż tylko koleś, z którym się wczoraj przespała.

Na jej widok uśmiechnął się szeroko i podszedł do niej z otwartymi ramionami. Rachel wyprostowała się, przypominając sobie o gniewie, wstręcie, przerażeniu.

– Co jest, do cholery? – zaczęła. – Co ty wyprawiasz? Za kogo ty mnie masz?

– Eee...

Pokazała mu wyświetlacz telefonu.

– Co to ma być? – zapytała. – Co takiego sprawiło, że poczułeś potrzebę, by zapłacić mi za seks? Co takiego zrobiłam, by dać ci to do zrozumienia?

Michael zamrugnął, patrząc na ekran, a potem przeniósł wzrok na nią.

– Naprawdę nie rozumiem...

– Wczorajszy wieczór wydawał mi się całkiem udany – przerwała mu. – Myślałam, że jest między nami przyjemna chemia. Tak, oczywiście przez pół randki opowiadałeś mi o różnych domach, które masz na całym świecie, siedząc w moim maleńkim mieszkanku nad śmierdzącym kanałem, więc może rzeczywiście powinnam skojarzyć to z *Pretty Woman*. Jednak z jakiegoś powodu czułam się przy tobie komfortowo, wydawało mi się, że mnie rozumiesz i szanujesz. Więc co to ma, kurwa, być? – Raz jeszcze pomachała mu komórką przed twarzą. – Co to jest?

Michael westchnął i zwiesił nisko głowę.

– Chryste – powiedział. – Rachel. Przepraszam. Proszę, wejdz. Porozmawiajmy w środku.

Rachel też westchnęła i wcisnęła telefon z powrotem do torebki.

– Dobra – wypaliła. – Dobra.

Pojechali w ciszy lustrzaną windą z lśniącymi mosiężnymi guzikami na trzecie piętro, a później poszła za nim pod jego drzwi korytarzem z podłogą wyłożoną grubym dywanem.

W kuchni rozpakował swoją płócienną torbę na zakupy i podpiął telefon do ładowarki.

– Kawy? Herbaty? – zapytał.

Rachel pokręciła głową.

Michael westchnął.

– Nawaliłem, co?

– Owszem – potwierdziła Rachel.

– Po prostu nie... nie przyszło mi do głowy, że odbierzesz to w ten sposób. Boże, po prostu strasznie spodobała mi się twoja biżuteria i chciałem ją kupić na prezenty...

– Dla kogo?

– Nie wiem. Dla przyjaciół.

– Z jakiej okazji?

– Urodzin. – Wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

– Ale pięćdziesiąt cztery tysiące funtów? W jednym zamówieniu? Przecież to szaleństwo.

– Tak. Wiem. Ale... w kontekście...

– Bycia milionerem.

– Cóż, zgadza się. W takim kontekście... O cholera. – Michael uderzył się dłońmi w policzki i jęknął. – Dupek ze mnie. Sam nie wiem. Po prostu wróciłem rano do domu i wpadłem w euforię. I wydaje mi się, że byłem jeszcze trochę pijany. Właśnie przeżyliśmy taką... cóż, moim zdaniem – przystawił zaciśniętą dłoń do piersi – to była niesamowita noc. Byłem podekscytowany. I przypomniałem sobie, co mówiłaś o tym, że wciąż próbujesz rozkręcić biznes. Wyobraziłem sobie twoją minę, kiedy otworzysz laptopa i zobaczysz to wielkie zamówienie... No i nie pomyślałem. Po prostu nie pomyślałem. I nie, nie uważam, że powinnaś dostać zapłatę za seks. Uważam, że jesteś nadzwyczajna i magiczna, i piękna, i... i... wspanała. Zaraz anuluję to zamówienie. – Sięgnął po laptopa stojącego na kuchennym blacie. – Już się robi.

Rachel stała i patrzyła na niego z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Nacisnął parę klawiszy i zamknął komputer.

– Proszę, załatwione. Błagam, daj mi szansę, żebyś mógł ci to jakoś wynagrodzić. Jeśli się zgodzisz, obiecuję, że nigdy więcej nie zrobię czegoś równie prostackiego i nieprzyzwoitego. Przysięgam, Rachel Gold, że nie jestem taki, jak teraz myślisz. Jestem feministą.

Rachel wybuchła krótkim śmiechem.

– Cóż, może nie feministą. Ale jestem dobrym człowiekiem, przysięgam. Nigdy żadnej kobiety w swoim życiu nie traktowałem bez szacunku. Tak mnie wychowano. No, daj się przekonać. Może kolacja? Dzisiaj? Jeśli nie masz innych planów?

Rachel poczuła, jak coś się w niej otwiera: jakaś dziura, jakaś przestrzeń. Miejsce, w którym mogłaby być miła dla tego faceta, w które mogłaby go wpuścić, tego „dobrego człowieka” szanującego kobiety. Mogłaby dać mu jeszcze jedną szansę. I miała dzisiaj wolny wieczór, poza tym przejechała już

pół miasta. Rozejrzała się po jego mieszkaniu, czerwona mgła furii rozproszyła się i Rachel ujrzała ładną kuchnię: czarne kafelki, sfatygowane książki kucharskie, przybory z różnych zestawów w czerwonym emaliowanym garnku, wysokie otwierane pionowo okno po drugiej stronie pomieszczenia, z widokiem na rzekę. Potrafiła sobie wyobrazić, jak rankiem wchodzi tutaj boso, żeby zaparzyć kawę w tym wielkim błyszczącym ekspresie. Oczami wyobraźni widziała, jak Michael przychodzi do niej i otacza ją od tyłu tymi silnymi rękami, jak ona nim pachnie, jak jego ubrania leżą równiutko złożone na krześle w sypialni, jak jego słodki oddech łaskocze ją w ucho, jak jego świat łączy się z jej światem. Myślała przez chwilę o tej całej Lucy, o jego byłej żonie. Ciekawe, co by miała do powiedzenia na temat zapewnienia Michaela, że zawsze traktował kobiety z szacunkiem. Dlaczego ich małżeństwo się rozpadło? Kto zawinił?

Jednak potem przegoniła te myśli. Nikt poza małżonkami nie wie, co się naprawdę między nimi wydarzyło. To nie była jej sprawa. Popatrzyła na Michaela i pozwoliła, by jej twarz złagodniała.

– Dobra. Dobra. Kolacja dzisiaj. Tak. Ale lepiej, żebyś był grzeczny – powiedziała.

Michael złapał się za serce i odparł:

– Przysięgam, że teraz będę grzeczny już zawsze.

Stella podskakuje, żeby dotrzymać kroku Lucy, gdy wracają do mieszkania Henry'ego.

– Dlaczego idziemy tak szybko?

Lucy przykłada kartę-klucz do czytnika przed blokiem i wpuszcza Stellę przez ciężkie chromowane drzwi do foyer.

– Muszę po prostu zadzwonić, to wszystko.

– Do kogo?

– Do Clemency.

Clemency to młodsza siostra Phina i najlepsza przyjaciółka Lucy.

– Dlaczego to takie ważne? Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje, skarbie. Spokojnie.

Opuszczają windę i wchodzi do mieszkania Henry'ego, potem Lucy daje córce miseczkę po lukrze do wylizania, a sama zabiera telefon do sypialni.

– Clem. To ja. Słuchaj. Dzieje się coś dziwnego. Phin wyjechał z rezerwatu i nikt nie wie, dokąd się udał.

Po drugiej stronie zapada krótka, krucha chwila ciszy i Lucy już rozumie.

– O mój Boże, Clem! To byłaś ty? Zadzwoniłaś do niego?

– Oczywiście, że zadzwoniłam! W końcu to mój brat.

– Ale ta wycieczka miała być niespodzianką. Zgodziliśmy się wszyscy, że nic mu nie powiemy.

– Nie. Wy się zgodziliście. Ale ja znam Phina i jemu nie spodobałaby się niespodzianka. Ani trochę. A kiedy pomyślałam, że będzie tam też Henry...

– Powiedziałaś mu też, że będzie Henry?

– Oczywiście. Miał prawo wiedzieć. Po prostu... Przepraszam, Lucy, ale pomyślałam, że cały ten pomysł jest fatalny. Znam Phina i gwarantuję, że wolałby nie być odnalezionym, a już w szczególności nie przez Henry'ego.

– Henry'ego? Dlaczego tak mówisz? – pyta nieśmiało Lucy.

– Och, daj spokój. Wiesz dlaczego. Chodzi o to, jaki dla niego kiedyś był. Jaką miał na jego punkcie obsesję. I to, co się stało potem. Na koniec.

Obie milkną. Ich wspólna historia jest tak wielka, że czasami nie da się jej zawrzeć w zwyczajnych słowach i istnieje jedynie w pauzach, momentach ciszy i niedokończonych zdaniach. Dwadzieścia sześć lat to szmat czasu, żeby wspomnienia zarosły pajęczyną, stały się abstrakcyjne. Dwadzieścia sześć lat to dość długo, by zwątpić w to, jak się zapamiętało różne rzeczy, by zastanawiać się, czy rzeczywiście wydarzyły się w taki sposób, w jaki się wydaje. A w domu grozy, w którym wychowali się Lucy, Henry, Clemency i Phin, prawda była nieustannie zniekształcana i wykrzywiana przez filtry ich rodziców – ludzi, którzy mieli się nimi opiekować i ich chronić, a zamiast tego dopuścili do ich cierpienia i deprawacji.

Lucy się zastanawia, czy Phinowi już wtedy groziło niebezpieczeństwo ze strony Henry'ego. I czy grozi też teraz.

Wzdycha.

– Czyli wiesz, dokąd poleciał Phin?

– Nie mam pojęcia. Nawet z nim nie rozmawiałam. Był poza zasięgiem, kiedy zadzwoniłam, więc tylko nagrałam mu wiadomość.

– Jaką?

– Że Lambowie go wysłedzili. I wybierają się w podróż, żeby go zobaczyć.

– I nie masz żadnego przeczucia co do tego, dokąd mógł się udać?

– Żadnego. Nie. Podałam mu swój numer telefonu, podałam numer mamy. Nie odezwał się jeszcze ani słowem. I kto wie czy kiedykolwiek to zrobi. Mój brat zawsze był samotnikiem. Nigdy nie był stworzeniem stadnym. Może kontakt urwie się na kolejne dwadzieścia sześć lat... – Wzdycha głośno. – Cholera, przepraszam. Nie przyszło mi do głowy, że ucieknie. Chciałam go tylko ostrzec, to wszystko. Chciałam, żeby był przygotowany. A nie, żeby zniknął. Czy Henry bardzo się wkurzył?

Lucy chrząka, po czym mówi:

– Henry wyjechał.

Słyszysz, jak Clem wciąga gwałtownie powietrze.

– Dokąd? Do Afryki?

– Chyba tak.

– Ale po co? Skoro nie wie, gdzie jest Phin?

– Nie mam pojęcia. No wiesz, może wpadł na jakiś trop? Znalazł jakąś wskazówkę? W każdym razie jest teraz w drodze. Dopiero co dostałam od niego wiadomość. Zdjęcie z pokładu samolotu. Próbowałam się do niego dodzwonić, pisałam, niestety zablokował mój numer.

– Zablokował? O mój Boże.

– Tak. – Pauza. – Co mam zrobić?

– Nie mam pojęcia. Przeszukałaś jego mieszkanie? Może coś ci się rzuci w oczy.

– Nie. Tylko trochę. Ale nawet jeśli będę wiedziała, dokąd poleciał, co wtedy?

– No, może mogłabyś... sama nie wiem, polecieć za nim?

Lucy zanoszą się chrapliwym śmiechem.

– Jasne, z dwójką dzieci, psem i podrobionym paszportem.

– Tak. Może nie. W każdym razie ja będę dalej dzwonić do rezerwatu. Sprawdzę, czy ktoś jeszcze coś wie. I może, jeśli się nam poszczęści, Phin się odezwie. Nigdy nie wiadomo. Cholera, Lucy, co za pieprzony chaos. Strasznie cię przepraszam. Naprawdę.

Rozłączają się i Lucy wraca do salonu, gdzie Stella siedzi z całą brodą umazaną niebieskim lukrem. Lucy otwiera różne szafki, wysuwa szuflady. Przegląda zawartość kieszeni ubrań Henry'ego w jego sypialni, kieszeni kurtek w korytarzu. Dzwoni do jego biura i dowiaduje się, że Henry zapowiedział im tydzień nieobecności, ale nie wiedzą, gdzie się podziewa. Pyta nawet Oscara, portiera, czy wie, gdzie jest Henry, a on odpowiada, że nie wie. Lucy uruchamia aplikację pokazującą, które samoloty startowały w Londynie za piętnaście ósma rano, lecz zaraz ją wyłącza, gdy się okazuje, że co kwadrans podrywa się do lotu co najmniej dwadzieścia. Próbuje do niego pisać, wiadomości nie dochodzą. Myśli o tym, jak pierwszy raz zobaczyła Henry'ego rok temu; tego dziwnego, uśmiechniętego mężczyznę, który czekał na nią w pustej skorupie ich dawnego

domu, z włosami przefarbowanymi na blond, upiękzoną twarzą. Nie wiedziała wtedy, czy to Henry, czy Phin. Teraz jeden obraz zalewa jej twarz niczym błysk: Phin, gdzieś na świecie, otwiera drzwi i widzi Henry'ego, a para rąk popycha go w głąb mieszkania. Przechodzi ją dreszcz.

W Boże Narodzenie tamtego roku Michael był już oficjalnie chłopakiem Rachel.

Fakt ten był zaskakujący dla Rachel zarówno w swej nieprzewidywalności, jak i przewidywalności.

Kiedy widziała odbicie siebie i Michaela w oknie sklepowym albo lustrzanej ścianie restauracji, zauważała, że tworzą dobrą parę: oboje są wysocy, oboje z oliwkową cerą, oboje z niedawno wybielonymi zębami i gęstymi brązowymi włosami. Te podobieństwa fizyczne niwelowały różnicę wieku. Amerykańskość Michaela bladła pod wpływem jego uwielbienia do Europy; angielskość Rachel bladła przy jej kosmopolitycznym wychowaniu. Mimo dzielącego ich oceanu i lat, które pozbawiły ich wspólnych doświadczeń życiowych, w dziwny sposób wydawali się pasować do siebie.

Tydzień przed świętami Rachel zabrała Michaela na przyjęcie. To była impreza zorganizowana przez jej najbliższą przyjaciółkę, Dominique. Odbywała się co roku w przerobionym na mieszkanie lofcie w Kentish Town. Słyszała z chaosu, narkotyków, hałasu i tego, że trwała do samego rana. Jednak Dominique akurat była w ciąży z pierwszym dzieckiem, więc goście zostali ostrzeżeni, że tym razem będzie spokojniej. W zaproszeniu zawarto informację, że o północy wszyscy mają wzywać ubera.

Michael wydawał się trochę zdenerwowany, gdy tamtego wieczoru szykowali się u niej do wyjścia.

Poznał już kilkoro jej przyjaciół przez podwójne randki z innymi parami, nigdy wcześniej jednak nie prosiła go, by spędzał czas z jej znajomymi w liczniejszej grupie i właśnie w tej kwestii czuła między nimi różnicę, która sięgała głębiej niż tylko wieku i pochodzenia. W Londynie Michael był samotnikiem. Miał kilku partnerów biznesowych i parę byłych dziewczyn, lecz

żadnego stałego kręgu przyjaciół, z którymi łączyłaby go zażyłość, jaką wypracowuje się latami mieszkania w jednym mieście.

Tamtego wieczoru czuła, że musi go chronić. Patrzyła, jak zapina guziki, sprawdza zęby, poprawia włosy. Wyobrażała sobie, że martwi się, co ludzie o nim pomyślą, martwi się, jakie zrobi na nich wrażenie. Przysunęła się do niego w łazience i pocałowała w policzek.

– A to za co? – zapytał, odwracając się do niej z uśmiechem.

– Za nic – odparła. – Po prostu miałam ochotę cię pocałować.

Odwzajemnił pocałunek, a potem wrócił do sprawdzania fryzury w lustrze.

– Będzie tam ktoś, kogo powinienem się wystrzegać? Jakiś niezrównoważony eks albo potworni nudziarze?

– Żadnych niezrównoważonych eksów, być może więcej niż paru potwornych nudziarzy. Wszystkich ci wskażę.

– I przypomnij mi jeszcze, Dominique to twoja przyjaciółka ze szkoły średniej?

– Każdej szkoły. Znam ją od czwartego roku życia.

– A jej mąż? Czeka, nie mów. Pamiętam. Jej mąż to Jonathan. Który pisze do tabloidów.

– Zgadza się. Dziesięć na dziesięć.

– I Dominique jest teraz w piątym miesiącu ciąży, ma urodzić w kwietniu?

– I znowu dyszka.

– I jest... no... kreatorką przestrzeni handlowej w Matches, butik dla bogatych kobiet?

– Wow, niezły jesteś! Tak. I prawdopodobnie będzie w kiepskim nastroju, ponieważ nie może pić alkoholu i jest w tym dziwnym momencie ciąży, kiedy wygląda się po prostu grubo, a nie jakby się spodziewało dziecka, więc nie będzie mogła włożyć nic ładnego, a do tego cały czas jest zmęczona.

Michael poważnie pokiwał głową.

– Och, tak – powiedział. – Pamiętam tę fazę. Bardzo dobrze pamiętam.

Rachel wzdrygnęła się lekko. Michael nieczęsto wspominał o Lucy, o małżeństwie i rodzinie, z którą stracił kontakt, jednak za każdym razem, kiedy to robił, wzbudzał wredne ukłucie w jej trzewiach. Michael był dla niej

jakby świeżo wyjęty z pudełka: pachnący, zadbany mężczyzna bez związków i zobowiązań poza okazjonalnym telefonem czy spotkaniem w interesach. Musiała nieustannie sobie przypominać, że pod tym wszystkim kryło się krótkie tajemnicze małżeństwo z kobietą, która grała na skrzypcach, mówiła jak poetka, znała biegle francuski i urodziła mu jego jedyne dziecko. Pod tym wszystkim znajdowało się życie, którego nigdy nie pozwoli jej zrozumieć czy doświadczyć, sekretne miejsca, do których nie będzie mogła wejść. Poczowała, jak uśmiech zamiera na jej twarzy, lecz zaraz się z tego otrząsnęła.

– Cóż – powiedziała – nie wiem jak ty, ale ja myślę o wypiciu kieliszka czegoś dobrego przed wyjściem. Tak na rozluźnienie.

– Sto procent tak. Dołączę do ciebie za minutkę.

Rachel pocałowała go jeszcze raz i wyszła z łazienki, otworzyła butelkę wina i naląła do dwóch kieliszków. Zamierzała poczekać na Michaela, jednak mimowolnie sięgnęła po swoje wino i pociągnęła solidny łyk, bo podświadomość podpowiadała jej, by zalała czymś żarzące się w niej popioły zazdrości. Rachel nie była zazdrośnicą. Nigdy wcześniej nie czuła się w ten sposób na myśl o przeszłości któregośkolwiek ze swoich mężczyzn. Nie podobało jej się to; sama sobie wydawała się przez to gorsza. Miała takie wrażenie, że Michael w jakiś sposób kontroluje jej szczęście, może je włączać i wyłączać jakimś nieprzemyślanym komentarzem czy zbędną anegdotą. Wypiła jeszcze jeden łyk wina, a potem odblokowała telefon.

Dom, napisała, możesz poprosić Jonathana, żeby trochę prześwietlił dzisiaj Michaela? Niech dowie się czegoś o jego byleję, dziecku i tak dalej. Nie chcę ciągle go o to wypytywać, a sam z siebie nic nie mówi. DZIĘKUJĘ!!! Widzimy się za godzinę.

– Jest zajebiście przystojny – syknęła Dominique do ucha Rachel. – Boże, jak go opisywałaś, spodziewałam się, że będzie wyglądał jak twój ojciec. No... w sumie...

– Nie! Ani mi się waż!

– Cóż, tylko w tym sensie, że obaj są przystojnymi starszymi mężczyznami.

– Mój ojciec ma sześćdziesiąt trzy lata, do jasnej cholery, Dom! Właściwie mógłby być ojcem Michaela!

– Tylko się z tobą drocę, Rachel. Tak czy inaczej, nieźle z niego ciasteczko.

– A może nawet za bardzo, co? Jak myślisz?

Dominique zawsze wybierała chłopaków na podstawie ich dziwactw. Im więcej, tym lepiej. Jonathan był chodzącą litanią niezwykłych cech i osobliwości. W życiu nie obejrzałaby się za takim odbitym jak od sztancy koleś jak Michael.

– Nie! Oczywiście, że nie. No, nie dla ciebie, wiadomo. Dla ciebie jest idealny. Świetnie razem wyglądacie. Zdrówko!

Stuknęły się kieliszkami.

– Co ty tam masz? – zapytała Rachel, spoglądając na różowy napój koleżanki.

– Rany. Wodę gazowaną z angosturą. Ja pierdołę. Straszne gówno, nie da się tego pić. – Popatrzyła na swój brzuch, schowany pod zwiewną złotą tuniką z ramiączkami ze złotych łańcuszków, i uśmiechnęła się słabo. – Mamusia jest gotowa na wyrzeczenia, prawdziwe wyrzeczenia, maluszk. – Potem uniosła wzrok na Rachel i dodała: – A skoro mowa o maluszkach, gadałam z Jonathanem. Uruchomi dzisiaj swojego wewnętrznego dziennikarza, zada właściwe pytania. Jutro zdam ci pełen raport. Czym się właściwie martwisz? Wygląda, jakby był ci w stu procentach oddany.

– Tak. Tak, jest oddany. Tylko napotykam jakiś opór, kiedy próbuję porozmawiać z nim o jego byłej żonie i dziecku, a nie chciałabym go naciskać. Po prostu odnoszę wrażenie, że coś przede mną ukrywa. To wszystko.

– Cóż, jeśli coś ukrywa, Jonathan na pewno to z niego wyciągnie. Zdam się na niego. – Puściła do Rachel oko i stuknęła się w bok nosa. – Dobra, powinnam pogadać z innymi gośćmi. Złapiemy się później...

Rachel dopiła wino, wyszła z kuchni i podążyła przez loft w stronę Michaela, który rozmawiał z kobietą o imieniu Ella. Rachel знаła ją pobieżnie z kręgu dalszych znajomych Dominique. Ella była niską blondynką, a jej żywiołowość zawsze pozostawała dla zdecydowanie nieżywiłowej Rachel trochę trudna do zniesienia.

Zobaczyła, jak twarz Elli się chmurzy na widok zbliżającej się Rachel, ponieważ normalnie Rachel nie podchodziła do niej na imprezach, a potem spojrzenie Elli przesunęło się na Michaela i w jej mocno pomalowanych oczach pojawił się przeblask zrozumienia.

– Cześć! – rzuciła radośnie Rachel. – Ella! Miło cię widzieć! Widzę, że już się znacie z Michaeliem?

– Tak, chociaż nie wiedziałam, że nazywa się Michael. Nie zaszliśmy tak daleko. – Zaśmiała się nerwowo.

– Nie – wtrącił Michael. – Jakoś tak od razu zaczęliśmy wymieniać się historyjkami o najgorszych urazach narciarzy.

– Och! Prześmieszne! – wypaliła Rachel.

– Czyli wy...? – Ella machnęła dłonią, wskazując niewyraźnym gestem ich dwoje.

– Aha – potwierdziła Rachel. – Tak, jesteśmy razem.

– Och, świetnie! – stwierdziła Ella. – Cudownie. Wspaniale!

– Tak! – powiedziała Rachel. – Naprawdę wspaniale.

Potem bezwiednie chwyciła Michaela za ramię i trochę jakby przycisnęła się do niego, a w krótkim przeblysku dystansu zobaczyła samą siebie i zdała sobie sprawę, że zachowuje się żenująco. Była kimś, kogo sama by nie znosiła. Bluszczowatą, mizdrzącą się, niepewną siebie. Zobaczyła, jak uśmiech na twarzy Elli zamiera, a jej wzrok prześlizguje się po jej ramieniu w inne miejsce na sali.

– Cóż, miło cię poznać, Michaelu. Miłego pobytu w Londynie. Rachel, tak cudownie cię widzieć, w ogóle to wyglądasz prześlicznie. Jak zawsze – powiedziała.

Po czym zostawiła ich i gdy tak stali we dwoje, wytworzyła się między nimi dziwna atmosfera.

– Czyżbyś była trochę zazdrosna, pani Gold?

– Odwal się.

– Och, daj spokój. Chyba jednak?

– Poważnie, odwal się.

– Podoba mi się to. Troszeczkę.

– Przestań.

– Ale serio, to urocze. No wiesz, Chryste, spójrz na siebie i na mnie. Jesteś spoza mojej ligi z setki różnych powodów. Z nas dwojga to ja powinienem czuć się niepewnie. Podoba mi się, że poczułaś się zagrożona przez tę trzepoczącą

rzęsami panienkę. – Przewrócił oczami, wskazując Elle, która parę metrów od nich właśnie śmiała się z żartu innego mężczyzny.

– Wcale nie poczułam się zagrożona. Co najwyżej zaskoczona, że nie wspomniałeś, z kim tu przyszedłeś.

– Chryste. Nie dała mi szansy! Dziewczynie język lata jak łopata. Poza tym jest pijana. Gdyby zwolniła na chociaż sekundę, od razu bym rzucił, że „ej, kobieto z irytującym głosem, w ogóle to spotykam się z najpiękniejszą dziewczyną w tym pokoju, nazywa się Rachel Gold, znasz ją?”.

Rachel nie mogła powstrzymać uśmiechu rozciągającego jej usta, Michael też się uśmiechnął, pochylając lekko głowę w jej stronę i patrząc jej w oczy.

– Dla mnie istnieje tylko ty, Rachel. Nikt inny się nie liczy. Na całym świecie. Okej?

Przytaknęła, poddała się jego uwielbieniu, chociaż czuła się przez niego w jakiś sposób umniejszona, nadszarpnięta.

Następnego dnia budzę się z ostrym bólem głowy. To nie do końca kac, za mało wypilem, żeby to był kac, raczej przenikliwe klucie jet laga, odwodnienia i stresu. Po śniadaniu idę do punktu z wydrukami za rogiem i proszę o powiększenie i wydrukowanie zdjęcia Phina na kartce A4. Nie zniosę kolejnego obcego człowieka dotykającego brudnymi paluchami ekranu mojej komórki. Potem wkładam okulary przeciwsłoneczne i zaczynam swoją misję. Przez trzy godziny przymilam się do portierów i odźwiernych, zatrzymuję śpieszących się ludzi pod drzwiami ich bloków.

Robię sobie przerwę na lunch w knajpie z łukowym sufitem, z którego zwisają jedwabiste kwiaty wisterii, i zamawiam salwadorską quesadillę, masala chai oraz wodę gazowaną z kurkumą i szafranem. Okazuje się, że mam duży apetyt po tym, jak rano było mi trochę niedobrze, i zjadam wszystko. W połowie dania chłopiec z tlenionymi włosami pyta, jak mi smakuje. Mówię mu, że jest pyszne, a jego to wyraźnie cieszy.

Później wracam na ulice, na mojej skórze widać lśniący pot. Czuję, że jestem daleko od domu. Nigdy wcześniej nie poleciałem dalej niż na Wyspy Kanaryjskie. Jednak Chicago wydaje się przyjemnie europejskie i mogę udawać, że jestem w jakimś fajnym zakątku Paryża, może Berlina.

Do szesnastej mój telefon nalicza prawie osiem tysięcy kroków. Siadam na ławce z butelką wody i zastanawiam się. Jak długo jeszcze tak pociągnę? Ile jeszcze kroków mogę zrobić? Zaczynam się pocić i nieco niepokoić. Naprawdę powinienem wrócić do hotelu i wziąć prysznic. Tylko zainwestowałem już tyle czasu i energii w dzisiejsze poszukiwania, że nie mogę teraz ich przerwać. Wyciągam telefon z kieszeni, żeby sprawdzić pocztę, i widzę, że mam nieodebrane połączenie. Nie rozumiem, jak to możliwe, lecz wtedy zauważam też, że cały dzień miałem wyłączony dźwięk. Odtwarzam nagraną wiadomość.

– Eee, cześć. Z tej strony Lyle. Poznaliśmy się wczoraj, pamiętasz? Szukałeś takiego gościa, Phina. Cóż, nie wiem, czy to dla ciebie cokolwiek znaczy, ale mam takiego kumpla, Joe, który wynajmuje mieszkanie od kolesia o imieniu Finn, mieszkającego w Afryce. Opisałem mu gościa ze zdjęć i jego zdaniem to może być on. Mogę mu podać ten numer? Jeśli chcesz. Odezwij się.

Mrugam. Wielki uśmiech próbuje przebić się na moją poparzoną słońcem twarz, lecz powstrzymuję go.

Znajduję numer Lyle'a na liście nieodebranych połączeń i wybieram.

Następnego ranka, kiedy Lucy krząta się w kuchni brata, dzwoni jej komórka. Serce jej zamiera i zaraz znowu zaczyna bić na myśl, że to może być Henry. Tylko że kierunkowy wskazuje na St Albans i nie jest to numer Libby, więc zostaje tylko agent nieruchomości. Lucy odbiera nieco pozbawiona tchu.

– Halo?

– Cześć! Z tej strony Max Blackwood z Raymond & Cobb. Czy ma pani chwilkę?

– Tak, proszę.

– Cóż, rozmawiałem z właścicielami domu i powiedzieli, że jeśli dorzuci pani jeszcze pięćdziesiąt tysięcy funtów, zarezerwują dla pani ten dom.

– Czyli... – Lucy nie może ułożyć sobie w głowie tej liczby tak, by miała sens.

– Tak, chodzi o milion pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Ach, okej.

Według niej to szaleństwo, jak niewielką sumą wydaje się te pięćdziesiąt tysięcy w kontekście tak wielu zer. Powinna walczyć. Powinna protestować. Jednak chce tego domu i wołałaby nie robić nic, co mogłoby opóźnić jego zakup, więc odpowiada bardzo cicho, lecz z przekonaniem:

– Tak. Okej. Zgadza się.

– Czyli mogę przekazać, że akceptuje pani tę kwotę?

– Tak. Bardzo bym prosiła, żeby pan to przekazał. Ale pod warunkiem, że zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby załatwić tę transakcję tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Oczywiście powiem im to, pani Lucy. Oczywiście. I nie widzę najmniejszego powodu do opóźnień.

Po rozmowie Lucy przeciąga się i odmawia cichą modlitwę do bogów kupowania domów. Proszę, myśli sobie, proszę, po tych wszystkich latach daj

nam dom, w którym w końcu będziemy mogli żyć bezpiecznie. Proszę.

Zgodnie z umową goście opuścili imprezę Dominique o północy. Gospodyni, ziewając teatralnie, stała przy drzwiach, odprowadzała ludzi do windy, stukając szpilkami. Rachel nachyliła się do jej ucha i powiedziała:

- Napisz do mnie jutro.
- Oczywiście – odparła Dominique.

Uścisnęły się, pożegnały, po czym Michael i Rachel wsiedli do ubera i ruszyli do mieszkania Michaela.

Było dość ciepło jak na grudzień i poprosili kierowcę, żeby wysadził ich przy rzece. Nieruchoma powierzchnia odbijała światła ulicznych lamp. Za nimi w wysokich oknach wielkich wiktoriańskich domów mrugały światełka choinek. Rachel owinęła się ciaśniej kurtką i wtuliła w ramię Michaela. Uczucia miała rozproszone, myśli rozbiegane, zupełnie jakby ktoś jej zrobił przemeblowanie w głowie. Towarzyszyło jej silne wrażenie, że jest zakochana w Michaelu w taki sposób, w jaki nigdy nie spodziewałaby się zakochać w nikim innym, a co dopiero w bardzo pewnym sobie starszym mężczyźnie z życiowym bagażem i sekretami, który wyjeżdżał z kraju za trzy i pół miesiąca. Przez cały czas, kiedy była z nim, miała ochotę go dotykać, wachać, tulić. W miejscach publicznych chciała czuć na sobie jego wzrok, jego uwagę, jego rękę na swoim ramieniu. Chciała, żeby myślał tylko o niej. W tych rzadkich chwilach, których nie spędzali razem, tęskniła za nim boleśnie. Jeśli zbyt długo nie odbierał telefonu albo zwlekał z odpowiedzią na wiadomość, zamartwiała się, przekonana, że nabiera wątpliwości co do ich związku, że jej powab jakoś przygasał, że ich więź słabnie. Ulga, jaką czuła, kiedy przychodziła odpowiedź, kiedy odbierał połączenie, kiedy zamaszystym gestem wręczał jej bukiet kwiatów, kiedy jego palce gładziły jej włosy, ręce obejmowały ją w pasie, a usta

dotykały jej ust, była tak wielka, że czasami Rachel gwałtownie wciągała powietrze.

Od czasu do czasu patrzyła w lustro, po tym czy innym żalonym, rozpaczliwym interludium, i zastanawiała się, kim jest. Czy wciąż była Rachel Gold, królową lodu, modliszką, posągową brunetką o tak wysokich wymaganiach, że nigdy nie znajdzie mężczyzny, który by je spełniał? A może była kimś zupełnie innym? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak jedna, określona osobowość? Czy zawsze istniało w niej ich wiele? Czy Mizdrząca się Rachel, która ściska mężczyzn na imprezach, żeby przegonić konkurencję, zawsze w niej była? Jakie to okropne, pomyślała sobie. Naprawdę okropne.

Jednak teraz pozbierała te wszystkie uczucia, zaprowadzając jakąś namiastkę porządku.

Oczywiście, że wciąż była Rachel Gold. Po prostu była Rachel Gold, która w końcu spotkała kogoś, z kim jest gotowa się związać. To była jedyna różnica.

I zupełnie jakby słyszał jej myśli, Michael zatrzymał się i odwrócił do niej tak, by stanęli twarzą w twarz.

– Podobało mi się to, jaka byłaś o mnie zazdrosna.

– Nie byłam zazdrosna.

– Byłaś wspaniale zazdrosna. Uwielbiam myśl o tym, że mogłabyś być o mnie zazdrosna. Ha! To znaczy, rany, każdy mężczyzna czułby się szczęściarzem. Każdy mężczyzna byłby zaszczycony. I nie wiem, co takiego zrobiłem, by taka kobieta jak ty mogła być o mnie zazdrosna, ale chciałbym zachować to jak najdłużej. Na zawsze. Bo wiesz co, myśl o tym, że miałabyś być zazdrosna o jakiegoś innego mężczyznę, sprawia, że sam jestem zazdrosny.

Zaśmiali się oboje, Rachel spojrzała mu w oczy i powiedziała:

– Żaden inny mężczyzna nie zdołał sprawić, żebym była o niego zazdrosna. Nigdy. Zazwyczaj tylko każę im spierdalać, jeśli mam być szczerą. Ale z tobą... po prostu... jest inaczej.

Michael złapał się teatralnie za serce i jęknął z zadowoleniem.

– Przestań, nie mogę tego słuchać. Za chwilę moje ego zrobi się monstrualnie wielkie i zostawię cię dla jakiejś gwiazdy Hollywood. Sprowadź mnie na ziemię, proszę, przypominając, kto tu rządzi. Na pewno nie ja. Nie pozwól, żebym to był ja.

Żartował sobie, nie mówił poważnie, była tego pewna. Uśmiechnęła się i odparła:

– Okej, przegrywie, pokaż mi, że warto cię zatrzymać. Inaczej pójdę sobie i znajdę jakiegoś przyzwoicie wyglądającego gościa z kasą i dobrym charakterem.

Michael wybuchnął śmiechem, kołysząc się lekko na piętach, po czym stanął prosto i nachylił się w jej stronę.

– Boże, jesteś taka... taka, ach, zbyt piękna. Wszystkiego jest w tobie za dużo. A ja... cholera, Rachel, jestem w tobie zajebicie, szaleńczo zakochany. Nie chcę myśleć o tym, że mógłbym kiedykolwiek żyć bez ciebie. Słuchaj, wiem, że minęło dopiero kilka tygodni. Wiem, że ledwo zaczęliśmy. Ale ja już wiem, że to jest to. Tak ma być. I chciałbym rzucić teraz wszystko, w tej chwili, żeby... ożenić się z tobą, Rachel. Zgodzisz się? Wyjdiesz za mnie?

No i stało się. To coś, to płochliwe, kruche coś, trzepoczący skrzydełkami ptaszek, który był w niej uwięziony przez te wszystkie lata, miotał się w klatce jej psyche, jej przekonania o tym, kim jest i kim być powinna. Chciała zostać żoną Michaela. Proszę bardzo. To takie proste. Drzwiczki klatki zostały otwarte, ptaszek uciekł.

– Tak – powiedziała, ściskając dłoń Michaela. – Tak! Kurwa! Oczywiście. Oczywiście. Ale gdzie będziemy mieszkać?

– Wszędzie – odparł Michael. – Będziemy mieszkać wszędzie.

W poniedziałek Rachel wparowała prosto do studia Paige.

– Mam dla ciebie zlecenie – oznajmiła teatralnie.

Paige zsunęła okulary do czytania i popatrzyła znad nich na Rachel.

– O, fajnie. Co to za zlecenie?

– Pierścionek zaręczynowy.

– Dobra. Okej. Zazwyczaj ich nie robię, ale powiedz coś więcej.

– Musi być z białego złota. Diament o szlifie brylantowym. Bardzo prosty.

– To chyba bardziej twoja działka. Dlaczego sama się tym nie zajmiesz?

– Ponieważ – ledwo panowała nad emocjami – jest dla mnie.

Paige otworzyła szeroko oczy.

– W sensie...?

Rachel pokiwała głową, trochę jej się to wydawało ekscytujące, a trochę absurdalne.

– Michael ci się oświadczył? Ten Amerykanin?

– No.

– Ja pieprzę, Rach, to dopiero wieści. Ile wy właściwie jesteście ze sobą? Dwa miesiące?

Rachel znowu przytaknęła.

– Cholera. To znaczy niesamowite. Ale jesteś pewna? Myślałam, że chcesz się z nim umawiać tylko przez pół roku?

– No cóż, też tak myślałam. A jednak wyszło inaczej.

– O Boże. No to chodź tutaj. – Paige rozłożyła ręce, Rachel podeszła do niej i dała się uścisnąć przyjaciółce. – Prawdziwy z niego szczęściarz. Mam nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Tak. Totalnie tak. Właśnie chyba w tym rzecz. W nic sobie nie pogrywa, nie wciska mi żadnego kitu, żadnej ściemy. Po prostu uważa, że jestem niesamowita. A ja uważam, że on jest niesamowity. I... – Urwała, słysząc trzy szybkie sygnały swojego telefonu, po czym odblokowała kciukiem ekran.

Trzy wiadomości od Dominique:

Mam wieści od Jonno.

Powinnaś coś wiedzieć.

Zadzwoń.

– Przepraszam – powiedziała Rachel do Paige. – Muszę zadzwonić. Wracam za minutkę.

Otworzyła drzwi do swojego studia, odłożyła torebkę. Potem wybrała numer Dominique i chrząknęła, czekając, aż jej przyjaciółka odbierze.

Powinnaś coś wiedzieć.

Znowu chrząknęła i wstała, słysząc odpowiedź Dominique.

– Hej – rzuciła na powitanie.

– Hej, Rach. Wszystko dobrze?

– Tak, wszystko dobrze. A u ciebie?

– Superancko. Właśnie pierwszy raz poczułam, jak dziecko się rusza.

– O rany! Wow! To...

– Właściwie to dziwne. Naprawdę dziwne. Jakby mi tam pływała jakaś rybka. Nieważne, słuchaj. Wreszcie dostałam pełny raport Jonno. Na temat przystojnego Michaela. Mam mówić dalej?

– Tak, tak. Chyba tak. No wiesz... nie ma tam nic złego, prawda?

– Nie. Boże. Nie, nic wprost złego. Tylko kilka, jak by to powiedzieć, sygnałów alarmowych.

– Sygnałów alarmowych?

– Tak, okazało się, że ta jego była żona... Lucy, prawda?

– Zgadza się.

– No więc Michael nazwał ją „dziwolągiem”.

– Okej...

– I powiedział, że, cytuję, „zabrał ją z ulicy”, kiedy miała dwadzieścia jeden lat.

– Jak to, skąd ją zabrał?

– Z ulicy. Była ulicznym grajkiem.

– I ile lat miał wtedy Michael? Jonno wspominał?

– Nie. Ale skoro miał już dom w Antibes i tak dalej, możemy założyć, że był od niej znacznie starszy.

Rachel przystawiła telefon do drugiego ucha. Nie była pewna, jakie emocje powinny w niej wzbudzić te rewelacje.

– Co jeszcze?

– Cóż, reszta pochodzi nie tyle z rozmowy Michaela z Jonno, ile z tego, co Jonno udało się znaleźć w internecie. Najwyraźniej jego firma, MCR International, nie jest tym, czym się wydaje.

– Okej...

– Wygląda na jakąś przykrywkę dla kilku innych interesów, a część z nich wydała się Jonno trochę... podejrzana.

– Podejrzana? W jakim sensie?

– Nie wiem. Nie wchodził w szczegóły. Powiedział tylko tyle. Podejrzane interesy.

– Na przykład narkotyki? Pranie brudnych pieniędzy? Co takiego?

– Nie jest pewien. Chodzi o jakieś dziwne adresy, jakieś magazyny na bocznych uliczkach w Algierii, schowki na terenach przemysłowych w Belfaście. Jonno wyszukał te miejsca przez Google Map Street View i stwierdził, że wyglądają podejrzanie.

– Czyli może chodzić o jakieś machlojki finansowe? Nic wprost nielegalnego?

– Tak. Tak mi się wydaje. Tylko jakieś sprawy finansowe. Żadna tam szajka handlarzy dziećmi. Chociaż, właściwie, te wszystkie magazyny pośrodku niczego... no wiesz...

– Kurwa! Dom! Przestań!

– Żartuję!

– Wiem, że żartujesz, ale mimo to...

– Chyba nie myślisz, że...

– Nie! Oczywiście, że nie! Chryste!

– Tak czy inaczej, słuchaj, Rach. Najważniejsze, że zdaniem Jonno koleś wydaje się w porządku. Może niekoniecznie nadawałby się na męża, rozumiesz, ale to przyzwoity chłop.

Rachel przełknęła ślinę.

– No tak. Okej. Coś jeszcze?

– No nie, to wszystko. Młoda kobieta, którą zabrał z ulicy, nazwanie jej dziwolągami i te podejrzane interesy. Ach, no i jeszcze jedno. Gość ma bzika na twoim punkcie.

Rachel poczuła przyjemny ucisk w żołądku. Tak, pomyślała, tak. Ma bzika na jej punkcie. A ja mam bzika na jego punkcie. Nic innego się nie liczy.

– Cóż – powiedziała, chcąc zakończyć rozmowę, miała głowę wypełnioną dziećmi w magazynach, ulicznymi grajkami i chaotyczną masą myśli wpadających na siebie jak meble na łodzi w czasie sztormu. – Proszę, podziękuj Jonno. Przekaż mu, że jestem naprawdę wdzięczna. A ty dbaj o siebie i swoją rybkę.

Rozłączyła się i odetchnęła głęboko. Zapanowała nad myślami, żeby nie przyprawiły jej o zawroty głowy. Ustawiała je w szeregu i przyjrzała im się. Okej, czyli Lucy była dość młoda, kiedy Michael ją poznał. To niekoniecznie oznaczało, że już wtedy weszli w związek. Może po prostu się nią zaopiekował, zadbał o jej bezpieczeństwo, a potem rozwinęło się między nimi uczucie. Co do interesów: cóż, interesy są dziwne. Świat jest pełen osobliwych operacji finansowych, firm przyciętych w dziwne kształty, żeby pasowały do luk w prawie, by dało się uniknąć podatków i zarobić więcej pieniędzy przy niższym wkładzie. I co z tego? Michael powiedział jej, że nadzorował kilka operacji, głównie import i eksport. Był szczery wobec niej. Powiedział jej też, że Lucy była ulicznym grajkiem, że zabrał ją z ulicy. Powiedział, że była koszmarem. Rachel nie dowiedziała się niczego nowego. Nie było się czym martwić.

Wróciła do studia Paige.

– No więc – zaczęła, otwierając szkicownik i kładąc go przed przyjaciółką – zrobiłam kilka wstępnych projektów.

Samuel

– Cześć, Saffron.

– Cześć, Sam. Dostaliśmy wyniki. Możesz rozmawiać?

Krzywię się trochę. Nie lubię, gdy ktoś mówi do mnie Sam. Ale bardzo lubię Saffron, więc odpuszczam.

– Pewnie. – Odkładam kanapkę z powrotem do opakowania i wycieram usta papierowym ręcznikiem. – Śmiało.

– Cóż, wygląda na to, że nasza dziewczyna miała między dwadzieścia siedem a trzydzieści trzy lata. Wzrost metr pięćdziesiąt osiem. Drobnej budowy. To akurat proste.

– Okej, a co jest bardziej skomplikowane?

– Mamy dwojake wyniki w kwestii stanu kości. Wygląda na to, że mogły znajdować się pod wodą przez dość krótki czas. Kilka miesięcy. Może rok. Jednak same kości mają przynajmniej dwadzieścia lat. Zapewne raczej dwadzieścia pięć.

– Czyli... – Urywam, nie mogąc ustalić drugiej części pytania, wciąż roztrząsając pierwszą.

– Czyli wygląda na to, że kości były przechowywane gdzie indziej przez bardzo długi czas. A potem zostały przeniesione. W foliowym worku znaleźliśmy pozostałości liści. Ślady pajęczyn. Jakies insekty. To wszystko teraz oddzielnie przechodzi badania. Powinniśmy mieć wyniki za jakąś godzinę. Było też parę innych rzeczy.

– Tak?

– Haluksy. Kobieta miała haluksy. I ślady zużycia stawów kolanowych. Tego rodzaju zużycia, które często pojawiają się u intensywnie trenujących tancerek,

baletnic. Może warto to sprawdzić? No i jeszcze parę włókien. Prawdopodobnie pozostałości materiału, w który ktoś zawiązał kości przed przeniesieniem ich do worka. Nigdy nie wiadomo, może okażą się przydatne. Szczególnie jeśli będą nietypowe.

- Są jakieś wskazówki co do przyczyny śmierci?
- Po lewej stronie czaszki znajduje się lekkie pęknięcie, na skroni.
- Spowodowane przez...?

Saffron milknie na krótki moment i słyszę, jak wypuszcza powietrze z płuc.

- Uraz tępym narzędziem.

Zamykam oczy i wzdycham.

- Czyli akt przemocy?

- Tak. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Czuję, jak ciężar tego stwierdzenia ląduje na moich barkach. Zatem oficjalnie prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. I prawie nie mamy przy tym żadnych dowodów rzeczowych czy poszlakowych.

Niemniej plusem jest to, że nie musimy się śpieszyć. Kimkolwiek była ta biedna kobieta, nie żyje od ponad dwudziestu lat. Mogę się zabrać za to powoli. Nikt mnie nie będzie popędzał. Niestety, tego rodzaju sprawa może też sprawić, że całymi miesiącami będę się kręcił w kółko. Tego rodzaju sprawą nikt nie będzie się interesował. A przynajmniej do czasu, aż dowiem się, kim była ta dziewczyna.

Do czasu, aż będę wiedział, kogo właściwie szukamy.

Mieszkanie Phina znajduje się na drugim końcu Chicago w zgentryfikowanej, drogiej, bardzo nieprzebojowej dzielnicy pełnej zamożnych młodych rodzin z SUV-ami na podjazdach. Domy to głównie wiktoriańskie budynki z cegły, z oknami wykuszowymi i ścieżkami wyłożonymi terakotą. Mieszkanie Phina jest częścią właśnie czegoś takiego; znajduje się na piętrze, wchodzi się do niego po schodach wyłożonych wypolerowanym parkietem, mijając ładne obrazy na ścianach części wspólnej i mosiężny zyrandol wiszący na samym szczycie klatki schodowej. Joe wita mnie bosy, ubrany w błękitne szorty i czarną koszulkę polo. Jest bardzo, bardzo, bardzo młody. Nie wyobrażam sobie, jak może go być stać na czynsz w tak pięknym miejscu. Ale raczej nie powinienem zadawać nikomu pytań na temat tego, jak znaleźli się tu, gdzie teraz są.

– Cześć – mówi, wpuszczając mnie do środka. Głos ma trochę wysoki. Gdyby był psem, byłby takim, który się ciągle trzęsie, albo takim, który siedzi w torebce i od czasu do czasu warczy.

– To strasznie miłe z twojej strony – odpowiadam, starając się, by mój głos brzmiał tak nisko i słodko, jak tylko potrafię, aby ostrzec go, że jestem dorosłym człowiekiem, ale też zapewnić, że nic mu z mojej strony nie grozi. – Naprawdę bardzo doceniam to, że pozwoliłeś mi tutaj przyjść i porozmawiać.

– Może soku? – pyta Joe, przystając obok blatu kuchennego, z jedną bosą stopą opartą o drugą. – Napoju gazowanego? Wody?

– Woda byłaby idealna, dziękuję.

Przysiadam na oparciu sofy i rozglądam się. To piękne mieszkanie: mnóstwo neutralnych kolorów, trochę ozdób związanych z dziką przyrodą – akwaforty tygrysów i słoni, akwarele z mapami Afryki. Zupełnie w niczym nie przypomina mojego mieszkania, które zaprojektowałem z myślą o Phinie, i raz jeszcze zdaję sobie sprawę, że przez te wszystkie lata gonilem za duchem, żyjąc

z wyobrażeniem młodego człowieka, który już nie istnieje. Jednak zamiast ostudzić mój zapał do odnalezienia Phina, ta świadomość tylko go wzmacnia. Joe podaje mi szklanekę wody, a ja pytam:

– Miałeś kiedyś okazję poznać Phina?

– Nie. – Joe kręci głową. – Nigdy. Ale z nim rozmawiałem. Jest z Wielkiej Brytanii, prawda? Tak jak ty?

– Tak, zgadza się.

– Widziałem też dużo jego zdjęć; jest ich kilka w mieszkaniu. Dlatego wiedziałem, jak wygląda i... – Urywa i obrzuca mnie taksującym spojrzeniem. – Jak dobrze go znasz? No wiesz, jesteście sobie bardzo bliscy?

– Cóż, tak i nie. Znamy się od dziecka i wiedziałem, że wyjechał do Afryki, by pracować jako przewodnik na safari. I wszyscy już mieliśmy załatwiony wyjazd, żeby go odwiedzić, kiedy zniknął. My, czyli ja i moja rodzina, jego rodzina. I strasznie, strasznie się o niego martwimy.

– Czyli nie rozmawiałeś z nim od dłuższego czasu?

– Nie. Nie. Niestety nie. Cała rodzina straciła ze sobą kontakt bardzo dawno temu. To miało być takie spotkanie po latach. W pewnym sensie.

Posyła mi nerwowe spojrzenie i mówi:

– Mam nadzieję, że to nie zabrzmie dziwnie, ale w mieszkaniu jest sporo jego zdjęć i z kumplami, no, żartujemy sobie z niego, bo jest całkiem przystojny, wiesz, i trochę tajemniczy, więc wymyślamy historie na jego temat. Wiesz? O Gorącym Finnie, Strażniku Safari. I chyba dlatego Lyle go skojarzył. Kiedy wypytywałeś o niego. Mam nadzieję, że to nie brzmi niegrzecznie?

– O Boże, nie. Ani trochę. Totalnie to rozumiem.

– To tylko takie żarty. Wiesz.

– Tak, oczywiście. – Uśmiecham się szeroko. – A jak długo tutaj mieszkasz?

– Parę lat. Od skończenia szkoły. Rodzice płacą, jakbyś się zastanawiał.

Potrząsam zdecydowanie głową, jakby w życiu nie narodziła się w niej podobna myśl.

– I jesteś tutaj sam?

– Tak, sam. Czasami ktoś nocuje. To znaczy nie w tym sensie. Rozumiesz, znajomi.

Uśmiecham się, dając znak, że rozumiem. Mój Boże, jeśli nie można się puszczać, gdy ma się dwadzieścia jeden lat, jest się ślicznym jak ciasteczko i żyje za darmo w tak pięknym mieszkaniu na eleganckim przedmieściu Chicago, no to kiedy? Mam ochotę mu powiedzieć, żeby sobie nie żałował, żeby darował sobie platoniczne nocowanie i wziął się do roboty. Chciałbym mu powiedzieć, że to nie potrwa długo, że młodość szybko przekwita i ledwo ma się czas na oddech. Jednak oczywiście zamiast tego wszystkiego mówię:

– A rozmawiałeś z nim ostatnio? Z Phinem? Kontaktował się?

– Nie, nie rozmawiałem z nim od kilku tygodni. Musiałem napisać do niego w sprawie prac na dachu. Chodziło o jakieś rusztowanie. I od tamtej pory cisza.

– I to było jego mieszkanie? W sensie, mieszkał tutaj?

Joe patrzy na sufit, potem znowu na mnie.

– Tak mi się wydaje. Kiedyś musiał. Sądząc po tym, co można tutaj znaleźć.

– Na przykład zdjęcia?

– Tak, na przykład zdjęcia. Były w szufladzie biurka w sypialni.

– Mógłbym je zobaczyć?

– Jasne. Nawet już je dla ciebie wyjąłem. Proszę. – Odwraca się i zbiera małą stertę fotografii z półki za swoimi plecami, po czym podaje mi je.

Przeoglądam zdjęcia, wciągając mocno policzki, żeby się nie trząść, nie dać po sobie poznać, jaki jestem podekscytowany, zdenerwowany. Chrząkam i patrzę w dół.

I widzę go. Widzę Phina. Nie brodatego i spieczonego słońcem jak na tym zdjęciu, w które obsesyjnie się wpatrywałem od urodzin Libby, lecz z gładką twarzą, młodego, tuż przed albo tuż po trzydziestce. Widzę kilka wersji fryzur, od ogolonej głowy po długie włosy. Raz opalony, raz blady, w swetrach i płaszczach, w szortach i koszulkach. Dorobił się tatuażu, tylko jednego, na bicepsie – bardzo oldskulowego, w stylu marynarzy – i nie wiem, co to jest. Phin uśmiecha się, krzywi, śmieje, je, pije, twarzą do aparatu, z profilu. Otacza ramieniem dziewczyny, otacza ramieniem chłopaków. Raczy się piwem. Raczy się szampanem. Siedzi w restauracjach i na plaży. Na każdym zdjęciu wygląda pięknie. Nie brakowało mu urody, gdy miał dwanaście lat, i nie zabrakło, gdy skończył czterdziestkę. To oburzająco niesprawiedliwe. Szukam znaku, że z drugoplanowymi bohaterami tych zdjęć łączy go coś intymnego; szukam

czegoś, co świadczyłoby o jego orientacji seksualnej, o tym, gdzie wylądował na świecie po nieokreślonych początkach. Jednak jest asekualny, nieskazitelny, niedostępny, zupełnie jak prezenter w telewizji dla dzieci.

– A może przypadkiem wiesz, czy... cóż, czy wiesz coś o tym, czy był w jakimś związku?

Joe potrząsa ze smutkiem głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A przynajmniej nigdy o nikim nie wspominał. No i chyba jego życie w Afryce to raczej coś dla singla, prawda?

– Faktycznie może tak być. A czy mógłbym... Miałbyś coś przeciwko, gdybym zrobił zdjęcia niektórym fotografiom?

– Och, jasne. Śmiało.

Wyciągam telefon i układam fotografie na blacie kuchennym.

– Wspominałeś coś o tym, że masz jego adres e-mail, zgadza się? Czy mógłbym cię prosić, żebyś mi go podał?

Joe pierwszy raz wydaje się niepewny.

– No wiesz – drapie się po brodzie – no w sumie mógłbym. Chyba. Tylko tak się zastanawiam, co, jeśli on specjalnie się ukrywa? Czy to by nie było naruszenie jego prywatności?

– Och, Joe. To miłe z twojej strony, że się o to martwisz. I masz rację. Absolutnie masz rację. Ale nie, zdecydowanie nie robi tego specjalnie. Nie mógł się doczekać tego spotkania, gorąco pragnął nas znowu zobaczyć, po tym wszystkim, co przeszliśmy jako rodzina. O niczym innym nie marzył.

– No ale musisz już go mieć, prawda? Skoro z nim rozmawiałeś? Przecież musisz go mieć.

Zbił mnie z tropu.

– Co takiego miałbym mieć?

– Adres e-mail Finna?

– Ach!

Dobre pytanie.

– Dobre pytanie – odpowiadam. – Właściwie to zawsze kontaktowaliśmy się przez WhatsAppa. Nigdy przez pocztę. Tylko że teraz wiadomości nie dochodzą. I nie odbiera telefonu. A to wszystko jest... trochę niepokojące.

Joe nadal wydaje się niepewny, jednak widzę, że się łamie.

– Pewnie – rzuca, sięgając po komórkę. – Pewnie. Proszę. To finnthomsen@chobelodge.com.

Chciałbym go zapytać, jak Phin zapisał swoje imię, ale zdaję sobie sprawę, że to się wyda podejrzanę, więc zapisuję to tak, jak podobno teraz literuje swoje imię, i uśmiecham się z wdzięcznością.

– Fantastycznie. Naprawdę fantastycznie, dziękuję. A wiesz może, czy w mieście jest ktoś, kto mógłby mieć jakieś pojęcie o nim? Albo o miejscu, w którym teraz przebywa? No wiesz, czy na przykład korzysta z usług jakiegoś biura pośrednictwa? Czy może wynajmujesz mieszkanie bezpośrednio od niego?

– Tak, bezpośrednio. A raczej moi rodzice wynajmują je bezpośrednio od niego.

Widzę, że Joe ma już tego dosyć. Zadaję zbyt wiele pytań, a on nie wie, czy chce na nie odpowiadać. Jeśli poproszę go teraz o kontakt do rodziców, z pewnością wywołam w nim dyskomfort, więc tylko składam dłonie i wypalam:

– Cóż, chyba powinienem dać ci spokój. I tak już za dużo czasu mi poświęciłeś. Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Joe. Jeśli się czegoś dowiem, na pewno dam ci znać.

Uśmiecham się i kiwam lekko głową, przerzucam sobie torbę przez ramię, po czym dodaję:

– A czy byłbyś tak miły – zwracam się do niego tak brytyjsko, jak tylko potrafię, bo czuję, że to może tutaj zadziałać – i pozwolił mi skorzystać z toalety, zanim ruszę w dalszą drogę?

– Pewnie. Jasne. Jest tam, w korytarzu. – Wskazuje mi mniej więcej kierunek. Podążam za jego dłonią, a on kiwa głową.

Toaleta znajduje się naprzeciwko sypialni. Nie mogę się oprzeć, zaglądam za drzwi, żeby tylko zerknąć – obrzucić spojrzeniem łóżko Phina, gdzie niegdyś sypiał, Bóg jeden wie z kim, może z kimś ze zdjęć, których kopie mam teraz na komórce; kimś, kogo obejmował ramieniem, z kim pił, z kim jadł, z kim się śmiał, kogo kochał. Łóżko jest równo pościelone: szara kołdra z poduszkami w marokańskim stylu, a do tego kremowa narzuta z plecionymi brzegami.

Łóżko znajduje się w oknie wykuszowym z widokiem na ulicę. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak leżę tutaj, wtulony w twarde plecy Phina, przeciągając palcami po jego samotnym tatuażu. Otwieram oczy i widzę puste łóżko. To mieszkanie to jedyny ślad, który mógłby mnie zaprowadzić do Phina, i jeśli stąd wyjdę, wrócę do punktu wyjścia.

Korzystam z łazienki i idę z powrotem do salonu, gdzie Joe właśnie wstawia moją szklankę do zmywarki w aneksie kuchennym.

– Jestem w mieście jeszcze przez parę dni. Zatrzymałem się w Northalsted. Gdybyś chciał się spotkać, może na obiad? Albo na drinka? Znasz mój numer. Po prostu zadzwoń. Albo napisz.

Szukam na jego twarzy reakcji. Widzę jakiś przebłysk: swego rodzaju mroczny lęk. Mam ochotę go spoliczkować.

– Och – odpowiada. – Tak. Może. Chociaż jestem trochę zajęty. Ale jeśli przyjdzie mi coś jeszcze do głowy na temat Finna, napiszę do ciebie.

Uśmiecham się ponuro. Koniec z Hugh Grantem.

– Jasne. Cóż, dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu.

Zostawiam Joego ładującego zmywarkę, wciąż boso, i głośno zatrząskuję za sobą drzwi. Wyobrażam sobie, jak chłopak dzwoni do Lyle'a i mówi: „Rany, co to za koleś. Chyba go zablokuję”. Czuję pulsowanie furii w skroniach. Oddycham głęboko, by się opanować, i zamawiam ubera.

Czekając na kierowcę, stoję po drugiej stronie ulicy i wpatruję się w okno wykuszowe, w którym, wiem o tym, stoi podwójne łóżko Phina. Chwilę później pojawia się tam Joe. Unoszę rękę w pozdrowieniu. Tak dla żartu.

LUTY 2017

Rachel i Michael spędzili swój miesiąc miodowy na Seszelach dwa miesiące po oświadczeniach. „Nie robię się młodszy” było jego wytłumaczeniem tego pośpiechu. Wynajęli mały drewniany domek na palach nad lazurowym morzem wypełnionym barwnymi koralowcami i wijącymi się jak wstęgi rybami, z prywatnym głębokim basenem na tarasie oraz wanną wolnostojącą ze szklanym dnem. Każdego ranka do śniadania składającego się ze świeżych owoców i ryb raczyli się szampanem, a dni przesypiali na hamakach albo leżakach. A także, jak na świeżo upieczonych małżonków przystało – szczególnie takich, którzy znali się dopiero od kilku miesięcy – dużo czasu spędzali na uprawianiu seksu.

Seks z Michaelem zawsze był spokojniejszy, niż Rachel się spodziewała w czasie tych kilku podniecających dni przed ich pierwszą randką. Na początku to doceniała, ponieważ dzięki temu łatwiej było jej zbudować zaufanie do niego, poczuć się bezpiecznie z człowiekiem, który pojawił się w jej życiu zupełnie znikąd. Jednak teraz, trzy miesiące później, kiedy miała już obrączkę na palcu i znalazła się w tropikalnym rajku, Rachel miała nadzieję, że sytuacja w sypialni stanie się trochę bardziej... złożona, bardziej dopasowana do jej potrzeb. Rachel waniliowy seks generalnie nie przeszkadzał, jednak nie chciała uprawiać wyłącznie takiego przez resztę życia. I zapewne powinna była porozmawiać o tym z Michaelem, zanim zgodziła się za niego wyjść, lecz wtedy wciąż było między nimi tak miło, te pierwsze tygodnie były takie cenne i delikatne. A potem skupiła się na idealnym filigranie jej vintage'owej koronkowej sukni ślubnej, ostatnich centymetrach do zrzucenia z bioder, perfekcyjnie dobranym szlifie żółtego diamentu jej pierścionka zaręczynowego oraz liczbie karatów obrączki Michaela. Liczyło się przetrząsanie internetu w poszukiwaniu doskonałego kurortu na Seszelach i butów w rozmiarze dziewięć, które pasowałyby na spuchnięte przez ciążę stopy Dominique. Seks

znajdował się dalej na liście priorytetów, jako ta miła rzecz, którą robili z Michaelem na koniec każdego dnia i która koła ich, zapewniała oboje, że nie robią nic głupiego, biorąc ślub tak szybko po zaręczynach.

Jednak teraz nie było już o czym myśleć oprócz seksu. Seksu i jedzenia. A Rachel się nudziło, miała dosyć lekkiego posuwania, delikatnych pieszczot i twarzy słodko wtulonej w jej włosy. Pomyślała o tym mężczyźnie, którego zobaczyła w internecie, który na zdjęciu wyglądał, jakby wymagał kontroli nad wszystkim, i po którym z pewnością spodziewałaby się, że będzie chciał mieć kontrolę nad nią. Czasami. Nie ciągle. Ale czasami.

Po kolacji trzeciego dnia Rachel wymacała na dnie walizki paczuszkę, którą zabrała ze sobą z Londynu. Jedwabne sznury. Szpicruta. Bielizna, której nie kupiła w Victoria's Secret. Wyjęła te wszystkie rzeczy – nowiutkie – i ułożyła przy łóżku.

Potem poczekała, aż Michael wyjdzie spod prysznica. Początkowo nie zauważył tych przedmiotów i wywiązała się między nimi banalna rozmowa, która mogła całkiem zrujnować atmosferę. Jednak w końcu jego wzrok padł na niespodziankę i Rachel przyjrzała mu się badawczo, próbując odczytać jego reakcję. Najpierw był niepewny uśmiech, później krótki wybuch śmiechu. W końcu zrozumiał, otworzył szeroko oczy i rzucił:

– O rany!

Rachel nie wiedziała, co o tym myśleć. Odczekała moment.

– Czy ty...? – Patrzył to na przedmioty, to na swoją żonę. – Czy to...?

– Tak mi przyszło do głowy... Wiesz... Chciałbyś spróbować?

Michael przyłożył dłoń do piersi.

– Ja? To znaczy, że chciałabyś mnie związać?

– Nie. Ty związałbyś mnie.

– A później...? – Sięgnął po szpicrutę i przeciągnął nią po dłoni. – Tym? – Zamachnął się i smagnął nią raz, potem drugi. – Ciebie?

– No... tak.

– O rany – powtórzył i zarechotał. – No, kto by pomyślał.

Rachel wstrzymała oddech. Nie potrafiła poznać, dokąd to zmierza, ale wiedziała tyle, że będzie inaczej niż do tej pory i nie zdołają już wrócić do

niewinności pierwszych dni.

– A czy już kiedyś...?

– Nie, nie. Nigdy. Nigdy wcześniej. – Pokręcił zdecydowanie głową. – Nie.

– A jak byś się poczuł? Gdybym to włożyła? – Rachel zerknęła na bieliznę. – Może byśmy spróbowali? Sprawdzilibyśmy, czy ci się spodoba.

Rachel od razu wyczuła zmianę w atmosferze, coś się w niej wykrzywiło, odkształcało. Michael podniósł bieliznę, zawiesił ją sobie na palcu i przyjrzał się jej ostrożnie.

– Włożyłabyś to? – powiedział, jednak to nie było zwyczajne pytanie.

– Tak. Gdybyś zechciał.

– A czy... wkładałaś już? To znaczy czy robiłaś coś takiego już wcześniej?

Te słowa zawisły między nimi niczym rzucony sztylet. Rachel wiedziała, co powinna powiedzieć: nie, to by był mój pierwszy raz. Ponieważ w tamtej chwili cała emocjonalna energia w pokoju podpowiadała jej, że Michael nie chciał wiedzieć, że robiła to z innymi mężczyznami. I że Michael był inny, niż jej się wydawało. Jednak nie mogła skłamać. Rachel nie umiała kłamać.

– Cóż, tak. Raz czy dwa. Niezbyt często. Ale tak – odparła.

– I podobało ci się? Lubisz być związana? I... nie wiem, lubisz... klapsy?

– To nie są klapsy. I nie boli. Tylko łaskocze. – Próbowwała powiedzieć to lekko, zmniejszyć trochę napięcie, lecz wiedziała już, że jest za późno.

– Wow, Rachel. Kurwa. To znaczy... – Rzucił bieliznę i zaczął krążyć po szerokich deskach z drewna tekowego. – Mam wrażenie... Chryste. Mam wrażenie, jakbym cię w ogóle nie znał, Rachel. Mam wrażenie, że ożeniłem się z pieprzoną nieznajomą.

Potem zapadła cisza tak mroczna i tak napięta, że Rachel niemal wyczuwała jej smak.

Jeszcze raz spróbowwała coś z tym zrobić.

– Ach, cóż. Tak mi tylko przyszło do głowy. Nieważne.

– No cóż, nie powiedziałbym, że to „nieważne”, Rachel. W końcu to wszystko – wskazał przedmioty z walizki – przyleciało aż z Londynu. Na nasz miesiąc miodowy. To wymagało trochę pomysłu. Planowania.

– Nie. Naprawdę. To nic. Wzięłam ze sobą milion rzeczy, których nie potrzebuję, tak na wszelki wypadek. Wzięłam nawet kardigan. – Zaśmiała się, ale zabrzmiało sztucznie. – Naprawdę. Zapomnij o tym. Zapomnij, że to się w ogóle wydarzyło.

Przeszła przez pokój i zaczęła zbierać rzeczy, które teraz miała ochotę oblać benzyną i podpalić. Miała nadzieję, że Michael dotknie jej, gdy będzie go mijać, że złapie ją za rękę i przyciągnie do siebie, mówiąc coś, co naprawi trochę to fiasko. Jednak on stał jak na baczność, ze zmarszczonymi brwiami i srogim wyrazem twarzy. Rachel zabrała przedmioty do walizki w przebieralni i schowała je do wewnętrznej kieszeni, zasunęła zamek. Kiedy wróciła do pokoju, Michaela już tam nie było, a drzwi na taras kołysały się jeszcze na zawiasach.

Reszta ich miesiąca miodowego została zatruta, zrujnowana. Nadal rozmawiali przy koktajlach i kolacji, nadal trzymali się za ręce, spacerując po plaży, nadal robili sobie zdjęcia nawzajem i selfie na tle zachodzącego słońca. Jednak nie uprawiali już seksu. Nawet raz. Jasne, tropikalne dni ciemniały, zmieniając się w ponure wieczory odrzucenia i zimna. Każdej nocy Rachel zasypiała skulona po swojej stronie łóżka, pogrążona w smutku i zirytowana odgłosami jego chrapania – chrapania, które mogło być oznaką błogości po seksie, rezultatem spełnienia cielesnych potrzeb, lecz zamiast tego było tylko chrapaniem mężczyzny w średnim wieku, który za dużo zjadł i wypił.

Wrócili do domu pod koniec mroźnego lutego i spędzili noc w mieszkaniu Michaela w Fulham. Nadal bez seksu. Następnego dnia to była niedziela. Zjedli lunch we włoskiej knajpie, gdzie właściciel, usłyszawszy, że właśnie wrócili z miesiąca miodowego, wmusił w nich szampana i rzucił kilkoma niemiłymi żartami o tym, że teraz chyba czas na dzieci, prawda? Ciemność zasnęła popołudnie i zmieniła się w wieczór, Rachel powiedziała Michaelowi:

– Wiesz co, mam jutro ważny dzień w pracy, chciałabym pojechać wcześniej. Może będzie lepiej, jak zanocuję u siebie.

Przygryzła policzek i wstrzymała oddech, czekając, aż on odtaje, odpuści, powie, że nie, nie, proszę, zostań, pragnę cię. Przepraszam.

Jednak on nawet nie uniósł wzroku, mówiąc:

– Pewnie, kochana. Pewnie. Rozumiem.

Wyniosła swoją walizkę z podróży poślubnej na chodnik, włożyła ją do bagażnika ubera, rzuciła jeszcze spojrzenie na balkon mieszkania Michaela, szukając znajomego kształtu postaci, może czekającej, by pomachać do niej na pożegnanie, a może nawet zawołać ją. Wyczekiwała jakiegoś poruszenia w oknie, odsunięcia zasłony, lecz nic z tego; fasada mieszkania Michaela pozostała zastygła i zimna. Rachel zapięła pasy i powstrzymywała łzy jeszcze przez pół godziny, do czasu aż dotarła do siebie i zamknęły się za nią drzwi.

CZERWIEC 2019

Samuel

– Sam. – To Saffron. – Mamy wyniki badania tych włókien.

– Dobra. Świetnie.

– Wychodzi na to, że to frotté. Bawełniane frotté. Co sugeruje, że ciało po śmierci zostało owinięte w ręczniki. Ale, co ważniejsze, są na włóknach śladowe ilości substancji. Jakaś krew. A także, niesamowite, włosy.

– Włosy? O mój Boże.

– Tak. Właśnie. A także małeńki urywek innego materiału. W laboratorium uważają, że może być sztuczny. Zapewne fragment metki ręcznika. Znaleźli resztki wydrukowanego tekstu. Nie da się odczytać słów, ale w tej chwili poddają go analizie. Może uda nam się ustalić, jaka to marka. Czyli mamy włosy, krew i być może markę ręcznika. I ogólnie rzecz biorąc, jestem kurewsko podekscytowana.

Nie lubię przekleństw. Drażnią moje uszy. Jednak od czasu do czasu doskonale rozumiem, dlaczego są potrzebne. Mamy więcej, niż mogłem mieć nadzieję, a nawet więcej, niż mogłem sobie wyśnić.

– Kurewsko niesamowite! – zgadzam się.

Saffron wybucha śmiechem.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam, żebyś przeklinał.

– Nigdy wcześniej nie czułem takiej potrzeby. To naprawdę wspaniałe wieści, Saffron. Naprawdę. Informuj mnie na bieżąco. Kiedy spodziewasz się kolejnych danych?

– W ciągu godziny. Wszystko przyśpieszą. Miej się na baczności.

– Mam się, Saffron. Czaję się na te wyniki jak sęp.

Rozłączam się. Potem odwracam się, by mieć pewność, że nikt mnie nie widzi, i bardzo, bardzo delikatnie biję pięścią powietrze.

Przeładam zdjęcia na telefonie, te przedstawiające fotografie z mieszkania. Udaje mi się zauważyć, że przynajmniej cztery z nich zostały zrobione w tym samym barze; wewnątrz ma obite panelami ściany pomalowane na czarno i obwieszane czarno-białymi zdjęciami gwiazd rocka. Przez szyby w oknach widzę zarys szeregu motocykli, a za nimi jakiś sklep o nazwie Organic z drugim słowem zaczynającym się od D. Googluję „organic + D” i wśród wyników pojawia się Organic Delightful. W Chicago znajdują się cztery. Jeden z nich, zgodnie z tym, co podaje Google Maps Street View, można znaleźć naprzeciwko baru o nazwie Magdala, który ma duże okna oraz zaparkowane przed wejściem motocykle. Zamawiam ubera.

Magdala zdecydowanie nie jest barem dla gejów. To knajpa dla motocyklistów, pub. Wchodzę bardzo niepewny siebie. Kilku facetów przy barze się odwraca, żeby obrzucić mnie taksującym wzrokiem, a ja się cieszę, że wyglądam na trochę zmarnowanego, już nie tak świeżego jak wtedy, gdy rano opuszczałem hotel. Z głośników właśnie płynie *Take My Breath Away* zespołu Berlin, co działa na mnie dziwnie kojąco. Zamawiam piwo i wypijam je dokładnie na tym samym krześle, na którym siedział Phin na jednym ze zdjęć. Niespodziewanie mnie to wzrusza. Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądało jego życie w czasie, gdy zrobiono tamtą fotografię. Czy miał już wtedy mieszkanie? Czy był szczęśliwy? Był kochany? A może samotny? Bogaty czy biedny? Gdzie mieszkał? Co sobie myślał? Co leciało z głośników? Usiłuję jakoś umieścić siebie w tamtym momencie, przenieść się za pomocą jakiejś magicznej energii, którą mógł pozostawić w pęknięciach skórzanego obicia krzesła.

Ale, oczywiście, ta magiczna energia nie istnieje.

Dokańczam piwo i zamawiam jeszcze jedno.

Czuję bardzo silne przekonanie, że dzisiaj się upiję.

Godzinę później, kiedy mam już za sobą cztery piwa, a świat wydaje się bardzo złoty i miły, wchodzi ona – wygląda zupełnie jak tamta dziewczyna ze zdjęcia Phina. Ma na sobie czarną koszulkę, która jest na tyle mała i ciasna, bym wiedział, że nie ma pod spodem stanika. Kobieta na pierwszy rzut oka wydaje się młoda, lecz z bliska już niekoniecznie. Powiedziałbym, że jest przed czterdziestką. Włosy zebrała do tyłu i związała wzorzystą chustą. Ma ładne nogi i krótką dzinsową spódniczkę, na opalone stopy włożyła klapki. W ręku trzyma kask. Dla kogoś, kto lubi ciemnowłose trzydziestokilkulatki, które jeżdżą na motocyklach, pewnie byłaby solidną dziesiątką.

Już mam wstać, gdy zauważam, że zaraz za nią wchodzi barczysty mężczyzna z wydziaranymi obiema rękami i ogoloną głową. Przybija żółwika z dwoma facetami przy barze, a potem razem z kobietą zajmują tam miejsca – chyba swoje ulubione – i zamawiają coś do picia.

Ona spogląda w telefon, a on rozmawia z barmanem. Patrząc to na zdjęcie w komórce, to na nią, sprawdzając, czy oczy mnie nie mylą, czy to naprawdę znajoma Phina. Jednak wszystko się zgadza, jak zwykle. Jestem tak spostrzegawczy, że powinienem być zostać detektywem.

Dokańczam piwo i zabieram pusty kufel do baru, przystając obok kobiety, która pachnie suchym szamponem, po czym rzucam z akcentem godnym Joshuy z obrzeży Londynu:

– Naprawdę bardzo przepraszam, ale szukam swojego starego znajomego. Nazywa się Phin i zniknął kilka dni temu. Mam kilka jego zdjęć z tego baru, a na jednym z nich jest kobieta, która bardzo cię przypomina. Czy mogę ci je pokazać?

Kobieta się jeży. Widzę przesywającą ją nerwową energię i czekam na jej odpowiedź. Nagle patrzy na mężczyznę po lewej, który rozmawia z innymi, a potem dopiero na mój telefon.

– Jasne.

Otwieram aplikację i pokazuję jej zdjęcie. Przyglądam jej się uważnie.

– Tak – mówi. – To ja. Ale nie mam pojęcia, kim jest ten koleś. To znaczy – nachyla się – to musiało być jakieś sześć, siedem lat temu, sądząc po długości moich włosów i ubraniach. – Odpycha od siebie komórkę i pociąga nosem. – Wiesz, jak to jest. Wypijasz kilka drinków. Zagadujesz do nieznajomego. Ktoś pstryka fotkę. – Znowu pociąga nosem i wzrusza ramionami.

– Czyli ten człowiek jest ci obcy?

– No, tak. Generalnie tak. Przykro mi.

Facet z wytatuowanymi rękami wydaje się coraz bardziej zainteresowany naszą wymianą zdań. Odwraca się od towarzyszy i rzuca:

– Hej, wszystko w porządku?

Kobieta kładzie dłoń na jego przedramieniu.

– W porządku. Ten gość po prostu próbuje namierzyć swojego kumpla. Najwyraźniej kiedyś tutaj bywał, ale go nie rozpoznaję.

Facet przygląda mi się uważnie, po czym mówi:

– Ja zerknę. Przychodzę tutaj od lat. Może go skojarzę.

Czuję coś emanującego od kobiety, coś znajomego. Niemal wyczuwam zapach tego czegoś, hormonalne piżmo. To strach. Instynktownie przełączam zdjęcie na to, na którym Phin ma bejsbolówkę, zamiast tego z kobietą. Trzymam mocno telefon w dłoni i wskazuję Phina wytatuowanemu mężczyźnie. On patrzy.

– Niestety – rzuca z napięciem. – Nigdy go nie widziałem. Ale... – Przybliża sobie obraz palcami, żeby przyjrzeć się drugiej osobie na fotografii. – Tego koleś – stuka w ekran – chyba kojarzę. – Spogląda na kobietę. – A ty?

Ona szybko spuszcza wzrok i zaraz unosi.

– Eee...

– To on! – Facet stuka mocno palcem w wyświetlacz komórki, więc ją zabieram. – Ten koleś. Ten, z którym kręciłaś, kiedy się poznaliśmy. Kris. Kris Doll.

– Naprawdę?

– Tak! Popatrz!

Wyrywa mi telefon z ręki i wciska go kobiecie.

– Patrz – mówi, jeszcze raz robiąc powiększenie twarzy mężczyzny, a potem stuka w niego palcem. – Widzisz? Kris Doll. Twój były.

– Och – rzuca nieprzekonująco kobieta. – Tak. Teraz widzę. Nie poznałam go.

Mam ochotę jak najszybciej się od nich oddalić. Energia między nimi jest toksyczna, praktycznie się nią duszę. I mam już serdecznie dosyć tego, że facet co chwilę dźga ekran swoim tłustym paluchem.

– Czyli Chris Doll? Pisane D-O-L-L? – pytam.

– Tak. I Kris przez K. K-R-I-S.

– A czy któreś z was ma jakieś pojęcie, gdzie mógłbym go znaleźć?

Patrzą najpierw po sobie, a później na mnie.

– Nie – odzywa się kobieta. – Nie widziałam go od lat. Straciliśmy kontakt po tym, jak zesłam się z Robem. – Mówiąc to, dotyka jego ramienia.

– I nie wiecie, gdzie mieszka?

– No, właściwie to wiem, gdzie kiedyś mieszkał. Ale oczywiście przez ten czas mógł się przeprowadzić. Wiem, że pracował nad jeziorem, zabierał turystów na łódkę. Tylko, jak już wspominałam, to było dawno temu.

– I tak bardzo mi pomogliście. Bardzo dziękuję. Przepraszam, nie zapytałem o wasze imiona...

– A, no. Sorki. Ja jestem Mati, a to jest Rob.

– Dziękuję, Mati. Dziękuję, Rob. Ja jestem Josh. Josh Harris. Słuchajcie, tutaj jest mój numer telefonu. Na wypadek gdyby przyszło wam jeszcze coś do głowy. Na temat Phina. Albo Krisa.

– A co się stało? – pyta Rob. – Zgubiłeś kogoś?

– Tak – przyznaję. – Zgubiłem kogoś. Kogoś bardzo dla mnie ważnego. Ale mam nadzieję, że właśnie znalazłem się o jeden krok bliżej odnalezienia go. Jeszcze raz dzięki.

Ściskam ich dłonie, kiwam głową do barmana i wychodzę. Ruszam na poszukiwania Krisa Dolla, koleś od łódek, byłego Mati i może kluczowej postaci w rozwikłaniu zagadki aktualnego miejsca pobytu Phina Thomsena.

Samuel

Dzięki wysiłkom moich niesamowitych kolegów i koleżanek z działu medycyny sądowej znalazłem się w posiadaniu całego wachlarza informacji na temat kości, które zostały odkryte przez Jasona Motta na brzegu Tamizy. Przypinam listę faktów do korkowej tablicy w biurze i patrzę na nie.

- Młoda kobieta, 27–33 lata, prawdopodobnie tancerka, haluksy na obu stopach
- Śmierć około 1995 roku
- Grupa krwi A
- Ciało zawinięte w ciemny bawełniany ręcznik od Yves Delorme. Podobny ręcznik dzisiaj kosztowałby około 200 funtów. Logo używane między 1988 a 2001 rokiem
- Liście głównie pochodzą z londyńskich platanów oraz bożodrzewi (często sadzonych przy alejkach), ale oprócz tego trochę suchych letnich kwiatów ALBICJI, **rzadkich w Londynie**
- Włosy w kolorze ciemnego blondu
- Niewielkie pęknięcie czaszki w okolicy lewej skroni

W tej chwili zespół składający się z pięciu funkcjonariuszy przeczesuje zgłoszenia zaginięć od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego w poszukiwaniu drobnej kobiety, być może tancerki, ciemnej blondynki, a do tego zdaniem technika rekonstrukcji twarzy, który właśnie pracuje nad odtworzeniem jej wizerunku, z dość wyraźną retrogenią. Sądząc po jakości ręcznika, którym niegdyś było owinięte jej ciało, szczególną uwagę zwracają na zamożne rodziny oraz zamieszkane przez tego typu ludzi rejony. Chociaż oczywiście ta biedna kobieta mogła narazić się komuś wystarczająco bogatemu, by stać go było na

ręcznik za dwieście funtów, chociaż sama nie miała takich pieniędzy. Inny funkcjonariusz właśnie rozmawia z tak zwanym „detektywem drzew”, żeby znaleźć miejsce w Londynie, gdzie mogą się spotkać platan z albicją. A ja... czekam. Czekam, aż nagle otworzą się drzwi biura i jakiś członek mojego zespołu wpadnie z nadzieją wypisaną na twarzy, by rzucić: „Chyba ją znaleźliśmy”.

Ponieważ to tylko kwestia czasu, a jedyne, co mogłoby nam stanąć na przeszkodzie – i aż mnie boli myśl, że to możliwe – to fakt, że ktoś nigdy nie zgłosił jej zaginięcia.

MARZEC 2017

Rachel czekała trzy dni z napisaniem wiadomości do Michaela. Trzy dni kładła się spać sama, budziła się sama, sprawdzała swój telefon sześć razy na minutę. Trzy dni przy każdym znajomym udawała, że wszystko jest w porządku. Trzy dni wykrzykiwała, że tak, podróż poślubna była wspaniała. Tak, małżeństwo jest cudowne. Tak, na pewno niedługo zaprosimy cię na obiad! Trzy dni czuła się tak, jakby na Seszelach Michael wyrwał jej serce z piersi i wciąż go nie oddał.

M, zaczęła swoją wiadomość. Nie wiem, co się dzieje. Tęsknię. Proszę, możemy porozmawiać?

Odpowiedź pojawiła się w ciągu kilku sekund.

Hej, piękna. Też tęsknię. Miałem naprawdę szalony tydzień. Może kolacja dzisiaj? Ja gotuję.

Rachel wciągnęła gwałtownie powietrze. Po trzech dniach egzystencjalnego piekła tak postanowił do niej napisać? „Naprawdę szalony tydzień”? W czasie gdy ona w środku powoli umierała? Kilka razy obróciła pierścionek zaręczynowy na palcu, zastanawiając się, co właściwie czuje, jak odpowiedzieć. A potem odetchnęła głęboko i wystukała:

Pewnie. Będę o siódmej.

Nie dorzuciła żadnego buziaka czy innej miłosnej emotki. Miała nadzieję, że on to zauważy i słusznie się zmartwi.

Tamtego wieczoru spakowała kilka rzeczy do torebki; nie chciała brać żadnego bagażu, by Michael nie pomyślał, że jest przygotowana do tego, aby od razu wprowadzić się z powrotem po tym, co jej zrobił.

Była zdenerwowana, kiedy wsadziła klucz do zamka jego mieszkania o siódmej, więc postanowiła go wyciągnąć i zamiast tego zapukać. Serce jej zadudniło, gdy usłyszała jego kroki w korytarzu. Tak wiele godzin rozmyślała

intensywnie o Michaelu, wyobrażając go sobie w różnych stanach i różnych scenariuszach – z byłą żoną, z innymi kobietami, na pokładzie samolotu wracającego do Stanów – że wizja zobaczenia go na żywo, stojącego przed nią w trzech wymiarach, wydawała się niemal niemożliwa do pogodzenia. A jednak drzwi się otworzyły i nagle pojawił się on; opalony, wyluzowany, radosny, w jasnoniebieskiej koszuli i granatowych spodniach z kantem, bosy, z kieliszkiem wina w dłoni i uśmiechem na przystojnej twarzy.

– Skarbie.

Skarbie.

Tylko tyle. Jak to? Co to miało znaczyć? Co w ogóle to wszystko miało znaczyć? Czy było mu przykro? Czy powinna mu wybaczyć? A może to on wybaczył jej? Kto miał rację? Kto zawinił?

Niespodziewanie znalazła się w jego ramionach. To było lekkie przytulenie, nie namiętny uścisk świeżo upieczonych małżonków, którzy spotykają się po pierwszej poślubnej kłótni. Tylko normalne, zupełnie zwyczajne powitanie żony i męża.

Potem tak samo szybko, jak do niej podszedł, wrócił do kuchni, skąd unosiły się smakowite zapachy, a Michael mówił coś w stylu:

– Mam naprawdę dobre sycylijskie białe. A może wolisz zimną wódkę? Tylko skończył mi się tonik, więc musiałbym ci nalać soku pomarańczowego.

Jednak Rachel raczej go nie słuchała.

– Rach? – rzucił.

– Tak? Och, przepraszam. Wino. Proszę. Dziękuję.

Po wejściu do kuchni usiadła na stołku i zaraz dostała kieliszek, po czym patrzyła na Michaela i patrzyła, tego człowieka, którego poślubiła dwa i pół tygodnia temu w czasie jednego z najbardziej romantycznych i niezapomnianych dni jej życia, który nazwał ją „pieprzoną nieznajomą” w czasie ich miesiąca miodowego i przestał jej dotykać, który zachowywał się, jakby wcale nie spędzili ostatnich trzech dni zupełnie bez kontaktu. Przez długie minuty Rachel czuła swego rodzaju oniemiałe odrętwienie.

– Jak ci minął tydzień? – zapytał Michael.

– Och, no wiesz, to był tylko... najgorszy tydzień mojego życia.

Obserwowała jego reakcję. Przestał mieszać drewnianą łyżką w garnku stojącym na kuchence. Uniósł na nią wzrok i powiedział:

– Och, skarbie. Co się stało?

A potem Rachel odzyskała głos. Razem z nim pojawił się gniew.

– Co się stało? – zapytała z niedowierzaniem. – Mówisz poważnie?

Popatrzył na nią zmrużonymi oczami i zmarszczył brwi, jakby stropiony.

– Kurwa mać, Michael. Wróciliśmy z pieprzonej podróży poślubnej w sobotę. W niedzielę pojechałam do swojego mieszkania, teraz jest środa i pierwszy raz cię widzę i z tobą rozmawiam. Nie uprawialiśmy seksu przez dziesięć ostatnich dni wakacji, podobno ożeniłeś się z pieprzoną nieznajomą, a teraz zachowujesz się tak, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło. I jeszcze... jeszcze... nalewasz mi wina i... i mieszasz coś. Po prostu nie rozumiem. Nie rozumiem, co się dzieje.

Urwała i uniosła na niego wzrok. Michael odłożył drewnianą łyżkę i oparł się dłońmi o blat. Westchnął.

– Wszystko przekręciłaś.

– Słucham?

Znowu westchnienie.

– Dlaczego twoim zdaniem nie uprawialiśmy seksu przez dziesięć ostatnich dni naszej podróży poślubnej?

– Bo wzbudziłam w tobie wstręt swoimi obrzydliwymi propozycjami.

Posłał jej irytująco protekcyjnalne spojrzenie i oznajmił:

– Wcale nie to się wydarzyło.

– No to co się wydarzyło?

– Cóż, faktycznie coś zaproponowałam. Nie spodobała mi się ta propozycja. Potem bił od ciebie już tylko chłód. Jak myślisz, jak się wtedy poczułem? – Swoje pytanie zadał neutralnym tonem, niemal retorycznie, jakby właściwie nie spodziewał się po niej, że myślała o jego uczuciach.

Rachel otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz zdała sobie sprawę, że ma pustkę w głowie. Po sekundzie rzuciła:

– To nie ja się zdystansowałam. Tylko ty.

– Cóż, to twoja interpretacja wydarzeń. Ja pamiętam, że wieczorami ciągle oglądałem w łóżku twoje plecy.

– Co proszę? Michael, Chryste. NIE. Nie tak to wyglądało. Dobrze wiesz, że nie. Przestałeś mnie dotykać tej samej nocy, gdy pokazałam ci tamte rzeczy. Próbowałam, każdego wieczoru próbowałam. Proponowałam ci masaże, przytulanie, a ty cały czas powtarzałeś, że jesteś zbyt zmęczony, zbyt zgrzany, zbyt taki czy owaki.

– Jak już mówiłem, to jest twoja interpretacja wydarzeń. Ja pamiętam dziewczynę, która była rozczarowana i wkurzona, bo nie dostała tego, czego chciała, a jej świeżo upieczony mąż poczuł się niewystarczający i przestraszył się, że dziewczyna go zostawi i znajdzie sobie kogoś, kto będzie gotów dać jej to, czego pragnie.

Rachel wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Czekaj. Nie. Nie, to absolutna nieprawda. Nie tak było. Nie mogłam bardziej wprost dać ci do zrozumienia, że chcę uprawiać z tobą seks. Nie mogłam być bardziej bezpośrednia. A to coś, co zaproponowałam, miało być tylko zabawą, Michael. Niczym więcej. To w żaden sposób o mnie nie świadczy. To nie jestem ja. – Przyłożyła dłoń do piersi. – Chciałam tylko, żebyśmy zrobili coś fajnego...

Michael westchnął, sięgnął po drewnianą łyżkę, zaczął znowu mieszać.

– A potem dziewczyna zabrała swoją walizkę i zniknęła na trzy dni, nie kontaktowała się ze swoim świeżo upieczonym mężem, a on pomyślał, że może, kto wie, może znowu jest singlem. Że to już koniec. Po czym dziewczyna łaskawie zechciała napisać wiadomość, więc świeżo upieczony mąż, bojąc się tego, co to oznacza, popędził do sklepu i kupił organiczne piersi z kurczaka i najdroższe pomidory, jakie tylko udało mu się znaleźć, by zająć myśli krojeniem i szykowaniem pysznego posiłku, a kiedy dziewczyna przyjechała, oznajmiła mężowi, że to wszystko, cały ten smutek i strach, i niepokój, to w jakiś niebywały sposób jego wina.

Raz jeszcze przestał mieszać i popatrzył Rachel w oczy. Dała się oczarować melodyjnej intonacji jego słów, ale teraz dotarło do niej ich znaczenie i pokręciła lekko głową, jakby próbowała pozbyć się jakiejś blokady, jakiegoś zatoru, który nie pozwalał jej pojąć, co się właściwie dzieje. Pomyślała o każdej

udręczonej chwili, jaką przeżyła od czasu opuszczenia mieszkania Michaela w niedzielny wieczór. Przypomniała sobie dystans między nimi w wielkim łóżku na Sesselach. Zbywany przez niego dotyk. Ścianę lodu, która pojawiała się między nimi każdej nocy. Raz jeszcze pokręciła głową.

– Okej, ja zapamiętałam to inaczej, Michael – oznajmiła w końcu. – Naprawdę zupełnie inaczej. Myślałam, że mnie nienawidzisz.

– A powinienem?

– Co takiego? Nienawidzić mnie?

– Tak.

– Nie! Oczywiście, że nie powinieneś mnie nienawidzić! Przecież nie zrobiłam nic złego!

– Cóż, ja też nie.

– Nie. I nie powiedziałam, że zrobiłeś. Tylko... – Westchnęła. – Co się teraz stanie?

– Teraz – odparł, otwierając paczkę świeżej kolendry – zjemy i napijemy się. A potem...

– Tak? Co potem?

– Po prostu zobaczymy, dobrze? Zobaczymy.

Rozmowa z początku była sztywna, ale wino poprawiło im nastrój, ożywiło ich i sprawiło, że pośpiesznie uciekali od każdego potencjalnego punktu zapalnego czy kontrowersji. Opowiadali o pracy, opowiadali o planach na lato. Michael zamierzał przemalować ściany, wymienić wodę w basenie i zrobić generalne porządki w domu w Antibes, żeby mogli spędzić tam wakacje. Dyskutowali o tym, czy kupić nową pościel i ręczniki, by Rachel mogła poczuć się jak nowa pani domu. Rachel powstrzymała się przed zadawaniem pytań o Lucy, o pozostawione przez nią rzeczy, o to, czy korzystała z basenu, czy nadzorowała remont domu Michaela. Ograniczyła się wyłącznie do neutralnych pytań. A potem, kiedy już się najedli, atmosfera dojrzała i pogłębiła się o niepokojące wyczekiwanie tego, co będzie dalej.

– Cóż, czas już chyba... – Spojrzała na zegar w telefonie. – Prawie dziesiąta, może powinniśmy...?

- Do łóżka?
- Tak myślę.
- Świetnie, no to...

Michael wstał i wyciągnął do niej rękę, ona ją przyjęła z niepewnym uśmiechem, po czym podążyła za nim do sypialni.

Tam ostrożnie ją rozebrał i przeciągnął palcami po jej skórze, a potem robił jej te delikatne, michaelowe rzeczy, które Rachel kiedyś spowszedniały, a teraz wydawały się największym darem. Zdjął z niej stanik, odpinając go od tyłu, obrócił ją i pocałował w usta, całował namiętnie i bez końca, a Rachel zadrżała od czubka głowy aż po opuszki palców. Przenieśli się na łóżko i Michael położył ją, potem stanął nad nią, rozbierając się, a Rachel patrzyła, otwierając szeroko oczy z pożądania, jak kładzie się na niej i całuje ją jeszcze raz. Chwyciła go za biodra i przysunęła do siebie, prowadząc go, gotowa, tak bardzo gotowa po tyłu dniach. Wypchnęła biodra, ale zaraz znowu je cofnęła, nie wyczuwając tego, co powinna wyczuć, co zawsze mogła wyczuć.

Działo się to przez kilka minut, lecz mimo jej wysiłków Michael nie był w stanie zrobić tego, czego tak bardzo pragnęła. Michael jęknął z frustracji, Rachel dotknęła jego policzka i powiedziała:

- Nic się nie stało. Nie przejmuj się tym.

Gdy jednak te słowa nie wybrzmiały jeszcze do końca, Rachel poczuła, jak jest gwałtownie, szorstko popychana na drugą stronę łóżka, dość mocno, by wyrwał jej się okrzyk, a Michael wstał i szybkim krokiem podszedł do regału, skąd zrzucił kilka książek, wrzeszcząc jak opętany. Rachel instynktownie zwinęła się w kłębek, objęła swoje kolana, a kiedy w jej stronę poleciała kolejna salwa książek, naciągnęła na siebie kołdrę tak wysoko, jak tylko mogła.

– Michael – powiedziała, wyglądając przez szparę. – Kurwa mać, przestań. Michael! Przecież mówię, że to nie ma znaczenia.

Michael się odwrócił. Furia rozpałała mu twarz. Spojrzał na żonę i wypalił:

– Ma znaczenie! Ma zajebiste znaczenie, Rachel. To wszystko... to wszystko przez ciebie. To twoja wina.

- Słucham?

– Twoja i tych twoich pierdolonych jedwabnych sznurów. Twoja i tych twoich gachów. Którzy robili z tobą takie rzeczy. Za każdym razem, kiedy zamykam

oczy, widzę ich. Stoją w rzędzie. I nie mogę, po prostu nie mogę o nich zapomnieć, Rachel. Ty to sprawiłaś. Ty powiedziałaś mi o tej bandzie jebanych zbrojeńców.

– Ale, Michael, nie! Nie było żadnej bandy. Był tylko jeden, dwóch chłopaków, to wszystko. To naprawdę... nic ważnego.

– Nie w tym rzecz, Rachel. Chryste. Nie w tym rzecz.

– A w czym?

– Rzecz... w tobie. Ty jesteś problemem. Myślałem, że cię znam. Myślałem, że wiem, kim jesteś. Złota dziewczyna z apteki. Dziewczyna z powabem, klasą, elegancją. Dziewczyna, która czekała na swojego księcia.

– Czekala na swojego...? Och, daj spokój, Michael. Wiesz, że to ściema. Dobrze o tym wiesz. Wiedziałeś, że miałam innych facetów. Mnóstwo facetów. Jezu Chryste, przecież wtedy w aptece byłam w opłakanym stanie. Byłam skacowana i czekałam nie na księcia, ale na pigułkę dzień po, na Boga.

Zobaczyła, jak drga mu mięsień w policzku, gdy próbował włączyć to wspomnienie do swojej wersji jej historii.

– Właśnie – stwierdził. – Powinienem być już wtedy wiedzieć, w co się pakuję.

– W co się pakujesz?

– Tak. Jesteś zepsuta.

Rachel poczuła cios w splot słoneczny i piekącą żółć w gardle.

– Słucham?

– Chyba dałem się oszukać przez ten brytyjski akcent. Głupio założyłem, że oznacza klasę. Znowu.

Znowu. Miał na myśli Lucy.

– Nigdy, przenigdy nie wmawiałam ci, że mam klasę. Ani razu. Pieprzyłam się z tobą na pierwszej randce. Dlaczego w ogóle coś takiego przyszło ci do głowy?

Skrzywił się, słysząc przekleństwo.

– To dobre pytanie, Rachel. Bardzo dobre pytanie.

W czasie tej rozmowy krążył po pokoju, jednak teraz zatrzymał się i popatrzył na swoją żonę.

- Wypnij się.
 - Słucham? Co takiego?
 - Powiedziałem: wypnij się. – Ruszył w kierunku łóżka.
- Rachel odsunęła się od niego w stronę wezgłowia.
- Michael...
 - Odwróć się. I na czworaka.
 - Ale...
 - Zrób to, Rachel. Zrób to.

Wykonała jego polecenie. Może, pomyślała, może w ten sposób wszystko naprawi. Jeśli tylko pozwoli mu zrobić to w ten sposób. Tylko ten jeden raz. Może dzięki temu pozbędzie się tej niepewności, która pojawiła się w nim tamtej nocy na Szeszelach. Zdoła wymazać tych „stojących w rzędzie gachów”, którzy pojawili się w jego głowie. Może wróćą na dawne tory. Ponieważ, zdała sobie sprawę Rachel z pełnym przekonaniem i żalonym poczuciem wstydu, niczego tak nie pragnęła jak tego, by wszystko wróciło na dawne tory. Do normalności. Do porannego przytulania i późnowieczornych kolacji w winiarniach, i chodzenia za rączkę wzdłuż brzegu, i Michaela dyszącego w jej włosy, mówiącego, że jest piękna, że jest boska, że nie jest jej wart.

Powoli, bez słowa, odwróciła się i wypięła na czworaka.

Potem wydarzyło się coś ostrego, szybkiego i brutalnego. Ciągnął ją za włosy tak mocno, że aż się skrzywiła. Chwycił ją za biodra i wpił palce tak mocno, że następnego dnia zobaczyła na swojej skórze drobne siniaki. Kiedy już skończył, odepchnął ją na bok i pomaszerował do łazienki.

– Cóż – zawołał, a w tle było słycać szum wody – chyba rozumiem, dlaczego ci się to podoba. Ostry seks. Nie tak to nazywają? Może mogłabyś wyciągnąć tamte rzeczy z walizki, Rachel. Na następny raz, co?

Nasłuchiwała jakiejś cieplej nuty w jego głosie. Sugestii żartobliwości. Jednak nie było po nich ani śladu.

Zeszłej nocy potrzebowałem około trzydziestu sekund, żeby za pomocą kciuka i wyszukiwarki namierzyć Krisa Dolla. Okazało się, że prowadzi jakąś firmę, oferując przejażdżki po mieście na swoim ogromnym motocyklu, chyba największym, jaki kiedykolwiek widziałem. Na stronie internetowej znalazłem jego zdjęcie, jak siedział na nim, ubrany w dżinsy, ciężkie skórzane buty i białą koszulkę. W sakwach po obu bokach motocykla znajdowały się butelki szampana chłodzące się w lodzie. Tekst wyżej reklamował „pięciogwiazdkowy objazd miasta”. A pod spodem:

Ekskluzywna wycieczka jeden na jeden wokół jeziora i miasta na customowej hondzie goldwing w towarzystwie przewodnika, który od ponad dwudziestu lat mieszka, pracuje i jeździ w tym wspaniałym miejscu. Stwórz swoją własną, dopasowaną wyłącznie pod siebie trasę albo skorzystaj z klasyków Krisa. Przejażdżka trwa trzy godziny i można ją wzbogacić o ostatni przystanek na szampana na tle słońca zachodzącego nad jeziorem Michigan. Żeby dokonać rezerwacji, wypełnij formularz albo zadzwoń pod podany niżej numer.

Tak, myślę sobie, patrząc raz jeszcze na zdjęcie, och tak, proszę. Proszę, weź mnie na swój motocykl, Krisie Doll, i przewieź mnie po mieście, nalej mi szampana o zachodzie słońca, opowiadając mi historie. Proszę.

Wybieram numer widoczny na dole strony i zostawiam wiadomość na poczcie głosowej: „Cześć, Kris! Nazywam się Joshua Harris. Nie wiem, czy nie powinienem tego załatwić z większym wyprzedzeniem, ale chciałbym, żebyś został moim przewodnikiem, może dzisiaj? Jeśli nie, to o dowolnej porze jutro. Proszę, oddzwoń do mnie, gdy odsłuchasz tę wiadomość”.

Kris odzywa się chwilę później.

– Pewnie – mówi (i wydaje się bardzo miły, o wiele miłszy od wydziaranego Roba z tym jego napuszczonym gniewem). – Tak się składa, że klient odwołał rezerwację na jutro. Pasuje ci siedemnasta trzydzieści?

– Och, tak! – odpowiadam. – Wspaniale! Idealnie pasuje!

Tłumaczy mi, co muszę zrobić i kiedy to zrobić („Potrzebujesz kremu z filtrem, nawet w kasku zdziwisz się, ile słońca wchłoniesz, a jutro ma być cały dzień bezchmurnie. No i koniecznie włóż spodnie. Nie zrzucę cię z motocykla – na tę uwagę wybucham śmiechem – ale gdyby tak się stało, lepiej, żebyś nie musiał mieć przeszczepianej skóry. A ponieważ to przejażdżka popołudniowa, może chciałbyś skorzystać z opcji szampana o zachodzie słońca? Kosztuje dodatkowe dwadzieścia dolarów”).

Zgadzam się na tę opcję, dogadujemy miejsce spotkania i mniej więcej omawiamy trasę, a potem rozłączam się, szeroko uśmiechnięty.

*

Tego samego wieczoru ruszam do knajpy z poważnym zamiarem, by znaleźć kogoś i zaprosić go do swojego ślicznego pokoju hotelowego. Minęły miesiące, odkąd ostatni raz z kimś spałem. Właściwie to więcej. A teraz proszę, jestem w tym tętniącym życiem mieście, z daleka od domu, z daleka od pracy, z daleka od Lucy. Czuję, że dzisiaj wiele zdołałem i zasługuję na odrobinę odpoczynku, kilka drinków i kogoś miłego, kto sprawi, że poczuję się lepiej sam ze sobą po tym całym fiasku z Joem, które wciąż mnie dręczy.

Biorę dłuższy prysznic i wykorzystuję do niego niemal wszystkie miniaturkowe hotelowe kosmetyki. Przeciągam dłonią po szczecinie na twarzy, jednak postanawiam się nie golić. Potem otwieram laptopa i przeglądam wyniki wyszukiwania „najlepszych barów w pobliżu”. Wkładam czarne lewisy i czarną koszulkę od Muji, mokasyny Johna Lobba z brązowej skóry oraz miękką flanelową koszulę w kolorze atramentowym w ciemnozieloną kratkę. Będę dzisiaj Phinem, nie tym starym Phinem, lecz tym nowym, bardziej szorstkim. Otwieram barek i wyciągam buteleczkę piwa z mikrobrowaru, odbijam kapsel, piję z gwinta. *JESTEM PHINEM*, myślę sobie i czuję, jak przeszywa mnie dreszcz. Jestem sam w hotelu w Chicago i uderzam pięścią w powietrze, mówiąc: „Dajmy czadu”. Jak kompletny świr.

Wracam z chłopcem o imieniu Nicholas. Nie Nick. Nicholas. Ma dwadzieścia osiem lat, ale wydaje się młodszy. Nie jest zbyt piękny (wybacz, matko Nicholasa), lecz po dwóch godzinach sterczenia w bardzo męskiej pozie i bycia ignorowanym przez wszystkich przystojniaków przestałem wybrzydzać. Ładnie pachnie i jeśli mam być szczery, często to jest najważniejsze. Opowiadam mu o „swoim” dzieciństwie, o socjopatycznym ojcu i oszuście, Davidzie Thomsenie, który przejmował domy ludzi, gwałcił nastolatki, kradł pieniądze naiwniakom i zamykał dzieci w pokojach. Jego mina to nie lada widok. Powtarza „o mój Boże”, z otuchą ściskając moje kolano.

Kiedy przychodzi co do czego, okazuje się, że właściwie samym aktem seksualnym nie jestem zainteresowany. Najwyraźniej moje ciało zdążyło zapomnieć o płynącej z niego przyjemności. Wszystko jest takie mechaniczne, a później odnoszę wrażenie, że bardziej kręci mnie obecność drugiej osoby obok, ciepło oddechu na szyi, chuda noga spoczywająca słodko na moim biodrze i głos w uchu, mówiący:

– Mogę zostać na noc, Phin?

Przyciągam jego rękę do swoich ust i całuję ją, a potem zostawiam ją pod brodą.

– Byłoby miło. Tak, proszę, zostań.

I śpimy spleceni, a ja czuję się niemal spokojny.

Następnego ranka Nicholasa nie ma. Nie zostawił po sobie żadnego śladu, żadnej wiadomości, żadnej wizytówki. Spędzam trochę czasu na Grindrze, żeby sprawdzić, czy uda mi się go tam znaleźć, lecz nic z tego. Nie znam jego nazwiska, więc nie mogę go wygooglować. I tyle. Może i spędziliśmy całą noc nadzy i przytuleni, jednak najwyraźniej Nicholas, ten kochany, zwyczajny, pyzaty chłopiec, nie miał ochoty na nic więcej. A ja nie mam pojęcia dlaczego.

Tak czy inaczej, mam dzisiaj inne zmartwienia. Popołudnie spędzę na hondzie goldwing Krisa Dolla i wypiję chłodnego szampana, by zrobić kolejny wielki krok w poszukiwaniach Phina. Dlatego wyrzucam Nicholasa z głowy, wyskakuję z pustego łóżka i rozpoczynam nowy dzień.

Samuel

Potem następuje przełom.

Bridget Elspeth Veronica Dunlop-Evers.

Jej zaginięcie zostało zgłoszone przez rodziców w 1996 roku.

Nie mieli z nią kontaktu od lat, wybrali się na policję dopiero wtedy, gdy nie pojawiła się przy łożu śmierci swojej siostry. Kilka miesięcy później odpuścili poszukiwania. Uznali, że Bridget – albo Birdie, jak była przez wszystkich nazywana – najwyraźniej postanowiła odciąć się od rodziny i ułożyć sobie życie z daleka od nich.

Sądząc po tym, co zostało powiedziane w czasie rozmów z różnymi członkami rodziny Birdie, dziewczyna była swego rodzaju czarną owcą, jakby bez nich miało być jej lepiej.

Poprawiam kołnierzyk koszuli, układam papiery na biurku, chrząkam i wybieram ostatni znany numer telefonu matki Birdie, Madelyn Dunlop-Evers.

– Halo?

Jej głos wydaje się słabowity, czego pewnie można się było spodziewać w przypadku kobiety po osiemdziesiątce.

– Dzień dobry, czy mam przyjemność z panią Dunlop-Evers?

– Tak, to ja.

– Z tej strony inspektor Samuel Owusu.

– Samuel jak?

– Owusu. Inspektor policji. Dzwonię z wydziału specjalnego Komisariatu Charing Cross w Londynie. Miałem nadzieję porozmawiać z panią o pani córce Bridget.

– Bridget. Nie. Nie ma Bridget. Jest tylko chłopiec. W drugim pokoju. Mam go poszukać?

Wzdycham, zamykam powoli oczy i zaraz je otwieram.

– Jest ktoś z panią, pani Dunlop-Evers? Ktoś, kto mógłby odpowiedzieć na kilka moich pytań?

– Na temat chłopca?

– Tak, na temat chłopca.

Słyszę, że oddaje komuś telefon, zasłaniając mikrofon ręką, w tle rozbrzmiewają jakieś inne głosy, a potem odzywa się mężczyzna:

– Kto tam?

– Nazywam się Samuel Owusu i jestem inspektorem policji. Dzwonię z Komisariatu Charing Cross. Z wydziału specjalnego. Z kim mam przyjemność?

– Jestem Philip Dunlop-Evers. Syn Madelyn.

– Okej, świetnie. Zastanawiałem się, czy mógłbym porozmawiać z panem na temat Bridget? A raczej Birdie. Zakładam, że to pańska siostra?

– Tak. Eee, tak. Oczywiście.

– Mógłby mi pan powiedzieć, czy Bridget była kiedykolwiek tancerką?

Krótką chwilą ciszy.

– Tak, była. Przez wiele lat tańczyła balet. Przynajmniej do osiemnastego roku życia.

Samuel czuje, jak coś go ściska w żołądku, jak przechodzi go upajający dreszcz ulgi.

– A czy mógłby pan przyjechać do nas? Do Londynu? Żeby porozmawiać o... różnych sprawach?

– Sprawach?

– Tak. Sprawach, które mogą się okazać związane ze zniknięciem pańskiej siostry.

– To jest... cóż... rany. Po takim czasie... To znaczy tak. Oczywiście. Oczywiście, że mogę przyjechać. Kiedy?

– Tak szybko, jak to tylko możliwe, panie Dunlop-Evers.

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Tak szybko, jak to tylko możliwe, Philipie.

Jego mama cały weekend była w dziwnym nastroju. Jego mama właściwie cały czas jest w dziwnym nastroju, ale teraz jest jeszcze dziwniejszy niż zwykle. Wujek Henry zniknął, a ona nie chce powiedzieć, dokąd pojechał ani dlaczego. Marco założył, że poleciał do Afryki, by odnaleźć Phina, ojca Libby, jednak podobno Phina już w Afryce nie ma, a mama nie chce tego wytłumaczyć. Kręciła się po mieszkaniu od piątku, co chwilę sprawdzając telefon, warcząc na Marca i Stellę za byle co, zapominając o wyprowadzaniu psa i naprawdę strasznie bałaganiąc. Za każdym razem, kiedy Marco próbuje z nią porozmawiać, ona udaje, że jest zajęta.

W niedzielę wieczorem Marco zauważa, że Fitz wpatruje się tęsknie w drzwi mieszkania, więc chłopiec postanawia zapukać do sypialni mamy.

– Mamo? – rzuca. – Fitz chyba chce wyjść na siku.

– Och, a mógłbyś go wyprowadzić? – rozlega się odpowiedź.

– Odrabiam pracę domową.

Słychać westchnienie.

– Okej, zaraz wyjdę.

– Ale on tak krąży, wiesz? – tłumaczy Marco, przyglądając się psu. – Tak jak zawsze, kiedy ma się wysrać.

Matka wzdycha jeszcze raz, po czym otwiera drzwi.

– Okej, okej.

Marco krzyczy, widząc, że Fitz zaczyna się składać.

– Nie! Fitz! Nie!

Pies znowu się prostuje i zaraz mama Marca wkłada mu szelki.

– Dlaczego ciągle o nim zapominasz? – pyta chłopiec.

– Mam dużo na głowie, Marco.

– Z powodu Henry'ego?

– Tak, z powodu Henry’ego.

– Mamo, proszę. Po prostu powiedz mi, co się dzieje.

– Ale ja nie wiem, co się dzieje.

– No, coś na pewno wiesz. Dlaczego nie zadzwonisz do wujka?

Jego mama zatrzymuje się na sekundę, po czym widać, że zaczyna trochę pękać.

– Zablokował mnie, Marco.

– Wujek Henry?

– Tak. Wujek Henry mnie zablokował.

No to się porobiło, myśli Marco. Naprawdę się porobiło.

– Może spróbujemy zadzwonić do niego z mojego telefonu?

W jej oczach pojawia się błysk.

– Och, tak – rzuca krótko, a potem spogląda na psa i dodaje: – Spróbujemy, jak wrócę.

Marco nie może się doczekać, stoi z komórką w ręku, z wybranym numerem wujka Henry’ego. Zostało już tylko nacisnąć zieloną słuchawkę. Po powrocie mamy oddaje jej swój telefon. Kiedy rozlega się nieznamy sygnał, patrzą po sobie. Później pipczenie zmienia się w jednostajny dźwięk, a mama się rozłącza i zamiast tego wysyła wujkowi wiadomość:

Co się dzieje, Henry? CO DO CHOLERY???

Następnie wchodzi na WhatsAppa i dzwoni do niego z aplikacji. Raz jeszcze bez powodzenia. Tutaj również pisze do niego wiadomość:

Henry. Tutaj Lucy. PROSZĘ ZADZWOŃ.

Niemal od razu Henry blokuje też Marca.

– Czy ja zrobiłem coś nie tak? – pyta chłopiec mamę nieco łamiącym się głosem. – Nie rozumiem.

Jego mama uśmiecha się do niego smutno i mówi:

– Nie. Nie zrobiliśmy nic złego. Ale posłuchaj, Marco, twój wujek... On nie...

– Co takiego?

– Jest skomplikowany. Pamiętasz, jak przyjechaliśmy do Londynu w zeszłym roku? Pamiętasz, jak nie byłam pewna, kim właściwie jest? Bo tak bardzo

przypominał Phina?

Marco kiwa głową.

– Widzisz, rzecz w tym, że wujek Henry kiedyś miał na jego punkcie lekką obsesję. Gdy byli dużo młodszy. Chodził ciągle za nim, gapił się na niego i potem...

Marco jeszcze raz potakuje, lecz jego mama zmienia zdanie.

– Nic, nieważne – kończy.

– Nie! Powiedz mi. Co zamierzałaś mi wytłumaczyć? Co to ma wspólnego z tym, że wujek Henry nas zablokował? Musisz mi powiedzieć!

– To... rany, posłuchaj. Wiem, że bardzo lubisz Henry'ego. I dla mnie to naprawdę ważne, że masz z nim tę więź. Nie chcę psuć waszej relacji. I to, co ci za chwilę zdradzę, przysięgam, w żaden sposób nie oznacza, że Henry cię nie uwielbia, że nie jest niesamowitą osobą. Bo jest. Pod wieloma względami. Jednak byliśmy dziećmi, gdy działy się te wszystkie straszne rzeczy w domu w Chelsea, a Henry czasami nie był miły dla Phina. Kiedyś popchnął go do rzeki, bo Phin nie chciał go pocałować, a to się mogło skończyć utopieniem. No i tamtej nocy, kiedy uciekliśmy, Henry przykuł Phina do grzejnika i... cóż, on znowu mógł zginąć. Henry miał do niego nie do końca zdrowe podejście. A Phin dowiedział się od Clemency, że Henry wybiera się do Botswany, i tego samego dnia uciekł. I teraz sobie myślę, że może Henry jakoś go namierzył i właśnie próbuje...

– Czego próbuje? Myślisz, że może go skrzywdzić?

– Cóż, może nie skrzywdzić. Ale na pewno nie będzie to miłe spotkanie. Wiesz, Phin może się poczuć zagrożony.

Umysł Marca zwariował, zupełnie jakby wszedł na tak wysokie obroty, że poleciały iskry. Próbował przetrwać jakoś tę informację. Wujek Henry był trochę dziwny, lecz nie tak, jak opisywała to mama. Był dziwny w taki fajny, zgryźliwy sposób. Był zabawny. Rozśmieszał Marca. Rozumiał rzeczy, których nie łapali inni dorośli. Jednak ta cała sprawa z Phinem...

– Musimy go odnaleźć – oznajmia.

– Tak, wiem. Właśnie to próbuję zrobić cały weekend. A dokładniej to znalazłam wszystkie jego stare urządzenia. Tylko nie mam pojęcia, jak się do nich włamać.

– Daj mi je.

Mama wzdycha i wstaje, idzie do swojego pokoju i wraca po minucie z dwoma starymi iPhone'ami, starym Apple Makiem i starym iPadem oraz garścią ładowarek.

– Próbowałam wszystkiego – tłumaczy. – Każdej kombinacji dat i urodzin, i numerów domów. Nie mogę się dostać do żadnego.

Marco stuka knykciami w krawędź stołu, w głowie mu się kręci od sprzecznych myśli.

– Mógłbym poprosić o pomoc Alfa.

– Alfa? A co, jest jakimś hakerem?

– No, w pewnym sensie.

– Hm. Henry też jest obeznany w tym temacie, pamiętasz? Praktycznie sam jest hakerem. Wątpię, żeby zostawił coś, do czego można się włamać.

– No ale jest stary. Alf jest młody. Młodzi hakerzy są lepsi od starych.

Spogląda na swoją mamę i widzi na jej twarzy kwaśny uśmiech.

– Chyba można spróbować.

Marco kiwa poważnie głową, wyjmuje telefon i pisze do kolegi.

Maszeruję przez parking w stronę mężczyzny stojącego przy ogromnym motocyklu.

– Cześć! – mówię, wyciągając twardo rękę. – Jestem Joshua Harris. A ty pewnie jesteś Kris.

Kris ściska moją dłoń i trochę ją miażdży. Staram się nie skrzywić. Muszę wyczuć tego koleśia, zanim postanowię, jak go podejść.

– Tak! Kris Doll. Super cię poznać!

Obrzuca mnie taksującym spojrzeniem i przez moment dostrzegam w tym seksualny podtekst, jednak przypominam sobie, że Kris spotykał się z seksowną Mati z Magdali, więc to mało prawdopodobne, i wtedy dociera do mnie, że pewnie tylko sprawdza, czy się odpowiednio ubrałem na podróż. Kiwa głową z aprobatą, a potem wyjmuję z torby jakieś dokumenty.

– Okej – rzuca, kartkując papiery opuszkami palców. – Musisz jeszcze podpisać dla mnie parę rzeczy, jeśli nie masz nic przeciwko. Tylko oświadczenia. Dla administracji. Żeby wszystko było tip-top. Jeśli potrzebujesz czasu, żeby je przeczytać, śmiało, nigdzie nam się nie śpieszy.

Posyła mi promienny uśmiech. Jest bardzo atrakcyjny, lecz moim zdaniem mógłby bardziej dbać o pielęgnację skóry, bo jest bardzo sucha. A jego ciemne kudły aż się proszą o jakąś porządną odżywkę i cięcie, ale skoro facet cały dzień spędza w kasku, pewnie wydaje mu się, że nie warto. Jego wiek oceniam na jakieś trzydzieści osiem lat. Sięgam po dokumenty i siadam na ławce, żeby je przejrzeć i podpisać zamasyście jako Joshua Harris, po czym je oddaję.

Kris zerka na nie.

– Fantastyczne. Super. Dobra. No to przygotujmy cię. Jechałeś już kiedyś na goldwingu?

– Nie, nigdy.

– A na jakimś innym motocyklu?

– No, tak. Raz czy dwa. Znajomi mnie podwozili. Ale to nigdy nie było moim hobby. Ani nic.

– I pewnie nie pamiętasz, co to były za motocykle?

Kręcę przepraszająco głową. Zawiodłem go.

– Przykro mi – mówię.

Kris się ożywia.

– Żaden problem. Nic się nie stało. Tak czy inaczej, uwierz mi, wygodniej się nie da. Nigdy więcej nie będziesz chciał być podwożony przez kogoś innego. Pomogę ci wsiąść.

Za chwilę siedzę na motocyklu niczym księżę, który ma odjechać złotą kareta. Kris tłumaczy mi, którędy będziemy jechać, ale go nie słucham. Wpatruję się w tył jego głowy, kiedy zajmuje miejsce z przodu i wkłada swój kask; potem wbijam wzrok w jego ramiona: są tak szerokie, jak powinny być u człowieka, który niegdyś zarabiał na utrzymanie wiosłowaniem, wożąc turystów łodzią. Czuję ten jeden stopień oddalenia, jaki istnieje między mną, nim a Phinem, zastanawiając się, czy znajdę odpowiednią chwilę, by wspomnieć w rozmowie o naszym wspólnym znajomym. To musi wyjść naturalnie. Przedziwny zbieg okoliczności. Kris nie może się poczuć przesłuchiwany. Nie mogę się śpieszyć.

*

Kris wiezie nas po tak zwanej „Majestatycznej Mili”, biegnącej od Chicago River alei wypełnionej wielkimi drapaczami chmur.

– Gdzie mieszkasz w Wielkiej Brytanii? – odwraca się, żeby do mnie krzyknąć.

– W Londynie – odpowiadam równie głośno.

– Fajnie.

– Byłeś kiedyś w UK?

– No. Parę lat temu. Spotykałem się z Brytyjką.

– A gdzie?

– W jej mieszkaniu. Przy Milton Keynes.

– Ach, to miłe miejsce.

Wskazuje mi różne rzeczy, jakieś kościoły i tak dalej, ale widzę, że nie jest zainteresowany, ja też nie. W końcu zapada między nami przyjemna cisza, a ja oglądam poruszającą się scenerię i wciągam zapach benzyny oraz nieco piżmowego wnętrza kasku (Bóg jeden wie, jak się czyści kask od środka – staram się o tym zbyt intensywnie nie myśleć), a potem, kiedy zapalają się lampy uliczne i miasto urywa się na brzegu jeziora Michigan, motocykl się zatrzymuje obok piaszczystej plaży i zsiadamy.

Kris wyjmuję z sakwy koc i rozkłada na piasku. Sięga po bezalkoholowe piwo z torby termicznej z lodem, zaraz otwiera też szampana dla mnie i nalewa do plastikowego kieliszka. Niebo nad jeziorem zmienia kolor na cukierkowy róż; wysokie budynki w tle wyglądają jak wycięte z czarnego papieru. Powietrze jest ciepłe i przyjemne, a ja spędziłem wspaniałe popołudnie na motocyklu Krisa, oglądając miasto, którego nigdy wcześniej nie widziałem. W całym tym doświadczeniu była niespodziewana intymność, połączyła nas jakaś nić więzi i zastanawiam się, czy każdy na moim miejscu tak się czuje, czy tylko takim samotnym, udręczonym ludziom jak ja przejazdówka przynosi takie przedziwne ukojenie. Prawie nic nie jadłem i tani, niezbyt zimny szampan prosto z mojego żołądka trafia do głowy i kiedy podziwiam piękno chicagowskiej panoramy odbijającej się w różowo-złotym lustrze jeziora, zaczynam płakać.

Odwracam trochę głowę, żeby Kris nie zauważył, i dyskretnie wycieram policzek o ramię.

– Ślicznie, prawda? – odzywa się, a ja znowu kiwam głową, woląc nie mówić nic na głos. Dopadają mnie emocje, których nie umiem nazwać. Jakieś wzburzenie duszy z powodu braku, pustki, utraty i niekompletności. Jestem niekompletny. Zawsze czułem się niekompletny. I w różnych momentach życia wydawało mi się, że tuż za rogiem czeka coś, co mnie uzupełni. Myślałem, że uzupełni mnie odnalezienie Libby, że uzupełni mnie powrót do domu rodzinnego, bycie napakowanym i pięknym, dobry seks ze złymi facetami, zły seks z dobrymi facetami, romanse bez miłości, imponująca kuchnia z szafkami otwieranymi na dotyk – wszystkie te rzeczy miały mnie uzupełnić i żadna nie zdołała tego osiągnąć. A teraz jestem tutaj, na brzegu jeziora Michigan z przystojnym mężczyzną o imieniu Kris, który siedzi obok i w zamyśleniu popija bezalkoholowego lagera prosto z butelki, niebo płonie

i nikt mnie nie kocha, ja nikogo nie Kocham i jestem sam, jestem tak strasznie, strasznie samotny i Chryste, muszę znaleźć Phina. Muszę znaleźć Phina i jeśli odnalezienie go mnie nie uzupełni, przysięgam na Boga, że przepłynę jezioro i rzucę się w ten żrący pomarańcz słońca, żeby została ze mnie tylko kupka popiołu.

Chrząkam i prostuję się.

– Jak długo się tym zajmujesz? – pytam Krisa.

– Och, no wiesz, jakoś kilka lat. Wcześniej pływałem po jeziorze, brałem turystów na łódkę i takie tam.

Udaję, że pierwszy raz o tym słyszę.

– Czyli jesteś z Chicago? Mieszkasz tu od dziecka?

– Tak. Urodzony chicagowiak. A ty? Jesteś urodzonym londyńczykiem?

– Tak, jestem. Przyszedłem na świat w szpitalnej sali z widokiem na parlament. Wychowałem się nad Tamizą. A teraz mieszkam w centrum Londynu. Jestem stuprocentowym londyńczykiem. – Robię pauzę, próbując wymyślić jakiś sposób na poprowadzenie rozmowy w stronę potrzebnych mi informacji. I wtedy przychodzi mi coś do głowy. – Co się stało z tą dziewczyną z Milton Keynes?

– Ach, rozstaliśmy się. Związek na odległość okazał się nie do ogarnięcia. Poza tym ona... – Urywa. – Cóż, ona nie mogła ogarnąć mojej orientacji seksualnej.

Zapiera mi dech w piersi. Kris Doll nie jest hetero?

– Co to znaczy? Nie ograniczasz się do kobiet?

– Zgadza się. – Przeciąga dłonią po butelce lagera. – Myślałem, że Brytole są liberalni i tolerancyjni. A przynajmniej wszyscy, których poznałem wcześniej, tacy byli. Ale nie ona, jak się okazało.

– Znasz wielu Brytyjczyków?

– Kilku. Głównie facetów, wiesz? Spotygam ich w barach i tak dalej.

– A do jakich barów chodzisz? Są jakieś konkretne miejsca dla queerowych chłopaków, którzy lubią duże motocykle?

Śmieje się cierpko.

– Nie. Nie bardzo. Jest taka knajpa dla motocyklistów, do której kiedyś często wpadałem. Ale potem dałem się wciągnąć w taką skomplikowaną sytuację z jedną dziewczyną i teraz raczej wybieram normalne bary, rozumiesz.

– Co to za skomplikowana sytuacja?

Znowu się śmieje.

– Naprawdę mi się podobała, tylko że jej się podobał taki inny koleś i trochę nas wodziła za nos przez parę miesięcy, a potem... cóż, zwrot akcji, koleś też okazał się bi i, jak by to powiedzieć, my dwaj... – Śmieje się i krzywi. – Nie była zadowolona. No więc unikam tamtego miejsca.

Udaję, że wciąż słucham, ale tak naprawdę z trudem przetykam palącą gulę szoku, która właśnie podjechała mi do gardła po informacji, że Phin jest bi, że sypia z mężczyznami, że Phin, mój Phin, uprawiał seks z Krisem Dollem, siedzącym obecnie na wyciągnięcie ręki, i gdybym go teraz dotknął, to byłoby niemal tak, jakbym dotknął Phina, i powinienem czuć zazdrość, może nawet gniew, lecz nie, przepelnia mnie tylko zachwyty i chęć bycia blisko kogoś, kto był blisko Phina.

– Jaki on był?

– Ten drugi koleś?

– Tak, ten drugi koleś.

– Och, właściwie też był Brytyjczykiem! Ha! Z Londynu. Trochę taki... wytworny. – Ostatnie słowo wymawia z brytyjskim akcentem.

Przetykam głośno ślinę.

– Och, naprawdę?

– Naprawdę. Był taki, wiesz, interesujący. Chyba najbardziej interesujący człowiek, jakiego kiedykolwiek poznałem.

– W jakim sensie?

– Och, po prostu... Był taki piękny, ale nie próżny. I patrzył na świat w taki wyjątkowy sposób, wiesz? Taki bardzo... niewinny. Ale miał też kompletnie szaloną przeszłość.

– Czyżby był dziecięcym czarodziejem?

Kris się śmieje.

– Nie. Ha! Nie do końca. Chociaż ojciec psychol zamykał go w pokoju. – Sprawdza, czy jestem odpowiednio zszokowany tą rewelacją, i nawet całkiem nieźle to udaję. – Mieszkał w takiej, no, willi. Z widokiem na Tamizę. A jego ojciec był oszustem, który wkręcił zamożną rodzinę, by oddali mu swoje doczesne dobra, a potem oszalał, zaczął zamykać ludzi na klucz. Mój znajomy uciekł stamtąd, gdy był nastolatkiem, i nigdy nie przestał uciekać.

– Przed ojcem?

– Nie, nie przed ojcem. Wydaje mi się, że ojciec umarł. Tylko w domu były inne osoby w czasie, gdy to wszystko się działo. Ludzie, z którymi on nie chciał mieć już nic wspólnego. Na przykład jakiś koleś przykuł go kajdankami do grzejnika czy coś takiego.

Raz jeszcze głośno przełykam ślinę.

– Upiorne.

– Tak, strasznie ponure. Ale w jakiś sposób ten koleś, Finn, nazywał się Finn, zdołał się po tym pozbierać. Emanuje z niego dobro, wiesz? Inni ludzie może pozwoliliby, żeby to zło ich splamiło, ale on nie. Po prostu się nie dał. Żył po swojemu.

– Wydaje się inspirującym człowiekiem.

– Tak, jest inspirujący.

Nadstawiam uszu, słysząc czas teraźniejszy.

– A co się z nim stało?

– Dostał pracę w jakimś afrykańskim rezerwacie. To zawsze była jego pasja. Zwierzęta. Ochrona przyrody. Tego rodzaju rzeczy. – Obraca powoli butelkę piwa w dłoniach i ciągnie: – Podobno wrócił.

– Podobno... – Gryzę się w język, próbując opanować ekscytację.

– No. Przyleciał parę dni temu.

– Tutaj? Do Chicago?

– Owszem. Wpadłem wczoraj na wspólnego znajomego, który powiedział, że go widział. Właśnie miał się zameldować do Airbnb. Może spróbuję się z nim umówić. Taki miły z niego człowiek, wiesz? – Wzdycha i wylewa resztki piwa na plażę. – Nieważne, chyba już czas na nas...

– Tak – zgadzam się od razu. – Tak, pewnie już czas.

Niebo przybrało ciemny kolor, czarne prostokąty wieżowców po drugiej stronie jeziora świecą złotem swoich podświetlanych okien.

Szybko dopijam resztki taniego ciepłego szampana i wyrzucam butelkę do kosza. Mózg mi wariuje, gdy wsiałam na goldwinga i wkładam kask. Podróż powrotna do mojego hotelu zajmuje piętnaście minut. Kiedy zatrzymujemy się przed wejściem, odpinam zegarek i wsuwam go do sakwy.

Potem oddaję Krisowi kask i macham mu na pożegnanie. On myśli, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Jednak myli się.

Samuel

Philip Dunlop-Evers to niski, łysiejący mężczyzna z cofniętym podbródkiem. Ma na sobie koszulkę polo i niebieskie džinsy oraz tanie skórzane buty. Zapinam marynarkę i wstaję, żeby go przywitać, wyciągając rękę.

– Dziękuję, Philipie, że przyjechałeś tak szybko – mówię.

– To żaden problem. W końcu chodzi o moją siostrę. Nie wyobrażam sobie nie odwołać planów i nie wsiąść do pociągu.

– Usiądź, proszę.

Zajmuje miejsce i patrzy na mnie. Wygląda, jakby w głowie krążyło mu wiele myśli naraz. Nic dziwnego.

– Philipie, odebraliśmy niedawno telefon od zbieracza. Słyszałeś o ludziach, którzy szukają różnych rzeczy na brzegach?

Kiwa głową.

– On natrafił na kości. Okazało się, że to ludzki szkielet, kompletny. Wierzymy, że może należeć do twojej siostry, Bridget.

– Birdie – mówi szeptem.

– Tak, Birdie. Oczywiście. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym podzielić się z tobą kilkoma szczegółami. Tak

dla potwierdzenia. Powiedz mi, Philipie, w jakich okolicznościach ostatni raz widziałeś siostrę? Pamiętasz?

– Tak, bardzo dokładnie. Była wtedy trochę sławna.

– Słyszałem, że należała do zespołu pop.

– Zgadza się. Wylansowali duży przebój, tygodniami znajdował się na szczytach list przebojów. Zaczynało być o niej głośno. To było... Jesteśmy rodziną muzyków, ale żadne z nas nie było tak... popularne. Wszystkich nas to zaskoczyło. Grali w Corn Exchange, więc spędziła noc u rodziców zamiast w hotelu z resztą zespołu. Miałem wtedy czternaście, może piętnaście lat.

Bardzo dobrze to pamiętam. Między matką i Birdie doszło do wielkiej kłótni. Jak zawsze zresztą. Widzisz, moja mama nie przepada za dziewczynami. Urodziła sześciu chłopaków i dwie dziewczyny, nigdy nie miała dobrych relacji z córkami. Potem Birdie już nie wróciła do domu. Ani razu. Wiem, że siostra widywała się z nią od czasu do czasu, ona wiedziałaby więcej o tamtym okresie w życiu Birdie, jednak zmarła dawno temu.

– Rozumiem, że to właśnie nieobecność Birdie przy jej łożu śmierci skłoniła rodziców do zgłoszenia zaginięcia?

– Tak. Chodziło o Jenny. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby namierzyć Birdie, lecz nikt nic nie wiedział. Żaden z członków zespołu. Miała chłopaka, Justina. On też gdzieś przepadł, a to była połowa lat dziewięćdziesiątych. Nie było mediów społecznościowych. Nikt nie miał komórek. Nie miał internetu. Skończyły nam się opcje. Nie wiedzieliśmy, co jeszcze można zrobić. Siedzieliśmy z Jenny, aż odeszła, a potem, po pogrzebie, jeden z nas, chyba mój brat Dicky, zgłosił zaginięcie Birdie na policję. No i resztę już znasz.

– A Justin, jej chłopak? Co pamiętasz na jego temat?

Philip wzrusza ramionami, jakby pierwszy raz pomyślał o chłopaku siostry.

– Nie przyszło ci do głowy, że może...?

– Co? Że miał coś wspólnego z jej zaginięciem? No cóż, oczywiście. Oczywiście, że przyszło nam to do głowy. Ale kiedy policja jego też nie mogła namierzyć, wydawało się raczej, że postanowili wspólnie zniknąć albo oboje zginęli. A Justin był łagodny jak baranek. Żaden z niego morderca. No, przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

– Czym się zajmował? W sensie jaką miał pracę?

– Był... no, twierdził, że jest muzykiem. Perkusistą. W zespole Birdie grał na tamburynie. Trudno to raczej nazwać zawodem. Zakładam, że miał jakieś inne umiejętności. Był trochę hippisem. Trochę zaniedbany, zwariowany. Lubił spędzać czas na wolnym powietrzu.

– Czyli Birdie i wasza matka pokłóciły się. Birdie odeszła. A czy wiesz, gdzie wtedy mieszkała?

– W Londynie. Tylko tyle. Z Justinem. I kotem.

– Miała kota? – Zapisuję sobie w notatkach.

– Tak. Pamiętam, że przygarnęła go, nie pytając o pozwolenie właściciela mieszkania. Miał ich wyrzucić, więc szukali czegoś nowego.

– I wiesz, dokąd wtedy się przeniosła?

Philip wzdycha.

– Mówiła, że ma plan. Znała kogoś z wielkim domem, kto mógłby wziąć ich na jakiś czas do siebie.

Czuję, jak drga mi mięsień w policzku.

– Z wielkim domem?

– Tak.

– A wiesz może, gdzie znajdował się ten wielki dom?

– Przykro mi, ale nie. Powiedziała tylko tyle, że poznała jakąś kobietę, która mieszkała w wielkim domu, i ona zaproponowała im, by tam się zatrzymali na jakiś czas.

– I który to był rok?

– W tym samym roku przestały rozmawiać z matką, miałem wtedy czternaście lat. Czyli to musiał być osiemdziesiąty ósmy. To wtedy jej zespół był najbardziej popularny.

– A zespół rozpadł się dwa lata później, w dziewięćdziesiątym?

– Tak. Mniej więcej.

Wzdycham i rozciągam ramiona.

– Szkielet przebadany przez naszych techników medycyny sądowej ma około dwudziestu pięciu lat. Czyli mowa mniej więcej o roku dziewięćdziesiątym piątym. A twoja druga siostra, Jenny, zmarła...?

– W dziewięćdziesiątym szóstym.

Zmieniam pozycję na krześle, żeby ulżyć bolącym plecocom.

– Dobrze, posłuchaj. Znaleźliśmy włókna. Fragmenty metki ręcznika kąpielowego. Bardzo drogiej marki. I dlatego uważam, że chociaż Birdie sama nie była na tyle bogata, by kupować ręczniki po dwieście funtów, musiała być z kimś, komu nie brakowało pieniędzy. I dlatego zastanawia mnie ten wielki dom i nowa znajoma. Czy pamiętasz coś jeszcze na temat tego układu?

– Nie. Żadne z nas nic nie pamięta. Wszystkim nam zadawano takie pytania w czasie śledztwa w sprawie jej zaginięcia. Nikt nic więcej nie wiedział. Nie

mamy nawet pewności, czy w ogóle skorzystali z Justinem z tej propozycji. – Wzrusza ramionami, potem nagle podnosi na mnie wzrok i widzę, że ma łzy w oczach. – Jak umarła? To moja siostra, prawda?

Patrzę na Philipa i kiwam głową.

– Naszym zdaniem to ona. Tak.

Jestem oburzony tym, że pozwoliłem, by chęć dotarcia do prawdy odwróciła moją uwagę od obowiązku przekazania tych wieści bratu ofiary. Chrząkam i prostuję się trochę.

– Wygląda na to, że otrzymała cios w głowę – tłumaczę. – Później pozostawiono jej ciało w swego rodzaju kokonie z tkaniny i ręczników, gdzieś na zewnątrz. Następnie ktoś zabrał jej kości i przełożył do czarnego worka, który został związany i wrzucony prawdopodobnie do Tamizy w ciągu ostatnich kilku miesięcy, najwyżej roku.

– Czyli morderca po nią wrócił?

– Tak, na to wygląda.

Philip zwiesza głowę. Gdy znowu ją unosi, po jego policzkach spływają łzy.

– Dlaczego ktoś mógłby chcieć ją zabić?

– To mógł być wypadek.

Philip kręci głową.

– Nie. To nie brzmi jak wypadek, prawda? Ktoś zawinął ją w całun. Wrócił po nią po dwudziestu pięciu latach. Pozbył się jej. To nie brzmi jak wypadek.

– Nie brzmi – zgadzam się.

Widzę, jak coś do niego dociera.

– Ktoś zabił moją siostrę – mówi. – I wciąż jest na wolności. Aż do dzisiaj.

– Tak. Obawiam się, że na to wygląda.

Philip wbija we mnie wzrok. Otwiera szeroko oczy.

– Znajdziecie tego człowieka, prawda? Złapiecie go? I zapłaci za to?

Chciałbym powiedzieć, że tak, ale nie mogę, ponieważ zdaję sobie sprawę z tego, że w przypadku takiej sprawy nic nie jest pewne, czas wszystko zaciemnia i komplikuje, po drodze pochłania dowody. Jednak wiem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, i tylko tyle mogę obiecać, więc mówię:

– Philipie, daję ci słowo, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Skarbie, wyglądasz na zmęczoną. Wysypiasz się?

Rachel oderwała wzrok od aplikacji do prowadzenia księgowości i spojrzała na ojca. Jego obraz pojawił się rozmazany, za mgłą zapuchniętych oczu, niewyspania i ponurej percepcji świata.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Zupełnie nic. Po prostu miałam ciężki tydzień.

– Niech ten twój mąż cię dokądś porwie. Do jednego ze swoich licznych domów. Nie mogę uwierzyć, że wciąż nie zabrał cię do Antibes, a jesteście małżeństwem już od dwóch miesięcy. Nie mogę uwierzyć, że nie... – Westchnął, a Rachel poczuła ciężar niewypowiedzianych słów i niezadanych pytań, które zawisły między nimi. – Ale między wami wszystko w porządku, prawda?

Pokiwała głową.

– Oczywiście. Wszystko świetnie.

Była w domu. Nie swoim domu, lecz domu rodziców, w którym się wychowała, w którym niegdyś mieszkała z matką i ojcem, a także kolejnymi pieskami, oddawanymi przez matkę w ręce innych ludzi za każdym razem, gdy musiała wyjechać na dłużej niż miesiąc. To był piękny dom, z wysokimi oknami i podjazdem za bramą, z jaśminem zarastającym frontową ścianę i nowiutkim range roverem ojca zaparkowanym na zewnątrz. Teraz jej ojciec mieszkał sam, ponieważ matka Rachel umarła pięć lat wcześniej. Już pół dekady tworzyli maleńki, dwuosobowy zespół, spotykając się na śniadania w Wolseley, na ciastko i herbatkę w jego ulubionej cukierni na Soho, na wyprawy zakupowe, by Rachel dzieliła się opinią na temat jego ekscentrycznych wyborów, co nieodmiennie kończyło się na tym, że wracała do domu z czymś eleganckim, kupionym w takim czy innym zbyt drogim dla niej butik. Rachel i jej ojciec

zawsze byli kompatybilni, bardziej niż Rachel i jej matka, która była irytująca i nieprzewidywalna. Jej śmierć zbliżyła ich jeszcze bardziej, jednak odkąd Rachel poznała Michaela, czuła, jak ojciec się od niej oddala, staje się bardziej mglisty i mniejszy, jakby został z niego tylko zarys, szkic. Nawet tutaj, stojąc nad nią z kubkiem kawy w dłoniach, w samych skarpetkach na grubym kremowym dywanie, który jej matka uwielbiała i który kazała raz w roku czyścić profesjonalistom, nawet teraz, na wyciągnięcie ręki, nadal nie umiała go zlokalizować. Jakby miała słaby zasięg. *Coś nam przerywa.*

Ojciec ścisnął jej ramię i powiedział:

– Nie ukrywałabyś problemów, prawda?

Rachel kiwnęła powściągliwie głową.

– Oczywiście, że nie.

– Tak sobie myślę... Może twoja matka zadałaby więcej pytań, wiesz. Może zalecałaby większą ostrożność. Trzy miesiące to bardzo krótko. Nawet w przypadku takiej dobrej partii jak Michael. Za krótko, jeśli się nad tym zastanowić.

Rachel zaczęła głośno stukać w klawiaturę.

– Wszystko jest w porządku. Naprawdę. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Nie bądź jak mama.

Nie bądź jak mama. Nic go tak nie irytowało, jak tego typu uwaga z jej strony.

– Przepraszam. – Ojciec zabrał dłoń z jej ramienia. – Przepraszam.

Słyszała jego kroki, stłumione przez aksamitny dywan, oddalające się od niej. Pozostał po nim tylko zapach kawy. Rachel odetchnęła głęboko, żeby powstrzymać łzy, otworzyła następną stronę dokumentu i zaczęła wpisywać nowy rząd liczb.

Wyszła z domu ojca godzinę później. Zaczynało padać.

– Poczekaj – rzucił pewnym głosem z progu. – Poczekaj, odwiozę cię, wezmę tylko...

– Nie, nie trzeba. Z przyjemnością się przejdę. Mam parasol.

– Mogę cię odwieźć.

– Nie, wolałabym się przejść.

Popatrzyła na niego. Brian Gold. W granatowym swetrze z owczej wełny i skarpetkach, z wciąż gęstymi i ciemnymi włosami mimo sześćdziesięciu lat na karku, z łagodną twarzą wyrażającą troskę. Poczwała, jak przepływa przez nią coś gorącego, jakaś przyprawiająca o mdłości fala troski i smutku.

– Do widzenia, tato.

Na stację metra St John's Wood zjechała długimi chromowanymi schodami, a gdy patrzyła w przerażającą drogę w dół, wyobraziła sobie, jak spada i ląduje zmiażdżona w masę połamanych, roztrzaskanych kości, jak ludzie drą się wniebogłosy, a ona jest wreszcie wolna.

Jej telefon odezwał się akurat, gdy słabł sygnał. To była wiadomość od Michaela.

Hej, piękna. Co chcesz na kolację? Właśnie wychodzę do sklepu.

Odpisała szybko, zanim sygnał całkiem zaniknął. *Może makaron? Z krewetkami?*

Wysłała i wpatrywała się przez moment w ekran, prosząc w myślach, by Michael otrzymał odpowiedź. Otrzymał, a ona odetchnęła. Gdyby nie odezwała się przed jego wyjściem do sklepu, wieczór zacząłby się nie najlepiej. Michael kupiłby coś, czego ona nie lubi, celowo, i powiedziałby: „Cóż, nie napisałaś, więc co miałem zrobić?”. Byłby oschły. Nie okazywałby jej życzliwości. A to coś, co Rachel chciała zachowywać za wszelką cenę. Ciemność, którą ta życzliwość przykrywała, była niezmierną i Rachel pomyślała, co często jej się zdarzało, o równoległym wszechświecie, w którym nie odpowiedziała na jego pytanie o mężczyzn z jej przeszłości i przez kolejne pięćdziesiąt lat zadowalała się wyłącznie waniliowym seksem. Poczwała gniew na samą siebie, że wykoleiła ich małżeństwo w imię czegoś, co teraz wydawało się zupełnie nieistotne.

W metrze bezwiednie obracała pierścieniem zaręczynowym na serdecznym palcu. Uniosła wzrok na swoje cieniste odbicie w oknie po drugiej stronie i westchnęła. Kiedy wysiadła przy Fulham Broadway, już nie padało, chodniki były poplamione na kolor benzynowej szarości, samochody z sykiem rozjeżdżały kałuże. Rachel sprawdziła telefon i zobaczyła uśmiechniętą emotkę od Michaela. Poczwała, jak poprawia jej się nastrój, jak jej krok staje się lżejszy.

Kiedy weszła do mieszkania, on rozpakowywał zakupy w kuchni. Odwrócił się do niej rozpromieniony.

– Hej, piękna. Co u twojego taty?

– Wszystko super. – Podeszła do niego i uniosła głowę, żeby mógł pocałować ją w oba policzki; wyczuła lekką, wieczorną szczecinę na skórze. Odsunęła się. – Przesyła uściski.

– A jak tam księgowość?

– Bardzo obiecująco.

Raz jeszcze się do niej uśmiechnął. Zachodzące słońce przebiło się przez grubą warstwę chmur i rzuciło na niego swoje promienie. Wyglądał złościście.

– To wspaniale. Naprawdę. Bo, wiesz co, będę potrzebował trochę pomocy w tym miesiącu.

Rachel poczuła, jak po plecach spływa jej lodowaty dreszcz.

– Och – rzuciła ostrożnie. – Myślałam, że już masz jakieś dochody? Z tego domu w Antibes?

– No tak. W pewnym sensie. Ale teraz jest martwy sezon. Rezerwacje będą sporadyczne. A nadal muszę płacić sprzątacze. I kolesiowi od basenu. W przyszłym miesiącu będzie lepiej. Lecz teraz wciąż jest cienko.

Wstawił do lodówki tacę z krewetkami. Zauważyła, że to małe, różowe, ugotowane już krewetki, a nie te duże, surowe i przezroczyste, które zawsze kupował. Zauważyła też, że był w Tesco, nie Wholefoods, jak zwykle.

Słońce znowu schowało się za chmurami, a Michael wrócił do normalnych kolorów.

– Co mam zrobić? – zapytała.

– Cóż, chyba mogłabyś zacząć od zwrócenia mi pieniędzy za zakupy? – Wskazał na jedzenie, które wyłożył na blat.

– Pewnie – odparła, starając się nie dać po sobie poznać zdenerwowania. – Ile?

Wyciągnął paragon z dna torby i zerknął na sumę.

– Dwadzieścia sześć funtów.

– Pewnie – powtórzyła, wyjęła dwudziestkę i dziesiątkę z portfela, po czym przesunęła po blacie w jego stronę.

Sięgnął po banknoty i schował je do tylnej kieszeni.

– Dzięki, skarbie. To nie będzie trwało długo, obiecuję.

Chodziło o jakiś problem z brakującymi częściami. Zgodnie z tym, co powiedział Michael, były warte „nie milion, ale prawie”. Musiał zapłacić za towar, który nie dotarł do adresata. „Wszystkie moje oszczędności, Rachel. Wszystkie”.

Plakał i chował mokrą twarz w jej ramię, powtarzając, że nie jest nic wart, że mogłaby go zostawić, że nie miałby jej tego za złe, że nie na to się pisała, że zasłużyła na więcej. Ona głaskała go po głowie, uspokajała i przekonywała, że nie jest z nim dla pieniędzy, że jest z nim z miłości. Że go kocha. Że go kocha.

Od tamtej pory był nieustannie podminowany, zawzięcie dawał jej odczuć każde drgnienie nienawiści do samego siebie. Udostępnił swój dom w Antibes do wynajęcia i zastanawiał się na głos nad sprzedażą mieszkania w Fulham oraz przeprowadzką do mieszkania Rachel w Camden. „Nie dojdzie do tego, jestem pewien – zapewniał. – Nie dojdzie. Ale gdyby...”

Pokiwała wtedy głową i zaczęła powtarzać, że oczywiście, Boże, oczywiście, że tak.

Niegdyś wieczory spędzane na podejmowaniu decyzji, dokąd się wybrać na kolację, teraz spędzali na wybieraniu, co obejrzeć w telewizji. Nawet to powodowało pewne spięcia, ponieważ Michael wyjaśnił jej bardzo dokładnie, ile miesięcznie wydaje na streaming.

– O której chcesz zjeść?

Spojrzała na zegar. Była osiemnasta.

– Może za godzinę?

– Jasne.

Zarzucił sobie ścierkę na ramię i wyciągnął z szafki rondel, by nalać do niego wody.

*

W łóżku wieczorem tego samego dnia Michael zacisnął pięści na kołdrze i gapił się w sufit. Właśnie skończyli bardzo niesatysfakcjonujący akt seksualny, Michael co chwilę tracił erekcję i musiała ją przywracać Rachel albo on sam

dłonią, a skończyło się na tym, że Michael przez ponad dziesięć minut posuwał wypiętą Rachel i szczytował bez żadnej sugestii przyjemności.

– Chodzi o pieniądze – powiedział po krótkiej, ponurej chwili ciszy. – Chodzi o to, że... nie jestem do tego przyzwyczajony. Nie jestem przyzwyczajony do biedy. Nie jestem przyzwyczajony do tego, że biorę pieniądze od kobiety, którą kocham. Czuję się taki... niemęski, Rachel. Kurewsko wykastrowany.

Rachel spojrzała na niego w zamyśleniu. Chciała mu przypomnieć, że jego problemy z erekcją zaczęły się, jeszcze zanim stracił pieniądze. To się ciągnęło od czasu podróży poślubnej, odkąd popełniła głupi błąd i zaproponowała rozszerzenie ich łóżkowego repertuaru.

– Nie bądź niemądry. – Ledwo te słowa wydostały się z jej ust, a już ich pożałowała.

Odwrócił się gwałtownie.

– Niemądry?

– Nie. – Wzdrygnęła się. – Nie niemądry, tylko...

– Kurwa mać, Rachel. Kurwa. Czy ty nie widzisz, co się tutaj dzieje? To nie są żarty. Jestem pieprzonym bankrutem. Może będę zmuszony sprzedać to mieszkanie. Są ludzie... Boże, Rachel, nawet nie masz pojęcia, jacy ludzie się na mnie czają. A ty możesz sobie każdego dnia pofrunąć do swojego małego uroczego studia i robić te swoje śliczne naszyjniczki, tatuś tylko czeka, żeby cię wspomóc za każdym pieprzonym razem, kiedy jesteś na minusie, a potem wracasz do tego swojego malutkiego mieszkania bez kredytu i... i jesteś młoda, nie masz pojęcia, dosłownie nie masz bladego pojęcia o niczym, Rachel. Jesteś pieprzonym dzieckiem. – Michael zerwał z siebie kołdrę i pomaszerował do łazienki.

Rachel zamrugała powoli, żeby się uspokoić. Popatrzyła na jego białe nagie pośladki oddalające się od niej w gniewie. Jakiś głos w jej głowie darł się na Michaela. Przeklinał go i mówił, że Michael to idiota, że to dupek, że jest beznadziejny w łóżku i biedny, i stary, a ona go nienawidziła i żałowała, że za niego wyszła, wołałaby odzyskać swoje dawne życie, żeby już nie chodzić wokół niego na paluszkach w obawie, że urazi kruchą męskość tego mężczyzny w średnim wieku, żeby już nie reanimować jego sflaczałego penisa każdej nocy niczym ratowniczką medyczną.

Jednak zdusiła to wszystko w sobie, leżała cicho na plecach i czekała na jego powrót. Kiedy znowu się koło niej położył, otoczyła go ramieniem i powiedziała:

– Kocham cię.

Od razu zaczęła się zastanawiać, czy to w ogóle prawda, bo była niemal pewna, że miłość nie powinna tak wyglądać.

– Jeszcze wszystko naprawię, Rachel. Obiecuję. Wszystko naprawię.

Pokiwiała głową w milczeniu.

Tak było bezpieczniej.

Czekam godzinę po powrocie do hotelu i dzwonię do niego.

– Kris, to ja. Joshua. Strasznie cię przepraszam, ale chyba zostawiłem na twoim motocyklu swój zegarek.

– Twój...

– Zegarek. Vintage’owego cartiera. Należał do mojego ojca. Zdjąłem go i wrzuciłem do sakwy, a potem, jak kretyn, zapomniałem go zabrać z powrotem na koniec przejażdżki.

– Ach, okej. Spoko. Goldwing wylądował już w garażu. Wynajmuję dla niego miejsce dwie przecznice stąd. Jestem w stanie iść tam teraz, jednak może mógłbyś poczekać?

– Tak, tak. Oczywiście. Nie ma pośpiechu. Zostaję w mieście na jeszcze kilka dni. Możemy się gdzieś spotkać. Gdziekolwiek. Jak ci wygodniej.

– Albo może podrzuciłbym zegarek na recepcję w twoim hotelu?

– Nie chciałbym ci sprawiać kłopotu. Daj mi po prostu znać, kiedy będziesz, i spotkamy się na miejscu.

– Jasne, pewnie. Jak chcesz. Oczywiście. Napiszę do ciebie, gdy go znajdę.

– Świetnie. Bardzo ci dziękuję, Kris. I przepraszam, że narobiłem ci problemu.

– Nic się nie stało, Joshua. Nic a nic.

*

Jest dziesiąta i powinienem otworzyć laptopa, żeby przeczytać zaległe e-maile. Potwornie zaniedbywałem pracę. Uprzedziłem swój zespół, że złapałem jakiegoś wirusa, leżę w pokoju hotelowym i będę od czasu do czasu sprawdzał skrzynkę, ale w ogóle do niej nie zaglądałem. Nie, odkąd tutaj dotarłem. A teraz

mam parę godzin tylko dla siebie, jednak nie mogę się zebrać. Płonę od środka z powodu świadomości, że on tutaj jest, w tym samym mieście.

Phin jest w Chicago. Phin ma mieszkanie w Chicago, lecz nie przebywa w nim. Phin jest biseksualny. Spędziłem popołudnie z mężczyzną, który uprawiał z nim seks, ale nie wie, gdzie można go teraz znaleźć. Jednak istnieje inna przyjaciółka, która może to wiedzieć. Seksowna Mati z baru dla motocyklistów.

Biorę prysznic, przebieram się i pół godziny później jestem z powrotem w Magdali.

– Ta dziewczyna, Mati, była tutaj w sobotę wieczorem z takim wielkim kolesiem z... – Przeciągam dłońmi po przedramionach, żeby wskazać tatuaże.

Barman patrzy na mnie zmrużonymi oczami i kiwa głową.

– Była tutaj dzisiaj?

– W tygodniu opiekuje się dziećmi – tłumaczy.

– Ona ma dzieci?

– Tak, dwójkę. Nie wróci aż do piątku.

– Ach, okej. Szkoda. Wtedy będę już pewnie w Londynie.

– A czego od niej chcesz?

– Mamy wspólnego znajomego. Mojego przyjaciela z Londynu. Słyszałem, że wrócił do miasta, tylko że nikt nie wie, gdzie się podziewa. Myślałem, że może ona będzie mogła mi pomóc.

– Chodzi o tego całego Finna?

Posyłam mu zaskoczone spojrzenie.

– Och, tak. Zgadza się. Chodzi o Finna.

– Był tutaj jakieś pół godziny temu. Minąłeś się z nim.

Mam mroczki przed oczami. Ściskam palcami bar. Czuję, jak moje trzewia przeszywa lodowaty pocisk.

– Jesteś pewien?

– Tak. Finn. Brytyjczyk. Z brodą. Tak.

– A czy, eee... – Przeszuję z nogi na nogę, przeciągam mocno dłońią po ustach i podbródku. – Wspominał, dokąd się wybiera?

– Nie.

– A czy... był z kimś?

– Nie.

– A czy, to znaczy, no... – Nie wiem, o co jeszcze zapytać.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, wszystko w porządku. Tylko wkurzyłem się, że go przegapiłem. Po prostu chciałem go zobaczyć, jest bardzo... bardzo dla mnie ważny i czuję... – Zaczynam pękać i widzę troskę na twarzy barmana. Ogarniam się i uśmiecham. – Nieważne. Nieistotne. Wrócę kiedy indziej. Z pewnością w końcu na siebie wpadniemy.

– Mam mu coś przekazać? Jeśli wróci?

– Nie, nic nie mów. To tylko... – Chciałbym powiedzieć, że to tylko go wystraszy, bo taka jest prawda. Phin spanikowałby i uciekł w popłochu. Rozciągam szerzej usta w uśmiechu. – Dziękuję. Tak czy inaczej. Tak w ogóle to jestem Joshua.

– Joshua. Świetnie. Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję. Chyba wrócę do hotelu.

– Pewnie. Miłego wieczoru, Joshua.

Po wyjściu na ulicę patrzę w lewo, w prawo. Potem przed siebie. Po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna opuszcza właśnie sklep z żywnością organiczną. Wysoki. Z włosami koloru piaskowego blondu i przyciętą złocisto-brązową brodą. Jest opalony i ubrany w koszulkę khaki oraz czarne szorty. Na nosie ma okulary w rogowej oprawie, a w rękach niesie dwie duże torby z jedzeniem. Zatrzymuje się pod drzwiami i patrzy w moją stronę.

Widzę, że zagląda przez okna do wnętrza Magdali. Szuka kogoś.

Dopiero wtedy, z tak silnym uciskiem w żołądku, że niemal upadam na próg baru, zdaję sobie sprawę, że go znalazłem.

CZEŚĆ DRUGA

Samuel**„The Times”****Poniedziałek, 24 czerwca 2019**

Policja metropolitalna prowadzi śledztwo w sprawie ludzkich szczątków odnalezionych przez zbieracza na brzegu Tamizy niecały tydzień temu. Ofiara została zidentyfikowana jako Bridget Dunlop-Evers, znana też jako Birdie, której zaginięcie rodzina zgłosiła w 1996 roku, kiedy kobieta miała trzydzieści dwa lata. Była członkinią zespołu Original Version i razem z nim pod koniec lat osiemdziesiątych wylansowała kilka popowych przebojów. Odeszła z zespołu krótko po wydaniu ostatniego hitu i od tamtej pory nikt jej nie widział. Zdaniem rodziny Bridget Dunlop-Evers przez krótki okres była bezdomna, wspólnie ze swoim chłopakiem Justinem Reddingiem, który grał w tym samym zespole, jednak mogli znaleźć sobie miejsce u nowej przyjaciółki, mieszkającej, jak to ujęła Bridget, „w wielkim domu”. Próby odnalezienia Dunlop-Evers i Reddinga po zgłoszeniu w 1996 roku spełzły na niczym, a ich los pozostawał nieznan przez niemal trzy dekady. Każda osoba, która ma informacje na temat dwojga zaginionych, jest proszona o pilny kontakt z policją metropolitalną. Dodatkowo każda osoba, która posiada informacje na temat domu zamieszkanego przez parę, również jest proszona o kontakt.

Do artykułu dołączono fotografię Birdie zrobioną w czasie, gdy grała w zespole. Ma na szyi kwiecistą bandanę i trzyma skrzypce. Jej włosy są w jasnym odcieniu brązu, cienkie i bardzo długie, z zaczesaną grzywką. Mruży małe oczy, patrząc w obiektyw. Usta ma ściągnięte i pomalowane różową szminką, a jej broda, jak przewidział rekonstruktor twarzy, jest cofnięta. Tekst pod spodem brzmi: „Birdie Dunlop-Evers, której doczesne szczątki znaleziono na brzegu Tamizy”.

Przechodzę do sekcji komentarzy.

Znajduję w nich mnóstwo nieco ostrych wspomnień z lata, w którym ich przebój grano trochę zbyt długo, a ludziom najwyraźniej się przejadł. Kilka osób wypowiada się z odrobinę większym szacunkiem; ktoś zapamiętał, że o jej zaginięciu mówiło się w połowie lat dziewięćdziesiątych. Ktoś widział koncert zespołu we wcześniejszej dekadzie. Ktoś nawet poznał samą Birdie: „Była drobniotka. I taka fajna. Podpisała mi się na dłoni. Pachniała tym białym piżmem z Body Shop, którym wtedy wszyscy się psikali. Była naprawdę utalentowaną skrzypaczką, taką z klasycznym przygotowaniem. Wielka szkoda. Żal mi jej rodziny”.

Docieram do ostatniego komentarza. Artykuł nie został odebrany jako ważny news. Raczej jako dodatek. Ciekawostka. Wystarczy jeden większy temat i Birdie znajdzie się poza topką najczęściej czytanych na BBC. W tej chwili mamy jedyną szansę dotrzeć do właściwych ludzi – tych, którzy mogą coś wiedzieć na temat losów Birdie.

Wpatruję się w telefon, modląc się, żeby zadzwonił. Nic z tego. Wracam do przeglądarki i kontynuuję szukanie informacji o Birdie Dunlop-Evers i jej zespole, Original Version. Przeczytałem już wywiady z byłymi członkami z czasu po jej zaginięciu. Odniosłem wrażenie, że została wciągnięta do zespołu tylko ze względu na jej talent muzyczny, a nie sympatię czy przyjacielskie relacje. Nikt nie miał pojęcia, co mogła robić przez poprzednie dwa lata. Nikogo to najwyraźniej nie obchodziło. Opisywali ją jako osobę chłodną i skrytą, trudną i wymagającą. Z kolei Justin ich zdaniem był hippisem i dziwakiem, zbyt miłym dla Birdie.

Przeoglądam różne jej zdjęcia w internecie. Zniknęła tuż przed jego rozkwitem, więc nie ma ich zbyt wiele. Jedna fotografia często się pojawia: Birdie w aksamitnym kapeluszu i obszernej satynowej koszuli z kokardą, z brodą spoczywającą na skrzypcach, błyszczącymi oczami skierowanymi w stronę obiektywu, ściągniętymi ustami. Badam szczegóły tego zdjęcia i zauważam w tle duży czerwony fotel, który wygląda jak tron, drewniane panele na ścianie z kinkietami o aksamitnych abażurach i niewyraźnym kształtem jakiegoś wypchanego zwierzęcia.

Przychodzi mi coś do głowy i postanawiam skorzystać z wyszukiwarki obrazów Google, żeby sprawdzić, gdzie pojawiło się to zdjęcie. Dostaję osiemnaście wyników i przeglądam wszystkie po kolei. Głównie pochodzą ze

stron o latach osiemdziesiątych i takich, których autorzy badają dalsze losy różnych znanych osób. Potem jednak klikam w dziewiąty obraz i link prowadzi mnie w miejsce, gdzie umieszczono też nagranie wideo z YouTube'a. Wygląda na to, że fotografia z Birdie grającą na skrzypcach przed tronem to tak naprawdę screenshot z jednego z teledysków. Ta piosenka była kiedyś dużym przebojem. Nie było mnie wtedy tutaj. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym miałem pięć lat i wciąż przebywałem w Ghanie. Niewiele wiedziałem o muzyce pop. To się zmieniło dopiero, kiedy jako trzynastolatek przyjechałem do Londynu, ale wtedy sława Original Version zdążyła przeminąć, więc nigdy wcześniej nie widziałem teledysku do piosenki, która tak strasznie wkurzała wszystkich Brytyjczyków tamtego lata dawno, dawno temu. Powiększam obraz i klikam odtwarzanie.

Zespół jest wystylizowany, wszędzie widzę falbany, peleryny, aksamit i wyrazisty makijaż. Tanecznym krokiem schodzą po krętych mahoniowych schodach, które prowadzą do dużego korytarza. Tam stoją dwa czerwone aksamitne trony. Jeden z członków zespołu wskakuje na tron i zaczyna grać na bębenu wiszącym mu na szyi. Kamera pokazuje szerszy kadr i podąża za dwoma innymi muzykami, którzy wpadają do pokoju wyglądającego jak prywatny bar; kobieta za ladą podaje im szklanki z jakimś bursztynowym alkoholem. Jeden z nich wskakuje na bar i widzę, że ma sznurowane buty do kolan. Piosenka jest całkiem chwytliwa i żwawa. Rozumiem, dlaczego zdobyła popularność, a wideoklip jest energiczny i ekscytujący. Kamera wychodzi razem z dwoma muzykami z baru do pokoju z obrazami olejnymi na ścianach oraz wielkim mosiężnym żyrandolem z czymś, co wygląda jak świece, ale w rzeczywistości to tylko żarówki o takim kształcie. Potem znowu zmieniamy miejsce i wracamy na korytarz, gdzie Birdie w swoim aksamitnym stroju i kapeluszu, i z różowymi ustami gra na skrzypcach... Wciskam pauzę. To jest dokładnie ten moment, który został uchwycony na screenshocie.

Kontynuuję oglądanie, myśląc o tym budynku; prywatny bar sugeruje, że to jakiś klub. Ciekawe, gdzie się znajduje. A potem nagle otwierają się szeroko drzwi i trafiamy do wypielegnowanego ogrodu z małymi labiryntami wyrzeźbionymi z niskiego żywopłotu oraz dwoma działami na kamiennych podstawach, a zespół maszeruje ścieżką, wciąż grając na instrumentach. Wokalista przez większość czasu patrzy prosto w kamerę, pochylając się, jakby

niósł ją ktoś bardzo niski. Obraz obraca się i widzę, że to miejsce znajduje się nad Tamizą – zaryzykowałbym stwierdzenie, że to Chelsea, może Embankment.

W kolejnym ujęciu dostrzegam cały budynek: drzwi wejściowe na środku, trzy rzędy okien, cztery na dole, sześć na środku i sześć na górze.

Coś mnie ściska mocno w żołądku. Włączam jeszcze raz pauzę i wpatruję się w dom. Wideo zostało nagrane w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. W tym samym roku, jak twierdzi Philip Dunlop-Evers, Birdie pokłóciła się z rodziną i była przez nich widziana po raz ostatni. W tym samym czasie miała zostać wyrzucona z mieszkania, ponieważ bez pozwolenia przygarnęła kota. W tym samym czasie przyjaciółka z wielkim domem zasugerowała, że mogliby zatrzymać się u nich na jakiś czas.

Robię zdjęcie zastopowanego teledysku i wychodzę z biura, po drodze zgarniając swojego kolegę, Donalę.

- Dokąd jedziemy, szefie?
- Do Chelsea. Jedziemy do Chelsea.

Jest siedemnasta w poniedziałek i Alf właśnie przyszedł po zajęciach pozaszkolnych do mieszkania Henry'ego. W progu przybijają sobie z Markiem żółwika i wchodzą do środka.

– Joł. Co tam?

– Rodzinne sprawy. Nie mogę za dużo powiedzieć, ale ogólnie chodzi o to, że Henry wyjechał i nie chce nam powiedzieć dokąd, zablokował mnie, zablokował mamę i musimy go znaleźć. Bez kitu, naprawdę musimy. Możesz coś poradzić? – Marco rozkłada ręce, żeby pokazać stare urządzenia Henry'ego leżące na stole w jadalni.

Alf zdejmuje szkolną torbę i wiesza ją na oparciu krzesła, na którym siada. Rozgląda się po mieszkaniu.

– A gdzie jest twoja mama?

– Wyszła ze Stellą.

Alf wzrusza ramionami i skupia uwagę na elektronice.

– To jego?

– Tak.

Po kolei próbuje uruchomić urządzenia. Dwa mają wyczerpane baterie i Marco zostaje wysłany po ładowarki. Dwa pozostałe ożywają i Alf zaczyna coś stukać na ekranach.

– Zjesz coś? – Marco otwiera lodówkę i patrzy na resztki jedzenia. Po wyjeździe Henry'ego mama nie uzupełniła zapasów, od czterech dni nie wychodziła do sklepu i zaczyna wyglądać na przybitą. Jednak została jakaś nieotwarta paczka szynki i torebka tartego sera bez zielonych śladów pleśni, a do tego jajka, więc Marco szykuje omlet, podczas gdy Alf pracuje nad urządzeniami Henry'ego.

– Wszedłem – oznajmia. – Jego hasło to oooo. Niewiarygodne, co? Koleś jest jakimś psychopata.

Alf stuka i przesuwa palcem po ekranie, a Marco przynosi omlet, paczkę drogich chipsów i dwie puszki coli.

Alf zdołał zyskać dostęp do skrzynki odbiorczej Henry'ego i właśnie przegląda wiadomości.

– Czego właściwie szukacie?

– Nie wiem. Może wyszukiwał loty. Albo rezerwował nocleg. Coś w tym stylu.

– Czekał. – Klika w coś dwa razy i obraca ekran w stronę Marca. – Popatrz. Gadał z kimś na Tripadvisorze. Z jakąś Nancy.

Przysuwają się do siebie, żeby odczytać wiadomość. Rozmowa wygląda jak sympatyczna wymiana zdań o doświadczeniach kobiety w rezerwacji przyrody, w którym pracował tata Libby, Phin. Jednak z czasem staje się jasne, że Henry próbował wypytywać ją o Phina – a raczej Finna, bo tak zapisuje to kobieta – a ona powiedziała Henry'emu, że Phin mógł wrócić do Chicago, gdzie ma rodzinę. Marco i Alf posyłają sobie znaczące spojrzenie. Marco czuje, jak mu dudni serce.

– Poleciał do Chicago, prawda? – rzuca.

Alf kiwa głową.

– Chicago to wielkie miasto.

Alf raz jeszcze potakuje, potem przegląda skrzynkę odbiorczą Henry'ego, jednak nie ma w niej żadnych potwierdzeń od hoteli czy serwisów z rezerwacją noclegów.

– Cholera – wypala Marco. – Gdzie jeszcze możemy poszukać?

– Nie wiem. Nie wiem.

Marco ponownie skupia uwagę na omlecie, a Alf wkłada rękę do paczki chipsów, po czym wyjmuje garść, ładuje do ust i głośno chrupie.

– Hmm, zastanówmy się – mówi Marco.

– Może historia przeglądania? Moglibyśmy zobaczyć, jakie sprawdzał hotele.

– No. Tylko że robił to na swoim laptopie. Nie na iPadzie.

Alf potrząsa głową.

– Nieważne, jeśli jest zalogowany na obu urządzeniach. A wygląda na to, że jest. Popatrzmy.

No i oto ona, historia przeglądania Henry’ego. Zaktualizowana. Ostatnie, co googlował, to firma oferująca przejażdżki motocyklem po Majestatycznej Mili i nad brzegiem jeziora Michigan. Alf klika na zakładkę z kontaktem, gdzie znajduje się numer telefonu niejakiego Krisa Dolla.

– Zadzwońmy do niego?

Marco kręci głową.

– Nie, cholera. Lepiej nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. A nie pomyśli, że to dziwne? No i co właściwie mielibyśmy powiedzieć?

– Zapytamy, czy słyszał o kolesiu, który nazywa się Henry Lamb. I czy wie, gdzie teraz jest.

– Tylko dlaczego mielibyśmy wypytywać o Henry’ego? Musimy mieć jakiś powód.

– Eee, może choroba krewnego? Jego tata trafił do szpitala?

– No ale dlaczego nie możemy po prostu do niego zadzwonić?

– Nie odbiera? A potem powiemy, że to nagły wypadek. Jego ojcu zostało dosłownie kilka dni.

– Nawet nie wiemy, czy Henry się z nim spotkał.

– Nie wiemy, ale to ostatnia rzecz, jakiej szukał. Czyli może być ważna.

Marco wzdycha.

– No dobra, ty dzwonisz.

Alf stęka i nabiera ostatni kawałek omletu na widelec, wkłada do ust i popija colą. Potem beka i jeszcze chrząka przed wybraniem numeru.

– Poczta głosowa – szepcze, zasłaniając mikrofon dłonią. – Dzień dobry, próbuję namierzyć Henry’ego Lamba. Jest Brytyjczykiem. Wyleciał do Chicago. Jego ojciec jest bardzo chory, właściwie to umiera. Henry musi natychmiast wracać do domu, jednak nie możemy się z nim skontaktować. Znaleźliśmy pańską stronę w jego historii wyszukiwania. Czy spotkał się pan z nim może?

Proszę do mnie zadzwonić. Nazywam się... – Macha do Marca. Marco wzrusza ramionami. – Phin, jestem Phin.

– Co? – mówi bezgłośnie Marco. – Pojechało cię?

– Przepraszam, nie Phin. Mike. Jestem Mike – poprawia się bezradnie Alf. – Proszę zadzwonić na ten numer. Dziękuję. I przepraszam.

– Ja pierdołę, Alf.

– Kurwa. Boże. Sorki, jakoś tak...

– Nieważne. I tak nie będzie wiedział, kim jest Phin. – Nachyla się jeszcze raz nad ekranem i mówi: – Co jest następne?

Alf klika na kolejną stronę z listy.

– Szukał sklepu o nazwie Organic Delightful. I patrz, jest tutaj na mapie. Myślę, że musiał się zatrzymać gdzieś w okolicy. Zbliżamy się do niego, Marco. Zbliżamy się.

Ostatnim hotelem w historii wyszukiwania jest Dayville.

– Dzwon do nich – popędza Alfa Marco.

Kolega znowu jęczy i wybiera numer telefonu.

– Szukam gościa o nazwisku Henry Lamb. Zatrzymał się może u państwa?

– Chwileczkę, proszę pana.

– Proszę pana – szepcze Marco, dusząc śmiech.

– Obawiam się, że nie gościmy u siebie żadnego Henry’ego Lamba.

– Och. Okej. Nieważne. Jest Brytyjczykiem. Może jest tam jakiś Brytyjczyk?

– Mamy tutaj mnóstwo Brytyjczyków, proszę pana.

– Okej. Dobra. Tak czy inaczej, dziękuję.

– Nie ma za co, proszę pana. Miłego dnia.

Marco i Alf patrzą po sobie. Zrobili, co mogli. Muszą poczekać, aż oddzwoni mężczyzna z wielkim motocyklem.

Połączenie przychodzi godzinę później, w połowie meczu w FIFA i jednego z drogich batonów czekoladowych Henry’ego.

– Cześć, z tej strony Kris Doll. Czy rozmawiam z Mikiem?

– Tak, tutaj Mike – odpowiada Alf.

– Zostawiłeś wiadomość. Była trochę niezrozumiała. Ale chodzi o jakiegoś Brytyjczyka o imieniu Henry?

– No.

– Dobra, posłuchaj. Nie wiem, wziąłem dzisiaj jednego klienta. Był Brytolem. Ale nie nazywał się Henry, tylko Joshua.

– Och. I nigdy nie słyszałeś o Henrym Lambie?

– Nie. Bardzo mi przykro, ale nie.

– No cóż. Tak czy inaczej, dziękuję. I jeśli usłyszysz o kimś takim, proszę, zadzwoń.

– Jasne, nie ma sprawy. Oczywiście, że zadzwonię.

– Eee, a tak szybko zapytam – ciągnie Alf. – Ten cały Joshua. Nie zatrzymał się przypadkiem w Dayville?

– No, w sumie tak.

Alf i Marco spoglądają na siebie szeroko otwartymi oczami.

– Och, okej. Dobra. Cóż, nie przejmuj się. Dziękuję.

– Pewnie. Żaden problem.

Marco i Alf odwracają się do siebie z uśmiechem i przybijają piątkę.

Rachel odłożyła telefon i zdusiła chęć, by zaśmiać się w głos. Zasłoniła usta dłońmi, a potem znowu je oderwała. Jej usta rozciągnęły się tak szeroko, że miała wrażenie, jakby mogła zaraz samą siebie połknąć. Sięgnęła jeszcze raz po komórkę i wybrała numer ojca. Nie odebrał. Jej palec na moment zawisł nad kontaktem Michaela, lecz zabrała go. Nie, pomyślała. Nie. Ten moment był zbyt cenny, żeby ryzykować, że Michael go w jakiś sposób zniszczy, odnosząc go do siebie. Zamiast tego zadzwoniła do Paige.

– Co robisz?

– A czemu pytasz?

– Właśnie dostałam wspaniałe wieści i chciałabym napić się z kimś szampana.

– No to zadzwoniłaś pod właściwy numer. Daj mi pół godziny. Będę tu na ciebie czekać!

Rachel zamknęła studio i ruszyła do Marks & Spencer, gdzie kupiła szampana i sześciopak babeczek Colin the Caterpillar. U Paige odkorkowała butelkę, rozlała alkohol do szklanek na wodę i podała jedną koleżance.

– No, co to za wieści?

– Wieści są takie, że... – Rachel udała dudnienie w bęben – właśnie dzwonił z Liberty, by potwierdzić, że od siedemnastego października będą sprzedawać kolekcję Rachel Gold Jewels na zamówienie w swoim salonie między Dinny Hall a Annoushką.

– Serio?

– Serio!

– O mój Boże. Mój Boże, wypijmy za to! – Paige stuknęła o szklankę Rachel, a potem wychyliła się, żeby ją uściskać. – To najwspanialsze, najcudowniejsze wieści. Po prostu wow! Co powiedział Michael?

– Och, jeszcze nie wie. Chciałam poczekać, aż wrócę do domu.

– Będzie przeszczeniwy. Mój Boże! Niesamowite! Będiesz potrzebowała większego studia.

– Tak. Chyba tak. No, wiele będzie się musiało zmienić. Będę musiała wziąć kredyt. Zatrudnić asystenta. Kupić więcej materiałów. Wynająć większą przestrzeń. Tak. Ale, kurwa, nie zamierzam się tym teraz przejmować. Napijmy się! – Stuknęły się jeszcze raz, po czym Rachel wypła swojego szampana w trzech solidnych łykach.

Wtedy zawibrował jej telefon i zobaczyła na ekranie imię ojca, a gdy odebrała, musiała odsunąć komórkę od ucha z powodu ogłuszających okrzyków radości. Chłoneła jego ekscytację, jego dumę, jego niezachwianą pewność, że to od początku było jej pisane, że zawsze to wiedział.

– Na co oni czekali? – rzucił. – Na co tyle czekali?

Przez okna o zardzewiałych metalowych ramach zobaczyła ciemniejące niebo. Już minęła osiemnasta. Normalnie o tej porze dawała znać Michaelowi, o której wróci do domu. Na początku miało ich to ze sobą zbliżyć, wzięło się z nowości, jaką był fakt, że ma do kogo wracać, lecz teraz nieodzowne było przy tym współplanowanie posiłków, których przyrządzaniem zajmował się ostatnio Michael. Jednak dzisiaj nie miała na to siły. Była w połowie drugiej porcji szampana i radość z sukcesu wydawała się taka silna, taka złocista, że Rachel nie miała ochoty myśleć o obrażonym Michaelu maszerującym do sklepu bez porozumienia w sprawie kolacji. Nie chciała mówić mężowi, o której wróci. Chciała, żeby to los zdecydował, kiedy Rachel znajdzie się w domu, kiedy poczuje, że ma na to ochotę. Wróci, kiedy będzie na to gotowa, a nie, kiedy Michael postawi jedzenie na stole. Jedzenie, na które, szczerze mówiąc, nawet nie miała ochoty.

Kiedy myślała o tym wszystkim, zawibrował jej telefon. *O której będziesz? Co chciałabyś zjeść?*

Westchnęła. W ogóle nie chciała jeść. Chciała pić szampana, zasłodzić się babeczkami, a potem ruszyć z Paige do baru, gadać o chłopakach, może zamówić jakieś chipsy, żeby wchłoneły wino, zatoczyć się do domu, zrzucić buty, wtulić się w Michaela, przekazać mu wieści, pooglądać telewizję, iść z nim do łóżka i uprawiać prawdziwy seks, taki seks, jakiego nie trzeba

planować w szczegółach, ale który przydarza się, jest niemądry, zmysłowy i wspaniały.

Patrzyła na wiadomość przez kilka sekund, potem zgasiła ekran, dołała szampana i powiedziała Paige:

– Masz ochotę dokąś się przejść?

Rachel wróciła do domu o dwudziestej drugiej. Ostatecznie odpisała na wiadomość Michaela półtorej godziny wcześniej: *Przepraszam, dopiero zauważyłam, jestem na mieście z Paige, nie będę jeść kolacji. Do zobaczenia!* Nie odpowiedział, co uznała za dziwne. W przedpokoju zdjęła buty i zostawiła je przy drzwiach. W mieszkaniu było ciemno. Doszła na koniec korytarza i do kuchni. Od razu poczuła, że coś jest nie tak. Miała wrażenie, że rzeczy nie leżą tam, gdzie powinny. Po omacku zapaliła halogeny i wtedy zobaczyła za sobą, niczym dziwne dzieło sztuki abstrakcyjnej, brzydką plamę jedzenia, które powoli sphywało po ścianie w stronę listwy. Na podłodze leżało sześć kawałków porcelany. Gdy Rachel lepiej się przyjrzała, okazało się, że to jakieś risotto. Może dyniowe. W pozostałej części kuchni panował idealny porządek. Zmywarka szumiała cicho w tle. Chromowany kran błyszczał. Ścierka była równo złożona i wisiała na drzwiczkach piekarnika.

Rachel stała przez chwilę i kołysała się lekko, zarówno pod wpływem czterech godzin picia alkoholu, jak i szokującej brzydoty malującego się przed nią widoku. A potem niespodziewanie się zaśmiała. Jej wesołość wzbudziło wyobrażenie Michaela, który siedzi obrażony, je risotto widelcem, rzuca jej talerzem o ścianę, po czym starannie omija bałagan przy sprzątaniu reszty kuchni, żeby Rachel zobaczyła jego dzieło. Ta myśl okazała się dziwnie i boleśnie absurdalna, niemal jakby oglądała śmieszny filmik na YouTube: „Mąż oszalał, gdy żona nie przyszła na obiad”.

Postanowiła, że prześpi się na kanapie. Nie chciała teraz mieć do czynienia z Michaelem. Zdjęła sweter i dżinsy. Piżamę miała w sypialni, a nie chciała tam wchodzić, więc stwierdziła, że położy się w samej bieliźnie. Po cichu umyła zęby w łazience i zdjęła z oparcia kanapy narzutę. Podłączyła telefon do ładowarki i włożyła poduszkę pod głowę. Zasłony w salonie nie dały się do końca zasunąć i przez moment patrzyła na pasek migoczącego granatowego

świata widocznego przez szparę. Jej myśli migotały w tym samym rytmie, w nieco mdlącym tańcu między ekscytacją z powodu dobrych wieści i winem w krwiobiegu a obrazem risotto rozmazanego na ścianie, błyszczącym chromowanym kranem, szumiącą zmywarką i chorą, wściekłą ciszą dudniącą o drzwi sypialni.

Później tej samej nocy obudziła się nagle, czując grube miękkie ciało na ustach, wciskające się boleśnie w jej nos. Jakiś ciężar spoczął na jej kościach biodrowych, na jej udach, na jej żebrach. A potem jeszcze więcej ciała na gardle.

Próbowała się uwolnić, lecz to przypominało odpychanie metalowego dźwigara. Przez krótką chwilę myślała, że to włamywacz, że jakaś zmora wemknęła się z mieszkania na trzecim piętrze po rynnie, przez balkon, przez szparę między zasłonami, coś płynnego, migoczącego, co zmieniło się w ciało z krwi i kości na jej ciele z krwi i kości. Ale zapach był zbyt znajomy. To był zapach jej męża. Oderwała jego dłoń od swoich ust i powiedziała:

– Kurwa mać, Mi...

Jednak dłoń znowu zasłoniła jej usta, tym razem mocniej, a druga sięgnęła do jej bielizny, szarpnęła za gumkę. Rachel próbowała ugryźć palce Michaela, lecz nie mogła dostatecznie szeroko otworzyć ust. I wtedy w nią wszedł, ścisnął ją za gardło, uniósł głowę, wpatrując się w sufit, z każdym ruchem wpychał ją coraz głębiej i głębiej w miękką kanapę, Rachel zaczęła liczyć każde kolejne pchnięcie, żeby zapanować nad emocjami, i wyszło jej czternaście. Czternaście pchnięć. Jego dłonie na jej gardle. Pulsowanie jej załzawionych oczu. Wierzganie nóg przygniecionych jego ciężarem. A potem skończył. Wyślizgnął się z niej. Zszedł. Jego ręce przestały ścisnąć ją za szyję. Stał nad nią, z absurdalnie rozczochranymi włosami, zdyszany, z płonącym ponuro spojrzeniem.

Rachel podniosła się i stanęła twarzą w twarz z Michaeliem. Z trudem oddychała, paliło ją w gardle od łez.

– Zgwałciłeś mnie – powiedziała zmienionym głosem, łamiącym się i chrapliwym. – Michael. Zgwałciłeś mnie.

Michael uśmiechnął się pod nosem.

– Śmierdzi ci z ust.

Poczuła, jak coś cieknie jej po nogach, i wyminęła go, żeby iść do łazienki.

– Podobało ci się – zawołał za nią. – Wiem, że ci się podobało. Nie udawaj mi tu, kurwa, że ci nie było dobrze. Poczułem, jak doszłaś, Rachel. Poczułem twój pieprzony orgazm.

Usiadła na sedesie i pozbyła się wszystkiego ze środka. Jej nagie ciało pokryło się gęsią skórką. Wycierała i wycierała, a potem wytarła jeszcze raz. Namoczyła ręcznik gorącą wodą i umyła się nim. Umyła ręce, gardło, usta, twarz. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i pomyślała o tych wszystkich momentach, tych wszystkich momentach, kiedy pilnowała się: płaciła za taksówkę, zamiast iść piechotą, wylewała drink do doniczki na wypadek, gdyby ktoś coś do niego dosypał. Przypomniła sobie tych wszystkich mężczyzn, dla których była miła, by nie wzbudzać ich agresji, chociaż wolałaby powiedzieć im, żeby się odpiardolili. Przypomniła sobie wszystkie skomplikowane plany, dłuższe trasy do domu, udawane rozmowy telefoniczne, wiadomości o bezpiecznym powrocie, randki, o których powiedziała znajomym, żeby wiedzieli, gdzie była, na wypadek gdyby nie wróciła. Pomyślała o tym, jak bardzo dopasowywała siebie, swoje przyzwyczajenia i zachowanie przez ostatnie dwadzieścia lat, żeby pozostać niezgwałconą osobą, a teraz zgwałcił ją ktoś, kto powinien ją chronić, w miejscu, gdzie powinna być bezpieczna. Poczula sztuczność ostatnich dwóch dekad swojego życia, ich bezsensowność i daremność. Równie dobrze mogła chodzić skrótami, nosić krótkie topy, flirtować z podejrzanymi kolesiami. Równie dobrze mogła żyć swobodnie.

Czarny gniew zaczął się w jej głowie. Weszła do sypialni i zabrała piżamę spod poduszki. Michael stał i patrzył, jak wkłada z furią spodnie.

– Przekroczyłeś granicę, Michael. Wiesz o tym, prawda? Między nami wszystko skończone.

Michael zaśmiał się cierpko.

– Okej.

– Okej?

– Jasne, jak tam uważasz, Rachel. Rób z siebie ofiarę.

– Słucham?

– To ty. – Wyprostował palec w jej stronę, dźgnął nim mocno powietrze. – To ty wślizgnęłaś się do domu, śmierdząc alkoholem, i cholera wie gdzie się

szła jałaś. Zostawiłaś mnie, bez słowa...

– Przecież napisałam do ciebie.

– No, w końcu ła skawie napisałaś. Kiedy ja już miałem gotowy obiad. Kiedy ja już zdążyłem zaplanować cały wieczór pod ciebie.

– Idź do łóżka, Michael. Proszę.

– Pewnie szukałaś okazji. Nie mam wątpliwości. No i proszę... – Wskazał ręką kanapę. – Dostałaś, czego chciałaś. To teraz, kurwa, nie udawaj, że nie o to ci chodziło. Bo o nic innego. Poczulem to, Rachel. A teraz oboje wiemy, kim jesteś i czego pragniesz. Prawda?

Wyszła z sypialni, trzaskając za sobą drzwiami. Przez chwilę nie miała pojęcia, co robić. Stała i rozglądała się, jakby odpowiedź miała się pojawić sama w ciemnym kącie pokoju. Potem oprzytomniała. Włożyła płaszcz na pizamę, wciągnęła buty, sięgnęła po torebkę i wyszła z mieszkania, tym razem po cichu.

Samuel

Padał deszcz i teraz jest słonecznie, mokra powierzchnia drogi świeci nam w oczy, gdy jedziemy po Embankment. Nasze niebieskie światło obraca się leniwie, w ciszy, ponieważ nie wydarzyło się nic nagłego, jednak inni kierowcy powinni wiedzieć, że istnieje powód, dla którego samochód przed nimi jedzie dwadzieścia kilometrów na godzinę.

I wtedy go widzę, odsunięty od głównej ulicy i skryty za paskiem odgrodzonych ogródków, szereg imponujących domów w różnych kolorach i kształtach. Mam telefon w ręce i patrzę na zdjęcie budynku z wideoklipu.

– Możesz się tutaj zatrzymać, Donal? Jest jakiś skręt? Tak, o tutaj. Dziękuję.

Wjeżdżamy w przestrzeń między dużymi domami i ogródkiem, Donal parkuje. Znak na niskim murku wskazuje nazwę ulicy: Cheyne Walk.

– Który to?

Pokazuję mu zdjęcie na ekranie komórki i wskazuję budynek kawałek dalej.

W ogóle nie przypomina tego z wideoklipu. Zarósł pnączami, podwórko jest pełne śmieci, a okna są pokryte grubą warstwą brudu.

Wysiadamy, poprawiam marynarkę, mankiety. Donal ma na sobie tylko bomberkę i spodnie, które moim skromnym zdaniem są dla niego przyciasne.

Idziemy po ścieżce pełnej suchych liści, przerośniętej trawy i mchu. Słychać szczekanie psa i do drzwi podchodzi mężczyzna. Jest ubrany w czarno-szary strój do treningu. Pies jest duży, ale wydaje się spokojny, co przyjmuję z ulgą.

– Dzień dobry, nazywam się Samuel Owusu i jestem inspektorem policji, a to jest sierżant Donal Muir. Pracujemy dla wydziału specjalnego w Charing Cross i właśnie badamy popełnione wiele lat temu morderstwo. Mamy powody, by

uważać, że ta nieruchomość jest związana z wydarzeniami, które doprowadziły do śmierci ofiary. Jest pan właścicielem, panie...?

– Oliver Wolfensberger. I tak, to jest mój dom.

Ma akcent. Wydaje mi się, że jakby afrykański. Zakładam, że pochodzi z RPA, skoro jest biały.

– Chcą panowie wejść do środka? – pyta.

Od razu poznaję, że Oliver Wolfensberger nie ma bladego pojęcia o niczym, za to chętnie dowiedziałby się więcej. Osoba, która tak łatwo wpuszcza policję do swojego domu, albo nie ma nic do ukrycia, albo wręcz przeciwnie. Mam silne podejrzenie, że w przypadku tego człowieka chodzi o to pierwsze.

Wnętrze budynku wygląda zupełnie inaczej niż w teledysku zespołu Birdie. Nie ma żadnych wypchanych zwierząt na ścianach. Nie błyszczą żaden żyrandol, na schodach nie leży wzorzysty dywan, nie widać też żadnych tronów obitych czerwonym aksamitem. Dom został ogołocony, powietrze jest gęste od kurzu i drobinek, które migoczą w blasku słońca. Od ściany odkleiły się pasy porwanej jedwabnej tapety, potrzaskane deski podłogowe skrzypią przy każdym kroku.

– Budynek niszczał przez ponad dwie dekady. Parę tygodni temu dostaliśmy klucze i właśnie szykujemy generalny remont. Za moment mam się tutaj spotkać z architektem. Ale cóż, właśnie tak wyglądało to przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Trochę smutne, prawda?

Oliver Wolfensberger prowadzi nas do kuchni, jedyne umeblowanego pomieszczenia: stoi tu zdezelowany stół i dwie długie ławki. Siadamy i Oliver uśmiecha się do nas.

– No więc – rzuca, kładąc dłoń na głowie psa. – Proszę mnie dłużej nie trzymać w niepewności. Co dokładnie chcieliby panowie wiedzieć?

– Badamy sprawę możliwego morderstwa niejkiej Bridget Dunlop-Evers, do którego miało dojść jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Jej szczątki zostały tydzień temu odkryte nad Tamizą, jednak nie żyje dużo dłużej. Jej rodzina nic nie wie, stracili ze sobą kontakt mniej więcej w czasie jej zaginięcia. Niemniej pojawiła się informacja, że Bridget miała się zatrzymać u nowej koleżanki, która miała bardzo duży dom. Pani Dunlop-Evers była muzyczką i wygląda na

to, że jej zespół nagrał teledysk tutaj, w tym budynku, parę lat przed tym, jak zaginęła. Proszę spojrzeć.

Odwracam telefon w stronę Wolfensbergera i włączam wideo, które zapisałem sobie na YouTube.

Mężczyzna ożywia się.

– O mój Boże. Tak. To jest mój dom. Tak! Rany!

– Pamięta pan tę piosenkę?

– Nie. Obawiam się, że nie. Ale może moja żona ją pamięta. Kate pracuje w branży muzycznej. Ma szeroką wiedzę na ten temat. Nie mogę się doczekać, kiedy jej to pokażę. Będzie taka podekscytowana! – Wskazuje na mój telefon. – Która to Bridget?

Wciskam pauzę, kiedy w kadrze pojawia się Birdie.

– To ona. Gra na skrzypcach.

– Wow. Niesamowite! Ale teraz...?

– Tak, niestety teraz wiemy już, że nie żyje. I sprawdzamy, czy przypadkiem to nie jest dom, do którego się wprowadziła. Zastanawialiśmy się, czy nie zna pan może historii tego budynku? Na początek niech pan powie, od kogo go kupił.

– To była młoda kobieta. Bardzo młoda kobieta. Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat. Rodzice zostawili jej ten dom w funduszu powierniczym, kiedy ona była jeszcze niemowlęciem, a oni... Mój Boże, tak. Zginęli. Tutaj. W tym domu. Ona została znaleziona sama na piętrze. Jako małe dziecko. – Oliver Wolfensberger drży lekko. – Najsmutniejsze jest to, że została adoptowana i dowiedziała się o tym domu dopiero w swoje dwudzieste piąte urodziny. Przez długi czas nikt nie był zainteresowany kupnem ze względu na jego stan. Możliwe, że z powodu przeszłości też. Rozumie pan?

Kiwam głową, bo zdecydowanie zaczynam rozumieć.

– Co pan wie o śmierci jej rodziców?

– Niewiele. Wydaje mi się, że popełnili wspólne samobójstwo. Coś w rodzaju paktu? Potworność. Prawdziwa potworność. Wiem, że niektórzy ludzie mogą mieć wrażenie, że ten dom jest w jakiś sposób przeklęty. Jednak ja nie wierzę w takie rzeczy. Mam bardzo pozytywne podejście do życia i przybyłem tutaj, żeby sprawić, by ta przykra przeszłość odeszła w zapomnienie. Niemniej

czasami wciąż o tym myślę. O tych smutnych wydarzeniach. Takie słodkie dziecko, pozostawione samo sobie. Ktoś napisał o tym artykuł, wie pan? Jakiś dziennikarz śledczy. Nie przeczytałem, bo nie chciałem, żeby wpłynął na moje postrzeganie tego miejsca, ale wydaje mi się, że opublikowano ten tekst w „Guardianie” kilka lat temu. Nie mieszkaliśmy wtedy w Wielkiej Brytanii, więc nie wiem nic więcej, lecz na pewno da się go znaleźć.

„Guardian”, zapisuję w notatkach.

– Dziękuję – mówię. – A nazwisko tej młodej kobiety, która sprzedała panu dom? Może mi pan je podać?

– Tak, oczywiście. Nazywała się Libby Jones.

Notuję.

– Ma pan jej dane kontaktowe?

– Niestety nie. Ale wydaje mi się, że nie mieszkała w Londynie. Może gdzieś tuż za miastem?

„Za miastem”, zapisuję w notatkach.

– A mógłbym się rozejrzeć? – pytam. – Tylko żeby się zorientować w panującej tu atmosferze – tłumaczę.

– Oczywiście, śmiało.

Wychodzimy za nim na korytarz.

– Proszę bez wahania się rozglądać. Niech pan wchodzi, gdzie tylko zechce. Otwiera, co tylko zechce. Gdybym był potrzebny, będę czekał na dole.

Szaro-biały pies podąży za nami radośnie. Zupełnie jakby oprowadzał nas po domu. Donal się z nim bawi, ale dla mnie zwierzę jest trochę zbyt duże. Gdyby był nieco niższy, czułbym się bardziej komfortowo.

W domu panuje poetycka symetria. Wszystko jest lustrzanym odbiciem wszystkiego, więc z łatwością odnajdujemy się w przestrzeni. Na piętrze są cztery sypialnie i cztery łazienki. Przez okna z tyłu widać ogród. Spoglądam na drzewa i robię kilka zdjęć dla naszego specjalisty, ponieważ oczywiście sam nie mam pojęcia, jak może wyglądać platan albo bożodrzew.

Na najwyższe piętro wchodzi się po mniejszych schodach. Tutaj sufit wisi niżej, a za drzwiami znajduje się wąski korytarz, który biegnie z jednej strony

domu na drugą. Każde drzwi po kolei skrywają małe sypialnie z okapami oraz widokiem na ogród lub ulicę. Donal woła mnie z jednego z pomieszczeń.

– Zobacz, szefie – mówi, gdy wchodzę do środka. Wskazuje na listwę przypodłogową.

Ktoś tutaj wydrapał jakiś napis. Kucam i odczytuję słowa: „JESTEM PHINEM”. Uwieczniam je na zdjęciu.

W długim korytarzu widać metalową drabinkę, która prowadzi do wjazdu w suficie. Wspinam się na górę, podążając za szerokim tyłem Donała, i wychodzimy na maleńki taras na dachu. Robię jeszcze kilka fotek drzew i samego dachu.

Jest tutaj kilka rynien, biegnących między wysmarowanymi smołą częściami dachu. Chociaż jest lato, są wypełnione suchymi liśćmi, które rozgarniam ostrożnie butem. Pod spodem kryje się mokra pulpa. Przechodzę po niej do komina i zaglądam na jego tył. Kolejna rynna wypełniona tym samym, jednak tutaj część pulpy wydaje się ruszona. Fotografuję to miejsce, a potem wracamy do środka i na korytarz.

Oliver Wolfensberger odprowadza nas do wyjścia, wyrażając chęć udzielenia nam każdej niezbędnej pomocy. Podaje nam namiary na kancelarię adwokacką zajmującą się funduszem powierniczym, który odziedziczyła Libby Jones, a następnie pozwala mi zrobić jeszcze kilka zdjęć frontu i drzew rosnących w ogrodzonym podwórzu naprzeciwko. Później wsiadamy z powrotem do auta.

Donal na fotelu kierowcy zapina pasy i pyta:

– Warto było tu przyjechać?

Wzdycham.

– Cóż, mam dziewięćdziesiąt procent pewności, że to jest dom, w którym Bridget Dunlop-Evers zakończyła swój żywot.

– Naprawdę?

– Tak. A ty co myślisz?

– Miał w sobie takie coś. Zdecydowanie istnieje taka możliwość.

Kiwam głową.

– Chciałbym, żebyś mnie podwiózł do kancelarii. Jest w Pimlico, niedaleko stąd. I byłoby super, gdybyś potem wrócił na komisariat i poszukał tego artykułu z „Guardiana”. A ja w tej chwili wyślę zdjęcia specowi od drzew i może na koniec dnia uda się zrobić duży krok do przodu w śledztwie. Ogromny.

Mam Phina w zasięgu wzroku przez pełne trzydzieści sekund, zanim zasłoni go grupa młodych mężczyzn kręcąca się pod klubem muzycznym. Kiedy udaje mi się ich wyminąć, Phina już nie widać. Patrę w prawo, patrę w lewo, patrę w górę. Po prawej od wejścia do klubu znajdują się zdobione drewniane drzwi z mosiężnymi elementami w stylu art nouveau oraz półkolistym witrażem. Przez okienko zauważam kształt postaci na schodach. Odsuwam się od budynku, żeby mieć lepszy widok – stoję przed wielkim blokiem mieszkalnym, który rozciąga się w obu kierunkach nad barami i sklepami, a wszędzie są okna wykuszowe z ołowianymi szybami, zwieńczone wstęgami rzeźbionymi w portlandzkim kamieniu koloru szałwiowej zieleni.

Widzę postać przemykającą za witrażem głównego okna na pierwszym piętrze. Obserwuję mieszkania na tym poziomie, aż w jednym z nich zapali się światło. Dostrzegam sugestię ruchu, lecz nie postać. Po drugiej stronie mieści się bar z tarasem. Siadam tam i zamawiam kieliszek szampana, a potem patrę i patrę, ale nic nie widzę i właściwie kto wie co powinienem zobaczyć. Jednak intuicja mi podpowiada, że gdzieś tam jest Phin. Właśnie rozpakowuje organiczne zakupy, otwiera butelkę organicznego wina, rozmawia z jakimś widmowym wyobrażeniem osoby, która może być jego przyjacielem albo gospodarzem Airbnb, kroi warzywa i tofu. (Zakładam, że Phin jest wegetarianinem, ponieważ kocha zwierzęta. Oczywiście w domu grozy zmuszano nas do niejedzenia mięsa; aż do dzisiaj mam fobię na punkcie dha!).

Kelnerka przynosi szampana, dziękuję jej z uśmiechem.

- Jak panu mija dzień? – pyta, stawiając przede mną kieliszek.
- Och, jest... miły – odpowiadam.
- Cudownie. Chyba nie mieszka pan tutaj na stałe, prawda?
- Zgadza się. Przyleciałem, żeby namierzyć dawnego przyjaciela.
- Wow. – Kelnerka otwiera szeroko oczy. – Jakież postępy?

– Nie. Jeszcze nie.

– Cóż, proszę się nie zniechęcać. Przyjaciel na pewno będzie podekscytowany, że go pan znalazł!

– Tak – mówię, cały czas nie odrywając wzroku od mieszkania po drugiej stronie ulicy. – Z pewnością.

Potem wibruje mi telefon i widzę połączenie przychodzące, uśmiecham się przepraszająco do dziewczyny i odbieram. To Kris Doll.

– Hej, Joshua! – zaczyna.

– Hej. Tak, to ja.

– Joshua, mam twój zegarek i ruszam do miasta jutro z samego rana. Mogę go podrzucić do twojego hotelu, jeśli nadal jesteś w Chicago.

– Och, to wspaniale. Dzięki, Kris. Będę bardzo wdzięczny! A o której godzinie mogę się ciebie spodziewać?

– Jakoś o ósmej.

– O ósmej. Świetnie. W takim razie do zobaczenia.

– Nie musisz wstawać. Zostawię go w recepcji.

– Jestem rannym ptaszkiem, Kris, i tak nie będę spał. Do jutra!

Słyszę, jak tembr jego głosu nieco się zmienia.

– Ach, jeszcze jedno. Joshua, miałem ci coś powiedzieć, ale zupełnie mi to wypadło z głowy. Zanim cię wczoraj odebrałem, otrzymałem dziwny telefon. Dzwonił ktoś o imieniu Mike i miał brytyjski akcent. Znasz jakiegoś Mike'a?

– Och, pewnie tak. Każdy zna jakiegoś Mike'a, prawda?

– No, tak właśnie pomyślałem. Wydawało mi się, że to ściema. Ale ten ktoś powiedział, że szuka niejakiego Henry'ego Lamba. Czy to ci się z czymś kojarzy?

Zaciskam mocniej palce na nóżce kieliszka. Waham się sekundę, pół, może krócej, ale być może to wystarczy, żeby Kris się zorientował. Potem odpowiadam zbyt szybko, ze zbyt dużą emfazą.

– Nie. Nie kojarzę nikogo takiego.

– Tak przeczuwałem, że to jakaś pomyłka, tylko wiesz, ten ktoś wspominał o Finnie. Krótco przed tym, jak powiedział, że nazywa się Mike. Najpierw przedstawił się jako Finn, a potem się poprawił i wtedy nie wzbudziło to we

mnie żadnych podejrzeń, ale później rozmawialiśmy o moim znajomym z Wielkiej Brytanii o imieniu Finn i to mi się wydało... dziwne. Rozumiesz. Takie niespotykane. No bo najpierw nie słyszę o Finnie przez długie miesiące, po czym w ciągu jakichś czterdziestu ośmiu godzin dowiaduję się, że wrócił do miasta, dostaję telefon od tego Brytola, a potem Finn pojawia się też w rozmowie z tobą, i to takie, sam nie wiem, dziwne.

– Tak – przyznaję. – To naprawdę dziwne. Czego chciał? Ten cały Mike?

– Och, podobno ojciec tego Henry’ego Lamba umiera i rodzina nie może się do niego dodzwonić, a znaleźli w jego historii wyszukiwania moją stronę i chcieli wiedzieć, czy do mnie dzwonił.

W mojej historii wyszukiwania.

Zamieram. Moja historia wyszukiwania. Nie wylogowałem się z Google’a. To oznacza, że każdy z dostępem do któregoś z moich starych urządzeń widzi, co wpisywałem w wyszukiwarkę. Prawdopodobnie łącznie z nazwą mojego hotelu, chociaż do końca nie pamiętam.

– Tak czy inaczej – ciągnie Kris – to najwyraźniej tylko zbieg okoliczności. Wszechświat chyba postanowił zrobić sobie z nas jaja. No, nieważne, do zobaczenia jutro!

– Właściwie to chyba wymelduję się dzisiaj z obecnego hotelu, wiesz? Właśnie zdałem sobie sprawę, że fajnie byłoby poznać jakieś inne miejsce, rozumiesz? Poczuć atmosferę innej okolicy. Daj mi chwilę i napiszę ci zamiary na nowy, gdy tylko się zamelduję. Okej?

– Pewnie! Pewnie, nie ma sprawy. Daj mi tylko znać i podjadę, dokąd trzeba. Miłych snów, Joshua!

– I nawzajem, Kris. I nawzajem.

Zostaję w barze naprzeciwko tamtego bloku do czasu, aż zgasną wszystkie światła, jedno po drugim, a budynek pogrąży się praktycznie w całkowitej ciemności. Potem wracam do swojego hotelu, wrzucam rzeczy do walizki (no, to właściwie kłamstwo, składałem je równiutko, bo naprawdę nie chciałbym ich później prasować; mam już i tak dużo na głowie, szczerze mówiąc, szkoda czasu na prasowanie koszulek) i wymeldowuję się. Wskakuję do ubera, żeby

zabrał mnie do następnego hotelu, w którym zarezerwowałem sobie nocleg przez telefon, ponieważ najwyraźniej nie umiem nie zostawiać cuchnących śladów w internecie. Hotel znajduje się kilka budynków od Magdali i bloku, w którym, jak mi się wydaje, mieszka Phin. Wysyłam namiary Krisowi przez WhatsAppa, siedząc w aucie o pierwszej w nocy. W pokoju rozpakowuję się, po czym otwieram piwo i piję pod prysznicem. Kiedy jestem już czysty i suchy, zmęczenie nie pozwala mi na nic poza położeniem się spać.

Budzik dzwoni następnego ranka o siódmej. Zarzucam na siebie jakieś ubrania i schodzę do jadalni. Szybko pochłaniam dwa croissanty, bo minęła prawie doba, odkąd ostatni raz jadłem, i nagle umieram z głodu. Wypijam dwa pienne cappuccino i szykuję sobie kanapkę z bekonem, którą zawijam w papierową serwetkę i chowam do torby na później. Równie o ósmej maszeruję nonszalancko przez foyer, patrząc przez okno na ulicę, jednak najpierw go słyszę, a dopiero potem widzę: jego wielki motocykl ryczy niczym zwierzę, kiedy Kris zatrzymuje się przed wejściem. Na moich oczach odpina i zdejmuje kask, chowa go pod pachę, po czym rusza do środka. Podchodzę do recepcji i pytam o hasło do wi-fi, chociaż już je znam, następnie odwracam się od konsjerża i uśmiecham szeroko do Krisa, gdy ten dużymi krokami przemierza foyer.

– O, Kris! – mówię. – Poczekaj sekundkę, już do ciebie idę.

Udaję, że wpisuję hasło do telefonu, i zbliżam się do Krisa. Przy drugim spotkaniu wydaje mi się przystojniejszy i nagle dopada mnie dziwna nieśmiałość. Młodzieńczy rumieniec wylewa się z mojej piersi na dolną połowę twarzy i wciągam powietrze, żeby nad tym zapanować.

– Jak się miewasz?

– Świetnie – odpowiada. – Zaraz mam odebrać klienta z drugiej strony miasta. Ładnie tutaj. – Rozgląda się po wnętrzu. – To znaczy ten drugi też był ładny, ale ten hotel jest trochę bardziej... przytulny. No i okolica jest super. To zabawne, jesteś dosłownie rzut beretem od tego baru dla motocyklistów, o którym ci wczoraj opowiadałem. Tak czy inaczej, proszę, to twój zegarek.

Odbieram go z jego wyciągniętej dłoni.

– Dziękuję.

– I gdybyś jeszcze czegoś potrzebował w czasie pobytu w mieście, po prostu napisz do mnie, okej?

– Dziękuję – mówię jeszcze raz. – Dziękuję. Jesteś taki miły. – A potem przechodzę do sedna, idealnie dobierając ton głosu. – Och, a w ogóle to odzywał się do ciebie ten znajomy, o którym mi wspominałeś? Ten Brytyjczyk Finn?

– Nie. Jeszcze nie. Nadal próbuję go namierzyć. Ale słyszałem, że wynajął sobie Airbnb gdzieś w okolicy.

– Naprawdę?

– Tak. Kto wie, może nawet się gdzieś minęliście! Brytol z Brytolem! Zauważyłem, że się przyciągacie.

– Tak – potwierdzam. – Przyciągamy się.

Gapię się na swoje odbicie w lustrze toaletki w pokoju hotelowym. Próbuję nałożyć na nią obraz dawnego Henry'ego. Tego, którym byłem, zanim kazałem sobie spiłować kawałek szczęki, wszczepić implanty policzków, podnieść powieki, przeszczepić włosy. Zanim spędzałem po dwie godziny dziennie na siłowni. Zanim zacząłem układać swoje włosy z kosztownymi refleksami w fircykowaty kosmyk opadający na czoło, nosić idealnie dobrane designerskie ubrania z niezmienną dbałością o kształt kołnierzyków, długość nogawek spodni, guziki i podszewki, a zamiast tego nosiłem wciągane tenisówki i drętwe sztruksy, ciągle chodziłem rozczochrany, kolana wystawały mi jak ziemniaki i nie miałem pojęcia, co właściwie ze sobą począć. Jednak nie potrafię nadpisać tej osoby w lustrze. Ten nowy, poprawiony Henry jest zbyt silny. Czy Phin w ogóle by mnie rozpoznał? Gdybym na przykład stanął z nim twarzą w twarz w alejce z wegańskim jedzeniem w organicznym supermarkecie nieopodal i zapytał: „Próbował pan tych roślinnych paluszków z kurczaka? Nadają się w ogóle do czegoś?”, a potem uśmiechnąłbym się i chowając je do koszyka, podziękowałbym mu i życzył miłego dnia? Czy wiedziałby, że to ja? Czy może pomyślałby, że ma do czynienia z nieco dziwnie wyglądającym, nieco śmiesznym mężczyzną w średnim wieku z brytyjskim akcentem i trochę zbyt białymi zębami, trochę zbyt wyraźnymi refleksami na

włosach i trochę zbyt wystylizowanymi ubraniami? I wtedy odpowiedź uderza mnie jak ciężarówka.

Oczywiście, że tak.

Od razu by mnie rozpoznał. Zobaczyłby Henry'ego w przebraniu, bo mam silne podejrzenie, że nawiedzałem go w snach przez ostatnie dwadzieścia sześć lat, odkąd wszyscy uciekliśmy z domu grozy, odkąd zrobiłem mu to, co zrobiłem. Jestem żywym, chodzącym koszmarem Phina. On mnie nienawidzi. A kiedy się kogoś nienawidzi, to uczucie zostawia ślady w psychice trwalsze niż miłość.

Mimo wszystko myślę, że powinienem się postarać. Może pomogłoby jakieś nakrycie głowy. Wkładam bejsbolówkę i patrzę na siebie w lustrze. Potem okulary przeciwsłoneczne. To musi wystarczyć. Zapomniałem spakować sztuczne wąsy.

Miła kelnerka z baru naprzeciwko mieszkania Phina znowu jest w pracy. Rzucam jakimś żartem o tym, czy w ogóle wraca do domu, a ona uprzejmie się śmieje. Zamawiam kawę, to już trzecia tego dnia, co jest pewnie złym pomysłem w tych okolicznościach, jednak skoro wszystko, co aktualnie robię, jest złe w tych okolicznościach, nie będę się przejmował kolejną dawką kofeiny. Spoglądam w górę na tętniący życiem blok Phina. Drzwi wejściowe otwierają się i widzę dwóch młodych mężczyzn, którzy wychodzą razem, a każdy niesie szczeniaka buldożka francuskiego. Chwilę później pojawia się jakaś para starsuszków. Kobiecie torebka zsuwa się z ramienia, on poprawia pasek, a ona patrzy na niego spode łba. Następni są matka z nastoletnim synem, potem starszy ojciec z dwiema córeczkami.

Kelnerka przynosi kawę i dziękuję jej wylewnie. Czekając, włączam aplikację z Airbnb i szukam miejsc w pobliżu. Udaje mi się znaleźć mieszkanie z jedną sypialnią i oknami wykuszowymi o ołowianych szybach. Znajduje się w tym samym budynku i jest zabukowane na kolejne dziesięć dni. Czyli teraz mogę jeszcze dokładniej wyobrazić sobie Phina, z tłem w postaci poduszek z wyhaftowaną na nich twarzą Fridy Kahlo, kaktusa mierzącego metr osiemdziesiąt, sufitu z lampą z plecionym abażurem z rafii, łazienki wyłożonej białymi płytkami z czarnymi kranami i wieszakami, szarej kuchni, ekscentrycznych ścierek i kostki limonkowego mydła obwiązanego sznurkiem oraz lawendy na vintage'owej tacy na herbatę.

Szukam na zdjęciach czegoś, co pozwoliłoby mi zlokalizować mieszkanie, i wtedy zauważam zarys drzew za oknem w sypialni. Przed budynkiem stoją tylko dwa drzewa i byłoby je widać wyłącznie z czterech mieszkań. Wracam do wyników wyszukiwania i znajduję inne mieszkanie w tym samym bloku. To jest w tej chwili dostępne. Nie tak ładne jak Phina, jednak całkiem przyjemne dla oka. Wysyłam prośbę o rezerwację. Dwadzieścia pięć minut później mam już opłacony nocleg i instrukcje dalszego postępowania. Kod zamiast klucza. Mogę wejść o dowolnej godzinie po południu. W tym momencie jest dziesięć po dziewiątej.

Jestem coraz bliżej. Tak blisko, że już wyczuwam zapach.

– Dlaczego tata wybrał takie beznadziejne imiona? – pyta Marco, z obrzydzeniem patrząc na swój paszport.

– Nie on je wybrał. Dostaliśmy takie.

– Do bani. Antoine. Czy ja naprawdę wyglądam jak pieprzony Antoine?

Wieczorem poprzedniego dnia Marco i Alf poinformowali Lucy, że udało im się namierzyć Henry'ego. Najwyraźniej ktoś na czacie na stronie Tripadvisor powiedział mu, że Phin może być w Chicago. A facet prowadzący firmę turystyczną zdradził, że ma odebrać jakiegoś Brytyjczyka z hotelu o nazwie Dayville. Lucy po raz ostatni spróbowała skontaktować się z bratem, tym razem z telefonu Alfa, jednak gdy dwie minuty później numer chłopaka również został zablokowany, już wiedziała, co musi zrobić.

Libby straciła przybranego ojca, kiedy była jeszcze dzieckiem, i myśl o tym, że to mogłoby się powtórzyć z jej prawdziwym tatą, zanim dziewczyna zdąży go poznać, była dla Lucy nieznośna. Dlatego odwiozła do niej Fitz'a i poprosiła Oscara, portiera, żeby karmił koty Henry'ego, napisała do szkół Stelli i Marca z informacją, że dzieci będą nieobecne, a potem zarezerwowała trzy bilety w jedną stronę do Chicago.

Teraz jest ósma rano, a ona i jej dzieci stoją w kolejce do odprawy na lotnisku Heathrow, ściskając małe, spakowane w pośpiechu torby i fałszywe paszporty. Kiedy Henry pierwszy raz zobaczył dokumenty załatwione przez byłego męża Lucy, powiedział, że są wyjątkowo dobrej jakości. Jednak jej wiara chwilowo się chwieje. Kobieta z odprawy wydaje się niesamowicie dokładnie sprawdzać paszporty rodziny przed nimi i serce Lucy zaczyna dudnić przerażająco w piersi, a dłonie trochę się pocą.

Wreszcie nadchodzi ich kolej i Lucy podaje dokumenty kobiecie, ona otwiera po kolei każdy i uśmiecha się ciepło, kiedy jej oczy odnajdują odpowiednie dziecko. Pyta: „Antoine?” i Marco kiwa energicznie głową. Potem pyta: „Céline?” i Stella potakuje nieśmiało. Kobieta otwiera paszport Lucy, patrzy jej w oczy, lecz nic nie mówi. Lucy wstrzymuje oddech. Później tamta zamyka

książeczkę, dziękuje z uśmiechem i oddaje dokumenty. Życzy im jeszcze bezpiecznej podróży i Lucy w odpowiedzi uśmiecha się i mówi: „Dziękuję, pani również!”, by odrobinę zbyt późno zdać sobie sprawę, że powiedziała głupotę.

W poczekalni kręcą się nerwowo. Ich samolot ma wystartować dopiero za ponad dwie godziny, przyjechali zdecydowanie za wcześnie. Jedzą śniadanie i Lucy kupuje Marcowi designerski plecak ze sklepu sportowego, a Stelli cekinową torebkę z Accessorize, po czym pozwala im napełnić je przekąskami i drobiazgami, książeczkami do kolorowania i z naklejkami, czasopismami, słuchawkami bezprzewodowymi i akcesoriami do telefonów. Potem mają wsiąść na pokład i Lucy musi jeszcze raz pokazać paszporty. Śniadanie podchodzi jej do gardła, w uszach szumi krew, w ustach wysycha, a serce dudni, lecz tym razem kobieta nawet nie patrzy na dokumenty, jedynie skanuje bilety i daje znak, że mogą przejść. Ruszają tunelem po wykładzinie i Lucy czuje mdlącą lekkość zabarwioną niedowierzaniem. Pięć minut później siedzą na swoich miejscach, ona przegląda czasopismo, podaje różne rzeczy dzieciom, a mężczyzna po drugiej stronie alejki uśmiecha się czule do Stelli, mówiąc, że w domu czeka na niego bardzo do niej podobna córeczka. Czterdzieści minut później są wysoko na niebie i przez okno Londyn wydaje się maleńki, niemożliwy, a następnie całkiem znika za kojącym kocem uplecionym z chmur.

Lucy jest zdumiona, że dotarła do Chicago. Nigdy wcześniej nie była w Ameryce. Jako dziecko spędzała każde wakacje w Szwarwaldzie w Niemczech, gdzie mieszkała ich babcia. Raz czy dwa zdarzyło jej się polecieć do Stambułu na wesela rodziny ze strony dziadka. W którymś roku ojciec zabrał ich na Bali. To był pomysł matki, widziała artykuł o luksusowym kurorcie, gdzie na łózkach leżały płatki róż, w wannie czekała kąpiel z ciepłego mleka, na śniadanie podawano szampana, a młode dziewczyny z wyjątkowo sprawnymi nadgarstkami i begoniami we włosach robiły codziennie masaże. Jakoś zdołała przekonać Henry'ego seniora, żeby zabrał ich wszystkich, chociaż nie cierpiał tak dalekich podróży i nieznannej kuchni. Potem oczywiście podróże skończyły się na wiele lat, aż w końcu Lucy jako piętnastolatka trafiła do Francji. A teraz jest w Ameryce i mężczyzna podczas kontroli granicznej nie

nacisnął wielkiego czerwonego guzika na widok ich paszportów, lecz zamiast tego sztywno dał im znak, że mogą przejść. Siedzą na tylnej kanapie taksówki, za kilka chwil mają dotrzeć do hotelu Dayville, do Henry'ego.

– Tęsknię za Fitzem – odzywa się Stella.

Lucy ściska jej ramię, mówiąc:

– Ja też.

Naprawdę bardzo za nim tęskni. Fitz towarzyszył jej niemal bez przerwy przez ostatnie pięć lat, odkąd Stella była niemowlęciem. Teraz pies jest u Libby, która zaproponowała, że zajmie się również dziećmi, jednak Stella cierpi na straszny lęk separacyjny, więc podróżowanie bez niej nie wchodziło w grę, a Marco, oczywiście, nie zostałby w domu za żadne skarby świata.

– Henry myśli, że odnalazł Phina – powiedziała Libby tak lekkim tonem, na jaki tylko było ją stać. – Pomożemy mu przekonać go do powrotu do Wielkiej Brytanii. Nie zostaniemy długo, tylko tyle, ile trzeba, żeby znaleźć twojego tatę, obiecuję. I gdybyś miała problem z Fitzem, wiem, że twoja wspaniąta przyjaciółka Dido z przyjemnością go przyjmie, uwielbia tego psiaka.

Lucy nie ma pojęcia, czy Libby wyczuje czającą się za jej wartko płynącymi słowami panikę, ale – szczerze mówiąc – to najmniejsze z jej zmartwień, w tej chwili zdecydowanie najmniejsze.

– Proszę, jesteśmy na miejscu.

Kierowca zatrzymuje się pod hotelem Dayville i Lucy wygląda przez okno.

Henry, myśli sobie. Henry, jesteśmy.

– Przepraszam, pani Caron. Obawiam się, że nie mamy wśród gości żadnego Henry'ego Lamba.

– Wydaje mi się, że mógł się zameldować pod innym nazwiskiem. Proszę. – Lucy pokazuje kobiecie na recepcji zdjęcie Henry'ego na ekranie telefonu. – To jest Henry. Czy zatrzymał się u państwa?

– Właściwie to nie powinnam... – zaczyna ostrożnie, po czym spogląda na Stellę i uśmiecha się do niej pobłaźliwie. – To twój tatuś? – pyta ją.

Stella potrząsa nieśmiało głową.

– Nie, to mój wujek Henry.

– Twój wujek? – odpowiada kobieta z ciepłym uśmiechem. – Rozumiem. Tak, twój wujek był u nas. Jednak pod innym nazwiskiem.

– Był? – dziwi się Lucy.

– Tak, wymeldował się wczoraj.

– Och. – Lucy czuje, jak rozczarowanie i lekka panika ściskają jej żołądek. – A czy... czy wspominał, dokąd się wybiera?

– Tak. Powiedział, że chce obejrzeć inną część miasta. Niestety nie podał żadnych szczegółów.

Lucy wypuszcza powoli powietrze z płuc.

– A może mi pani zdradzić, jakiego użył nazwiska? Do rezerwacji?

Wzrok recepcjonistki wędruje do drzwi za jej plecami, a potem wraca na ekran. Kobieta zniża głos.

– Pewnie. Joshua Harris.

Lucy kiwa głową.

– Świetnie. Dziękuję. Bardzo dziękuję. Wyświadczyła mi pani ogromną przysługę.

– Joshua – syczy jej do ucha Marco, gdy kierują się do windy. – Tak się nazywał ten koleś, o którym wspominał facet z motocyklem. Joshua Harris. To on!

– Cóż – odpowiada Lucy, patrząc, jak otwierają się drzwi windy – niedługo się z nim skontaktujemy. Ale najpierw sprawdźmy nasz śliczny pokój. – Nie może teraz o tym myśleć. Naprawdę chciała go tutaj zastać. Chciała, żeby był tutaj. Nie chce go szukać, czekać na niego. On musi tu być, a ona musi wiedzieć, że Phin jest bezpieczny.

Ich pokój jest piękny. Zarezerwowała najdroższy, jaki mieli: nazywa się Aurora Suite. Jest cztery razy większy od tego, jaki wynajmowali w budynku Giuseppe w Nicei.

Marco ma własną rozkładaną sofę w swojej części. Oprócz tego mogą korzystać ze swojego balkonu i małej kuchni. Całe wnętrze jest utrzymane w kolorach wodnistego błękitu i spranej ochry, na ścianach wiszą ramki z botanicznymi printami, a neon barwy lodowego błękitu nad kredensem tworzy słowo „aurora”.

Stella kręci się po pokoju, ciesząc się z przestrzeni. Marco wypakowuje iPada Henry'ego ze swojego nowego eleganckiego plecaka i siada na sofie z butelką coli z minibaru oraz paczką orzeszków. Lucy wybiera tapicerowane krzesło, zwiesza ręce między kolanami i czując ciężar głowy na szyi, pozwala, by stres związany z podróżą, stres czterech ostatnich dni, a właściwie każdej chwili od czasu, kiedy dostała tamtą wiadomość od Henry'ego w piątkowe popołudnie, przeszedł przez nią od trzewi do płuc, a potem we wszystkich kierunkach, gdy Lucy wzdycha tak głośno, że Stella i Marco podnoszą na nią wzrok.

– Dobrze się czujesz? – pyta Marco.

Udaje jej się uśmiechnąć.

– Tak, wszystko dobrze. Tylko jestem strasznie, strasznie zmęczona.

Wysłała bratu wiadomość, chociaż wie, że na próżno. *Henry, nie wiem, czy to w ogóle przeczytasz, ale przylecieliśmy. Jesteśmy w Chicago. Zatrzymaliśmy się w Dayville. Proszę, proszę, zadzwoń. PROSZĘ.*

Spogląda na syna i widzi, że się do niej uśmiecha.

– No co?

– Chcesz wiedzieć, gdzie jest Henry?

– Tak – zaczyna Lucy – oczywiście, że chcę. Tylko nie dzisiaj, jeszcze nie, jutro go poszukamy...

Zaraz jednak urywa. Marco odwrócił w jej stronę ekran iPada Henry'ego i pokazuje jej hotel w innej części Chicago, Angel Inn. Stuka palcem i rozciąga usta jeszcze bardziej, patrząc spod zbyt długich kręconych włosów. – Jakieś dziesięć minut uberem stąd.

– Nie rozumiem...

– Koleś z motocyklem. Kris Doll. Właśnie napisałem do niego na WhatsAppie. Powiedziałem, że mężczyzna, którego szukamy, używa też nazwiska Joshua Harris i nadal próbujemy go namierzyć, żeby powiadomić go o chorobie ojca. Kris odpisał, że właśnie widział się z Joshuą dzisiaj rano w tym hotelu. – Jeszcze raz stuka w wyświetlacz. – Stwierdził też, że Joshua był jakiś dziwny. Zapytany o Henry'ego Lamba udawał, że nigdy o nim nie słyszał. I obczaj to, mamó, obczaj to. Koleś od motocykla kumpluje się z Phinem. Naszym Phinem. On go naprawdę zna. I to nie koniec, bo Phin podobno jest w Chicago, w tej chwili.

Lucy wciąga gwałtownie powietrze.

– Poważnie?

– *Oui, maman*, poważnie. – Twarz Marca rozpromienia się triumfalnie. – Jedziemy? Teraz?

– Dokąd?

– Do Angel Inn?

– Nie, Marco. Nie teraz. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, lepiej...

– Nie, mamó. Jedźmy teraz. A co, jeśli Henry znowu się przeniesie? Co, jeśli się dowie o naszym przyjeździe i postanowi uciec? Może już nigdy nie uda nam się go namierzyć. Chodź, przecież nawet nie ma piątej. Proszę.

Lucy znowu wzdycha, potem prostuje się, uderza dłońmi o uda i rzuca:

– Tak, oczywiście. Jedziemy.

Była już prawie trzecia nad ranem. Mimo panującej za dnia ciepłej pogody teraz zrobiło się zimno i Rachel widziała obłok swojego oddechu. Wyszła za róg do miejsca, w które miał podjechać jej uber, po czym nerwowo obserwowała na ekranie komórki samochód jadący w jej stronę, aż w końcu ciemność nocy przecięły widoczne we mgle snopy światła przednich lamp. Rachel usiadła z tyłu i powiedziała: tak, wszystko w porządku, dziękuję, jak się pan miewa, a potem obserwowała Londyn przez okno, jego śpiące kształty, zaciągnięte zasłony, od czasu do czasu jakiś jasny punkt, łagodnie ciągnącą się pustą ulicę, spokojne oczekiwanie na zmianę świateł, chociaż nikt inny nie jechał, ciche i rytmiczne klikanie taksometru, a później blask odbijający się od brudnej wody Kanału Regenta, białe lampki choinkowe rozciągnięte na barce, przedziwny kształt jej bloku, jakby odwróconej lodówki, nocne światło w wejściu, klucz w zamku drzwi jej mieszkania, zapach porzuconego domu, a potem padła na kolana, łzy ciekły jej po twarzy, po szyi, aż po kołnierzyk góry od piżamy.

*

Rachel obudziła się kilka godzin później. Leżała we własnym łóżku. Pościel tchnęła słabym, piżmowym zapachem. Powinna była zostawić świeżą, zanim przeprowadziła się do Michaela, jednak nie pomyślała o tym. A zeszłej nocy była zbyt załamana, żeby się tym zająć. Stała pół godziny pod prysznicem, wodę odkręciła tak mocno, jak się tylko dało, leciała jej na głowę, mieszając się ze łzami. Teraz miała już na sobie piżamę, której nie nosiła od wielu, wielu tygodni i która wciąż pachniała płynem zmiękczającym, jakiego używała we własnym domu. Skórę miała napiętą i zaczerwienioną po godzinie przygotowania o mdłości i pełnego furii płaczu z minionej nocy.

Kiedy się budziła, przez moment mogła cieszyć się przejrzystą niewinnością, ulotną jak płatek śniegu, zanim przypomniała sobie, że zgwałcił ją mąż. Potem ten obraz eksplodował w jej głowie, jego ciężar na jej ciele, jego dłoń na jej ustach, palce ściskające gardło, krew tętniąca w gałkach ocznych. Spojrzała w lustro i okazało się, że ma popękane naczynka i czerwony ślad na szyi. Między nogami miała siniaki, które bolały nawet wtedy, gdy ich nie dotykała. Stała pod prysznicem kolejne pół godziny, aż skończyła się ciepła woda. Zrobiła sobie kawę bez mleka i wypila ją na balkonie we frotowym szlafroku. Dzień był jasny i przyjemny. Kanałem w dole leniwie płynęła udekorowana kwiatami barka z dwoma brązowymi spanielami, które siedziały na dziobie, wyciągając łapy przed siebie. Nie sprawdzała jeszcze komórki. Wolałaby już nigdy więcej tego nie robić. Nie chciała patrzeć na jego słowa. Jego kłamstwa. Jego brud.

Zamiast tego poszła do swojego laptopa, tego zapasowego, którego miała od dziesięciu lat i który z każdym

kolejnym rokiem wydawał się większy i bardziej toporny. Weszła na pocztę firmową, jedyną, której adresu Michael nie znał. Zobaczyła wiadomość od Lilian Blow, która zajmowała się zaopatrzeniem Liberty w biżuterię z metali szlachetnych:

Rachel, dołączam do odbiorców tej wiadomości Rosie Havers. Rosie jest dyrektorem zaopatrzenia i zbytu towarów w Liberty, czyli grubą rybą. Ostatnio wierciłam jej dziurę w brzuchu, opowiadając o twoich pracach, i teraz również jest wielką fanką Rachel Gold. Pomyślałam, że może mogłybyście umówić się w tym tygodniu na lunch, żeby przyjemnie rozpocząć ten cały proces, żebyście poznały się trochę lepiej i omówiły długoterminowe plany, nadzieje i marzenia. Co myślisz?

Rachel zamrugała, wpatrując się w słowa wyświetlane na ekranie. Te słowa należały do innego świata. Innej osoby. Innej wersji jej życia. Zauważyła swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju. Próbowwała wyobrazić sobie tę osobę, jak siedzi w szykownej restauracyjce w bocznej uliczce Soho, pochyloną nad menu koktajli, by wybrać zamiast tego wodę albo misternie parzoną herbatę. Wyobraziła sobie kosztowne pierścionki zaręczynowe i nastoletnie dzieci z ciekawymi imionami, i błyszczące włosy, których nigdy nie ściskała

dłoń męża-gwałciciela. Zobaczyła siebie między nimi, ze strąkami na głowie, jak bije od niej zapach krzywdy i nieświeżej pościeli.

Potem otrząsnęła się z tego. Pokręciła mocno głową.

– Nie, nie, nie, nie – mamrotała do siebie. – Nie, nie, nie, nie, nie.

Spoliczkowała samą siebie, chrząknęła i przeciągnęła dłońmi po włosach.

– NIE! – powiedziała jeszcze raz, a potem napisała: *Cudownie. Wspaniały pomysł! Podaj mi tylko miejsce i czas, a na pewno się zjawię. Nie mogę się doczekać.*

Wysłała odpowiedź, która zaraz zniknęła z ekranu, a Rachel wyobraziła sobie, jak e-mail pojawia się w połączonych skrzynkach odbiorczych Lilian i Rosie. W przyszłym tygodniu znowu będzie dobrze, obiecała sobie w duchu. Zupełnie dobrze. Musi tylko przetrwać ten jeden dzień. Przetrwać ten dzień, minuta po minucie. Ubrać się. Iść do pracy. Zjeść lunch. Załatwić sobie prawnika. Pozbyć się Michaela ze swojego życia.

Otworzyła nowy e-mail, zaadresowała go do Dominique:

Hej, grubasko. To ja. Zjechało się. Potrzebuję adresu tej Twojej koleżanki adwokatkę, tej rudej, nie pamiętam jej imienia. Chyba muszę się rozwieść. Proszę, ani jednego pieprzonego słowa do kogokolwiek. I pisz do mnie tylko na ten adres. W tej chwili nie korzystam z telefonu. Kocham Cię.

Potem poszła do łazienki, otworzyła szafkę i wyjęła starą kosmetyczkę. Umalowała się. Zakryła ślad na szyi podkładem. Rozczesała włosy i spięła w kok. Popryskała się perfumami, włożyła ładne ubrania, po czym ruszyła do domu ojca.

– Córeczko! Wchodź! Cóż za wspaniała niespodzianka! Nie miałem pojęcia, że przyjdiesz!

Odwzajemniła jego uścisk nazbyt wylewnie, wciągając jego zapach.

– Wyglądasz na zmęczoną.

– Dzięki, tato. A tak się starałam!

– Przepraszam, kochanie. Co się stało? Pracowałaś do późna?

– A nawet dłużej. Tak. No i... jeszcze coś.

– Co takiego?

– Zaparz mi cappuccino, a wszystko opowiem.

Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż korzystanie z kosztownego ekspresu do kawy. Od razu poszedł do kuchni raźniejszym krokiem.

– Mleko odchudzone, tak?

– Tak, poproszę.

– Jakiś syrop?

– Nie, dziękuję. Zwyczajne cappuccino.

– Oczywiście.

Nie próbowali rozmawiać, gdy młynek miał ziarna. Kiedy wreszcie rozległo się finalne syknięcie i ostatnia kropla kawy spłynęła na mleczną piankę, Rachel wzięła głęboki oddech i oznajmiła:

– Tato, odeszłam od Michaela.

Zatrzymał się, a potem odwrócił w jej stronę. Oczy miał szeroko otwarte i wydał z siebie nieco groteskowy stłumiony okrzyk.

– Co takiego?

– Zeszłej nocy. Późno. Odeszłam, bo... pokłóciliśmy się i w ogóle. Już od dawna nam się nie układało. Właściwie to od podróży poślubnej, tato. Było naprawdę źle. Tak wiele... – Urwała i opanowała emocje. Zaraz spróbowała jeszcze raz. – Tak wiele się wydarzyło, tato. Nie mówiłam ci. Michael stracił wszystkie pieniądze.

– Jak to?!

– No właśnie. Stracił wszystko. To ja nas utrzymywałam. A do tego... cóż, pokazał swoją bardziej mroczną stronę.

– O mój Boże, ale chyba cię nie skrzywdził, prawda?

– Nie, tato. Nic z tych rzeczy. – Poczowała, jak ślad na szyi piecze mocniej przy tym kłamstwie. – Nie, chociaż czasami miałam wrażenie, że mógłby to zrobić. To koniec, tato. I strasznie, strasznie mi przykro. Przepraszam, że przeze mnie wydałeś tyle pieniędzy na ślub. I że jestem taka beznadziejna, że cały czas podejmuję kretyńskie decyzje, że mam pieprzone trzydzieści trzy lata i nic własnego, a ty ciągle musisz mnie wspomagać finansowo i nawet w małżeństwie nie umiałam wytrwać dłużej niż dwa miesiące. – Pociągnęła

nosem i wytarła łzy z policzków. – Przykro mi, że masz tylko mnie. Zaslugujesz na więcej, tato. Naprawdę, naprawdę zasługujesz na więcej. Strasznie przepraszam.

– Mój Boże, Rachel. Och, nie. Nie! Nigdy tak nie mów. Proszę. Jesteś najcudowniejsza, najwspanialsza, nie mogłem sobie wymarzyć lepszej córki. Zawsze byłaś i zawsze będziesz, nic, co mogłabyś zrobić, nie zmieni tego, co czuję. Nic.

– Ale jestem taka głupia, tato. Ten ślub. Tyle zachodu. Tyle pieniędzy. I ci wszyscy ludzie, którzy myśleli, że wiem, co robię. A nie miałam pojęcia, tato. Ani trochę. Wyszłam za dupka, kretyna, aroganckiego i narcystycznego dupka, bo dałam się nabrać na jego ściemę jak ostatnia idiotka, chociaż od samego początku były syreny alarmowe. Przecież ciągle się słyszy o takich jak on. Przecież tacy kolesie pojawiają się w tysiącach programów telewizyjnych, tysiącach powieści, tysiącach wiadomości każdego dnia o kobietach, które dają się wykorzystywać i okłamywać przez przemocowców. A ja mimo to stałam się jedną z nich, tato. Mimo to.

– Jeśli ci to poprawi nastrój, kochanie, mnie też zupełnie nabrał. Miałem go za wspaniałego człowieka.

– Nie jest wspaniały. Jest okropny. To tchórzliwy, wstrętny, żaloszny fiutek.

– Cóż, uczymy się całe życie, kochanie. – Nachylił się i chwycił jej dłonie. – Najważniejsze, że nie zrobił ci krzywdy.

Zabrała rękę.

– Tak – rzuciła, zbyt szybko.

– Czyżby jednak?

– Nie, tato, przecież mówiłam. Nie. Ale miałam wrażenie, że mógłby. I robiło się coraz bardziej toksycznie, więc najwyższy czas odejść.

– Będziesz wnosila o rozwód?

– Tak, będę. Poprosiłam Dom, żeby wysłała mi kontakt do koleżanki. To jedna z najlepszych prawniczek od rozwodów w Londynie.

– Zapłacę, kochanie. Wiesz o tym. Wszystko, bylebyś wy dostała się z tego bagna. W ogóle się tym nie przejmuj.

Teraz ona chwyciła jego dłonie i zaczęła je głaskać.

– Dziękuję, tato.

Potem przez jakiś czas rozmawiali o Liberty, o kontrakcie, o kolekcji, którą chcieli u niej zamówić: dwanaście pierścionków, dziesięć naszyjników, dziesięć bransoletek, dwadzieścia kolczyków.

W pewnym momencie ojciec popatrzył na nią poważnie.

– Rachel – powiedział. – Cokolwiek zrobisz, nie pozwól, żeby Michael dowiedział się o tym nowym przedsięwzięciu. Niech wierzy, że nadal masz problemy. Że potrzebujesz go bardziej, niż on potrzebuje ciebie. Nie pozwól, żeby ten człowiek wpadł na jakikolwiek trop twojego rychłego sukcesu. Ponieważ właśnie to będzie twoją drogą ucieczki, kochana, od tego okropnego człowieka: twój biznes. Twój talent. Twoje... *je ne sais quoi*...

Wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem uśmiechnęła się i z tego uśmiechu eksplodował śmiech, tak głośny i niespodziewany, że jej ojciec aż podskoczył.

– *Je ne sais quoi!* – powtórzyła ze śmiesznym akcentem. – Ha!

I wtedy dotarło do niej, że nigdy nikomu nie powie o tym, co się stało na kanapie u Michaela. Nigdy. Zabierze to ze sobą do grobu. Ponieważ była Rachel Gold, a Rachel Gold nie była ofiarą gwałtu. Nie była ofiarą gwałtu i kropka. Wymaże to ze swojej osobistej historii: to małżeństwo, tego człowieka, tę napaść. Wymaże to wszystko i zacznie od nowa.

Moje mieszkanie śmierdzi wybielaczem i mokrymi ręcznikami. Znajduje się na tyłach, wychodzi na sąsiednie budynki, metalowe kratownice schodów przeciwpożarowych, wielkie stalowe pojemniki na śmieci zbite w ponurą gromadkę na samym dole. Właściciel zostawił na stole w kuchni coś, co wygląda jak słoik domowej roboty czekoladowych truflif, a obok samotnego tulipana w wazonie, co jest oczywiście bardzo słodkie, ale niewiele podnosi atrakcyjność tego niezbyt przyjemnego miejsca. Myślę o mieszkaniu Phina i poduszkach z Fridą Kahlo, wzdycham. Oczywiście on dostał lepsze lokum. Oczywiście.

Wydedukowałem, że mieszkanie Phina znajduje się dwa piętra niżej i trzy drzwi po lewej. Zabieram klucz i ruszam po kamiennej klatce schodowej, w której odbijają się echem wszystkie dźwięki i która spaja wszystkie części budynku. Liczę mieszkania i widzę, że to wynajęte przez Phina ma drzwi pomalowane na prześliczny ciemny turkus i złotą kołatkę w kształcie lisiej głowy. Już czuję zapach olejku neroli i granatu z dyfuzora, który widziałem na zdjęciach. Przykładam ucho do drzwi, jednak ze środka nie docierają do mnie żadne dźwięki.

Wracam do mieszkania i otwieram walizkę, wieszam ubrania w zatechłej szafie, układając w głowie opinię, jaką wystawię temu miejscu po wyprowadzce. *Dość zniszczone wyposażenie. Przydałoby się jakieś odświeżenie.*

A potem nagle muszę się skonfrontować ze sromotnymi, potwornymi konsekwencjami wszystkich decyzji, które podjąłem od czasu opuszczenia Londynu. Jestem sam w smutnym mieszkaniu w Chicago, śledząc człowieka, który mnie nienawidzi, i nie mam pojęcia, co teraz począć. Jestem tak blisko Phina, jak się tylko da, nie włamując się do jego apartamentu, by znaleźć mnie opartego o poduszki z Fridą Kahlo, kiedy wróci po załatwieniu takiej czy innej sprawy – a to, cóż, byłoby już za dużo. Boję się, dokąd mogłoby nas to

zaprowadzić. Boję się, co mógłbym wtedy zrobić. Boję się, co on mógłby zrobić. Boję się mocy oddziaływania tego wszystkiego, co trzymało nas z daleka od siebie przez tyle lat, i boję się, do czego ta moc mogłaby doprowadzić, jeśli przypadkiem znajdzie się za zamkniętymi drzwiami wynajętego mieszkania. A później czuję, jak przytłacza mnie ciężar zniechęcenia. Dlaczego tutaj jestem? Co ja robię? Czego właściwie chcę, do cholery? Niespodziewanie muszę wstać i stanąć na baczność, gdy w jednej sekundzie to wszystko mnie dopada.

Sięgam po długopis i notes leżący na torbie z laptopem. Zapisuję wiadomość.

Drogi lokatorze mieszkania numer 12. Jestem pod 35. Nie podoba mi się obecne lokum i widzę na stronie Airbnb, że Twoja rezerwacja kończy się za dziesięć dni, więc z przyjemnością przejąłbym to miejsce po Tobie. Czy mógłbym je wcześniej obejrzeć? Jeśli to problem, w zupełności rozumiem. Gdyby jednak było to możliwe, proszę, zapukaj do mnie albo wyślij esemesa pod numer, który dołączam. Dzięki.

Waham się. Chciałem się podpisać Joshua, jeśli jednak Kris zdążył namierzyć Phina, możliwe, że wspominał o dziwnym i ciekawskim Brytyjczyku o tym imieniu, więc zastanawiam się chwilę i dopisuję „Jeff”.

Składam kartkę i wracam pod mieszkanie Phina, po czym zostawiam wiadomość pod lisią brodą. Później wychodzę do perfumerii, którą zauważyłem wcześniej trzy przecznice stąd, i wydaję tam siedemdziesiąt dolarów na odświeżacze powietrza i świece zapachowe.

Do wieczora nadal nie ma żadnej wiadomości od Phina. Jestem głodny, robi się ciemno i czuję potworną, dudniącą, tętniącą chęć czegoś, ale nie wiem czego. Nie wiem, czy chodzi o seks. Nie wiem, czy chodzi o alkohol. Nie wiem, czy chodzi o ćwiczenia, przemoc, głośną muzykę, czy śmieciowe żarcie, lecz niewątpliwie coś się kotłuje w moich trzewiach, niespokojnie, i chciałbym uderzyć w ścianę, tylko że robiłem to już wcześniej i okazało się niesamowicie bolesne, a skaleczenia i siniaki goiły się aż trzy tygodnie, więc nie za bardzo się to opląca.

Krążę po mieszkaniu, które teraz pachnie liliami i mandarynkami, a także rzekomo pianą morską. Zaciskam i rozluźniam pięści. Oddycham ciężiej. Oglądam przez chwilę pornografię na telefonie, ale tylko mnie irytuje. Postanawiam, że czas wyjść. Schodzę na pierwsze piętro i ruszam na korytarz. Mijam drzwi Phina i widzę, że notatka nadal wisi. Maszeruję na parter i wypadam przez drzwi frontowe prosto na ulicę, od razu czując w sobie energię ciepłego wtorkowego wieczoru, miasta wypełnionego pracownikami, którzy wreszcie oderwali się od swoich biur i rutyny; wypełnionego turystami i lokalnymi mieszkańcami, staruszkami i młodzieżą, a ja idę tam, gdzie oni idą, podążam za nimi niczym przytwierdzony niewidzialnym przyłączem wagon i myślę, że chyba wyglądam jak szaleniec, i myślę, że chyba jestem szalony, a światła migoczą i załamują się, przyprawiając mnie o zawroty głowy, jestem upojony i zupełnie trzeźwy, w pewnym momencie odłączam się od tłumu i zatrzymuję przed drzwiami francuskiej *brasserie* z mierzącymi metr osiemdziesiąt chamedorami przed ciężką aksamitną kotarą oraz szefem sali w dopasowanej czarnej koszuli i spodniach oraz z uśmiechem, który mógłby ściągnąć ptaki z drzewa, a także samotnego szaleńca z ulicy, zaraz prowadzą mnie do boksu i podają menu, zamawiam steka za dziewięćdziesiąt dolarów, krążki cebulowe oraz tybetańskie wino o nazwie Shangri-La, jedyne czterysta pięćdziesiąt dolarów za butelkę, i piję je, jakby było sokiem owocowym, mięsa prawie nie ruszam, bo właściwie to nie jestem w ogóle głodny, wędruję wzrokiem przez wnętrze w stronę wyjścia i patrzę na przechodzących chodnikiem mężczyzn i chłopaków, pragnę ich wszystkich, naprawdę wszystkich. Potem jednak moje serce wypełnia się gniewem, bo oni mnie nie chcą, więc zamawiam butelkę szampana Ruinart za sto dziewięćdziesiąt pięć dolarów, jem krążki cebulowe rękami i przeglądam Grindra tłustymi paluchami, a agonía bycia tak blisko Phina jest nie do zniesienia, pożera mnie od środka niczym obrzydliwy kawałek owocu i nie mogę nic począć z tymi uczuciami, każda rzecz, jaką chciałbym teraz zrobić, skończyłaby się pobytem w areszcie, więc tylko proszę o rachunek i płacę, dodając pięćdziesiąt procent napiwku, wstaję i okazuje się, że nie mogę utrzymać równowagi i muszę złapać za krawędź stołu, więc kelner, który właśnie otrzymał ode mnie trzysta dolarów napiwku, prowadzi mnie za łokieć przez restaurację, a robi to tak miło, że chociaż nawet nie jest ładny, mówię wbrew sobie: „Jesteś śliczny, jak się

nazywasz?”. Kiedy uśmiecha się do mnie, jakby miał zaraz zwymiotować, czuję, że to może być najgorszy moment mojego życia, a przecież było ich tak wiele.

Idę krzywo chodnikiem i chciałbym kogoś pocałować, uderzyć, zabić, nawrzeszczyć na kogoś, wsunąć rękę w czyjeś spodnie i ścisnąć tak mocno, żeby pisnął. W jakiś instynktowny sposób wyczuwam, że to jestem ja, to zawsze byłem ja, jednak zdusiłem to w sobie, pomniejszyłem, zamknąłem w klatce, uspiłem jak udomowionego tygrysa i w tej chwili wygląda na to, że dla mnie granica między zabiciem kogoś a niezabiciem zawsze była o wiele cieńsza, niż sobie zdawałem sprawę, i chciałbym dźgnąć kogoś w serce, chciałbym uderzyć go pięścią w twarz, chciałbym popełnić masowe morderstwo, zasypać ten tłum błyszczących twarzy kilkoma seriami z półautomatu i patrzeć, jak ludzie wrzeszczą, jak rozpierzchają się i padają na ziemię, uciskając rany, przez które wycieka z nich życie. Chciałbym to wszystko zrobić. Naprawdę bardzo bym chciał.

Jednak chciałbym też zażyć narkotyki. Marzy mi się kokaina. I trochę wódki. Wracam do Magdali i staram się udawać trzeźwego na tyle, na ile potrafię, po czym pytam barmana, czy zna kogoś, a on na szczęście od razu łapie aluzję i wskazuje mi kobietę w kącie po drugiej stronie sali, która wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat. Pije piwo, sama, a gdy do niej podchodzę, daje mi znak, żebyśmy przeszli do osłoniętego zaułka na lewo, i mówi:

– Wszystko w porządku? Wydajesz się nieźle nakręcony.

– Tak, jestem nakręcony – odpowiadam.

Tłumaczę jej, że wypilem butelkę wina i butelkę szampana, a teraz czuję się, jakbym tracił rozum, więc potrzebuję czegoś, po prostu potrzebuję czegoś, a ona na to:

– No, kokainy na pewno nie potrzebujesz, co do tego nie ma wątpliwości.

Daje mi działkę ketaminy i działkę valium, a ja jej daję pięćdziesiąt dolarów, ona wraca do swojego piwa, a ja wychodzę z pigułkami i proszkiem.

Od razu dopada mnie irytacja, że dałem się jej zniechęcić do kokainy. Mimo to nie chcę wracać, więc idę do innego baru, wypijam trzy shoty tequili jeden po drugim i wysyłam wiadomość do Krisa Dolla.

Jestem pijany i napalony. Przyjedź do mnie na tym swoim stalowym rumaku.

(Chociaż właściwie to wygląda tak: *Jestm pjany i naplon przyjd dmnie na tym soim stalwm rumau* z emotką motocykla).

Próbuję się dostać do klubu, ale ochroniarz nie chce mnie wpuścić i szarpie się z nim, uderzam dłońmi w jego klatkę piersiową, wyczuwam bezsens tych zmagania, kiedy on odpycha mnie wyhodowanymi na sterydach przedramionami, i odklejam się od niego jak mokry liść, na chwilę tracę kontrolę, wykrzykuję różne rzeczy do obcych ludzi, którzy patrzą na mnie z obrzydzeniem i cierpkim rozbawieniem. Oddaję ketaminę i valium dwóm nastolatkom. „Proszę, mam dla was narkotyki”. Odbierają ode mnie woreczki z otwartymi szeroko ustami, a potem jestem już pod blokiem, podnoszę wzrok i widzę światło w mieszkaniu Phina, czuję palenie w brzuchu, w sercu, w głowie, płomienie furii liżą mnie od środka i zaraz pochłoną mnie w całości, bo muszę, muszę, muszę...

Wchodzę do budynku, maszeruję po schodach na pierwsze piętro i wiem, że powinienem poczekać, powinienem to zaplanować, powinienem zrobić to jak trzeba, na Boga, jak trzeba, ale po prostu nie mogę i walę w turkusowe drzwi lisią kołatką, a za nimi rozlega się głos:

– Eee, słucham?

– Cześć – mówię z amerykańskim akcentem. – To ja, Jeff. Z góry. Czy mógłbyś mi poświęcić minutkę?

Na moment zapada cisza i przestępuję z nogi na nogę, po czym słychać zgrzyt zamka, drzwi się otwierają i blokuję je stopą, przytrzymuję ją w szparze i unoszę wzrok, przede mną stoi Phin, patrzy na mnie i widzę, jak w ułamku sekundy zmieniam się w jego świadomości z Jeffa z góry na Henry'ego z jego koszmarów, lecz jest już za późno, ponieważ znalazłem się w jego mieszkaniu i on absolutnie nic nie może na to poradzić.

CZEŚĆ TRZECIA

Samuel

Wiele się dowiaduję z artykułu z „Guardiana”, lecz jednocześnie jakby nic. Tekst powstał w dwa tysiące piętnastym roku, napisał go niejaki Miller Roe i udaje mi się go namierzyć przez Google w ciągu około pięciu minut. Niestety nie odbiera telefonu, nie odpowiada na e-maila, a fizycznego adresu nie znalazłem, więc czekając na wiadomość, jedziemy z Donalem na wieś, żeby porozmawiać z Libby Jones.

Libby mieszka w eleganckim domu tuż za granicami St Albans. Wydaje mi się, że jest georgiański – to segment szeregowca z filarami i kremowymi, kręconymi schodami oraz zasłoną z bluszczu na murze. Prawnicy z Pimlico powiedzieli mi, że ten dom przy Cheyne Walk został sprzedany za ponad siedem milionów funtów, a ten wygląda, jakby nie kosztował nawet połowy czy jednej czwartej tej sumy. Ciekawe, co zrobiła z resztą pieniędzy. Nie mogę się oprzeć myślom o zylionie rzeczy, które sam bym za nie kupił. Skończyłem trzydzieści sześć lat, nie mam żony ani dzieci. Wydałbym część tej sumy na mieszkanie we Florencji z widokiem na galerię Uffizi przy Piazza della Signoria i może jakieś dzieła sztuki, żeby je nimi ozdobić. Większość oddałbym matce, oczywiście, żeby kupiła sobie dom, w którym nic nie cieknie i nie skrzypi, gdzie wszystko można załatwić naciśnięciem guzika, a potem zainwestowałbym dużo w emeryturę, ponieważ nie mam najmniejszego zamiaru żyć jak moja matka za kwotę, którą prestiżowy bank zatrudniający ją przez ponad trzydzieści pięć lat uważa za wystarczającą. A na koniec spłaciłbym kredyt hipoteczny i uczcił to szampanem, który kosztuje więcej niż moja miesięczna rata.

Właśnie z takimi myślami wysiadam z auta i idę za Donalem pod drzwi wejściowe atrakcyjnego, lecz skromnego domu Libby Jones. I wtedy zbija mnie z tropu fakt, że na domofonie są cztery guziki, a nie jeden. Zdaję sobie sprawę, że dom został przebudowany na wielorodzinny, a Libby Jones, spadkobierczyni

kilkumilionowej fortuny, zajmuje tutaj tylko jedno mieszkanie. Naciskam guzik z jej nazwiskiem i chwilę później w drzwiach pojawia się kobieta, jednak raczej nie Libby Jones, bo wygląda na znacznie więcej niż dwadzieścia sześć lat. Ma ciemne włosy sięgające ramion, okulary w bardzo grubych czarnych oprawkach oraz kwadratową twarz, a ubrana jest w coś, co wydaje się zielonym kombinezonem, ale może to jakaś nowa moda.

– Dzień dobry – mówię. – Nazywam się Samuel Owusu i jestem inspektorem policji, a to jest posterunkowy Donal Muir. Szukamy Libby Jones.

– O rajuśku, a czy wszystko w porządku?

– Tak, wszystko w porządku. Czy mogłaby się pani przedstawić?

– Dido Rhodes. A co to za sprawa?

W tym momencie pokazuje się za nią mały pies, znacznie bliższy moim gustom, takiego rodzaju, który da się wziąć na rękę, który jest za mały, żeby skoczyć i polizać twarz. Warczy cicho, jakby się zastanawiał, czy chce zaszcześcić, czy nie, a potem milknie i siada u stóp Dido.

– Musimy porozmawiać z Libby Jones. Czy jest teraz w domu?

Dido Rhodes bierze pieska, a ja patrzę mu w oczy. Zwierzę odwzajemnia moje spojrzenie. Wydaje się taki mądry. W jego oczach widzę bogatą historię. Przeżył to i owo, a gdyby umiał mówić, tak myślę, powiedziałby mi wszystko, co muszę wiedzieć.

– Tak. Proszę poczekać. Libby! Libby! Przyszli do ciebie jacyś policjanci.

Nie odrywa ode mnie wzroku, wołając właścicielkę mieszkania, jakby bała się, że inaczej mógłbym zrobić coś niewłaściwego.

Zaraz pojawia się Libby Jones. Jest drobna i zadbana, ma bardzo jasne włosy. Ubrała się w wąskie szare dżinsy i zieloną kamizelkę oraz zielone klapki. Mruga z zaskoczeniem.

– Słucham?

Przedstawiam siebie i Donała jeszcze raz.

– Okej, a mogę...? Czy chcą panowie wejść do środka?

Piesek znowu zaczyna warczeć, kiedy przekraczamy próg. Uśmiecham się do niego uspokajająco, jednak to nie działa.

– Przepraszam. To nie mój pies. Należy do mojej matki. Po prostu się nim opiekuję. Jest trochę nadopiekuńczy.

Kiwam głową.

– To jego zadanie. Pies potrzebuje jakiegoś zadania, żeby być szczęśliwym, a jeśli mu się jakiegoś nie wyznaczy, sam je sobie znajduje.

Libby Jones śmieje się cicho i krótko, po czym prowadzi mnie i Donalę przez drzwi do maleńkiego mieszkania na parterze. Wnętrze jest bardzo ładne, oddaje charakter Libby swoim uporządkowaniem, swoją mdłą atrakcyjnością. Siadamy w salonie na kremowych lnianych kanapach i dostajemy od Dido szklanki z wodą.

– No więc, pani Jones, dostałem pani adres od Smithkin Rudd & Royle z SW1. Podobno odziedziczyła pani nieruchomość pod numerem szesnaście przy Cheyne Walk, mniej więcej roku temu?

– Tak, zgadza się.

– I niedawno ją pani sprzedała?

– Tak. Ostatnie formalności załatwiliśmy jakieś dziesięć dni temu.

– Nabywcy to Oliver i Kate Wolfensbergerowie?

– Owszem.

– I rozumiem, że dom niegdyś należał do pani rodziców?

Zauważam, że Libby przetyka ślinę, po czym chrząka. I już wiem, że skłamię.

– Moich biologicznych rodziców. Tak, zgadza się.

– I nigdy ich pani nie poznała?

– Nigdy. Zmarli, kiedy byłem jeszcze bardzo mała. Czy mogę zapytać, o co chodzi?

– Badamy sprawę możliwego morderstwa młodej kobiety, Birdie Dunlop-Evers, do którego doszło pod koniec lat osiemdziesiątych albo na początku dziewięćdziesiątych.

Na moment błyszczy jej oczy i już wiem, że rozpoznaje to nazwisko. Jednak zaraz potrząsa głową, dając znać, że nigdy o kimś takim nie słyszała.

– Możliwe, że w czasie śmierci mieszkała w domu numer szesnaście przy Cheyne Walk – ciągnę. – Czytałem artykuł z „Guardiana” o historii tego miejsca i potwornej tragedii, która spotkała pani rodziców. Podobno została pani

znaleziona w kołysce, sama na piętrze. Podobno w tamtym domu były też inne osoby. Nastoletnie dzieci. Niektóre doniesienia mówią o dwójce. Inne o trójce, a nawet czwórce. A jeszcze inne, że tam nigdy nie było żadnych dzieci. Dostawca myślał, że ten dom jest zakonem. Tak wiele sprzecznych zeznań. Czytała pani ten artykuł?

– Tak, oczywiście. Tak. To był jeden z pierwszych tekstów, jakie znalazłam w internecie, kiedy dostałam spadek. Wcześniej nie słyszałam nic ani o tym domu, ani o członkach swojej rodziny. To bardzo zagmatwana sprawa.

– W rzeczy samej. Wiele pytań. Garść odpowiedzi. Dlatego po lekturze wydawało mi się całkiem możliwe, że dom z tak chaotyczną i tragiczną historią mógł wchłonąć młodą kobietę w taki sposób, by nikt jej nie zauważył. By zniknęła bez śladu.

To nie jest pytanie. To stwierdzenie. Libby Jones nie może się zgodzić lub nie zgodzić, moje słowa wiszą przez chwilę w powietrzu, w ciszy.

Libby Jones poprawia ułożenie swoich kończyn, wszystkich czterech.

– Naprawdę nic mi o tym nie wiadomo – tłumaczy. – Nic ponad to, co przeczytałam w artykule. Nic więcej.

– Ale widziała pani dom? Przed sprzedażą?

– Och, tak. Oczywiście. Spędziłam tam trochę czasu po tym, jak dostałam go w spadku. Chciałam się rozejrzeć, wyczuć panujący tam klimat.

– I niczego pani nie widziała? Niczego pani nie znalazła? Niczego, co by mogło dać nam jakieś pojęcie na temat wydarzeń z dnia samobójstwa pani rodziców?

– Przykro mi, ale nie.

Kiedy to mówi, unosi rękę do gardła.

Cholera. Znowu skłamała. Jednak tym razem to przydatne kłamstwo, bo dzięki niemu wierzę, że jednak znalazła coś wykraczającego poza historię opisaną w artykule; że jednak wie coś i tylko postanowiła się tym ze mną nie dzielić; a jeśli podjęła taką decyzję, próbuje chronić albo siebie, albo kogoś innego. A kogo innego mogłaby chcieć chronić w tym przedziwnym scenariuszu, jeśli nie inną osobę zamieszana w historię tamtego domu?

Brata? Może siostrę?

Z artykułu wiem, że pozostałe dzieci Lambów nosiły imiona Henry i Lucy. Czy to możliwe, że znali datę przekazania spadku i namierzali Libby, żeby odzyskać swoją część? W końcu oboje zostali beneficjentami funduszu powierniczego, lecz żadne nie zgłosiło się po skończeniu dwudziestu pięciu lat. Czyżby czekali, aż „czystsza” osoba odbierze spadek w ich imieniu? Ktoś, kto w przeciwieństwie do nich się nie ukrywał? A może jedno z nich było w jakiś sposób odpowiedzialne za śmierć Birdie Dunlop-Evers? Tylko dlaczego? To jest właśnie pytanie, na które muszę znaleźć odpowiedź. Dlaczego nastolatek, a może dwoje, troje, czworo nastolatków miałyby chcieć zabić trzydziestoletnią kobietę?

– Widziałem ten dom wczoraj – mówię Libby. – Pan Wolfensberger pozwolił mi się rozejrzeć. Budynek zdecydowanie ma charakter.

– W sensie jest straszny?

– Tak, chyba tak. Trochę straszny. Trudno sobie wyobrazić, że mogła tam kiedyś mieszkać normalna rodzina.

– Może nie byli normalną rodziną. – Libby wzrusza ramionami. – No bo normalne rodziny raczej nie giną w wyniku zbiorowego samobójstwa, prawda?

Kiwam głową. To prawda.

– Miałam szczęście – kontynuuje. – Szczęście, że zostałam zabrana z tamtego środowiska i wychowałam się w normalnej rodzinie.

– A teraz ma pani do tego jeszcze dużo pieniędzy?

Uśmiecha się. Widzę, że spadek rzeczywiście ją uszczęśliwił. I zastanawiam się, co zrobiła z tak okazałą sumą. Czy gdyby rodzeństwo namierzyło ją, by odzyskać swoją część, i próbowało zrobić to groźbą albo szantażem, siedziałyby teraz taka zrelaksowana? A przecież jest zrelaksowana. Dlatego może jednak chętnie przekazała im pieniądze, może czuje się swobodnie z tak dużym spadkiem, ponieważ podzieliła się sprawiedliwie i bez przymusu.

– Czyli zamierza pani kupić teraz większą nieruchomość? – pytam.

– Tak. To znaczy mieszkanie też zatrzymam. Wynajmę je za bardzo niski czynsz młodej parze albo osobie samotnej. Komuś, kto ma problemy. Nie będę potrzebowała dochodu, ale wiem, jak ciężko jest w młodym wieku związać koniec z końcem. Wszystko jest takie drogie. Dla siebie szukam czegoś dalej od

miasta. Z kawałkiem ziemi. Jakiegoś miejsca, w którym mogłabym prowadzić warsztaty z projektowania wnętrz. Może jakąś stodołę albo coś takiego.

– Czyli będzie pani nadal pracowała?

– Cóż, to dopiero początek. Wszystko jest jeszcze w powijakach. Ale moja przyjaciółka, Dido – wskazuje na drzwi – jest główną projektantką i właścicielką franczyzy showroomu z meblami kuchennymi, w którym kiedyś pracowałam. Pomoże mi wszystko zorganizować.

Dido czeka zaraz za drzwiami. Myśli, że pozostaje niezauważona, jednak się myli. Słyszę jej oddech, jej gołe stopy na drewnianej podłodze, ciche chrząkanie. Ciekawe, jak dużo Dido wie na temat tajemnicy, której częścią jest jej koleżanka. Może tak dużo jak pies, który przestał już warczeć, ale cały czas nie spuszcza mnie z oka.

– Cóż. To chyba świetny plan i doskonały sposób na wykorzystanie spadku. A co z pozostałą jego częścią?

– Pozostałą częścią? – Wydaje się nieco zaskoczona.

– Dom na wsi. Stodoła. Firma. W dalszym ciągu zostanie mnóstwo pieniędzy, prawda?

– Cóż, nie do końca. No, część dam swojej matce. Oczywiście. I może, rozumie pan, wspomogę jakieś fundacje. Zainwestuję w coś. Takie tam.

Kiwam głową. Muszę w jakiś sposób dostać się na konto bankowe Libby Jones. Będę potrzebował nakazu, ale zacznę się tym martwić później.

– Nie martwi się pani czasem, że któreś z rodzeństwa się zgłosi, usłyszawszy o sprzedaży domu? W końcu informacje o tym można znaleźć w internecie. Niedługo urząd opublikuje kwotę sprzedaży i cały świat się o tym dowie. W tym pani brat i siostra, Henry i Lucy. Co pani zrobi? Jeśli panią znajdą?

Słyszę, jak Dido za drzwiami zaczyna głośno kasłać.

– To się nie wydarzy – oznajmia Libby.

Nie odpowiadam słowami, lecz unoszę brew.

– Pewnie już nie żyją.

Staram się udawać, że choć odrobinę wierzę w to, co przed chwilą powiedziała, ale nie jest łatwo.

– Nie żyją? – powtarzam. – To dość dramatyczny wniosek.

– A jednak tylko to ma sens, prawda? Sam pan mówił. Nastolatki, w jednej chwili były, a w następnej przepadły bez śladu.

– Ach, cóż, tak. Może się tak pani wydawać. Ale dużo łatwiej jest ukryć żyjącą osobę niż martwe ciało. Jako detektyw wiem o tym aż za dobrze. Zmiana nazwiska. Zmiana wyglądu. Wyjazd za granicę. Wszystko banalnie proste. Dlatego mogą jeszcze żyć, pani Jones. Właściwie to najbardziej prawdopodobne. Próbowала pani ich namierzyć?

Na moje pytanie odpowiada bardzo zdecydowanym ruchem głowy.

– Nie. Nie próbowałam.

– A chciałyby pani?

– Nie.

– Nie jest pani ciekawa, co się z nimi stało? Nie chciałyby pani nawiązać z nimi relacji?

– Po prostu założyłam, że nie żyją. Nigdy nie przyszło mi do głowy...

Wzdycham. Z tej rozmowy nic już więcej nie wyniknie. Jednak kiedy wstaję, pies zaczyna znówu warczeć, patrzę na niego i zdaję sobie sprawę, że zostało mi jeszcze jedno pytanie.

– Pies pani matki, zgadza się?

Libby kiwa głową.

– Ma pani na myśli adopcyjną matkę?

– Adopcyjną...? – Krew odpływa jej z twarzy. – Tak. – Ożywia się. – Tak, to jest pies mojej adopcyjnej matki.

– A gdzie ona teraz jest?

– W Hiszpanii. Mieszka w Hiszpanii, a raczej tam pomieszkuje. Ma tam swój dom. Czasami wraca. Prowadzimy, że mamy taką, no, wspólną psią opiekę.

Libby Jones zaczyna pleść, co jej ślina na język przyniesie. Kłamie. Albo próbuje zasłonić kłamstwo. Myślę o tamtym zdjęciu z „Guardiana”, przedstawiającym jej biologicznych rodziców: egzotycznej urody ciemnowłosa matka o tureckich korzeniach; niski ojciec z twarzą buldoga. Libby nie przypomina żadnego z nich. Pod żadnym względem. Wizyta w jej domu tylko zrodziła kolejne pytania.

Lucy i dzieci wysiadają z ubera pod Angel Inn. To budynek z lat dwudziestych, na pograniczu art déco i art nouveau, z oknami o metalowych framugach, do którego wchodzi się przez ozdobne chromowane drzwi obrotowe. Nie jest tak elegancki jak Dayville, za to bardziej urokliwy, bardziej w guście Lucy. I zapewne mniej w guście Henry'ego.

Po wejściu do foyer Lucy chwyta Stellę za rękę i rusza do recepcji.

– Dzień dobry – zaczyna. – Szukamy mojego brata. Mógł się zameldować albo jako Henry Lamb, albo jako Joshua Harris. To on. Zatrzymał się może u państwa?

Pokazuje recepcjonistce telefon. Kobieta uśmiecha się i kiwa głową.

– Tak, to pan Harris. Wynajął u nas pokój, jednak wymeldował się w okolicy pory obiadowej.

Lucy czuje ucisk w żołądku.

– Dzisiaj?

– Tak, niestety się państwo minęli!

– I nie wie pani, dokąd się udał?

– Przykro mi, ale nie. Nic nie mówił. Jednak ruszył piechotą, może to coś państwu podpowie?

Lucy odwraca się do Marca, a chłopiec kiwa głową.

– Tak – odpowiada. – To nam pomoże. Nawet bardzo. Serdecznie dziękuję.

Wychodzą z hotelu i przez chwilę stoją na chodniku. Wciąż jest jasno i ulice są zatłoczone, w ogródkach pierwsi wieczorni goście właśnie popijają do kolacji wino, a zachodzące słońce odbija się w kieliszkach. Lucy i jej dzieci rozglądają się przez moment, jakby mogli wypatrzeć Henry'ego ciągnącego za sobą walizkę.

– Co teraz? – pyta Marco.

Lucy wzrusza ramionami.

– Bóg jeden wie. To znaczy wyszedł na piechotę. Nie pojechał taksówką. Czyli wciąż musi być w okolicy.

Rozgląda się jeszcze raz, poszukując kropli jasnych włosów z refleksami, znajomego zarysu ramion, charakterystycznego plaskającego kroku stóp obutych w designerskie tenisówki albo drogie skórzane pantofle. Ale jego oczywiście nie ma. Oczywiście, że nie.

– Może pójdziemy coś zjeść? – Spogląda znowu na knajpkę po drugiej stronie ulicy, ze stolikami na chodniku i kieliszkami chłodnego białego wina, które migoczą w złocistych promieniach słońca.

Jednak Stella ziewa. W Londynie jest już po północy. Dziecko nie śpi prawie cały dzień. Jadą uberem do Dayville i zamawiają posiłek do pokoju, a o dwudziestej już wszyscy są pogrążeni w głębokim śnie. Nawet Lucy.

Następnego ranka Lucy budzi się w ciemnym żarze niespokojnego snu i przez chwilę po otwarciu oczu nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, zupełnie jakby była zawieszona do góry nogami, jakby sufit był podłogą, a podłoga sufitem, zaś ściany zbliżały się do niej. Prostuje się nagle i wciąga gwałtownie powietrze. Widzi loczki Stelli na poduszce obok i słyszy ciche pochrapywanie Marca za rogiem, w części salonowej. Sięga po telefon, żeby sprawdzić godzinę. Właśnie minęła ósma. Spali przez dwanaście godzin, jednak Lucy nadal jest wykończona.

Przeciera twarz i bierze prysznic, jeden z tych, po których człowiek nie czuje się ani trochę czystszy, chociaż rozgrzana ciepłem skóra pachnie cierpko grejpfrutowym żelem. Lucy przysiada na skraju łóżka w hotelowym szlafroku i włosami zawiniętymi w ręcznik, po czym bierze do ręki komórkę.

Serce jej na moment zamiera, a potem przyśpiesza. Na WhatsAppie widzi zalew wiadomości od Libby. Coś się stało psu, myśli w pierwszej chwili, ale nie, nie chodzi o Fitza. Chodzi o coś znacznie, znacznie gorszego.

Mamo. Nie chcę Cię wystraszyć, to na pewno nic poważnego, ale wczoraj była u mnie policja.

Zadawali pytania o Ciebie i Henry'ego. Czy żyjecie, czy kiedykolwiek się ze mną kontaktowaliście w sprawie spadku.

Kłamałam, jak tylko potrafiłam najlepiej.

Niestety trochę nawaliłam. Powiedziałam, że Fitz to pies mojej mamy. Potem musiałam udawać, że chodziło o moją drugą mamę, ale policjant wyczuł, że coś jest nie tak. Widziałam, że poznał się na moich kłamstwach.

Jednak dopiero ostatnia wiadomość Libby wywołuje w Lucy czystą panikę.

Powiedzieli, że badają sprawę morderstwa Birdie Dunlop-Evers. Udawałam, że nigdy wcześniej o niej nie słyszałam. Chyba mi uwierzyli. Chyba będzie dobrze.

Lucy puszcza telefon na łóżko.

Birdie Dunlop-Evers.

Widok jej nazwiska w konwersacji z Libby wystarczył, żeby wywołać u niej ciarki. Robi jej się ciemno przed oczami, jej głowa wypełnia się czarną mgłą, a w nosie czuje zapach włosów Birdie, jej nieświeży oddech na policzku, kiedy surowym gestem przesuwiała jej opuszki palców po strunach wysłużonych skrzypiec, na których uczyła ją grać.

*Pamięta te mentalne gierki, do których uciekała się w stosunku do Lucy pod koniec; jak wciągnęła ją w swój związek z Davidem; jak sprawiła, że Lucy czuła się wyjątkowa, wiążąc jej włosy gumkami, malując paznokcie lakierem i spędzając z nią czas na zakazanych aktywnościach, poza zasięgiem wzroku innych; pamięta, jak siedziała na materacu Birdie i jadła maltesers z dużej paczki, a Birdie patrzyła na nią głodnym wzrokiem. Pamięta *Smash Hits*. Paczkę gum o smaku owocowym. Psiknięcie drogich perfum z buteleczki ze złotą kokardą. Parę bordowych butów z zamszu na niskiej szpilce, które włożyła dla Davida Thomsena, a Birdie się nią zachwycała. Pamięta, jak David z każdą kolejną wspólną chwilą zbliżał się coraz bardziej do miejsca zajmowanego przez nią i Birdie; z początku obserwował je z daleka, potem z bliska, aż w końcu dołączył do nich, by ostatecznie pewnego dnia zostać z Lucy sam na sam, bez Birdie. Wtedy wydawało jej się to zaszczytem i ekscytowała się faktem, że David chce z nią spędzać czas bez Birdie. Odczuwała to jako lodowate łaskotanie wokół szyi, ucisk w żołądku, ciemny blask w jej ciele, coś, czego chciała, chociaż nie wiedziała, co to jest: może uwaga, lecz z pewnością nie tylko. Lucy pragnęła miłości. Pragnęła jej tak*

bardzo, że odczuwała to jak fizyczny ból. I właśnie tak nazywał to David Thomsen. Miłością.

I chociaż on przez lata często nawiedzał jej myśli, Birdie dawno temu zniknęła ze stron wewnętrznej historii Lucy. Stała się tylko przypisem. Zapachem. Urywkiem czegoś. Jednak teraz wypełniała całą jej głowę, każdy atom jej jestestwa, każdy skrawek psyche. Birdie z jej włosami do pasa i ładnymi dłońmi, z małymi zębami i krótkimi angielskimi samogłoskami. Birdie i jej martwe błękitne oczy. A teraz, gdy Lucy jest już kobietą, matką trójki dzieci, jest starsza, niż Birdie kiedykolwiek była, doskonale wie, że te cenne prezenciki, że te sekretne szepty, że te psiknięcia perfum miały sprawić, by poczuła się wystarczająco komfortowo i wyjątkowo, by poczuła się wystarczająco ważna, aby seks z czterdziestosześcioletnim mężczyzną, gdy sama miała zaledwie lat trzynaście, wydał jej się czymś dobrym. Lucy teraz wie, że to był grooming, a Birdie była potworem. I wie też, że Birdie umarła od ciosu w głowę, a to wszystko było związane z Henrym. Trzy ciała w kuchni. Birdie martwa w sypialni. Phin przykuty do grzejnika. Martwy kot. Dziecko, które jej matka straciła w piątym miesiącu ciąży. To wszystko było związane z Henrym, wszystko, jednak Lucy nigdy nie potrafiła do końca tego rozgryźć. Pamięta tylko szok, jakim był widok Birdie bez życia, bez mocy, jak szmaciana lalka, zwykle nic. Pamięta niesamowity ciężar jej ciała, kiedy wspólnie z Henrym zanieśli ją na dach domu przy Cheyne Walk...

A teraz w jakiś sposób, nieznany Lucy, policjant w Londynie odkrył, że Birdie nie żyje, po czym doszedł do wniosku, że to musi mieć jakiś związek z ludźmi, z którymi kiedyś mieszkała. Lucy nie ma pojęcia, jak ten londyński policjant połączył te rzeczy i jak to się stało, że zjawił się na progu domu jej córki w St Albans, zadając jej niewygodne pytania o rodzinę, za to na pewno te pytania, gdy już raz się pojawiły, nie znikną, wręcz przeciwnie, podążą za nimi kolejne, jak kroki w tańcu, aż dotrą w końcu do tamtej chwili w życiu Lucy, sprzed niemal roku, kiedy zrobiła coś szokującego, coś potwornego. Sznur na jej szyi zaciska się coraz bardziej i bardziej, pozbawiając ją tchu.

Rachel ostatecznie znowu włączyła telefon tydzień po tym, jak odeszła od Michaela. Nie miała od niego żadnej wiadomości, żadnego nieodebranego połączenia. Poczula zaskoczenie i ulgę. Każdego dnia, kiedy budziła się w swoim mieszkaniu w Camden Town, zaraz po otwarciu oczu zastanawiała się przez sekundę, gdzie się znajdowała w swoim życiu. Każdej nocy jej sny były wyraziste i zagmatwane. W nich znowu wychodziła za Michaela; znowu spała z Michaelem. W nich mówiła mu, że go kocha, że tęskni za nim, że go pragnie. Całowała go, przytulała i obejmowała, a potem budziła się i szybko przypominała sobie rzeczywistość, po czym zadowolona i lekka wstawiała z łóżka, witając nowy dzień w łagodnych objęciach niewinnej samotności. Dni robiły się cieplejsze, dłuższe, przyjemniejsze. Dopóki świeciło słońce, trzymała drzwi na balkon otwarte, poranną kawę piła na świeżym powietrzu i odnowiła więź ze wszystkimi dziwnymi i wspaniałymi ludźmi z okolicznej społeczności, z których niektórzy prawie nie zauważyli jej nieobecności, a inni byli ciekawi jej powodów.

W poniedziałek po odejściu (teraz tak to nazywała w swojej głowie; odeszła od niego i tyle, nic więcej) spotkała się z przyjaciółką Dom, Theą, zajebistą prawniczką od rozwodów. Thea mieszka w Primrose Hill, więc spotkały się w połowie drogi, w knajpce przy Gloucester Avenue, nad kanałem. Dom powiedziała Rachel, że to będzie gratisowa, piętnastominutowa przysługa, więc Rachel nie marnowała czasu na rozmowę o pogodzie.

– Poznałam go w sierpniu, pierwszą randkę mieliśmy w listopadzie, zaręczyliśmy się w grudniu, wzięliśmy ślub w lutym, a od czwartego dnia naszej podróży poślubnej małżeństwo było zwyczajną katastrofą.

– Katastrofą – powtórzyła Thea, odrywając kawałek cynamonki. – Jakiego rodzaju katastrofą?

– Taką z przemocą psychiczną.

Thea spojrzała na nią zmrużonymi oczami, potem włożyła sobie ciasto do pomalowanych na czerwono ust.

– W jakim sensie?

– Cóż, doświadczyliśmy wtedy chwili... seksualnego niedopasowania. Zasugerowałam coś nowego. Był oburzony. Od tamtej pory wykorzystywał to, żeby mnie karać. Miał problemy z... cóż, utrzymaniem erekcji. Stracił wszystkie pieniądze...

– Ile pieniędzy?

– Och, nie wiem. Nie jest zbyt wylewny, kiedy opowiada o swoich finansach, ale ponad milion. Tak, zdecydowanie ponad milion. Dlatego ostatnio to ja nas utrzymuję.

– Czyli wyszłaś za niego, myśląc, że jest bogaty?

– Tak. Zgadza się. Okazało się, że tamto mieszkanie w kurorcie narciarskim jest tylko współwłasnością, dom na Martha's Vineyard wynajmował na wakacje, a swój dom w Antibes udostępniał, żeby opłacić raty kredytu hipotecznego za mieszkanie w Londynie. Wszystko inne miał w gotówce, a tę stracił.

– Czyli odkąd wzięliście ślub, stracił pieniądze i erekcję?

– W gruncie rzeczy tak.

Thea wypuściła głośno powietrze przez nos i opadła na oparcie krzesła. Opuszkami palców zebrała na brzegu talerza płatki ciasta.

– Można by się pokusić o odwołanie do waszej przysięgi małżeńskiej, Rachel. Na dobre i na złe, i tak dalej. – Uniosła brew, patrząc wymownie na Rachel, która poczuła, jak mimowolnie zaciska pięści pod stolikiem.

– Chodzi o coś więcej. Zrobił się kontrolujący.

– W jaki sposób?

– Oczekiwał, żebym zawsze wracała z pracy prosto do domu na obiad, tego rodzaju rzeczy.

Brew znowu powędrowała do góry.

– A co robił, jeśli nie spełniłaś jego oczekiwań?

– No cóż... właściwie to nie wiem, bo zawsze je spełniałam. A potem, tylko raz, w zeszłym tygodniu, nie zrobiłam tego, a on rzucił talerzem risotto

w ścianę.

– Celował w ciebie?

– Nie. To znaczy właściwie nie było mnie przy tym. Znalazłam ten talerz, gdy wróciłam.

– I co jeszcze? Co jeszcze zrobił, kiedy nie wróciłeś do domu na obiad?

Rachel czuła, do czego zmierza ta rozmowa. Zdawała sobie sprawę, jak mało przekonujące są jej argumenty, pozbawione tego horroru, który urządził jej Michael na kanapie w minionym tygodniu. Szybko uniosła wzrok na Theę, spojrziała na dwie pary idealnie wytuszowanych rzęs, świeżo odebrany z pralni kaszmirowy golf, paznokcie o prostokątnych brzegach, prostą złotą obrączkę i okulary przeciwsłoneczne od Michaela Korsa spoczywające na niesamowicie błyszczących rudych włosach, po czym pomyślała sobie: Ta kobieta by na to nie pozwoliła. Ta kobieta nigdy nie została w ten sposób skrzywdzona. Jej ciało nigdy nie było potraktowane jak kawałek mięsa. I Rachel wiedziała, że jedyny sposób, by ją przekonać, iż ma solidne podstawy do rozwodu, to rzucić na stół gwałt niczym asa z rękawa. Tylko że nie mogła. Zwyczajnie nie mogła. Dlatego westchnęła i powiedziała:

– Nic. Tylko tyle. Tylko rzucił tym talerzem.

– I odeszłaś?

– Tak, tej samej nocy.

– Mąż kontaktował się z tobą?

– Nie, nie odezwał się ani słowem.

– Czy to coś, czego mogłaś się spodziewać?

– Nie. Właściwie to nie. Myślałam, że się wścieknie. Że będzie mnie nachodził.

– Nachodził?

– Tak, zabiegał o mnie. No, rozumiesz...

– A chciałaś tego?

– Nie! O Boże, nie! Cieszę się, że tego nie zrobił. Cieszę się, że od niego odeszłam. Że go nie ma. Naprawdę się cieszę. Nie chcę go nigdy więcej oglądać!

I stało się. Jej głos nabrał tego tonu rozdrażnienia. Ślub wzięty w pośpiechu, z bogatym mężczyzną, który okazał się nie być bogaty; z zakochanym i adorującym ją mężczyzną, który okazał się mieć ją w dupie, który pozwolił jej odejść; męskim mężczyzną, który rozczarował ją w łóżku. Rachel widziała, jak to wygląda z boku. Widziała to z bolesną wyrazistością. Była księżniczką, a jej księżę okazał się zwyczajnym facetem, więc rozczarowana trywialnością historii, która miała być bajką, teraz chciała się wycofać, a jej bogaty tatuś był gotów płacić pięćset funtów za godzinę zajebistej prawniczce od rozwodów, żeby to załatwić.

– Czyli właściwie mogłabyś z nim porozmawiać i spróbować się dogadać – powiedziała Thea. – No bo czy macie wspólną majątkową? Kredyty?

– Nie, każde z nas ma oddzielne nieruchomości.

– I żadnych dzieci? Długów?

– Nie.

– Czy mąż jest w posiadaniu jakichś twoich rzeczy?

– Nie. No, poza jakimiś ubraniami i kosmetykami. Nic ważnego.

– A ty masz coś należącego do niego?

– Nie.

– Są w to zamieszane jakieś osoby trzecie?

– Nie.

– Jeśli mam być szczerą, powinnaś załatwić to w cywilizowany sposób, na ile się tylko da. Kup sobie jakiś poradnik rozwodowy i rozpocznij ten proces.

– A co, jeśli on odmówi?

– Wtedy będziesz musiała iść do sądu i udowodnić, że doszło do całkowitego, nieodwołalnego rozpadu więzi małżeńskich. Albo możesz poczekać.

– Poczekać na co?

– Poczekać dwa lata w separacji.

– Czyli być jego żoną jeszcze przez dwa lata?

– Tak, ale mieszkając oddzielnie.

– I wtedy nie musiałabym niczego udowadniać?

– Zgadza się.

– Ani niczego wyjaśniać.

– Owszem.

Rachel pokiwała nieznacznie głową, kiedy ta możliwość zakiełkowała w jej umyśle. Potrzebowała niemal trzydziestu trzech lat, żeby znaleźć jednego kandydata na męża. Była pewna, że nie znajdzie zbyt szybko kolejnego. Właściwie była pewna, że nie chce już nigdy więcej wychodzić za mąż. Zamiast tego skupi się na swojej firmie. Na przyjaźniach. Będzie chodzić na jogę co tydzień. I spędzać czas z tatą. Przestanie korzystać z aplikacji randkowych i szukać związku. Postanowiła, że przejdzie na celibat. Na dwa lata. Da sobie radę. Była pewna, że da sobie radę. Na koniec separacji z Michaeliem będzie oczyszczona z całego syfu, jaki zostawili w niej mężczyźni i jej własne zachowanie przy nich.

– Wydaje mi się – zaczęła mówić Rachel, a wyświetlacz telefonu wskazywał, że za moment skończy się ich piętnaście minut – że właśnie tak zrobię. Tak. To jest dobre wyjście.

Twarz prawniczki złagodniała. Najwyraźniej Thea uważała, że Rachel podjęła właściwą decyzję.

– Jednak do tego czasu zadbaj o cywilizowane stosunki z Michaeliem. A najlepiej, żebyście w ogóle się ze sobą nie kontaktowali.

Nie kontaktowali.

Te słowa napełniły głowę Rachel pewnym spokojem.

– Tak – powiedziała. – Tak zrobię. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Dziecko Dom urodziło się dwudziestego ósmego kwietnia, w wyznaczonym terminie. Wążącej trzy i pół kilograma dziewczynce nadali imię Ava. Wiosna zmieniła się w lato, a Rachel nadal nie dostała ani słowa od Michaela. W czerwcu poleciała na Ibizę z Dom i Jonno oraz dzieckiem, a także drugą parą spodziewającą się maleństwa. Była tam jedyną singielką, lecz nie przeszkadzało jej to. Wyobrażała sobie ich prawdziwe życie za zamkniętymi drzwiami. Widziała rozbity talerz dyniowego risotto rozsmarowanego na ich ścianach, jeśli nie teraz, to w niedalekiej przyszłości. Wyczuwała napięcie

w tym, w jaki sposób zwracali się do siebie, szczególnie Dom i Jonno, którzy wdawali się w ciche spory o to, kto, kiedy i co powinien zrobić dla dziecka.

Pewnego wieczoru, kiedy północ przechodziła powoli w pierwszą w nocy, Dom i druga para zdążyli się już położyć do łóżek, a Rachel została sama z Jonno, popijając wspólnie tequilę i paląc skręta. Jonno, który w kwietniu ani słowem nie skomentował jej odejścia od Michaela, popatrzył na nią zmrużonymi oczami i powiedział:

– Dowiedziałem się też innych rzeczy. No wiesz, o Michaelu. Tylko Dom kazała ci nie mówić. Kiedy już się zaręczyliście.

Rachel zamrugła ze zdziwienia.

– Naprawdę?

– Tak. Chciałabyś, żebym... no wiesz, żebym ci powiedział? Czy wolisz...?

– Powiedz. Proszę, chcę wiedzieć.

Jonno zmrużył oczy w dymie, który właśnie wypuścił z ust, i podał skręta Rachel.

– Na pewno?

– Tak. Boże, po prostu powiedz.

Odetchnął, a potem położył dłonie na stoliku przed sobą.

– Te jego biznesy. Co ci o nich wspominał?

– Masz na myśli logistykę transportu? Sprzęt przemysłowy? Używany do robienia łodzi? Coś w tym stylu?

– Tak, zgadza się. Tylko że nie do końca. Raczej chodziło o sprzęt przemysłowy sprzedawany producentom dużych ilości narkotyków.

– Narkotyków? Naprawdę?

– Naprawdę.

– I jaką dokładnie rolę odgrywa w tym procederze Michael?

– W gruncie rzeczy jest pośrednikiem. Skupuje sprzęt od legalnych dostawców, a później sprzedaje z ogromnym zyskiem producentom narkotyków. Ma też jakiś udział w ich systemie obrotu towarem.

– Szmugluje narkotyki?

– W pewnym sensie tak. Lecz nie bezpośrednio. Wszystko jest załatwiane bardzo dyskretnie. I oczywiście byłoby bardzo trudne do udowodnienia.

– Jest przestępcą.

– No, nie do końca. – Jonno wzruszył ramionami i skrzywił się. – Niemniej trzyma się blisko przestępców.

– Stracił wszystkie pieniądze.

– Cholera. Tak ci powiedział?

– Powiedział, że towar zaginął w transporcie. Zapłacił za niego z góry, a ludzie, którzy go zgubili, nie chcą wziąć za to odpowiedzialności. Chodzi o milion funtów, albo nawet więcej.

Jonno wciągnął powietrze i opuścił głowę.

– Ja pierdolę. I to były jego pieniądze?

– No tak. Tak mi się wydaje.

Jeszcze raz zassał powietrze, tym razem pokazując zęby.

– Może jednak nie.

– Co masz na myśli?

– Może te pieniądze były... w obrocie, to znaczy, że miały zostać przekazane komuś innemu na pewnym etapie procederu. Czy Michael wydawał się szczególnie zestresowany?

– Boże, tak. W gruncie rzeczy właśnie dlatego od niego odeszłam.

Jonno pokiwał głową.

– Cóż, wydaje mi się, że z tej smutnej historii jeszcze coś wyniknie. Zdecydowanie to jeszcze nie koniec. – Potem skierował butelkę tequili w jej stronę i zapytał: – Jeszcze jednego?

Rachel uśmiechnęła się i odparła:

– Jasne. Czemu nie?

W lipcu Rachel wyprowadziła się ze swojego studia w Kilburn do znacznie większego w Holloway, bliżej mieszkania. Paige zgodziła się pracować razem z nią na pół etatu, prowadząc jednocześnie własny biznes, a bank udzielił jej kredytu w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy funtów na zakup materiałów do pierwszej ekskluzywnej linii dla Liberty. Ojciec wziął ten kredyt w jej imieniu, jednak Rachel postanowiła spłacić wszystko sama, co do ostatniego centa. To

koniec. Żadnych pożyczek, żadnego wsparcia finansowego. Na swojej stronie internetowej zorganizowała przecenę o pięćdziesiąt procent i wykorzystała zarobioną w ten sposób gotówkę, żeby zatrudnić dwóch profesjonalnych złotników, by pracowali razem z nią i Paige w ramach trzymiesięcznego kontraktu. Na koniec lipca była już gotowa próbka: po sztuce każdej pozycji z kolekcji. Zapakowały je z Paige w zamszowe woreczki i zabrały uberem do Liberty, aby Lilian i Rosie mogły je obejrzeć w pokoju z drewnianym parkietem, przy makaronikach na kwiecistej tacy i dzbanku herbaty. Romowie towarzyszył śmiech, lekkość i ekscytacja na myśl o przyszłości.

– Są doskonałe. Mój Boże, Lils, spójrz na ten wisiorek.

– O, wow, Rosie, zdecydowanie kupię sobie jeden z tych różowych pierścionków z zestawu. Po prostu wspaniałe.

– Rachel Gold, jesteś śliczna i genialna. Naprawdę.

Po powrocie do studia napiły się z Paige szampana i wzniosły toast za całą już wykonaną pracę i tę, która jeszcze je czekała, a potem schowały próbki kolekcji do superbezpiecznego sejf, zakupionego przez Rachel specjalnie do nowego studia, zgasiły światła i zamknęły za sobą drzwi. W poniedziałek pracę mieli rozpocząć zakontraktowani złotnicy; dni będą długie, noce jeszcze dłuższe. Siedemnastego października z okazji wielkiej premiery na wystawie w Liberty miało się pojawić po pięć sztuk każdej pozycji.

Tamtej nocy Rachel położyła się spać wcześniej, chociaż był piątek. Śniły jej się plany, liczby, płynące pieniądze i sejf pełen diamentów oraz złota.

Do końca sierpnia Rachel i jej nowy zespół zdążyli już wypracować solidny system pracy. Wszystkie egzemplarze na wystawę zostały zaprojektowane i wyprodukowane. A Michael w dalszym ciągu nie odezwał się ani słowem. Aż nagle, w pewne złowrogie, burzowe popołudnie, kiedy wiatr dręczyciel właśnie porywał z ziemi pierwsze zwiędłe liście, każąc im krążyć wokół ich stóp, a Rachel pierwszy raz od lata miała na sobie płaszcz, w połowie drogi między studiem a miejscem spotkania z Lilian i Rosie zatrzymała się nagle przed sklepem sprzedającym ubrania w szkocką kratę i poczuła, jak zapiera jej dech. W jej stronę szybkim krokiem, pod rękę z kobietą, która bardzo przypominała Ellę, drobną blondynkę z bożonarodzeniowego przyjęcia Dominique z zeszłego

roku, szedł Michael. Ubrał się w szary wełniany płaszcz, burgundowo-granatowy szalik w paski, zapuścił brodę i właśnie uśmiechał się do niej od ucha do ucha.

– Mój Boże, Rachel! Cześć!

Rachel poczuła, jak całe jej ciało drętwieje. Jej wzrok na krótko ześlizgnął się na kobietę przypominającą Ellę i zobaczyła przebłysk przerażenia na jej twarzy, zdając sobie sprawę, że to naprawdę ona. Jak Ella i Michael zeszli się ze sobą? Kiedy? Gdzie? Spotkali się tylko raz, tak krótko, a on jej nawet nie polubił, więc co teraz robił, idąc z nią pod rękę, i dlaczego uśmiechał się do Rachel jak do dawnej znajomej, a nie żony, którą zgwałcił na kanapie pięć miesięcy temu i od tamtej pory nie widział. Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiednia na tę okazję reakcja. Jej twarz nie wiedziała, co począć. Jej ciało chciało uciekać.

W końcu wykrztusiła z siebie:

– Eee, cześć. To znaczy, właściwie to... Muszę, spóźniona jestem...

– Jasne. Nic się nie martw. Miło było cię zobaczyć. Wyglądasz niesamowicie.

– Dzięki...

Dała mu znak, że musi uciekać, i uśmiechnęła się ponuro.

On raz jeszcze wyszczerzył do niej zęby, a potem, gdy właśnie go mijała, rzucił:

– Hej! A tak swoją drogą, Ella mówiła, że podpisałaś duży kontrakt. Z Liberty. Niesamowite! Totalnie!

Rachel poczuła suchość w ustach. Zatrzymała się i odwróciła, popatrzyła to na jedno, to na drugie, i zapytała:

– A skąd... skąd to wiedziałaś?

Ella spuściła wzrok na chodnik.

– Dom mi powiedziała.

– Dom...

– Tak, widziałam się z nią w zeszłym tygodniu. I mi powiedziała.

– Dom? Ale zaraz... to ona wie? O was? – Machnęła ręką, wskazując ich dwoje.

Ella trochę się zarumieniła i spojrzała na Michaela. Potem pokręciła głową.

– Czyli spotkałaś się z moją najlepszą przyjaciółką i pozwoliłaś, by mówiła o mnie różne osobiste, prywatne rzeczy, a ona nawet nie wie, że... – znowu machnęła ręką – że dzieje się to, co się dzieje?

– Och, daj spokój. Przecież to nic takiego – odezwał się Michael. – Na razie się z tym nie obnosimy, to wszystko. Nie ma żadnej wielkiej konspiracji. No bo czy podszedłbym do ciebie, żeby się przywitać, gdybyśmy próbowali coś ukrywać?

Rachel nie odpowiedziała. Michael uniósł protekcyjnie brew.

– Tak czy inaczej, Rachel, miło cię widzieć w tak dobrej formie. I gratuluję kontraktu z Liberty. Poważnie. Zasłużyłaś na to.

I zaraz zniknęli, a Rachel została sama na chodniku, nie mogąc się ruszyć, z zeszywniałymi nogami i sercem zimnym jak lód.

Samuel

Trzeba było całych dwudziestu czterech godzin, żeby zdobyć nakaz i zajrzeć na konto bankowe Libby Jones. W tym czasie otrzymaliśmy jeszcze raport od arborysty. Potwierdził, że drzewa, których gałęzie znajdowały się nad domem przy Cheyne Walk, to rzeczywiście platany, bożodrzewie oraz albicje, dokładnie te same, których szczątki tworzyły pulpę przyklejoną do kości Birdie Dunlop-Evers.

Mieliśmy to, czego potrzebowaliśmy. Dowód, że ciało Birdie było przechowywane na dachu domu pod numerem szesnaście przy Cheyne Walk. Poczulem napływ ciepłej euforii i przez chwilę siedziałem uśmiechnięty przy biurku.

Razem z Donalem wracamy teraz na Cheyne Walk, żeby dołączyć do techników kryminalistyki oraz Saffron Brown, śledczej.

– Cześć, Sam – mówi. – Miło cię widzieć.

– Ciebie również – odpowiadam i zauważam, że Donal wymawia bezgłośnie słowo „Sam” i uśmiecha się dziwnie, poruszając brwiami. Kompletnie go ignoruję i odwracam się do Saffron. – Bardzo przepraszam, że zostawiliśmy na dachu odciski butów. Mam nadzieję, że niczego nie zepsuły?

– Ani trochę, Sam. Żaden problem. Ale chodź i spójrz na to.

Podążamy za nią do ogrodu, mijając drzewo otoczone okrągłą ławką. W tym miejscu znajduje się wysoki mur całkowicie zarośnięty grubym, podeschniętym bzem. Jakiś technik właśnie kuca nad rabatą, wyciągając różne rzeczy z ziemi na arkusz folii. Ja czuję ucisk w żołądku, a Donal wydaje stłumiony okrzyk.

Kości.

Drobne białe kości.

– To nie to, o czym myślisz, Sam, nie martw się – mówi Saffron. – Należą do kota. Widzisz tę czaszkę?

Podnosi ją i pokazuje nam. Wyraźnie widać, że należała do zwierzęcia. Wzdycham z ulgą.

– I jeszcze tutaj – ciągnie, prowadząc nas w miejsce bliżej tylnej strony domu. – Widzicie? – Wskazuje prostokąt ziemi. – Tutaj kiedyś rosły zioła Justina Reddinga. A tam – jej palec wędruje w stronę dużych terakotowych doniczek – znaleźliśmy resztki *Atropa belladonna*, którą właściciele domu oraz tajemniczy mężczyzna otruli się w dziewięćdziesiątym czwartym. – Uśmiecha się szeroko i widać, że cieszy ją odkrywanie tej mrocznej historii tak samo jak mnie.

Zostawiamy Saffron i jej zespół przy Cheyne Walk i wracamy na komisariat, żeby przyjrzeć się jeszcze raz raportom policyjnym z czasu, kiedy znaleziono ciała ofiar „samobójczego paktu”.

Funkcjonariusze Robbin i Shah jako pierwsi pojawili się na miejscu w odpowiedzi na anonimowe zgłoszenie. Później dołączył do nich zespół techników medycyny sądowej oraz funkcjonariuszka Felicity Measures, która zajęła się dzieckiem. Zgodnie z dokumentami w domu było pełno dziwnych śladów sugerujących jakby sekciarską historię. List pożegnalny został podpisany inicjałami zmarłych: ML, HL, DT. Przetrzepano dokładnie wszystkie zgłoszenia osób zaginionych w poszukiwaniu kogoś o inicjałach DT, kto pasowałby do ciała tajemniczego mężczyzny pod względem wieku i aparycji, jednak nie znaleziono nikogo i wysiłków zaprzestano trzy lata później.

Miller Roe w swoim artykule z „Guardiana” zasugerował, że we własnym śledztwie w dwa tysiące piętnastym roku również natrafił na ślepy zaułek. Chociaż ostatni fragment zawierał przeblysłk kuszącej nadziei:

A potem, zaledwie tydzień temu, namierzyłem możliwego DT. Mężczyzna, który przyjechał z Francji w 1988 w wieku czterdziestu dwóch lat razem z żoną i dwójką dzieci, po czym przepadł bez śladu. Dopiero kiedy w 2006 jego matka była bliska śmierci, zgłoszono jego zaginięcie, jednak policja nie była w stanie go znaleźć, a ja dziewięć lat później również. Czyli to kolejna ślepa uliczka, kolejna niemożliwa do

pokonania droga, kolejna tajemnica w niekończącej się paradzie tajemnic łączących się z Serenity Lamb i jej króliczą łapką.

Ale Miller Roe wciąż nie odpowiedział na moją wiadomość i wciąż nie odbiera telefonu. W akcie desperacji proszę, by wyszukano w systemie jego adres. Okazuje się, że mieszka w South Norwood, i marnuję godzinę na podróż samochodem w dwie strony, by zastać mieszkanie puste i zamknięte. Sąsiad z góry mówi, że Miller Roe nie spędza już zbyt wiele czasu w domu, bo mieszka głównie u swojej dziewczyny. Pytam, czy zna jej adres, niestety nie zna, za to obiecuje, że na pewno przekaze Millerowi, że tutaj byłem, gdy tylko go zobaczy.

W końcu godzinę temu dostałem raport finansowy i chociaż siedzę sam przy biurku za zamkniętymi drzwiami, nie mogę się powstrzymać i wyrzucam pięść w powietrze, po czym wykonuję obrót na palcach lewej stopy, wydając przy tym dziwne dźwięki, bo mam to, czarno na białym na ekranie mojego komputera. Tego samego dnia, gdy Libby Jones otrzymała prawie siedem i pół miliona funtów, przelała dokładnie po dwa miliony czterysta osiemdziesiąt tysięcy na dwa inne konta.

Właścicielką pierwszego rachunku jest Marie Valerie Caron, zaś drugiego Phineas Thomson. Imię Phineas brzmi znajomo. Mam wrażenie, że niedawno je słyszałem, więc przeglądam pośpiesznie notatki, próbując sobie przypomnieć. I wtedy je znajduję, zapisane dużymi literami i podkreślone: „JESTEM PHINEM”. To są słowa, która Donal zauważył wydrapane na listwie przypodłogowej w domu przy Cheyne Walk, a ja je sfotografowałem. „JESTEM PHINEM”. Wtedy nic nie znaczyły. Teraz znaczą wszystko.

Wychodzę z biura i ruszam do koleżanki Maury w pokoju dochodzeniowym. Pokazuję wyciąg z banku na jej ekranie i odczytuję na głos nazwiska.

– Maura, musisz dowiedzieć się wszystkiego, co się da, na temat tych dwojga. Co tylko się da. Przetrzep nawet ich media społecznościowe.

Potem wracamy z Donalem do auta i raz jeszcze ruszamy do St Albans.

Libby nie ma w jej mieszkaniu. Jednak wspominała, że jej koleżanka Dido jest właścicielką showroomu z meblami kuchennymi w centrum miasteczka, więc

jedziemy tam i parkujemy przed wejściem. Dido wychodzi do nas z biura z tyłu i obrzuca mnie takim samym ostrożnym spojrzeniem jak dwa dni wcześniej.

– Och, witam? – rzuca niepewnie.

– Dzień dobry, pani Rhodes. Przepraszam, że niepokoję w pracy, ale szukamy pani Jones, a nie ma jej w mieszkaniu i nie odbiera telefonu. Naprawdę musimy z nią pilnie porozmawiać. Czy nie wie pani przypadkiem, gdzie można ją w tej chwili znaleźć?

Kuchnie pokazane w Northbone Kitchens są piękne. Bezwiednie przeciągam dłonią po kremowym marmurowym blacie i szybko ją wycofuję. Myślę o swoich własnych blatach, które wykonano z plastiku imitującego małe bloczki drewna, i nagle czuję, że są już stare i może czas na coś nowego. Zabieram wizytówkę z pudełka stojącego na tym samym kremowym blacie i trzymam ją między palcami wskazującym a środkowym.

Dido wzrusza ramionami. Właściwie nie tylko wzrusza nimi, ale unosi całą górną część ciała w stronę uszu, obraca dłonie wewnętrzną stroną do góry i wydyma dolną wargę.

– Nie mam pojęcia.

– Nie wie pani, gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem. Może poszła na zakupy?

– Tak, może tak. A gdzie zazwyczaj je robi?

– Nie mam bladego pojęcia. Pewnie w Waitrose.

Patrzę zmrużonymi oczami na Dido Rhodes, zastanawiając się, dlaczego wydaje się mnie tak nie lubić. Ciekawe, czy jest rasistką. Raczej jednak nie lubi mnie, bo boi się, że w jakiś sposób skrzywdzę Libby. Co jest, oczywiście, zupełnie możliwe.

– Cóż, pani Rhodes, gdyby się z panią kontaktowała, proszę jej przekazać, że inspektor Owusu i sierżant Muir bardzo chcieliby z nią porozmawiać tak szybko, jak to tylko możliwe.

– A o czym dokładnie? Czy nie powiedziała już wszystkiego, co wie? Chociaż, oczywiście, nic o niczym nie wie.

Wciągam powietrze i uśmiecham się przymilnie.

– Cóż, we wtorek sprawiała takie wrażenie, jednak dalsze śledztwo wykazało, że może wiedzieć więcej, niż sądziła. A tak przy okazji, pani Rhodes, jest pani bliską przyjaciółką pani Jones, zgadza się?

– Tak, jestem.

– W takim wypadku, gdyby w jakiś sposób udało jej się nawiązać kontakt z zaginionym rodzeństwem, powiedziałyby pani?

– Tak myślę – odpowiada, teraz z większą ostrożnością.

– Czy wspominała kiedykolwiek o jakimś Phineasie? Phineasie Thomsonie?

Bawię się wizytówką między kciukiem a palcem wskazującym, a kiedy obserwuję Dido, szybko dociera do mnie, że zaraz skłamię. Jak na tak opanowaną osobę ma dość wyraźne tiki. Widać je w tym, jak wreszcie odrywa ode mnie wzrok i spogląda w górę, jedno jej ramię nieznacznie wędruje do przodu, a biodra w lewo. Dostrzegam też delikatne zagłębienie w jej policzku, gdy zaciska zęby tuż przed tym, jak się odzywa.

– Nie. Nigdy o nim nie słyszałam.

– Okej. Cóż, tak czy inaczej dziękuję.

Jeszcze raz rozglądam się po olśniewającym showroomie, wyczuwając niespodziewaną potrzebę posiadania nowych błyszczących rzeczy, która jest głupia i jednocześnie całkiem ekscytująca. Potem żegnam się z Dido Rhodes kiwnięciem głowy i wychodzimy.

– Dokąd, szefie?

– Do domu Dido.

– Poważnie?

– Tak, oczywiście. A gdzie indziej miałyby być?

– Znamy adres?

Posyłam Donalowi uśmiech.

– Owszem. Jest tutaj, na wizytówce.

Podaję Donalowi kod pocztowy i ruszamy.

Lucy właśnie ślęczy nad porcją frytek w lokalu sieci restauracji In-N-Out Burger. Marco uparł się, żeby przyszedł tutaj na śniadanie. Sieciówka nie ma swoich lokali w Wielkiej Brytanii, a TikTok oszalał na jej punkcie. Mają nawet „sekretnie menu”, żeby podbić kultowość, a chłopiec właśnie pożera burgera, który opisano jako „zwierzęcy”, co wydaje się pasować, sądząc po tym, jak rozpada się w dłoniach i spływa po brodzie.

Marco dzień wcześniej odebrał wiadomość od Krisa Dolla. Podobno Henry wysłał mu dziwnego esemesa we wtorkową noc i wydawał się „niesamowicie pijany”, ale Kris nie odpowiedział i nie wie, skąd pisał do niego Henry, chociaż zaprosił go na drinka. Z tego wszystkiego wynikało, że przynajmniej aż do wtorku wieczorem Henry zdecydowanie żył i znajdował się w Chicago, w związku z czym żadna minuta spędzona poprzedniego dnia przez nich troje na spieczonych słońcem chodnikach tego miasta na poszukiwaniach nie była zmarnowana.

– Może się przebrał – rzuca teraz Marco. Jego język pojawia się na krótko, żeby zlizać kapkę czerwonego sosu z kącika ust.

– Kto?

– Henry. Może się przebrał. No wiesz, szukamy jasnych włosów i tak dalej. A on mógł je przefarbować. Albo włożyć czapkę.

– Wątpię, kochanie. Pokazaliśmy jego zdjęcie dwóm różnym osobom i obie go rozpoznały.

Marco wzrusza ramionami.

– Może.

Stella pije przez słomkę truskawkowy koktajl mleczny i przygląda im się w zamyśleniu.

– Kiedy będziemy mogli wrócić do domu? – pyta w końcu.

Lucy spogląda na nią, zastanawiając się, jaki dom ma na myśli Stella. Dziewczynka zdążyła w swoim krótkim życiu poznać ich wiele: mieszkanie na obrzeżach Nicei, w którym się urodziła i w którym żyła przez pierwsze dwa lata; potem mieszkanie Mémé, babci od strony ojca Stelli, na siódmym piętrze wieżowca, gdzie całą trójką gnieździł się w małym pokoiku, ale zostali wykopani po dwóch tygodniach, bo „to nie miało sensu”. Później były trzy pokoje w trzech hostelach, trzy dni na plaży, rok w pensjonacie Giuseppe, kolejny tydzień na plaży, następne noce u Giuseppe, trzy doby opłacone przez Henry’ego w Airbnb w Battersea, rok w mieszkaniu Henry’ego w Marylebone i teraz są tutaj, w Chicago, a Bóg jeden wie, gdzie znajdą się później, bo Lucy ma silne przeczucie, że nie u Henry’ego i nie w dawnej plebanii w St Albans, a może nawet nie z nią, bo zaraz ktoś dotknie jej ramienia i powie z ustami tuż przy uchu, że musi dokądś iść, z kimś iść, i wyjaśnić, co się wydarzyło w Antibes w zeszłym roku i w Chelsea w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego, a potem kto wie, co się stanie ze Stellą i Markiem?

Lucy powstrzymuje łzy i chwyta dłoń córki.

– Niedługo – mówi. – Niedługo wrócimy. Tylko musimy najpierw znaleźć wujka Henry’ego.

– Dlaczego wujek Henry nie chce, żebyśmy go znaleźli? – dopytuje dziewczynka.

Lucy i Marco posyłają sobie porozumiewawcze spojrzenia.

– Wujek próbuje sobie poukładać w głowie parę rzeczy. I musi być teraz sam. Ale nie zdaje sobie sprawy, że...

Urywa, bo dzwoni jej telefon. Widzi imię Libby na wyświetlaczu i serce zaczyna jej szybciej bić.

– Cześć! – niemal krzyczy do komórki.

– Mamo! Znowu tutaj byli. Policja tu była. Znaleźli mnie u Dido i nie spodziewałam się ich, zobaczyli mnie przez okno, nie mogłam się schować, widzieli wyciąg z konta, mamo. Widzieli, że wysłałam pieniądze tobie i Henry’emu, bo Henry teraz podaje się za Phina, więc dodali dwa do dwóch i połączyli to z wydrapanym przez niego napisem na Cheyne Walk, i teraz wiedzą, że istnieje powiązanie, totalnie wiedzą, że jest powiązanie, a ja jestem

pewna, że wiedzą też, że te konta należą do ciebie i Henry'ego, że ja kłamałam i kłamałam, i kłamałam, aż mi niedobrze, mammo! Nie wiem, co robić! Co zrobimy? Co mamy zrobić?

– Poczekaj. Odetchnij. Poszli już?

– Tak. Jakies dwie minuty temu. Powiedzieli, że będę musiała przyjechać na komisariat, żeby odpowiedzieć na kilka pytań.

– Kiedy?

– Jutro.

– Którą tam macie godzinę?

– Jest... czekaj... tuż po czwartej.

– Dobra. Czyli potrzebujesz adwokata.

– A czy to nie będzie świadczyło o mojej winie?

– Nie wiem. Nie. To znaczy jasne, że nie. Przecież nie jesteś winna.

– Ale skłamałam. Totalnie skłamałam. Powiedziałam, że Phin Thomson i Marie Caron to moi starzy przyjaciele. Kto daje przyjaciołom po dwa i pół miliona funtów?

Lucy milknie na chwilę, spuszcza na moment głowę. Zaraz unosi wzrok i widzi, jak jej dzieci patrzą na nią szeroko otwartymi oczami.

– Co mówi Miller?

– Nie mogę się do niego dodzwonić. Cały dzień nagrywa podcast. Skończy dopiero wieczorem.

– No dobra, a co na to Dido?

– Jeszcze z nią nie rozmawiałam. Jesteś pierwszą osobą, do której zadzwoniłam. Mammo, oni teraz znają twoje fałszywe nazwisko, wiedzą, że podajesz się za Marie Caron, a Henry to Phineas Thomson, będą mogli wyśledzić wasze loty do Chicago. Wasze rezerwacje w hotelach. Wszystkie transakcje kartami płatniczymi. Mają cię na muszce, mammo. Musisz stamtąd uciekać tak szybko, jak to tylko możliwe. Zapomnij o poszukiwaniach Phina. Znajdź tylko Henry'ego i wynoście się!

Lucy kończy rozmowę i patrzy na swoje dzieci. Zmusza się do uśmiechu.

– Okej – rzuca. – Musimy koniecznie dzisiaj znaleźć Henry'ego. Właściwie to naprawdę musimy go znaleźć już teraz! Dlatego zjedźmy szybko i ruszajmy.

Potem Marco odrywa wzrok od telefonu i spogląda na nią wielkimi oczami, mówiąc:

– Mamo, właśnie dostałem nową wiadomość od Krisa Dolla. Wiesz, tego motocyklisty? Napisał, że martwi się o swojego przyjaciela, Phina. Nie może się z nim skontaktować i chciałby się z nami spotkać. Co mam mu powiedzieć?

– Powiedz, że się spotkamy – stwierdza Lucy.

Rachel przyśpieszyła, idąc chodnikiem przed tandetnym sklepem z ubraniami w szkocką kratę i przyciskając telefon do ucha.

Dominique odebrała po drugim sygnale.

– Joł.

– Dom. Dom, to ja. Właśnie widziałam Michaela. Był z Ellą.

– Jaką Ellą?

– Ja pierdołę, nie wiem. Tą małą, irytującą blondynką. Była na twoim przyjęciu. Chyba chodziła do szkoły z Darcy?

– Och, tak, ta Ella. Boże. I był z nią? Ale w sensie, że z nią?

– Tak, trzymali się za ręce. Jak para. Dom, ona wie o moim kontrakcie z Liberty. Podobno jej powiedziałaś. Nie powiedziałaś, prawda? No bo po co miałybyś to robić?

Po drugiej stronie na moment zapada cisza, dość długa, by Rachel domyśliła się, że tak, Dom powiedziała Elli o kontrakcie.

– Kurwa, Rach. Byłam na baby shower u Darcy. Jakieś trzy tygodnie temu. Ktoś zapytał, co u ciebie. No wiesz, nie pamiętam, żeby ona była przy tej rozmowie. Nawet nie pamiętam, żeby w ogóle tam była. To taki pieprzony nikt. Nie miałam bladego pojęcia, że spotyka się z Michaeliem. Boże, gdybym wiedziała, nie pisnęłabym słówka. Oczywiście, że nie. Tak strasznie przepraszam, Rachel.

– A czy... czy wspominałaś na mój temat coś jeszcze?

– Nie. To znaczy nie za bardzo. Mówiłam, że świetnie sobie radzisz. Że wszystko u ciebie super. Och, no i że, wiesz, zghostowałaś Michaela...

– Zghostowałam, Boże. Naprawdę tak powiedziałaś?

– No tak. Chociaż, bądźmy szczerze, on ciebie też zghostował. Przecież on w ogóle nie próbował się z tobą skontaktować, odkąd odeszłaś, a teraz jeszcze pieprzy się z Ellą.

– Wiem, Dom, ale Boże, naprawdę muszę być ostrożna. Ta separacja musi minąć po cichu, bez najmniejszej dramy, bez... bez niczego.

– A ja nadal nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu szybko się z nim rozwieść.

– Wiem, że nie rozumiesz, i trudno. Mam swoje powody, uwierz mi. Mogłabyś zapytać Darcy, czy wie, jak Ella i Michael się zeszli? I czy wie, jak długo się spotykają?

– Boże, tak, zdecydowanie. Zaraz to załatwię. Ale, Rach... – Robi pauzę. – Na pewno nie masz nic przeciwko? To znaczy wiem, że się strasznie pokłóciliście, i mówiłaś, że go już nie kochasz i tak dalej, tylko czy to naprawdę oznacza, że nie cierpisz, widząc, że on już znalazł sobie kogoś nowego?

– Nie cierpię, Dom. Uwierz mi. Naprawdę, ani trochę.

– No to dobrze. Cieszę się. No i, Rach, jeszcze raz szczerze cię przepraszam, że nie umiałam trzymać języka za zębami. Po prostu byłam z ciebie taka dumna i chciałam, żeby ludzie wiedzieli, jaka jesteś niesamowita i jak doskonale sobie radzisz, ale przysięgam, że następnym razem totalnie gęba na kłódkę.

Rachel się uśmiechnęła.

– Nic się nie stało. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Rachel odłożyła telefon z powrotem do torebki i ruszyła na spotkanie z Lilian i Rosie, na które dotarła z półtoraminutowym spóźnieniem i poczuciem niepokoju, którego nie potrafiła do końca wyjaśnić.

Kolekcja Rachel Gold Jewels miała swoją premierę w Liberty w wietrzny wtorek kilka tygodni później. Zaproszono kilku przedstawicieli prasy oraz influencerów, rozdawano kieliszki szampana i maleńkie porcyjki jedzenia na tacach, Rachel włożyła czarne aksamitne spodnie i biały blezer, włosy ułożyła

jej fryzjerka, a jej tata w czarnej koszulce polo i dżinsach wyglądał na takiego dumnego i tak eleganckiego, że Rachel coś zakłuło w sercu.

Paige ścisnęła jej ramię i mówiła prosto do ucha o mężczyźnie stojącym po drugiej stronie sali, który chodził z nią do college'u i kiedyś ją śledził, a teraz umyślnie ją ignoruje, nagrywając notatki głosowe na telefonie.

– Zupełnie jakby pisał raport ze szczytu G7, na Boga – powiedziała Paige, a Rachel zaśmiała się głośno.

Kilka minut później Lilian wygłosiła bardzo ładną przemowę, robiono zdjęcia, a za kwadrans dwudziestu ludzie zaczęli już zabierać kurtki i wydarzenie dobiegało końca. Rachel szukała swojej torebki, gotowa wyruszyć na kolację z Lilian, Rosie, Paige oraz ojcem, kiedy dostrzegła znajomą postać wchodzącą z ulicy: szary wełniany płaszcz, burgundowo-granatowy szalik w kratkę, broda.

– Zapisalem się na newsletter Liberty – oznajmił Michael, maszerując w jej stronę przez salę i rozwiązując szalik, z twarzą ocieploną przez światło mocnej żarówki. – Cóż za wspaniała niespodzianka, że twoja kolekcja ma swoją premierę akurat dzisiaj, kiedy jestem w mieście! Pomyślałem, że wpadnę i popatrzę. Nigdy bym się nie spodziewał takiego blichtru! I ciebie też nie spodziewałem się zobaczyć! Wow! Wyglądasz niesamowicie, Rachel. Naprawdę. – Uścisnął dłoń jej ojca i powiedział: – Dobrze cię widzieć, Brian, wyglądasz świetnie. – Potem rozejrzał się, patrząc na pozostałości przyjęcia, i zwrócił się z powrotem do Rachel z promiennym uśmiechem: – No dobrze, sprawdźmy te śliczności!

Lilian i Rosie popatrzyły pytająco na Rachel, która pokręciła głową i wzruszyła ramionami, po czym podążyły za Michaeliem do witryny z premierową biżuterią.

– Wow – rzucił z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach płaszcza. Odwrócił się i spojrzał na nią. – Naprawdę cudowne. Popatrz tylko, jak się mienia w tym świetle. To upajające! Te kamienie są prawdziwe? – zapytał Lilian, która stała obok niego.

Lilian zerknęła na Rachel, po czym odpowiedziała:

– Tak. Kamienie szlachetne i półszlachetne. Wszystkie, poczynając od pomarańczowego diamentu w tym naszyjniku, aż po takie rzadkie kamienie,

jak czarne opale w tym pierścionku. Czyż nie jest wspaniały?

– Mój Boże, naprawdę. Rachel, wykonałaś milowy krok. Wyobrażam sobie, że kolekcja wymagała nie lada finansowania, zgadza się? – Jego wzrok powędrował przy tych słowach do ojca Rachel. – Brian, jesteś najlepszym tatą na świecie.

– Michael – zaczęła Rachel. Głos uwiązł jej w gardle przy drugiej sylabie i musiała przełknąć ślinę. – Właśnie kończymy. Pracownicy muszą posprzątać i zamknąć sklep. Miło, że wpadłeś, ale...

– Pewnie – rzucił. – Oczywiście, rozumiem. Tak tylko przechodziłem obok. I strasznie, strasznie chciałem zobaczyć twoje prace. Wiesz, zawsze uważałem cię za najbardziej utalentowaną osobę, jaką znam. I mówię to szczerze. Jesteś obłądnie utalentowana. Popatrz tylko, wreszcie zostałaś doceniona tak, jak na to zasłużyłaś. Niesamowite, naprawdę. – Złożył dłonie w geście modlitwy, porwał kanapkę z tacy, połknął, pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł.

Rachel chwyciła torebkę i pobiegła do łazienki, żeby zwymiotować.

Tydzień przed Bożym Narodzeniem cała kolekcja była już sprzedana i utworzyła się lista oczekujących aż po wczesną wiosnę. Rachel odnowiła kontrakty z dwoma złotnikami i wzięła kolejny kredyt, teraz na własne nazwisko, żeby zakupić materiały. Dominique zorganizowała coroczne przyjęcie, tym razem z ośmiomiesięcznym dzieckiem i bez limitu czasu na zaproszeniach. Rachel przyszła tylko z grzeczności. Nie mogła znieść upiorów i echa poprzedniego roku, kiedy była szaleńczo zakochana, kiedy tylko chwile dzieliły ją od zaręczyn, kiedy przyszła pod rękę z mężczyzną, który dorównywał jej wyglądem, powabem, nadziejami na przyszłość i który okazał się sadystycznym gwałcicielem. Jednak przed powrotem do domu przydybała Jonno, który właśnie szykował koktajle w kuchni, i poprosiła go o negroni.

– Jonno – powiedziała, kiedy zdjął z półki niską szklanę i napełnił ją kostkami lodu. – Pamiętasz, jak mówiłeś, że grzebałeś trochę w życiu Michaela? Pamiętasz te wszystkie rzeczy o jego interesach? Skąd wzięłeś te informacje?

– Cóż, mam różne dziwne kontakty. Można to tak ująć. Byli policjanci. Byli przestępcy. Pismaki, którym udało się przeniknąć do pewnych kręgów i subkultur. Po prostu znam ludzi i wszyscy jesteśmy sobie nawzajem winni

przysługi. – Jonno wzruszył ramionami i odkręcił butelkę ginu, by nalać do szklanki.

– Czyli znasz też ludzi, którzy potrafiliby namierzyć czyjaś była żonę?

– Masz na myśli tę uliczną grajkę, którą Michael wziął pod swoje zwyrodniałe skrzydła?

Rachel zadrżała nieco i pokręciła głową.

– Zwyrodniałe? Dlaczego użyłeś tego słowa?

– Nie wiem. Takie odniosłem wrażenie. Tak się zachowywał.

– Tak się zachowywał? Wobec ciebie?

– Nie! Ha, wobec ciebie. Tak sobie pomyślałem. Nie wiem. Może źle się wyraziłem. Przepraszam.

– Nie, to znaczy... Nie, okej. Tylko wiesz... Wiesz, wydawało mi się, że wszyscy go lubią.

– No, też go w sumie lubiłem. Ale też wydawało mi się, że ma w sobie coś upiornego. Jakiś mrok. Co ja tam wiem. No, a co z tą grajką?

– Tak, Lucy. Byłbyś w stanie dowiedzieć się czegoś na jej temat?

Jonno rzucił jej pytające spojrzenie i otworzył butelkę campari.

– A po co?

– Właściwie to nie wiem. Chciałabym tylko... z kimś porozmawiać. Z kimś, kto też był w związku z Michaelem. Pod koniec zrobiło się trochę toksycznie. Chciałabym się dowiedzieć, jak to było z nią.

– Cóż, podobno zniknęła w nocy razem z ich dzieckiem i nikt nie wie, co się z nią stało. Ślad po niej zaginął.

– Ale to dziecko. Co z tym chłopcem? Musi chodzić do jakiejś szkoły, być zarejestrowany u lekarza. Prawda?

– No, chyba tak. Jednak to jak szukać igły w stogu siana. Dzieciak mógłby być gdziekolwiek. Może nawet w innym kraju. Może zabrała go opieka społeczna. Może mieszka z nią w jaskini, kto wie. Jak się nazywa? Dowiedziałaś się?

– Tak, Marco. Marco Rimmer. I ma chyba jedenaście lat.

– Dobra, mogę trochę powęszyc. Tylko mało prawdopodobne, żebym go namierzył. – Jonno podał jej drinka i przez chwilę na nią patrzył. – Co się naprawdę stało? – zaczął. – Między tobą i Michaelem? Uderzył cię?

Rachel pokręciła głową i powiedziała:

– Nie, nigdy mnie nie uderzył.

To akurat była prawda.

Samuel

Mieszkam w Enfield. Mam bardzo ładny dom. Chociaż po tym, jakie domy oglądałem przez ostatnie dwa dni, teraz patrzę na niego trochę inaczej. Potrzebuję przynajmniej nowej kuchni.

Przez cztery dni nie jadłem ani jednego posiłku w domu i z radością rozpakowuję torbę zakupów z Tesco na swój (teraz nie dość ładny) blat: świeży makaron, brokuły, czosnek, bardzo duży, idealnie miękki pomidor. To będzie wegetariańskie danie. Staram się jeść mięso tylko raz w tygodniu. Głównie dla dobra planety. Ale też ze względu na zwierzęta. Każde zwierzę, które trafiłoby do twojego domu jako młode, zachowywałoby się jak pupil. Widziałem w internecie wyjątkowo rozmiłowane w swoich opiekunach indyki. Staram się myśleć o nich w sklepie, jednak czasami pragnę tylko zjeść kanapkę z kurczakiem i warzywami albo przypieczonego burgera prosto z grilla, a wtedy zapominam o indykach i ich opiekunach.

Dzisiaj po południu ja i Donal znowu rozmawialiśmy z Libby Jones. Skonfrontowaliśmy ją z tym, co wiemy na temat transakcji na jej koncie bankowym, a ona odpowiedziała – z wyraźnie zarumienionymi policzkami – że Marie Caron i Phineas Thomson to jej przyjaciele. Zapytałem, gdzie teraz są, a ona na to, że wyjechali na wakacje, że nie wie dokąd, że nie wzięli ze sobą telefonów. Zapytałem, dlaczego dała dwie trzecie swoich pieniędzy przyjacielom, którzy wyjeżdżają na wakacje, nie mówiąc jej dokąd, a ona na to, że to jej bardzo dobrzy przyjaciele i chciała się z nimi podzielić swoim szczęściem. Zapytałem, czy zaproponowali, żeby do nich dołączyła na wyjeździe (opłaconym, jak zakładam, z pieniędzy otrzymanych dzięki hojności Libby), a ona odparła, że nie.

Zapytałem, czy zauważyła napis w domu przy Cheyne Walk, który głosi: „JESTEM PHINEM”. Odrzekła, że nie, nie zauważyła. Powiedziałem: „To nie lada zbieg okoliczności, że tak nietypowe imię wypisane w domu, który odziedziczyłaś, jest także imieniem twojego bardzo, bardzo bliskiego przyjaciela”. Przyznała, że to zbieg okoliczności. Zapytałem, dlaczego przebywała w mieszkaniu swojej koleżanki Dido, skoro ma własne mieszkanie. Zapytałem, czy próbowała się przede mną ukryć. Powiedziała: „W żadnym wypadku, chciałam tylko, żeby pies mógł pobiegać w ogródku”.

To wszystko były kłamstwa. Oczywiście, że kłamstwa. Dlatego jutro sprowadzimy ją na komisariat, żeby odpowiedziała na kilka konkretnych pytań przy twardym stole i na niewygodnym krześle. Przekonamy się, czy przestanie opowiadać nam bajki.

Szykuję sobie makaron i oglądam serial detektywistyczny w telewizji. Lubię takie seriale, nawet jeśli pokazują nieprawdę.

Około dwudziestej pierwszej dostaję na telefon wiadomość od Philipa Dunlopa-Eversa.

Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy są jakieś wieści?

Odpisuję, że nie, żadnych konkretnych, jednak jutro może uda się coś ustalić. Mamy możliwy ostatni adres, tłumaczę mu. Staramy się namierzyć ludzi, którzy mogli mieszkać w tamtym miejscu w czasie śmierci Birdie i którzy niedawno opuścili kraj. Wiele się dzieje. Porozmawiamy jutro.

Dziękuję, nadchodzi odpowiedź.

Pod prysznicem myślę o tej sprawie, jakby była czymś kulistym, jakimś trójwymiarowym światem obracającym się w mojej głowie. Szukam w nim dziur, szukam sposobów, żeby je wypełnić albo przeciągnąć coś z jednej części kuli w drugą, by dziura nabrała sensu. W tym wszystkim chodzi o kompletność. Ta historia jest już niemal kompletna, jednak luki pozostają osobliwe i frustrujące. Myślę o tym, co już wiem:

Pod koniec lat osiemdziesiątych młoda kobieta, Birdie Dunlop-Evers, mieszkała tymczasowo w wielkim domu, w którym jej zespół nagrał teledysk.

Właścicielami tego domu byli Henry i Martina Lambowie, którzy mieli troje dzieci: Henry'ego juniora, Lucy i Serenity.

(A swoją drogą nie rozumiem, dlaczego rodzice, którzy dla dwójki swoich pierwszych dzieci wybrali tradycyjne imiona, przy ostatnim zdecydowali się na coś równie ekscentrycznego. Czy możliwe, żeby w grę wchodziły inne wpływy? Może tej bliżej niesprecyzowanej sekty, dla której umarli).

W pewnym momencie po przeprowadzce Birdie została zabita ciosem w głowę. Później zawinięto ją w całun w postaci drogich ręczników i ukryto na dachu za kominem, gdzie przeleżała wiele, wiele lat, dopóki ktoś nie wyrzucił jej szczątków do Tamizy mniej więcej w czasie, kiedy Libby Jones przejęła własność domu po skończeniu dwudziestu pięciu lat.

Natomiast w czasie, gdy Birdie zginęła od ciosu w głowę, Henry i Martina Lambowie otruli się we własnej kuchni razem z tajemniczym mężczyzną o inicjałach DT. Krótco potem (dość szybko, by małą Serenity/Libby policja znalazła nakarmioną i z czystą pieluszką) dwoje albo nawet sześcioro nastolatków, zależy komu wierzyć, uciekło z domu i zniknęło bez śladu.

Możemy zakładać, że dwoje z tych nastolatków to byli Henry i Lucy Lambowie. Kolejnym mógłby być ten PHIN z napisu.

Przestaję namyślać ciało i czuję, jak mała dziura właśnie się wypełnia.

Phin Thomson.

DT.

Czy to możliwe, żeby tajemniczy DT był ojcem Phina Thomsona?

Wydaje mi się to niemal pewne.

Dlatego założmy, że Phin Thomson również mieszkał w domu w czasie śmierci Birdie.

A teraz otrzymał prawie dwa i pół miliona funtów ze sprzedaży tego domu.

Obracam nieco kulę w głowie, żeby obejrzeć ją z innej strony. Wracam do Birdie.

Birdie nie pojawiła się na Cheyne Walk sama. Przybyła tam ze swoim chłopakiem. Justinem Reddingiem, perkusistą. Nie znaleziono po nim żadnego śladu. Nikt go nie zapamiętał. Czy nadal przebywał w tamtym domu w dniu śmierci Birdie? Czy może opuścił go wcześniej? Żaden z moich rozmówców nie uważał, by Justin mógł mieć cokolwiek wspólnego z trzema rzekomymi samobójstwami czy morderstwem Birdie, jego dziewczyny. Podobno był zbyt delikatny. Jednak w tej chwili wydaje mi się prawdopodobnym sprawcą.

Musimy go jakoś wyciągnąć z tego miejsca, w którym ukrywał się przez ostatnie dwadzieścia sześć lat, by udowodnił, że jest tak niewinny, jak utrzymują ludzie, którzy go znali. Nagle przytłacza mnie przekonanie, że Justin Redding może być kluczem do rozwiązania zagadki.

Jeszcze raz obracam kulę, tym razem na stronę z Libby Jones i jej rumieńce kłamstw, których nie chce mówić, jednak najwyraźniej czuje, że nie ma wyboru.

Przychodzi mi do głowy pies. Pies jej matki.

Kolejne zadanie na jutro. Zapisuję je sobie w pamięci. Bo jeśli pies nie należy do matki adopcyjnej w Hiszpanii (pomijając już wyraźne tiki nerwowe Libby, kiedy mi to tłumaczyła, kto w ogóle dzieli się opieką nad psem z matką mieszkającą w Hiszpanii?), w takim razie w życiu Libby jest inna osoba, którą dziewczyna uważa za matkę. Czy może nią być Marie Caron, która otrzymała jedną trzecią spadku, a teraz jest „na wakacjach” bez telefonu? I czy Marie Caron może być kolejną nastolatką, która zniknęła z domu przy Cheyne Walk w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego?

Obracam i obracam kulę w głowie, żeby znaleźć jakiś inny sposób na uzupełnienie luk, jednak czuję, że na razie to tyle.

Justin.

Pies.

Mężczyzna o nazwisku D. Thomson.

Nastawiam budzik na piątą. Mam wiele do zrobienia.

Marco zamawia colę i pije ją przez słomkę, cały czas zerkając to na telefon, to na ulicę i z powrotem. Kris Doll się spóźnia. Powiedział, że spotka się z nimi w hotelu o czternastej trzydzieści, a teraz jest już prawie piętnasta. Jednak w końcu Marco słyszy ryk motocykla i przez okno spostrzega mężczyznę, który zdejmuje kask i przeciąga dłońmi po ciemnych, niezbyt zdrowych włosach, po czym rusza w stronę drzwi obrotowych.

Marco czuje, że się rumieni. Mężczyzna wygląda bardzo męsko i chłopiec czuje swego rodzaju odpowiedzialność za tę sytuację. W końcu to on pisał do Krisa przez ostatnie trzy dni, on zorganizował to spotkanie, jednak nagle czuje się bardzo młodo i niepewnie. Spogląda na matkę z nadzieją, że ona się tego jakoś domyśli.

– Marco? – odzywa się mężczyzna, maszerując ku nim. – A pani to pewnie Lucy?

Marco kiwa głową i podnosi się trochę z krzesła. Zerka jeszcze raz na matkę i zauważa jej lekki rumieniec. Jest w tym człowieku coś dziwnie wspaniałego, mimo że włosy ma rozczochrane i wygląda na zmęczonego życiem.

– Przejdźmy na ty, miło cię poznać – odpowiada mama, wstając i ściskając jego rękę. – To jest Stella.

– Wspaniale cię poznać, Stello. Ktoś się czegoś napije? Zamówić coś z baru?

Wszyscy odmawiają i Kris stwierdza, że on w sumie też niczego nie chce. Siada po lewej stronie Marca.

– No więc co się w ogóle dzieje, do cholery? – rzuca, patrząc to na Marca, to na Lucy, i uśmiecha się cierpko.

– Nie wiem, od czego zacząć – stwierdza Lucy.

– Może od tego, kim jest ten cały Mike?

Marco wzdyga się nieco pod wpływem przekornego spojrzenia Krisa i mówi:

– Nikim. Zmyśliliśmy go. To mój kolega, Alf.

– A gdzie jest Alf?

– W Londynie. To stamtąd zadzwoniliśmy za pierwszym razem.

Kris patrzy na niego pytająco, lecz nic nie mówi, czekając na dalsze wyjaśnienia. Marco wzdycha i wierci się na krześle.

– Moja mama jest siostrą Henry’ego, albo Joshuy, bo tak się przedstawił. Henry zniknął w środku nocy w zeszły czwartek i nie powiedział nikomu, dokąd się wybiera ani dlaczego. Mama próbowała się do niego dodzwonić, ale ją zablokował, a potem ja próbowałem do niego pisać i dzwonić i mnie też zablokował. Dlatego razem z kolegą zhakowaliśmy jego konto na Google i znaleźliśmy jego historię przeglądanych stron. W ten sposób dotarliśmy do pana. A pan powiedział, że ma się spotkać z Brytyjczykiem, który zatrzymał się w hotelu Dayville, więc to była nasza pierwsza wskazówka. Dlatego przylecieliśmy tutaj i dowiedzieliśmy się, że wymeldował się z hotelu trzy dni temu, a teraz nie mamy pojęcia, gdzie jest. Jednak wydaje nam się, że przyjechał tutaj, by kogoś odnaleźć. Mężczyznę o imieniu Phin.

Kris uśmiecha się do Marca.

– Właśnie tak. A ja znam kogoś, kto się nazywa Finn, i to mnie wkurza. Wydawało mi się, że ten cały Joshua przypadkiem znalazł mnie w internecie, że był zwyczajnym klientem. A teraz zaczynam myśleć, że zostałem jego celem przez Finna.

– Tak – przyznaje Marco. – Ja myślę tak samo. A co mu pan powiedział o Phinie?

– No, właściwie to niewiele. Tylko tyle, że ja i Finn... cóż, my... – Kris przenosi wzrok na Lucy. – Przyjaźniliśmy się. Bardzo blisko. Tylko jakoś oddaliliśmy się od siebie, a potem on wyleciał do Afryki, żeby pracować w rezerwacie.

– A co robił w Chicago? – dopytuje Marco. – Zanim poleciał do Afryki?

– Pracował w Lincoln Park Zoo. Z wielkimi kotami. Ale zawsze chciał być przewodnikiem na safari i kiedy kilka lat temu dostał propozycję pracy w Botswanie, uciekł. Wynajął komuś swoje mieszkanie. Nie oglądał się za

siebie. – Kris drapie się po brodzie i mówi do Lucy: – A co łączy twojego brata i Finna? Dlaczego tak mu zależy, żeby go znaleźć?

Lucy wzdycha.

– Och, to strasznie długa historia. Myślę, że po prostu za nim tęskni. Wychowaliśmy się razem i myśleliśmy, że Phin nie żyje, a niedawno dowiedzieliśmy się, że jednak nie umarł. No i tak, myślę, że Henry za nim po prostu tęskni. – Uśmiecha się lekko. – Co jeszcze powiedziałeś mojemu bratu? Na temat Phina?

– Powiedziałem mu, a pamiętaj, że nie miałem wtedy pojęcia, że specjalnie mnie o to wypytuje, że Finn jest w mieście. Powiedziałem mu, że być może zatrzymał się w Airbnb. I że miałem nadzieję go niedługo spotkać.

– Czyli Phin jest teraz w mieście? To pewne? – Lucy przyciska mocno dłoń do piersi na wysokości serca.

– Tak. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ale dzwoniłem do niego wielokrotnie, pisałem. Żadnego odzewu. Niestety nie znam jego adresu.

– A macie może jakichś wspólnych znajomych, którzy mogliby wiedzieć, gdzie on jest? – dopytuje Lucy.

– Tak, mamy jedną wspólną znajomą, Mati. Tylko że nie wolno mi z nią rozmawiać, bo inaczej jej chłopak najpierw uderzy mnie, a potem pewnie uderzy też ją.

– To była dziewczyna Phina? – rzuca Marco.

– Tak. Byli jakby parą. Przynajmniej przez krótki czas. A później ja się z nią spotykałem. Niestety ma teraz chorobliwie zazdrosnego chłopaka, więc trzymam się z daleka.

– A może zoo? – zastanawia się na głos Marco, jego umysł aż iskrzy, gdy rozważa kolejne możliwe drogi. – Phin miał tam jakichś przyjaciół, których mógłby chcieć odwiedzić?

Kris wzrusza ramionami.

– Pewnie tak. Pracował tam przez wiele lat. Raczej utrzymał z kimś kontakt. Chyba warto popytać.

Marco miesza słomką w rozpuszczających się kostkach lodu na dnie szklanki, a drugą ręką szuka w Google Maps Lincoln Park Zoo. W końcu obraca telefon, żeby pokazać ekran matce.

– Spójrz, to tylko trzy kilometry stąd. Osiem minut uberem. Powinniśmy tam pojechać.

Spogląda na Krisa, ale widzi, że mężczyzna pogrążył się w rozmyślaniach.

Po krótkiej ciszy Kris patrzy na Lucy i mówi do niej:

– A co się stanie, kiedy twój brat odnajdzie Finna? To znaczy jakie ma intencje? Proszę, nie zrozum mnie źle, ale twój brat... to znaczy – Kris przykładą rękę do piersi – wydawał się bardzo spoko kolesiem, naprawdę, lecz było w nim coś takiego mrocznego. Był taki moment, gdy zatrzymaliśmy się nad jeziorem, żeby popatrzeć na zachód słońca, a on jakby płakał? Chyba myślał, że tego nie zauważyłem. I może to dziwne, że Finn nagle zamilkł w tym samym czasie, kiedy twój brat zaczął go szukać. Taki zbieg okoliczności... – Urywa, a potem uderza się dłońmi w uda. – No, nieważne. Z pewnością niedługo zagadka się rozwiąże. No i ej, Marco! Jeśli masz ochotę, mogę cię zabrać do zoo na motocyklu. Jeśli tylko twoja mama nie będzie miała nic przeciwko. Mamo, nie masz nic przeciwko?

Marco klaszcze i składa dłonie jak do modlitwy, patrząc na matkę szeroko otwartymi oczami. Zaraz przenosi wzrok na stalową bestię stojącą przed hotelem. Widział wcześniej, jak przyciąga uwagę przechodniów, ktoś nawet zrobił zdjęcie. To prawdopodobnie najbardziej fajowa rzecz, jaką Marco kiedykolwiek widział, a przecież szedł kiedyś po La Croisette, gapiąc się na parady neonowych samochodów sportowych i połączonych bentleyów, i to wielokrotnie.

– Tak, eee, oczywiście – mówi Lucy. – Ale nie będziesz jechał szybko, prawda?

– Nie. Przysięgam. Zarabiam wożeniem turystów, więc na drodze jestem bardzo ostrożny. Nie chcę straszyć ludzi ani brać udziału w wypadkach.

Posyła Lucy przekonujący uśmiech i wszyscy wychodzą z hotelu. Czekają na przyjazd ubera Lucy. Kris podaje Marcowi drugi kask i pomaga mu zająć miejsce z tyłu siedziska przypominającego tron, a chłopiec widzi spojrzenia przechodniów, czując jednocześnie ekscytację i zażenowanie.

Emocje towarzyszące podróży przez miasto są niesamowite. Wyciągnął telefon i robi sobie zdjęcie, ale Kris zaraz się odwraca, by go upomnieć: „Ręce na uchwytach, pamiętasz?”, więc chłopiec szybko chowa z powrotem komórkę do kieszeni.

Kilka chwil później zatrzymują się przed zoo. Lucy właśnie wysiadła z ubera i na nich czeka, trzymając za rękę Stellę, która wydaje się odpowiednio zachwycona widokiem starszego brata na ogromnym motocyklu, z kaskiem na głowie.

– Bądźmy w kontakcie – zwraca się Kris do Marca, gdy chłopiec oddaje mu kask. – Dajcie mi znać, gdyby udało wam się cokolwiek odkryć. A ja tymczasem będę próbował skontaktować się z Finnem. Możemy zrobić z tego wyścigi, zobaczymy, kto pierwszy do niego dotrze!

Marco patrzy, jak Kris Doll wsiada z powrotem na motocykl i wycofuje go z parkingu, po czym zmienia bieg i odjeżdża, machając im jedną ręką na pożegnanie.

– Dobrze, to kto chce obejrzeć zwierzęta? – pyta Lucy.

Pytają pracownika zoo, gdzie można znaleźć lwy, i zostają skierowani w stronę Pepper Family Wildlife Centre. Zdaniem Marca zoo w Lincoln Park jest trochę jak to londyńskie, nowoczesne i blisko miasta, z wieloma szerokimi ścieżkami i ładnymi wybiegami. Udaje im się namierzyć lwy i rozglądają się za kimś, z kim można by porozmawiać. Tylko jedna osoba ma na sobie uniform i wydaje się bardzo, bardzo młoda, jednak mama Marca i tak do niej podchodzi.

– Cześć! Mam takie dziwne pytanie, ale szukamy kogoś, kto opiekował się tym wybiegiem jakieś pięć lat temu. Zna pani kogoś, kto mógł pracować tutaj w tamtym czasie?

– Pięć lat temu? – odpowiada dziewczyna. – Cóż, ja byłam wtedy w szkole średniej! Niech no się zastanowię. Myślę, że Peter Lilley mógł już wtedy tutaj być. Chociaż ten wybieg jest dość nowy. Tak czy inaczej, on zawsze pracował przy lwach.

– A czy jest dzisiaj w zoo?

– Tak! Właściwie dopiero co go widziałam. A jak nazywa się ten przyjaciel, którego szukasz?

– Phin.

– Czekaj. – Otwiera drzwi za sobą, które są jakby niewidzialne, i znika. Chwilę później pojawia się ponownie. – Pete zajmuje się teraz jakimś

problemem z odpływem z wybiegu dla pand. Zaraz przyjdzie. Możecie poczekać tutaj. Mówi, że zna Phina! Więc macie szczęście!

Marco i Lucy patrzą po sobie, a Stella odbiega, żeby poobserwować lwy, trzy samice i jednego samca, które wyciągnęły się na słońcu i wyglądają, jakby zupełnie nic ich nie obchodziło. Potem przez sekretne drzwi w ścianie przechodzi Pete, wycierając ręce w ręcznik, i uśmiecha się. Jest wysoki i szczupły, z miękkimi i rzadkimi włosami koloru blond, które sterczą niczym u niemowlaka, oraz ładną kozią bródką.

– Cześć, jestem Pete Lilley – przedstawia się. – Słyszałem, że szukacie Finna?

– Tak, cześć. Jestem Lucy, koleżanka Phina z Londynu. Znaliśmy się wiele, wiele lat temu. Powiedział nam, że będzie wynajmował Airbnb w Chicago przez kilka dni. Mieliśmy się spotkać, ale próbuję się z nim skontaktować od przylotu, a on ciągle nie odbiera, nie odpowiada na wiadomości i zaczynamy się już martwić. Tak sobie pomyślałam, że może miał pan z nim kontakt, odkąd wrócił z Botswany?

– Tak! Tak, dzwonił do mnie. Odebrałem go z lotniska jakoś tydzień temu, we wtorek. Zawsze go odbieram, kiedy przylatuje, bo mieszkam niedaleko. Wpadł do nas na obiad, a potem odwiozłem go do miasta.

– Do miasta? Czyli podwiózł go pan do tego Airbnb?

– Tak, zgadza się.

– Czyli wie pan, gdzie się zatrzymał?

– Cóż, wiem, w którym budynku, ale to naprawdę duży budynek. Nie wiem, które mieszkanie wynajął. To zabawne, bo w ostatnich dniach sam do niego pisałem, pytając, czy jeszcze się spotkamy, zanim poleci do Afryki, a on nie odpisał, i myślałem, wie pani, że jest czymś zajęty. Chłopak jest trochę zagadkowy, na pewno pani o tym wie. Trudno go zrozumieć, chyba że chodzi o opiekę nad zwierzętami. Jego styl życia nigdy do mnie nie przemawiał, więc nie naciskałem.

– A mógłby mi pan powiedzieć, który to był budynek? Może moglibyśmy tam teraz pojechać i jakoś się z nim skontaktować, sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Peter Lilley kiwa głową.

– Jasne – odpowiada. – Chociaż nie pamiętam numeru, jedynie lokalizację. – Podaje im nazwę ulicy i tłumaczy, że chodzi o budynek naprzeciwko „takiej francuskiej knajpki z jednosylabową nazwą i stolikami na chodniku” i kilka numerów od sklepu ze zdrową żywnością, Organic Delightful.

Marco wciąga głośno powietrze, lecz nic nie mówi. Organic Delightful! Ten sam sklep, który, jak zauważyli z Alfem, Henry wyszukiwał w internecie. Chłopiec aż się czerwieni z ekscytacji.

– Dajcie znać, jeśli go znajdziecie, dobrze? Teraz sam zaczynam się o niego martwić!

– Tak, oczywiście – obiecuje Lucy, po czym odbiera od Petera Lilleya kartkę z jego numerem telefonu i chowa do torebki. Później kupują lody i siedzą przez chwilę na słońcu, czekając na przyjazd ubera, by zabrał ich do następnego celu.

*

W budynku, do którego skierował ich Peter Lilley, znajdują się aż cztery sklepy. Do środka wchodzi się przez staromodne drewniane drzwi z witrażami i mosiężnymi elementami, a obok nich wisi panel na jakieś pięćdziesiąt mosiężnych guzików. Przez moment stoją we troje i wpatrują się w niego w ciszy.

– Co teraz? – pyta Marco.

Lucy spogląda na cztery kondygnacje nad nimi.

Jednak gdy już ma odpowiedzieć, na klatce schodowej widać cień i ze środka wychodzi młoda matka niosąca na rękach małe dziecko. Lucy odsuwa się na bok i kiedy kobieta ją mija, pyta:

– Przepraszam, szukam kogoś, kto nocuje w tym budynku. Chodzi o Airbnb. Nie wie pani przypadkiem, które to może być mieszkanie?

– Przykro mi, nie mam pojęcia. Pewnie co drugie jest wynajmowane. Powinna pani sprawdzić na ich stronie.

Przechodzi obok, a potem wsiada z dzieckiem do samochodu, który właśnie zatrzymał się przy chodniku. Lucy przytrzymuje drzwi i wchodzi do środka. Podłogi są z szarego granitu z błyszczącymi drobinkami, a kamienne schody mają metalową barierkę. Jest też winda z zasuwaną kratą, a dokoła niej panele z kwiecistą mozaiką. Wspinają się we troje schodami na pierwsze piętro, gdzie

w prawo i w lewo biegnie korytarz z dwoma rzędami identycznych drzwi. Ściany są wyłożone ciemnym drewnem rzeźbionym w taki sposób, by wyglądało jak zasłony.

– Przepiękny budynek – stwierdza Lucy, przeciągając palcami po drewnianych fałdach, jednak Marco, który woli nowoczesną biel i dobrze oświetlone pomieszczenia, niekoniecznie się z nią zgadza.

– Co robimy? – pyta.

– No, w zasadzie moglibyśmy po prostu zacząć pukać do przypadkowych drzwi.

Stella unosi na nią wzrok i kręci głową.

– Nie – mówi. – Nie chcę tego robić. To straszne.

– Dlaczego straszne? – dziwi się Lucy, schylając się do córeczki.

– Ludzie mogą się złościć. Mogą krzyczeć. No i popatrz – tłumaczy Stella, wyciągając rączki w obu kierunkach. – Popatrz, ile tych drzwi. A jego może nawet wcale nie będzie.

Lucy wzdycha i prostuje się. Spogląda na Marca i kiwa głową.

– Ona ma rację. Możemy spędzić godzinę na pukaniu do wszystkich drzwi po kolei, a potem i tak się okaże, że Phina nigdzie nie ma. Musimy w jakiś inny sposób dowiedzieć się, które mieszkanie wynajął.

Marco potakuje, nie odrywając wzroku od telefonu, na którym właśnie przegląda ogłoszenia Airbnb z tej ulicy. Wtem przestaje i obraca komórkę, pokazując mamie ekran.

– Spójrz, w tym budynku są dwa. Oba w tej chwili zabukowane, jedno na tydzień, drugie na dziesięć dni.

Lucy próbuje zabrać mu telefon, lecz Marco jej nie pozwala.

– Nie musisz go dotykać, mamo! – mówi. – Ja potrzymam.

Scrolluje zdjęcia pierwszego mieszkania. Jest trochę mdłe: kremowe kanapy, drewniany stół, tapicerowane łóżko zasłane kwiecistą pościelą, błyszczący złoty żyrandol. Z okna sypialni widać ścianę ze schodami przeciwpożarowymi. Później Marco klika na drugi lokal. Ten jest o wiele ładniejszy, znajduje się w nim mnóstwo jaskrawych kolorów, pięknych mebli, a z salonu jest widok na ulicę. Chłopiec scrolluje i scrolluje, szukając czegoś, dzięki czemu udałoby mu

się w jakiś sposób określić położenie tego mieszkania, a potem zamiera i wstrzymuje oddech. Natrafił na zdjęcie drzwi pomalowanych na zielononiebieski kolor, z kołatką w kształcie głowy lisa.

– Chodźcie – mówi. – Poszukajmy lisa.

Rachel zsunęła okulary przeciwsłoneczne z głowy na nos i chwyciła rączkę walizki. Zimowe słońce w Nicei było zauważalnie cieplejsze, pewnie dzięki temu, że znajduje się te kilka południków bliżej Afryki niż Londyn. Wystawiła twarz na promienie i przez chwilę rozkoszowała się nimi, zamknawszy oczy. Potem odwróciła się i ruszyła do swojego hotelu. Była dziesiąta, a syn Michaela kończył lekcje o wpół do piątej. Miała cały dzień na to, żeby połazić, zrobić zakupy, zjeść coś i odpocząć.

Rozpakowując się w pokoju hotelowym, przypominała sobie, gdzie była równo rok temu: w drewnianym domku na Seszelach, z łóżkiem, które miało więcej szerokości niż długości. Pomyślała o tych śmiesznych gadżetach, które zapakowała wtedy do walizki i które wydawały się takie niewinne, ot, zwykłe zabawki, a zdołały zniszczyć jej małżeństwo. Jednak zdawała sobie sprawę, że jeśli nie one, później znalazłby się jakiś inny wyzwalacz, jakiś inny „błąd”. Michael Rimmer był tykającą bombą, która tylko czekała, żeby wybuchnąć, a Rachel chciała już tylko wiedzieć, że nie jest sama na tym świecie.

Chciała wiedzieć, czy Lucy też zgwałcił.

*

Szkoła Marca znajdowała się w biednej dzielnicy o nazwie L'Ariane, która nijak nie przypominała takiej południowej Francji, jaką Rachel kiedykolwiek widziała albo ją sobie wyobrażała. Wysokie bloki, popłatane niczym wściekle graffiti nitki autostrady, puste sklepy zabezpieczone zimnymi metalowymi kratami. Naciągnęła poły pikowanej kurtki i zapięła zamek, żeby zakryć drogi strój pod spodem, potem włożyła jeszcze kaptur, chociaż słońce nadal grzało.

Budynek szkoły otaczał wysoki ceglany mur, słońce błyszczało złotem między dwoma sześciokondygnacyjnymi blokami. Kampus był ogromny

i przypominał bardziej więzienie niż szkołę. Na znaku przed bramą widać było napis COLLÈGE ze strzałką wskazującą prosto. Pozostałe części szkoły zostały oznaczone przy dwóch innych wejściach. Jedna to było PRIMAIRE, a druga PETITE ÉCOLE. Rachel zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, przed którą częścią budynku powinna stać; odkryła tylko tyle, że syn Michaela miał jakieś jedenaście lat. Nie wiedziała, w której klasie byłby w Wielkiej Brytanii, a co dopiero we Francji. Było już prawie wpół do piątej, a przed każdym wejściem zaczynały się tworzyć grupki rodziców. Sięgnęła po telefon i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie, które wysłał jej Jonno. Był to screenshot z fotografią ze szkolnego newslettera, którą dołączono do artykułu na temat wycieczki klasowej do oceanarium. Chłopiec był trzeci z prawej, wyższy od kolegów i koleżanek o kilka centymetrów, z ciemną czupryną falowanych włosów i frapującym wyrazem twarzy. *M. Rimmer*.

Rachel założyła, że syn Michaela będzie chodził do prywatnej albo międzynarodowej szkoły, takiej z widokiem na ocean i palmami na terenie, dziećmi w mundurkach ściskającymi aktówki. Zakładała, że Lucy będzie do niej podobna: żyjąca samotnie, lecz dostatnio. Wyobrażała ją sobie, jak gra na skrzypcach w zespole, z włosami zaczesanymi w kok, siedząc przed kotarą z czerwonego aksamitu. Wyobrażała sobie artystyczną bohemę, szykowny nieład. Jednak w tej szkole nie ma nic artystycznego czy szykownego, czuć od niej raczej biedę, a Rachel pierwszy raz przychodzi do głowy, że może Lucy nie wie o sobie najlepiej.

Zobaczyła pierwsze dzieci wychodzące z najbliższej bramy i zaczęła im się bacznie przyglądać spod kaptura. Wydawały się w odpowiednim wieku, więc czekała, starając się nie przegapić żadnego. A potem go zauważyła. To był zdecydowanie on. Wyższy od przyjaciół. Także przystojniejszy. Trochę podobny do Michaela, jednak również zupełnie inny, z gęstymi włosami i taki jakby nieco dziki, nieujarzmiony. Po jego lewej stronie szedł chłopiec z ogoloną głową, niosąc plecak z nadrukiem z *Minecrafta*. Po prawej był niski blondynek ubrany w ciemną wełnianą czapkę i czerwoną pikowaną kurtkę. Marco przybił obu żółwiki i odszedł. Nie szukał wzrokiem rodzica, jak inne dzieci, zamiast tego ruszył do wejścia oznaczonego napisem „Petite École”, gdzie uśmiechnął się do nauczycielki stojącej przy bramie, wyciągnął rękę do małej dziewczynki

ze złocistymi puklami i zabrał jej różowo-złoty plecak z wiszącym przy zamku pluszakiem.

Rachel się wzdygnęła. Siostra. Marco miał siostrę. To kolejna rzecz, której się nie spodziewała. Ale właściwie dlaczego? Dlaczego Lucy nie miałyby mieć drugiego dziecka? A może jeszcze więcej? Ciekawe, czy Michael wiedział o tej dziewczynce.

Ruszyła ich śladem na przystanek, a potem wsiadła do zimnego, skrzypiącego autobusu, który jechał przez ponad pół godziny, zanim w końcu opuścił autostradę i podążył na zatłoczone boczne uliczki Nicei, gdzie dzieci wysiadły. Szły jeszcze przez prawie dwadzieścia minut przez miasto, by dotrzeć na sam koniec, na Wzgórze Zamkowe, gdzie Rachel śledziła ich aż do podniszczonego niebieskiego domu, zbudowanego wysoko przy wietrznej nabrzeżnej drodze, z brudnymi, pokrytymi solą morską oknami z widokiem na ocean po jednej stronie i równie brudnymi, pokrytymi sadzą ze spalin samochodowych oknami z widokiem na ulicę po drugiej. Marco otworzył kluczem drzwi z odłazającą farbą i namalowanymi słowami „Maison de la Mer” i dzieci zniknęły w środku.

Rachel nie wiedziała, co teraz począć. Słońce było coraz niżej, leniwie wędrowało w stronę horyzontu. Temperatura zaczynała spadać. Rachel pomyślała o ciepłym pokoju w hotelu, z miękkim łóżkiem i bawełnianym szlafrokiem. Pomyślała o posiłku w oświetlonym blaskiem świec bistro albo *brasserie*. Za brudnymi oknami poruszały się jakieś cienie, zapalały się światła, przesuwały się poruszane czyimiś rękami zasłony. W najniżej położonym oknie Rachel zobaczyła drobnego mężczyznę z wąsem i lichą brodą, który siedział przy komputerze w niechlujnym pokoju z odłazającą farbą na ścianach, jego twarz oświetlał blask ekranu. Napis przy drzwiach głosił: „Concierge”.

Stała przez chwilę z palcem tuż nad guzikiem, rozważając swoje opcje. Mogłaby zapytać zarządcę, który pokój zajmowała Lucy, ale co potem? Jej przykrywka wyda się, jeszcze zanim Rachel zdecyduje, co chce zrobić. Jednak nie mogła też sterczeć tutaj całą noc. Lucy i dzieci pewnie już nie wyjdą, robiło się ciemno, lecz nim Rachel zdążyła dokończyć tę myśl, usłyszała hałas za drzwiami frontowymi i szybko zeszła z drogi; stanęła przed wejściem obok i patrzyła w telefon. Gdy uniosła wzrok, zobaczyła, że dzieci opuszczają hostel, a zaraz za nimi idzie chuda kobieta z długimi ciemnymi włosami zarzuconymi

na jedno ramię, w aksamitnym płaszczu, sznurowanych skórzanych butach i z futerałem na instrument na plecach. Na głowie miała czapkę z pomponem, dziewczynka nosiła nauszniki, a chłopiec gruby szalik zawinięty wysoko na szyi oraz rękawiczki narciarskie.

Rachel szła za nimi przez dziesięć minut w stronę centrum miasta. W końcu znaleźli się na jednym z głównych placów, rozświetlonym wieczornymi światłami i sznurami lampek, a ze wszystkich stron bił ciepły blask restauracji i barów. Tutaj się zatrzymali. Rachel usiadła na ławce naprzeciwko nich i patrzyła, jak Lucy rozkłada matę do jogi, a na niej koc. Dzieci usiadły i otworzyły torby, które zabrały ze sobą. Lucy sięgnęła do futerału i wyjęła instrument. Zdjęła wełnianą czapkę i poprawiła włosy. Nałożyła szminkę, zrzuciła bezkształtny płaszcz, odsłaniając dopasowaną czarną sukienkę, wąską w pasie, z miękkim szarym kardiganem i jedwabistą chustą.

Rachel wpatrywała się w nią intensywnie. Oto ona, oto Lucy. Duch zmieniony w postać z krwi i kości. Chociaż nawet tutaj, w trzech wymiarach, wydawała się jakaś przezroczysta, jakaś nie do końca prawdziwa. Wyglądała tak, jakby mogła zaraz zniknąć w zimnej nocy niczym obłok pary z ust. I była piękna. Tak piękna, jak Rachel, która zawsze uważała się za całkiem ładną, nigdy piękna nie była.

Dochodziło wpół do szóstej. Robiło się ciemno. Restauracje zaczynały się wypełniać gośćmi. Mieszkańcy i garść turystów spoza sezonu spacerowali po placu. Na oczach Rachel Lucy ustawiła skrzypce pod brodą, przyłożyła smyczek i zagrała energetyczną wersję *Titanium*. To było tak niespodziewane, że Rachel prawie wybuchnęła głośnym śmiechem. Spodziewała się Beethovena albo Vivaldiego, nie Davida Guetty.

Później Lucy zagrała jeszcze żwawe *Valerie* i piosenkę Adele, a robiła to poważnie, całym sercem i duszą. Nikt się nie zatrzymał, nikt nie wrzucił pieniędzy do odwróconego do góry nogami melonika u jej stóp. Rachel wyciągnęła portmonetkę z torebki i wyjęła dwadzieścia euro. Stała przed Lucy i patrzyła na nią, aż wybrzmiały ostatnie dźwięki utworu Adele, po czym zaklaskała, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Wow, jest pani niesamowita.

Lucy odpowiedziała uśmiechem, jednak ostrożnie; tak uśmiecha się ktoś, kto nieustannie spodziewa się zagrożenia.

– Dziękuję. Bardzo mi miło.

Mówiła z idealnie angielskim akcentem, jak dziewczyny z Liberty, jak dziewczyny, które nigdy nie próbowały nigdzie się dopasować do otoczenia, zmieniając sposób wymawiania głosek i intonację, bo nigdy im nie przyszło do głowy, że muszą to robić.

– Proszę. – Podała Lucy banknot.

– Och – odparła kobieta, patrząc z zaskoczeniem na dwadzieścia euro. – To bardzo szczodre z pani strony.

– Ani trochę. Ma pani ogromny talent. A o tej porze roku chyba ciężko o słuchaczy.

– Niestety. – Lucy patrzyła przez chwilę na banknot, a potem złożyła go w pół i schowała do kieszeni sukienki.

– Może kupię wam coś do picia? – zaproponowała Rachel. – Coś ciepłego? Grzane wino? Coś dla dzieci?

– Och, właściwie to tak, chętnie napiłabym się grzanego wina. To bardzo uprzejme z pani strony. Jestem ogromnie wdzięczna. – Odwróciła się do dzieci i powiedziała: – Ta przemiła pani chce wam kupić coś do picia. Macie ochotę na gorącą czekoladę?

Dzieci pokiwały głowami, Rachel uśmiechnęła się i rzuciła:

– Dobrze, w takim razie dwa grzane wina i dwie gorące czekolady. Zaraz wracam.

Czekając na zamówione napoje, patrzyła, jak Lucy raz jeszcze przykłada skrzypce do brody i gra *The Whole of the Moon* tak pięknie, że Rachel zachciało się płakać.

Zabrała wino i czekoladę do Lucy i podała kubki dzieciom, które podziękowały ładnie z lekkim francuskim akcentem. Wino postawiła na chodniku przed Lucy, która uśmiechnęła się znad instrumentu. Rachel zaklaskała na koniec piosenki i Lucy jej się ukloniła.

– To było takie piękne – powiedziała Rachel. – Odebrała pani klasyczne wykształcenie?

Lucy uśmiechnęła się cierpko.

– Nie, zdecydowanie nie. Grać nauczył mnie ktoś, kto miał takie wykształcenie, ale wolał grać muzykę popularną, więc właśnie takiej się nauczyłam.

– Cóż, w takim razie ten ktoś był doskonałym nauczycielem. Wypijmy za niego. – Rachel stuknęła papierowym kubkiem w kubek Lucy. – Skąd pani pochodzi?

– Z Londynu. Tam się urodziłam i wychowałam. Wyjechałam do Francji jako nastolatka.

– Kto panią tutaj zabrał?

– Och, wie pani, rodzina. – Lucy upiła łyk wina, potem wskazała kubkiem na Rachel. – A pani tu mieszka?

– Nie, nie. W Londynie. Przyjechałam, bo... – Oblizwała szybko usta. – Potrzebowałam trochę czasu w samotności. Równo rok temu byłam w podróży poślubnej. Teraz jestem w separacji. Po prostu chciałam na kilka dni oderwać się od rzeczywistości.

– To zabawne, że zdaniem ludzi to nie jest rzeczywistość – odparła Lucy i wskazała gestem plac. – Dla mnie każdy skrawek tej przestrzeni jest aż zbyt rzeczywisty.

– Cóż, może i tak. Chodziło mi o to, że... – Rachel wskazała na skrzypce leżące w futerale. – To chyba była pani świadoma decyzja? Czy może...?

– Konieczność? Tak. To konieczność. Proszę mi wierzyć, wolałabym teraz siedzieć pod kocym w jakimś ślicznym mieszkanku z telewizorem i kominkiem, i pieniędzmi w banku. To... – Westchnęła. – Nie planowałam tego. Ani trochę. W ogóle tego nie planowałam.

– Czyli jest pani samotną matką?

– Tak, jestem. Nie spodziewałam się tego. A jednak.

– Co się stało z ich ojcem?

– Jeden zniknął. Zostawił mnie w mieszkaniu w L'Ariane z zaległym czynszem za sześć miesięcy. A drugi...

Rachel obserwowała jej twarz, wnikliwie i z bólem.

– A drugi był... cóż, był najgorszym człowiekiem na świecie.

Mięsień w policzku Rachel zadrżał.

– Boże. Naprawdę? W jakim sensie?

– W takim sensie, w jakim zazwyczaj mężczyźni są najgorszymi ludźmi na świecie. No, rozumie pani.

Rachel spojrzała jej w oczy. Zauważyła w nich okrucieństwo strachu, okrucieństwo cierpienia.

– *Bił cię?* – zapytała samym ruchem warg, żeby dzieci nie usłyszały.

Lucy pokiwała głową i spojrzała przelotnie na syna i córkę.

– Ile lat?

– Kilka. Dość długo. Zbyt długo. No wiesz.

– Tak – odparła Rachel. – Tak, wiem. Mój były co prawda nie... – dokończyła bezgłośnie „bił mnie” – ale stosował przemoc. Inną przemoc. I gdybym została dłużej, to byłoby tylko kwestią czasu.

Lucy potaknęła, otwierając szeroko oczy. Rachel zobaczyła błyszczące łzy, a potem Lucy ścisnęła jej ramię. Rachel spojrzała w dół na jej dłoń i zamrugła.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała. – Tobie? Dzieciom?

– Och, Boże. Nie. I tak już byłaś wystarczająco szczodra. Ale dziękuję.

Rachel otworzyła torebkę i wyciągnęła portmonetkę. Wyjęła jeszcze dwa banknoty po dwadzieścia euro.

– Proszę, weź – powiedziała. – Idź do domu. Zamów pizzę. Połóż dzieci do łóżka. Zrób sobie wolne. Robi się zimno.

Lucy przez kilka sekund patrzyła na pieniądze. Rachel spodziewała się, że kobieta ich nie przyjmie, a jednak przyjęła. Wzięła je i włożyła do kieszeni. Później otarła łzy z policzka wierzchem dłoni, wyprostowała się i sięgnęła po skrzypce, mówiąc:

– Zagram ci coś. Co zechcesz.

Rachel schowała ręce do kieszeni i odetchnęła głęboko, żeby powstrzymać płacz.

– Dla nas? – zapytała.

– Tak. Dla nas.

Rachel zastanawiała się przez chwilę, zwróciła wzrok ku niebu, potem znowu popatrzyła na Lucy i rzuciła:

– A może *Firework* Katy Perry?

Lucy pokiwała znacząco głową. Przyłożyła smyczek do strun i grała przez trzy minuty, a Rachel stała i słuchała, czując płynące po policzkach łzy, powtarzając sobie tekst piosenki w myślach, przytłoczona poczuciem, że pierwszy raz od miesiący nie jest sama na tym świecie.

Marco stuka głową lisa o błyszczące niebieskozielone drzwi. Spogląda na mamę, mama spogląda na niego. Po chwili chłopiec stuka jeszcze raz. Potem robi krok do przodu i przykłada ucho do drzwi. Nic. Nie słychać niczyjego oddechu ani dudnienia kroków, czy choćby włączonego telewizora albo radia, szumu gotującego się jedzenia, odgłosów rozmowy telefonicznej. Nic, tylko cisza.

– Wujku Henry! – woła. – Wujku Henry, to ja. Marco. Jesteś tam?

Stuka jeszcze raz, drugi, trzeci. W końcu wzdycha.

– Co teraz? – pyta swoją mamę.

Ona sprawdza godzinę na telefonie.

– Może pójdziemy coś zjeść?

Właściwie nie jedli nic od czasu śniadania w In-N-Out Burger. Tylko lody w zoo. Marco kiwa głową i ruszają na drugą stronę ulicy do *brasserie*, o której powiedział im Peter Lilley, tej z jednosylabową nazwą, którą okazuje się Blanche.

Wybierają stolik na tarasie na chodniku i dostają duże menu od uśmiechniętej dziewczyny z jasnym warkoczem.

– Podać coś do picia?

Mama zamawia kieliszek wina, a kelnerka odpowiada:

– Pani z Wielkiej Brytanii?

– Tak – przyznaje mama Marca z uśmiechem. – Tak, jesteśmy Brytyjczykami.

– Co was sprowadza do Chicago?

– Och, próbujemy znaleźć starego przyjaciela.

– Naprawdę? To już drugi raz ktoś z Wielkiej Brytanii mówi mi, że próbuje kogoś znaleźć. Ciekawe, czy tamten człowiek szuka was!

Marco patrzy na swoją mamę szeroko otwartymi oczami.

– Och – odpowiada spokojnie Lucy. – A jak ten człowiek wyglądał?

– Był chyba w pani wieku. Ale miał jasne włosy. Chociaż chyba rozjaśniane. Bardzo elegancko ubrany. Bardzo uprzejmy. Zna go pani?

– Cóż, tak. Wydaje mi się, że tak. To mógł być mój brat.

– Nie wierzę! Wow! I oboje szukacie tej samej osoby?

– Tak myślę. Chociaż teraz straciłam też kontakt z bratem.

– Mój Boże! Dobrze, będę go dla pani wyglądać. Jeśli go zobaczę, dam mu znać, że go pani szuka.

– Niech go pani poprosi, żeby do mnie zadzwonił. On wie, że tu jestem. Musi tylko do mnie zadzwonić.

Kelnerka odchodzi po ich napoje, a Marco wpatruje się w okna budynku naprzeciwko.

– Które okno należy do mieszkania z głową lisa? – pyta.

– Chyba to. – Lucy wskazuje okno na pierwszym piętrze.

– Powinniśmy siedzieć tutaj tak długo, jak to tylko możliwe.

– Tak – zgodziła się jego mama. – Powinniśmy, ale najpierw zdecydujemy, co chcemy zjeść.

Marco spogląda na menu, widzi sznycla i przypomina mu się coś: podobny moment przy stoliku na zewnątrz, w letnim upale. Krótco przed ich wyjazdem z Francji sprzed roku.

– A pamiętasz, jak byliśmy jeszcze we Francji, twoje skrzypce się zepsuły i nie mieliśmy żadnych pieniędzy? Pamiętasz ten ostatni obiad? Nie chciałem zjeść swojego sznycla, bo byłem taki zły na ciebie, że nie wytłumaczyłaś mi, dlaczego nasze życie jest takie do dupy.

– Tak – odpowiada Lucy ze smutkiem w głosie. – Pamiętam to. I musieliśmy umyć się pod prysznicem na plaży, spaliśmy we dwoje pod przejściem podziemnym w deszczu. Pamiętasz tamtą burzę?

– Tak, szaleństwo.

– A gdzie ja wtedy byłam? – pyta Stella.

– Byłaś u Mémé.

– Dlaczego ja mogłam być u Mémé, a wy nie?

– Dlatego że nie było dla nas miejsca. A Fitz brzydko pachniał.

– Nie lubiłam zostawać u Mémé. Płakałam.

– Wiem, że płakałaś. Wiem, skarbie. I ja nie lubiłam cię tam zostawiać. Ale wtedy nie mieliśmy innego wyjścia. Było tak źle, że już gorzej być nie mogło.

– Gorzej niż teraz? – pyta Marco.

Bacznie przygląda się reakcji mamy, bo musi wiedzieć, jak wygląda sytuacja.

– Pod pewnymi względami tak – odpowiada Lucy. – Kiedy jesteś rodzicem i nie możesz nakarmić własnego dziecka, to niszczy cię od środka w niewyobrażalny wręcz sposób. A teraz mogę was nakarmić. Mogę was ubrać. Mogę wam zapewnić ciepłe łóżka...

– Tylko to nie są nasze łóżka.

Marco widzi, jak jego mama wciąga gwałtownie powietrze.

– Nie. Nie są wasze. Wasze łóżka czekają w Anglii.

– Nie są naprawdę nasze.

– Nie. Naprawdę wasze łóżka wciąż stoją w jakimś sklepie i czekają, aż je kupimy i wstawimy do domu, który zamierzam nabyć po powrocie.

– Nie mamy domu, żeby je tam wstawić.

– Właściwie to nie do końca prawda. Możliwe, że będziemy mieli ten dom. W zeszłym tygodniu złożyłam ofertę. Została przyjęta. Czekam na wiadomość od pośrednika, który wszystko sprawdza. Taka tam papierologia. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, niewykluczone, że przeprowadzimy się pod koniec lata. Może nawet wcześniej.

– A co to za dom? – pyta Stella.

– Stary.

– Faj, nie cierpię starych domów – rzuca Marco.

– Wiem, ale obiecuję, że dostaniesz bardzo duży budżet na swój pokój, żeby był tak biały, nowoczesny i bez wyrazu, jak tylko sobie zażyczysz.

– Będę miał swoją łazienkę?

– Tak, będziesz miał swoją łazienkę.

Marco przypomina sobie maleńki, zagrzybiały prysznic na końcu korytarza w budynku Giuseppe w Nicei. Dzielili go z jeszcze dwiema innymi rodzinami. Pamięta, jak w nocy z głodu burczało mu w brzuchu. Pamięta stopy swojej

siostry każdego ranka w łóżku, w którym spali we trójkę. Pamięta zimno chodnika, które przenikało przez matę do jogi, kiedy ich mama każdego wieczoru grała dla turystów na takim czy innym placu w mieście. A potem myśli o ostatnim roku swojego życia, który był idealny, odkąd tylko Marco pierwszy raz zobaczył swoją siostrę Libby, wujka Henry'ego, odkąd tylko weszli do pięknego mieszkania Henry'ego z jedwabistą pościelą i mięciutkimi jak pianka materacami, panelami alarmu bezpieczeństwa i plazmą, smart lodówką pełną świeżego jedzenia, oknami o podwójnych szybach, które tłumili hałas z zewnątrz, kotami śpiącymi na poduszkach i posłaniach, a nie na ulicy, a także ciepłą wodą pod prysznicem, która przywodziła na myśl tropikalny deszcz podgrzany do czterdziestu stopni. Przez cały rok Marco miał miejsce, w którym mógł się podziąć, do tego rodzinę i przyjaciół, wolność, regularne posiłki, nowe ubrania, ciepło, wygodę i bezpieczeństwo. I teraz, na ulicy Chicago, Marco odkrywa, że jego życie jeszcze raz ulegnie zmianie, i jeszcze raz ma wrażenie, jakby szedł bezradnie na linie rozciągniętej nad przepaścią.

Samuel

Jest szósta rano, a pociąg wypełniają po brzegi ludzie z martwym spojrzeniem, wracający z pracy o tej bezbożnej godzinie, a także ludzie jadący do pracy o tej bezbożnej godzinie, do których zaliczam się również ja. Jednak moje oczy patrzą przytomnie. W moich żyłach krąży adrenalina, poczucie celu. Jestem nakręcony.

Siadam przy biurku, włączam komputer i popijam paskudną czarną kawę, do której mam dziwną słabość. Nadal nic nie wiadomo na temat miejsca pobytu Marie Caron oraz Phineasa Thomsona w Chicago. Mam kontakt w policji w Chicago, został mi ze sprawy, którą prowadziliśmy wspólnie kilka lat temu. W ramach przysługi obiecał mi, że może sprowadzić Phineasa i Marie na przesłuchanie na odległość, kiedy już Interpol ustali ich dokładną lokalizację. Potem na jakiś czas pogrążam się we wciąż trwających poszukiwaniach Justina Reddinga, mężczyzny z tamburynem, który jest zbyt wrażliwy, żeby kogoś zabić. Poprosiłem o wyszukanie go w bazie każdej szkoły muzycznej w kraju, jednak nie przyniosło to żadnych rezultatów. Pytałem o wyszukiwanie w bazach szpitali i gabinetów lekarskich i znowu nic z tego. Wygląda na to, że Justin Redding albo zmarł, albo żyje jako odludek, albo podobnie jak wszyscy inni bohaterowie tego śledztwa zmienił nazwisko. Może Redding to był tylko jego pseudonim sceniczny. A jeśli tak, nie wiem, jak zdołamy kiedykolwiek go wyśledzić. Miałem nadzieję, że wiadomość o śmierci Birdie kimś wstrząśnie, pobudzi czyjaś pamięć, otworzy jakieś drzwi w zakurzonych kątach. Jednak nic. Nikt. Cisza. Kim był ten mężczyzna, który mieszkał przez jakiś czas przy Cheyne Walk ponad dwadzieścia pięć lat temu z młodą kobietą, teraz martwą?

Później przechodzę do psa matki Libby. Jak mam się dowiedzieć prawdy na jego temat? Szukam jej na Facebooku. Nazywa się Alyssa Rutherford Jones. Łatwo ją namierzyć, a do tego, na szczęście, ma otwarty profil. Przeglądam

wiele, wiele jej zdjęć. Ma bardzo kolorowe życie. Nosi kolorowe ubrania i pije kolorowe drinki, i je w kolorowych restauracjach, siedząc pośród kolorowych poduszek pod błękitnym niebem. Jej partner wygląda bardzo młodo i większość czasu nosi białą koszulę, a do tego zbyt mocno wybiela sobie zęby. Matka Libby prowadzi przyjemne życie w Hiszpanii. Jednak nie można powiedzieć, by czerpała przyjemność z towarzystwa psów. A konkretnie nie czerpie przyjemności z towarzystwa pewnego małego brązowo-białego psa, którym opiekuje się Libby. Czuję, że więcej nie muszę nic w tej kwestii robić, moje podejrzenia się potwierdziły. Teraz jestem bardziej pewny ścieżki, którą podążam.

Czyli zostaje już tylko jedna zagadka z wczorajszego prysznicza: D. Thomson.

Wracam raz jeszcze do dziennikarza, Millera Roe. Znalazł zaginionego o inicjałach DT, jednak okazało się to ślepym zaułkiem. Ciekawe, czy ten człowiek miał na nazwisko Thomson. Stwierdzam, że mam już dosyć czekania na Millera. Czas wyciągnąć go z kryjówki. Dzwonię i proszę o ustalenie lokalizacji jego telefonu. Godzinę później czuję jedynie niewielkie zaskoczenie, kiedy okazuje się, że Miller Roe obecnie przebywa w bardzo bliskiej okolicy domu Dido Rhodes.

*

Z uprzejmości czekam do ósmej, a potem dzwonię do Libby.

– Dzień dobry, pani Jones. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Nie – odpowiada zmęczonym głosem. – Już nie śpię. Nic się nie stało.

– Dobrze, cieszę się. Chciałbym panią zapytać, czy wciąż przebywa pani w domu przyjaciółki Dido?

– Tak, nadal tu jestem.

– Ach, okej. Wiem, że widzimy się dzisiaj, pani Jones, za co jestem niezmiernie wdzięczny. Jednak mam powód wierzyć, że przyjmuje pani gościa? W tej chwili? Niejakiego Millera Roe?

Och, cisza po drugiej stronie jest długa i wymowna. Czekam, aż się skończy.

– Millera...?

– Roe. Millera Roe. Jest dziennikarzem śledczym. Pracował nad artykułem, o którym rozmawialiśmy, tym opublikowanym cztery lata temu w „Guardianie”. Bardzo intensywnie go poszukiwałem. Wysyłałem mu esemesy i e-maile, ale nie odpowiedział. Byłem u niego w domu i sąsiad poinformował mnie, że już od dawna go nie widuje. Że Miller Roe przebywa u swojej dziewczyny. A teraz okazuje się, że jest bardzo blisko pani. Dlatego tak się zastanawiam, czy przypadkiem to nie pani jest jego dziewczyną. Dlatego proszę, pani Jones, jeśli Miller tam jest, czy mógłbym z nim porozmawiać? Byłbym bardzo wdzięczny.

Znowu zapada okropna cisza. Wyobrażam sobie, że wypełniają ją błagalne spojrzenie Libby oraz srogie potrząśnięcie głową Millera Roe.

– Nie, nie ma go – odzywa się w końcu Libby.

– Cóż, jego telefon zdecydowanie znajduje się w niewielkiej odległości od pani. Więc może go zostawił?

– Nie. To znaczy nie wiem.

Ponownie milknę, licząc na to, że Libby Jones pójdzie po rozum do głowy i zda sobie sprawę z daremności swojej postawy, a potem, zgodnie z moimi przewidywaniami, słyszę jakiś szelest i zaraz po drugiej stronie odzywa się męski głos:

– Inspektor Owusu? Tutaj Miller Roe.

– Ach, pan Roe. W końcu. Miło pana słyszeć.

– W czym mogę pomóc?

– W wielu sprawach, panie Miller. W wielu sprawach. Nie mogę się doczekać spotkania z panią Jones u nas na komisariacie i byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mógł pan do niej dołączyć. Czy to możliwe?

– A w czym rzecz? – Miller Roe wydaje się szorstki i zdenerwowany.

– Och, z pewnością pani Jones zdążyła już o wszystkim panu powiedzieć. Jednak w wielkim skrócie chodzi o tajemniczą sprawę Serenity Lamb i króliczej łapki. Mam pewne teorie związane z pańskim śledztwem i szczerą nadzieję, że odblokuję kilka ślepych zaułków, na które pan natrafił po drodze.

Słyszę, jak Miller Roe wypuszcza głośno powietrze.

– Dobrze. Jasne. O której mamy przyjechać?

– Och, dziękuję. A o której państwu pasuje?

– O piętnastej?

– Tak, byłoby idealnie. Dziękuję, panie Roe. Nie mogę się doczekać.

Odkładając telefon, zdaje sobie sprawę, że teraz ci dwoje mają więcej niż pół dnia, by zdecydować, jak mnie okłamać.

Ale to nic. Będę gotowy.

Wizyta w Nicei dręczyła Rachel przez wiele dni. Dręczyła ją Lucy. Piękna, eteryczna, złamana przez los Lucy; dzieci ze stoickim spokojem znoszące zimno i mrok; pusty melonik na ziemi u jej stóp. Rachel nie mogła się pozbyć myśli o rzeczach, które Michael mógł zrobić Lucy. Nie mogła znieść tego, że nie jest w stanie jej pomóc. Że nie może jej uratować. Że nie może jej ocalić.

Mimo wszystko wróciła do Londynu, do swojego życia. Jej kolekcja przeszła ocenę w Liberty, niektóre pozycje zostały zdjęte, inne dodane, a Rachel zatrudniła nowych złotników i zwiększyła kredyt w banku. Pewien mężczyzna w kolejce w lokalnej kawiarni zaprosił ją na kolację i chociaż był przystojny, a jego zaproszenie zostało przedstawione z urokiem, odmówiła. Powiedziała: „Mam męża”. A on na to: „Te najlepsze zawsze są zajęte”. Przez chwilę żałowała. Czyżby właśnie pozwoliła odejść temu jedynemu, który był jej przeznaczony? Lecz później pomyślała o tym dniu, który nastąpi za niecały rok, kiedy będzie mogła na zawsze odciąć się od Michaela, nigdy więcej go nie oglądać, a wtedy jej dusza napełniła się determinacją.

Chodziła na niemal wszystkie zajęcia jogi. Drastycznie zmieniała fryzurę i żałowała tego. Niemal adoptowała psa, a potem zdała sobie sprawę, że chyba oszalała, i w końcu zrezygnowała. Rozpoczęła prace nad srebrną bransoletką na pierwsze urodziny dziecka Dom. Później, gdzieś w połowie kwietnia, poczuła nieprzyjemną bliskość rocznicy dnia, w którym odeszła od Michaela, i próbowała o nim nie myśleć, lecz gdy się zbliżał, dotarło do niej, że nie umie, że jest cała rozedrgana i da się temu pochłonać w całości, jeśli nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia, dlatego zaprosiła do siebie swój zespół na obiad: Paige, trzech złotników oraz ojca.

Wyszła wcześniej z pracy i po drodze zrobiła zakupy w trzech różnych sklepach. Włączyła żywą muzykę na Spotify, nalała sobie kieliszek wina i zagłuszyła myśli, wykonując skomplikowane przepisy oraz podśpiewując

radosne piosenki przy akompaniamencie powoli i słodko płynącego w jej żyłach alkoholu.

Pierwszy pojawił się jej ojciec, ściskając w rękach bukiet lilii oraz butelkę szampana.

Przytuliła go na powitanie i poczuła, że jest go jakby mniej, następnie wzięła jego płaszcz i wydało jej się, że ojciec wygląda chudo, więc rzuciła:

– Straciłeś na wadze.

– Nie, nie wydaje mi się.

Przyjrzała mu się i zobaczyła, jak coś na moment pojawia się na jego twarzy. Wyglądało jak cierpienie. Zmroziło jej krew.

– Wszystko w porządku, tato? Jesteś chory?

– Nie. Boże, skarbie. Nie, nic mi nie jest. Absolutnie nic. Wstaw to do lodówki, niech się schłodzi. – Podał jej szampana, a ona zerknęła na etykietę i zobaczyła, że to w rzeczywistości nie był szampan, tylko wino musujące z Hiszpanii, a ona nigdy, w ciągu trzydziestu czterech lat życia, nie widziała, żeby jej ojciec przyniósł na przyjęcie czy obiad coś innego niż prawdziwego szampana.

– O co chodzi z tą cawą? – zapytała.

– Och, ha! – Zaśmiał się nerwowo. – Przemiała pani w supermarkecie powiedziała, że powinienem spróbować. Podobno cava jest lepsza od szampana i kosztuje połowę. Nie chciałem się z nią spierać.

W kuchni rozpakowała bukiet z folii. Normalnie jej ojciec kupował kwiaty u florysty przy St John's Wood High Street, który życzył sobie osiem funtów za jedną hortensję, lecz te lilie były z Tesco.

– I kazała ci też kupić tam kwiaty? – zapytała żartobliwie.

– Och, nie. To był mój pomysł. Po prostu wydały mi się śliczne.

– Cóż, są śliczne. I bardzo dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie, skarbie. Jak zawsze. Dobrze wyglądasz.

– Dziękuję. – Spojrzała na niego, układając kwiaty w wazonie. – Wszystko okej, tato? Wydajesz się taki trochę...

– Już mówiłem, że nic mi nie jest. Może jestem trochę zmęczony. To wszystko. A co na kolację?

Przedstawiła mu całe menu, a on wydał wszelkie niezbędne ochy i achy, udawał, że umiera z głodu, jednak Rachel widziała, że wcale nie; widziała, że w ogóle nie ma apetytu. Dała mu chipsy, żeby nasypał do misek, i poprosiła, by postawił kieliszki do wina, a potem obserwowała jego ruchy i była pewna, więcej niż pewna, że jej ojcu coś dolegało, że był chory, a na myśl o chorobie ojca poczuła ukłucie niepokoju. Gdyby umarł, nie miałyby już nikogo.

– Och – powiedział, odwracając się w jej stronę. – Tak przy okazji, chociaż przykro mi o nim wspominać, ale czy Michael dręczył cię jeszcze po tym, jak przyszedł do Liberty?

– Nie, właściwie to nie. W ogóle się ze mną nie kontaktował. Od czasu do czasu słyszę jakieś plotki od Dom. Michael nadal spotyka się z Ellą.

– Ellą?

– Pamiętasz Ellę? Opowiadałam ci o niej. Flirtowała z Michaeliem na przyjęciu Dom dwa Boże Narodzenia temu, a później rzuciła się na niego, gdy tylko od niego odeszłam.

– Tak, chyba mówiłaś.

– Podobno Michael znowu prowadzi wystawne życie. Drogie wino, drogie kolacje. Najlepsze lokale. I tak dalej.

Jej ojciec wciągnął gwałtownie powietrze.

– Och, skarbie.

– Tak, to obrzydliwe. Michael jest obrzydliwy. Wszystko w nim jest obrzydliwe. I Bóg jeden wie, skąd w ogóle bierze pieniądze. Lepiej o tym nie myśleć.

– To wstrętne, że wydaje wszystkie te pieniądze na inną kobietę po tym, jak potraktował cię. Absolutnie wstrętne.

Rachel zaskoczona uniosła na niego wzrok. Głos mu się łamał, a teraz widziała też łzy w jego oczach.

– Och, tato – powiedziała, podchodząc do niego i kładąc dłonie na jego ramionach. – Proszę, nie płacz, niemądry staruszk. Nie jest tak źle. Nie jest w ogóle źle. Jestem pewna, że Ella jeszcze zapłaci za to wszystko, co on teraz na nią wydaje.

– Wiem, wiem. Ale mimo to. Kiedy myślę o tym, jak cię potraktował. I jak się teraz obnosi ze związkami z nową kobietą. Czuję wstręt, Rachel. Zwyczajnie

mnie to brzydzi.

Rachel popatrzyła na niego. Wydawał się wyczerpany psychicznie, mrugał, próbując powstrzymać łzy.

– Tato?

– Och, nic się nie stało. Zupełnie nic. Porozmawiajmy o czymś innym. Opowiedz mi o czymś ekscytującym. O interesach. Jak idą?

Rachel chciała wrócić do poprzedniej rozmowy. Za wyjątkowo silną reakcją emocjonalną ojca krył się jakiś kontekst, jakaś historia, jednak wiedziała, że nie ma sensu go naciskać. Dlatego przekazała mu wieści o najnowszych danych ze sprzedaży, o specjalnym zleceniu, które nadeszło tego ranka przez stronę internetową od żony aktora nagrodzonego Oscarem, a przy tym wszystkim kroiliła i mieszała, i piła wino, zaś o dwudziestej zadzwonił domofon i pojawiła się Paige z małą butelką tequili i kaktusem. Później przyszło trzech złotników, niosąc czteropaki piwa i nieduże ciasto czekoladowe. Rachel przez cały wieczór obserwowała ojca, widziała tę słodką przyjemność, jaka zawsze towarzyszyła mu w obecności młodszych ludzi. Przez moment potrafiła uwierzyć, że wymyśliła sobie minione chwile tego wieczoru, tamten smutek w jego oczach, wychudłą sylwetkę, maskowany gniew i to wrażenie, że ojcu coś dolega. Przez moment potrafiła uwierzyć, że nie przegapiła niczego ważnego.

– Zastanawiam się nad sprzedażą domu.

To było miesiąc później, w połowie maja, najlepszym okresie roku. Ojciec zabrał ją na lunch. Powiedział, że słyszał o nowym miejscu, które chciał wypróbować. *Mała milutka pizzeria*. Ojciec Rachel nie chadzał do małych milutkich pizzerii. Wybierał francuskie kawiarnie i restauracje, gdzie kelner dolewał wody do szklanki, a masło podawano na srebrnych tacach, rzeźbione w ciekawe kształty. Tutaj masło leżało na zatłuszczonej folii, a z głośników leciał włoski pop.

Rachel wzdrygnęła się, słysząc wieści.

– Słucham?

– Tak. Sprzedam dom. Jest taki wielki, za duży tylko dla mnie. Chyba zachowałem go, wyobrażając sobie, że... – Nie dokończył, ale Rachel wiedziała,

że wyobrażał sobie w nim wnuki. – Nieważne, jest za duży, a mnie przydałoby się zwolnić trochę kapitału.

Rachel pokręciła lekko głową. Wydawało jej się, że ojciec ma mnóstwo pieniędzy w banku.

– W jakim celu?

– No, na życie. Wiesz, czeka mnie jeszcze dwadzieścia dobrych lat. A potem może dziesięć niezbyt dobrych. Trzeba będzie to sfinansować.

– Ale... – Urwała. Chciała powiedzieć: „Ale tato, przecież masz mnóstwo pieniędzy”, jednak to się wydawało zbyt prostackie. Tak naprawdę nie miała pojęcia, jak wyglądają finanse jej ojca. Nie rozmawiali o tym. On po prostu żył tak, że było to widać. I Rachel zdała sobie sprawę, że ostatnio nie było tego widać: musujące wino, kwiaty z supermarketu, mała milutka pizzeria. – Cóż, skoro to konieczne. Ale myślę, że gdybyś poczekał kilka miesięcy, dostałbyś lepszą cenę. W tej chwili rynek nieruchomości...

Ojciec przerwał jej z poważną miną i złożonymi rękami.

– Nie, nie mogę czekać na lepszy moment. Nic nie szkodzi. Niech nawet stracę te parę tysięcy. Po prostu... już czas, Rachel. Już czas, żeby stawić czoła temu, że niedługo będę stary. Muszę myśleć o takich rzeczach jak schody.

– Och, daj spokój, tato. Masz dopiero sześćdziesiąt cztery lata!

– Tak, teraz tyle mam. Ale muszę myśleć z wyprzedzeniem. Załatwić wszystkie sprawy. Wpłacić pieniądze na konto w banku i kupić coś, co będzie łatwiej ogarnąć, kiedy, a raczej jeśli, zaniemogę. Będiesz miała mniej roboty, mniej zmartwień na głowie. Muszę się zacząć ograniczać. Upraszczać życie. Muszę być gotowy.

Rachel popatrzyła na swojego ojca po drugiej stronie stolika i poczuła przyprawiający o mdłości uścisk strachu.

– O mój Boże, tato. Czy ty jesteś chory? Czy o to chodzi? Jesteś chory? Dlatego tak schudłeś? Proszę, tato, proszę, bądź ze mną szczery. – Serce dudniło jej boleśnie, gdy czekała na odpowiedź.

On pokręcił głową.

– Nie, skarbie. Przysięgam, że nie jestem chory. Cieszę się doskonałym zdrowiem. Muszę tylko się przygotować. Na wszystko.

– Przysięgasz?

– Tak. Przysięgam. Na twoje życie, Rachel. Na twoje życie.

Dom został wystawiony na sprzedaż w kolejnym tygodniu. Było widać, że w chwili, gdy ojciec zabrał Rachel na pizzę, nie tylko myślał o tym, ale przedsięwziął już jakieś kroki. Pierwsi klienci obejrzel dom zaledwie kilka godzin po tym, jak pojawiło się ogłoszenie, a oferta pojawiła się i została zaakceptowana jeszcze przed końcem maja. Na początku czerwca ojciec wpłacił zaliczkę na jednopokojowe mieszkanie senioralne w ślicznym bloku niedaleko Regent's Park i przez kilka kolejnych tygodni Rachel cały wolny czas spędzała w domu, pomagając mu w pakowaniu.

Dom ojca był duży, lecz bardzo schludny i uporządkowany. Po śmierci matki przychodziła tutaj pani, która zajmowała się sprzątaniami i różnymi sprawami, więc w szafkach czy pod łózkami nie kryły się żadne paskudne sekrety, można było znaleźć jedynie równo złożone pranie posortowane i gotowe do zapakowania w kartony, dokumenty chronologicznie oznaczone i przechowywane, rodzinne pamiątki już czekające w pudełkach na strychu. Jedyne pokójem, w którym brakowało porządku, było biuro ojca Rachel, niewielkie i przytulne pomieszczenie z widokiem na ogród, gdzie spędzał większość czasu, odkąd przeszedł na emeryturę. Tutaj oglądał telewizję na laptopie, zimą rozpałał w kominku gazowym i przynosił sobie jedzenie. Na oparciu krzesła zawsze wisiało kilka warstw porzuconych marynarek, krawatów i kardiganów. Pod biurkiem zawsze stało kilka par butów, na różnych powierzchniach sterczały zapomniane kubki po kawie w towarzystwie zgniecionych papierków po ulubionych słodyczach z Marks & Spencer. Nazywał to swoją „jaskinią staruszka” – miejscem, w którym czuł się bezpiecznie i szczęśliwie, nie robiąc nic. Sprzątaczką nie miała tu wstępu i właściwie Rachel również, ale skończyła jej się taśma klejąca i miała nadzieję, że gdzieś tutaj znajdzie drugą.

Wysuwała po kolei różne szuflady, szukając po omacku taśmy. Przesuwała papiery i zaglądała na półki. W końcu jej wzrok padł na wyciągi z kont, wystające z jednej ze stert dokumentów tak daleko, że prawie zupełnie spadły, więc zdjęła je i poszukała miejsca na biurku, a kiedy je odkładała, przyjrzała im się. Liczby nie miały sensu. Dwie transakcje na konto z dziwną, skróconą

nazwą: PMX Acc.dx, jedna sprzed trzech tygodni opiewająca na kwotę stu tysięcy funtów, a druga sprzed zaledwie trzech dni na kolejne dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Rachel przejrzała szybko papiery, żeby sprawdzić ostateczne podsumowanie: dwanaście tysięcy dwieście funtów. Natychmiast wróciła do szuflad ojca, szukając wcześniejszych wyciągów. Znalazła nieotwartą kopertę w stercie reklam i ulotek i rozerwała ją. Dwie kolejne transakcje, tym razem z kwietnia. Jedna na sto pięćdziesiąt tysięcy, druga na sto tysięcy. Wyjęła telefon i wpisała do wyszukiwarki nazwę firmy, PMX Acc.dx, lecz niczego się nie dowiedziała. Potem wpisała tylko PMX i wtedy uzyskała tyle wyników – od firm ze specjalistycznym oprogramowaniem dla szkół po strony z muzyką punkową i oferty branży marketingu w mediach społecznościowych – że nie wiedziała, co sprawdzić w pierwszej kolejności.

Jej ojciec był w szopce, właśnie pozbywał się wszystkiego ze środka, ponieważ w nowym miejscu nie będzie miał ogrodu. Rachel zebrała papiery i wyszła.

– Tato?

Zastukała lekko w ścianę szopki, a on odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Tak, skarbie?

– Możemy pogadać? Na pewien drażliwy temat?

– Och. – Odłożył pudełko sadzonek pomidorów, które trzymał w ręku. – Tak, oczywiście.

Podążył za nią do stolika ogrodowego i usiedli naprzeciwko siebie.

– Tato, co to jest PMX?

– PMX? To ta choroba, której dostają kobiety? Tak? – Zarumienił się, jakby miał osiem lat i pytano go o to przed całą klasą.

– Nie, nie PMS. Pytam o PMX. Znalazłam to na wyciągach z twojego konta. Popatrz. – Rozłożyła papiery na blacie stolika. – To firma, której w ciągu ostatnich trzech miesięcy zapłaciłeś sześćset tysięcy funtów.

– Słucham? Z pewnością nie. – Włożył okulary do czytania i chrząknął. Potem przejrzał z neutralnym wyrazem twarzy wyciągi, stuknął je dwoma palcami, zdjął okulary i powiedział:

– Ach tak. To tylko takie inwestycje. Doradca finansowy kazał mi wpłacić tam gotówkę. Żeby rosła.

– Ale tato, ty im wysłałeś wszystkie swoje pieniądze. Zostało ci tylko dwanaście tysięcy.

– No tak, na tym koncie. Mam więcej na innych kontach. I oczywiście będzie jeszcze więcej, kiedy sprzedam dom.

– Tato, to strasznie wysokie sumy! Kim są ci ludzie? Jak się nazywa ta firma? Chciałabym ich sprawdzić.

– Och, nie pamiętam.

– A możesz mi podać numer do swojego doradcy finansowego, żebym mogła z nim porozmawiać i dowiedzieć się więcej? Bo martwię się, że to jakieś podejrzanе transakcje. To mi nie wygląda na inwestycje, tato, tylko na zwykłe płatności. I dlaczego zostawiłeś sobie tak mało pieniędzy?

– Mówiłem, że mam inne konta.

– Gdzie? Proszę, tato, pokaż mi te inne konta. Chcę je zobaczyć. Masz aplikację? Na telefonie?

– No tak...

– Możesz ją teraz włączyć i mi pokazać?

– Nie teraz. Nie, skarbie.

– Proszę, tato. Chcę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Chcę mieć pewność, że nikt cię nie wykorzystuje. Pokaż.

Jej ojciec zwiesił na moment głowę, a potem popatrzył na córkę, westchnął i rzekł:

– Coś mi jeszcze zostało. Wystarczy. Nie martw się o mnie.

– A właśnie, że będę się martwić! Jesteś chudy i zachowujesz się inaczej. Robisz rzeczy nie w swoim stylu. Proszę, chcę tylko porozmawiać z twoim doradcą. Sprawdzę to razem z nim. Bo jestem prawie pewna, że żaden szanujący się doradca nie kazałby ci wpłacić wszystkich swoich pieniędzy na fundusz inwestycyjny. Proszę, tato, daj mi do niego numer.

– Nie, skarbie, nie chcę, żebyś z nim rozmawiała – oznajmił surowym tonem. – Wolałbym, żebyś... żebyś... dała mi spokój. Naprawdę. Po prostu daj mi spokój.

A później jej ojciec, ten przemiły człowiek, który nigdy, przez całe trzydzieści cztery lata jej życia, nie podniósł na nią głosu, odsunął gwałtownie krzesło

i odszedł gniewnym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Rachel pobiegła z powrotem do jego biura. Przetrzepała wszystko i znalazła wizytownik, a potem obracała nim, aż natrafiła na znajome nazwisko. Fred Kleinberg. Przypomniała sobie, że ojciec o nim kiedyś wspominał. Zadzwoiła do niego i zapytała o ojca, o firmę o nazwie PMX, która od kwietnia przyjęła od niego sześćset tysięcy funtów. Jej obawy okazały się słuszne i Fred Kleinberg nie miał o niczym pojęcia.

– Nie rozmawiałem z pani ojcem już od paru lat – wyjaśnił.

– Pana zdaniem to możliwe, że znalazł sobie nowego doradcę?

– Możliwe. Tak. Jednak byłbym zaskoczony. Pani ojciec właściwie nigdy nie chciał inwestować. Szczególnie po tym, jak przestał zarabiać. Wolał trzymać swoje pieniądze w bezpiecznym miejscu, gdzie, jak to mówił, będzie miał je na oku. Zorganizowałem mu mały fundusz emerytalny, ale to wszystko. Naprawdę bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że dowie się pani, co się dzieje.

Rachel podziękowała i się rozłączyła. A potem zadzwoniła do Jonno.

Samuel

W drzwiach mojego biura pojawia się twarz Donała, jego dłoń spoczywa na słuchawce telefonu.

– Szefie, zadzwoniła pewna kobieta i twierdzi, że ma coś w sprawie Birdie.

Moje serce napęła się radością. Czuję, że to jest to. Nie mamy do czynienia ze śledztwem, które przyciąga typową falę szaleńców oraz ludzi lubiących zmyślać i marnować czyjś czas. Tacy zazwyczaj omijają stare sprawy szerokim łukiem. Wolą tańczyć we wciąż buzujących płomieniach, kiedy wszystko jest świeże, gorące i wybuchowe, kiedy liczy się każda sekunda. Dlatego ten telefon musi coś oznaczać. Jestem tego pewien.

– Przełącz ją do mnie, proszę.

Chrząkam i sięgam po ołówek.

– Dzień dobry. Z tej strony inspektor Samuel Owusu. W czym mogę pomóc?

– Och, dzień dobry, nazywam się Cath Manwaring. Dzwonię z okolicy Cowbridge. W Walii. Chodzi o ciało, które państwo znaleźli. Tej młodej kobiety z zespołu,

Birdie...? – Słyszę szelest papierów, gdy kobieta zagląda do notatek.

– Birdie Dunlop-Evers? – podpowiadam.

– Tak, właśnie o nią chodzi. A w tym artykule z „Guardiana” jest napisane, że mieszkała ze swoim chłopakiem, Justinem Reddingiem?

– Tak.

– No cóż, nie wiem, czy to się na cokolwiek przyda, może się zupełnie pomyliłam i właśnie robię z siebie idiotkę, ale jestem całkiem pewna, że to mój ogrodnik. Tylko na nazwisko nie ma Redding. Nazywa się Ugley.

– Słucham?

– Ten mężczyzna jest moim ogrodnikiem, jego nazwisko to Ugley. Pisane z „e”.

– Justin Ugley?

– Tak.

Gryzę się w język, by nie rzucić nieprzemyślanego komentarza o tym, że nic dziwnego, iż wybrał pseudonim sceniczny. Chrząkam tylko i mówię:

– A ile mniej więcej lat ma pan Ugley?

– Powiedziałabym, że tak pięćdziesiąt kilka.

Kiwam głową. To by się zgadzało.

– I jak długo zajmuje się pani ogrodem?

– Och, jakiś rok albo dwa.

– I dlaczego uważa pani, że to on?

– Właściwie to przez jego twarz. Widziałam zdjęcie w artykule. Tego zespołu. Pamiętam ten zespół, ale tylko twarz głównego wokalisty. Nigdy nie przyglądałam się pozostałym członkom, a potem wypatrzyłam go na tamtym zdjęciu i aż się wzdrygnęłam. Wie pan? Zaparło mi dech. To był on. To był Justin.

– A wie pani, gdzie mieszka ten Justin?

– Cóż, z niego to jest taki trochę odludek. Mam silne przeczucie, że mieszka w kamperze. Ale widziałam go też, jak wychodził parę razy z jakiegoś domku w miasteczku.

– A tego kampera to gdzie moglibyśmy znaleźć?

– Na łąkach za centrum biznesowym.

– A o które centrum chodzi?

– Cowbridge Business Park. Przy A4222, jakieś pięć minut samochodem na wschód od centrum miasteczka.

– I gdybym tam teraz pojechał, czy miałbym szansę go zastać? Jak pani myśli?

– No, nie mam pojęcia. Dla mnie pracuje we wtorki i czwartki. Nie wiem, co robi w piątki. Właściwie to niewiele o nim wiem. To bardzo miły człowiek. Tylko wydaje mi się, że ma jakieś problemy.

– Jakiego rodzaju problemy?

– Cóż, głównie z alkoholem. Justin pije. I spędził też kilka lat w więzieniu, o ile dobrze mi wiadomo. Generalnie taki z niego samotnik.

– A czy kiedykolwiek wspominał coś pani o tym, że był muzykiem? W młodości?

– Nie, nie wspominał. Ale widziałam go raz czy dwa w pubie, jak grał na tamburynie z miejscowym zespołem. To nie był jego tamburyn, tylko wziął go i dołączył. I tak jakby go do niego ciągnęło. Dlatego to wszystko wydaje mi się prawdopodobne, nie uważa pan?

– Tak, tak uważam.

– I jeszcze jedna rzecz w artykule zwróciła moją uwagę – ciągnie Cath Manwaring. – Tam było coś o tym, że w tym domu, w którym mogła umrzeć Birdie, że tam ludzie popełnili samobójstwo, wypijając jakąś własnej roboty truciznę. A Justin zaproponował mi kiedyś, że wskrzesi mój ogródek z ziołami. Podobno był zielarzem. Podobno latami mieszkał w jakimś małym gospodarstwie, hodując zioła i robiąc różne napary. Próbowałam się dowiedzieć czegoś więcej, ale nie chciał za bardzo o tym mówić.

Wydam z siebie kilka dźwięków, żeby wyrazić swoje zainteresowanie tym, co właśnie powiedziała Cath Manwaring, i robię przy tym notatki, które właściwie nie są notatkami, tylko bazgrołami powstającymi pod wpływem budzącej się we mnie ekscytacji. Naprawdę wierzę, że to jest Justin Redding. Wierzę w to z całego serca.

– Ale proszę posłuchać. Jak już wspomniałam, to przemiły człowiek. Tylko życie go złamało. Taki człowiek po przejściach, można powiedzieć. I jeśli to on, jeśli to Justin Redding, nie chciałabym, żeby policja siłą go zaciągnęła do aresztu i ukarała za coś, czego nie zrobił. Okropnie bym się z tym czuła. No bo chyba pan nie uważa, że on naprawdę to zrobił?

– Pani Manwaring, w tym momencie niczego nie jestem pewien. Jednak mam silne podejrzenie, że Justin będzie wiedział coś na temat domu, w którym zmarła Birdie, więc przynajmniej będzie mógł nam pomóc pchnąć śledztwo do przodu.

– Przyjedzie pan? Do Cowbridge?

– Tak, przyjadę do Cowbridge.

Zdaniem Google Maps droga zajmie mi trzy i pół godziny. Czyli razem z drogą powrotną siedem godzin. Jednak Libby Jones i Miller Roe mają się ze mną spotkać na komisariacie o piętnastej, więc nawet gdybym ruszył już teraz, miałbym tak mało czasu, że aby zdążyć, po dojechaniu na miejsce musiałbym od razu zawrócić. Dzwonię do Donala.

– Słuchaj, mam wielką prośbę. Kiedy pani Jones i pan Roe pojawią się dzisiaj po południu, czy mógłbyś mnie zastąpić i poprowadzić przesłuchanie? Muszę jechać do Walii. Wrócę, żeby dołączyć do ciebie tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Donal oczywiście się zgadza. Uwielbia przesłuchania. A ja zabieram samochód z parkingu przed komisariatem, wpisuję nazwę Cowbridge Business Park do nawigacji i ruszam.

Brytyjska wieś jest piękna, zwłaszcza w czerwcu. Uprawy rzepaku oślepiają słoneczną żółcią. Na wzgórzach kołyszą się drzewa jak purchawki. Przed wiejskimi pubami wiszą kosze z kwiatami. Puściłem sobie muzykę, mieszankę popu z jazzem z lat dwudziestych; słyszę chrobot igły na płycie winylowej. Otworzyłem okno, moje serce wypełnia radosne oczekiwanie. Zapytałem Cath Manwaring, czy ma może numer telefonu do Justina Ugleya, a ona odparła, że o ile dobrze jej wiadomo, on nie ma komórki. Dlatego przyjadę bez zapowiedzi, on będzie nieprzygotowany, a to naprawdę najlepsze rozwiązanie. Będzie jak niemowlę.

Zjeżdżam z trasy kilka metrów za centrum biznesowym i ruszam rolniczą drogą zgodnie z instrukcjami Cath Manwaring, którymi podzieliła się na koniec rozmowy. Po kilku minutach widzę kształt vana stojącego za żywopłotem i wiem, że dotarłem na miejsce.

Kamper jest pomalowany na kolor czarny i złoty, ma doczepiony daszek, pod którym stoi fotel, cienki dywan i stolik zawalony książkami. Dostrzegam także resztki posiłku: ogryzek jabłka, puste opakowanie po chipsach, jakieś okruszki i zgniecioną serwetkę.

Dostrzegam ruch za małymi wąskimi oknami z tyłu pojazdu i wysiadam z auta. Ruch ustaje, gdy rozlega się trzask zamykanych drzwi. Składam okulary

przeciwsłoneczne i maszeruję w stronę vana. Wejście jest otwarte, więc wołam:

– Justin Ugley?

Pojawia się dopiero po dłuższej chwili, a kiedy już go widzę, jestem nieco zaskoczony. On również wydaje się zaskoczony moim widokiem; mam przeczucie, że czarnoskórzy ludzie nie zagląдают zbyt często do tego zakątka świata. Justin wygląda niepokojąco, ponieważ jest bardzo brudny. Nie brudny jak ktoś, kto się nie myje, lecz jak ktoś, kto grzebał w ziemi. Ma piach na ubraniach, twarzy, włosach, dłoniach.

– Tak?

– Dzień dobry, panie Ugley. Jestem inspektor Samuel Owusu i pracuję dla wydziału specjalnego w Charing Cross w Londynie. Czy zechciałby pan odpowiedzieć na kilka moich pytań?

– W jakiej sprawie?

Wyciera dłonie w mokrą szmatkę i odsłania w ten sposób tatuaże. Biżuteria na jego twarzy odbija światło: kolczyki w brwiach, nosie, uszach. Włosy ma długie, zebrane z tyłu i związane kawałkiem materiału. Wygląda jak człowiek z innych czasów, innej epoki. Jednak nawet pod warstwą brudu, z długimi włosami i piercingiem widzę, że Cath Manwaring miała rację. To jest zdecydowanie mężczyzna ze zdjęć zespołu Birdie, Original Version.

– W sprawie pewnej kobiety, Bridget Dunlop-Evers. Inaczej Birdie. Zdaje się, że był pan z nią kiedyś w związku?

– A skąd pan to wie? I jak mnie pan znalazł? Nie rozumiem. Nie widziałem Birdie od jakichś, ja wiem, dwudziestu lat chyba. Więcej nawet. Co się z nią stało? Wszystko w porządku?

– Niestety nie, panie Ugley. Rodzina zgłosiła jej zaginięcie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym i poszukiwania nic nie dały. Jakies dwa tygodnie temu jej szczątki znaleziono na brzegu Tamizy.

Obserwuję jego twarz. Wydaje się szczerze zszokowany. Jednak nie jestem w stanie stwierdzić, czy to z powodu śmierci byłej kochanki, czy tego, że właśnie odkryto zbrodnię, którą popełnił dwadzieścia pięć lat temu i myślał, że już mu się upiekło.

– Poważnie?

– Obawiam się, że tak.

– A jak...? To znaczy... co się...?

– Cios w głowę – odpowiadam.

Justin się wzdryga.

– Ale wie pan, nie widziałem Birdie tak długo. Przy naszym ostatnim spotkaniu była, no... żywa. Nie wiem, czy mogę cokolwiek powiedzieć, jakkolwiek pomóc.

– Rozumiem to, panie Ugley. Oczywiście. Niemniej bardzo bym chciał porozmawiać o czasach, kiedy mieszkał pan w Chelsea.

Justin kiwa głową, co potwierdza moje przypuszczenia, że Birdie i Justin wprowadzili się do tamtego domu przy Cheyne Walk w latach osiemdziesiątych.

– Chciałby pan porozmawiać... teraz?

– Tak, jeśli nie jest pan zajęty.

– Przydałoby mi się kilka minut, jeśli można. Chciałbym się trochę umyć.

– Oczywiście. Mogę poczekać tutaj. Proszę się nie śpieszyć.

Wraca po pięciu minutach w świeżym ubraniu, koszulce i dżinsach, a włosy przeczesał i na nowo związał. Jego twarz jest interesująca, z haczykowatym nosem, a jego bardzo jasne orzechowe oczy mają w sobie smutek, jakiego jeszcze u nikogo nie widziałem, a widziałem wiele. Tatuaze na jego dłoniach ciągną się po rękach aż po rękawy koszulki. Mnóstwo węży, czaszek i krzyży.

– Przepraszam – mówi. – Napije się pan herbaty czy czegoś?

– Dziękuję, nie trzeba. Mam wodę.

Wskazuje na składany taboret, więc siadam.

– Będę robił notatki, jeśli nie ma pan nic przeciwko?

– Jasne, pewnie.

– No dobrze, to niech mi pan opowie własnymi słowami, jak to się stało, że zamieszkał pan przy Cheyne Walk i co się tam działo w tamtym czasie. Zdaje się, że został tam nagrany teledysk?

– Zgadza się. Chyba w osiemdziesiątym ósmym. Pieprzona Birdie przygarnęła pieprzonego kota i wyrzucili nas z mieszkania. Wtedy tamta kobieta, Martina, zaproponowała nam pokój u siebie i naprawdę myślałem, że

zostaniemy najwyżej na kilka dni. W końcu jednak trwało to... Boże, całe wieki. I było naprawdę popierdolone. Zajeście popierdolone.

Dobra, mamy to, myślę sobie. Wreszcie usłyszę to, na co czekałem.

– A w jakim sensie było... porąbane? – pytam.

– O Chryste. Nie wiem nawet, od czego zacząć.

– Może mógłby pan zacząć od początku?

I wtedy ten mężczyzna z metalem na twarzy, wydziaranymi rękami, bliznami na nogach i bardzo, bardzo smutnymi oczami opowiada mi o rozpieszczonej, majątnej rodzinie, umierającej z nudów w swoim udawanym zamku nad brzegiem Tamizy. Opowiada o ojcu, leniwym i nieudolnym mężczyźnie bez żadnych pozytywnych cech, który zaczyna chorować. O kobiecie imieniem Birdie, która zamieszkała w tym udawanym zamku i ściągnęła do niego uzdrowiciela, żeby pomóc leniwemu mężczyźnie. I o tym, jak ten uzdrowiciel sprowadził swoją żonę i dwójkę dzieci, tak że w końcu w domu zamiast czterech mieszkało dziesięć osób, a uzdrowiciel wezwany do leniwego mężczyzny powoli wszystko mu odebrał: bogactwo, żonę, wolność, godność.

– Oszedłem stamtąd po jakichś dwóch latach – tłumaczy Justin, a ja słyszę ból w jego głosie, gdy wymawia te słowa. – Źle zrobiłem. Trzeba było zostać, dla dzieci. Ale nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Nie wytrzymałbym tam ani chwili dłużej. To było szaleństwo. Birdie zwariowała. Jarały ją te wszystkie chore rzeczy, które się tam działy.

– Jakiego rodzaju chore rzeczy?

– Och, głównie chodziło o dzieci. Trzymali je zamknięte w domu. Każdego dnia kazali im godzinami ćwiczyć. Godzinami uczyć się gry na skrzypcach. Nie wolno im było nosić normalnych ubrań ani robić normalnych rzeczy. Żadnej telewizji. Żadnych przyjaciół. Dziwne kary. To było takie... wszystko wydawało się po prostu złe. A Birdie miała oczywistą obsesję na jego punkcie.

– Na czym punkcie?

– Davida. Tego uzdrowiciela.

– A jak miał na nazwisko?

– Thomsen. David Thomsen.

Czuję, jak poca mi się opuszki palców, w których trzymałem ołówek, więc wycieram je o nogawkę spodni, a potem znowu chwytam ołówek i zapisuję to słowo: Thomson.

– Z „e” zamiast „o” – zauważyła Justin, zerkając na mój notatnik.

– Słucham?

– Thomsen przez „e”.

– Och, dziękuję. A jak się nazywali członkowie jego rodziny?

– Żona miała na imię Sally. Córka Clemency. A syn Phineas.

Czuję, jak elementy układanki wpasowują się w swoje miejsca; niemal słyszę kliknięcie, kiedy to się dzieje. To są biblijne imiona, uduchowione. Pasują do Serenity, prawdziwego imienia Libby Jones. Oto brakujące ogniwo, które wszystko spaja.

– I wie pan, jak się potoczyły losy tej rodziny?

– Nie wiem, co się stało z kimkolwiek z nich. Wiedziałem tylko tyle, że mam dosyć, że muszę uciekać. Sprzedawałem na targowisku różne olejki i medykamenty, poznałem tam kobietę, która zamierzała kupić małe gospodarstwo w Walii, zaprosiła mnie tam. Uciekłem. Przy pierwszej nadarzającej się okazji. Czuję się źle z tym, że zostawiam dzieciaki, ale naprawdę musiałem się stamtąd wyrwać. Uwolnić się od Birdie. Od Davida. Od Londynu. Od wszystkiego. Powinienem był tam wrócić, wie pan? Powinienem był tam wrócić i sprawdzić, czy nic im się nie stało. Tym dzieciakom. Ale byłem... – Wzdycha i widzę, jak w jego oczach błyszczą łzy. – Wie pan? – pyta cicho. – Wie pan, co się stało z dziećmi?

Potrząsam głową.

– Nie, jeszcze nie. Nadal próbujemy je namierzyć.

– Ale żyją?

Uśmiecham się ze smutkiem.

– Obawiam się, panie Ugley, że tego wciąż nie wiemy.

Kiwa głową i łza spływa mu po policzku; wyciera ją wierzchem wytatuowanej dłoni.

– A pan i Birdie – ciągnę – utrzymywali państwo jeszcze kontakt?

– Nie. Nigdy więcej z nią nie rozmawiałem. Nigdy się do mnie nie odezwała. Nigdy jej nie widziałem. Choć często pojawiała się w moich myślach. Jednak nie miałem pojęcia, że zaginęła. Nie miałem pojęcia... o niczym.

– Czyli nie widział pan wtedy żadnych doniesień w prasie na temat domu, samobójstwa?

– Nie. Boże. Nic a nic. W tamtym gospodarstwie byliśmy, cóż, w sumie tworzyliśmy tam chyba komunę. Nie mieliśmy telewizora. Nie czytaliśmy gazet. Żyliśmy całkowicie samowystarczalnie.

– I jak długo to trwało?

– Och, mieszkałem tam przez...

Widzę, jak Justin przełyka ślinę i mruga dwa razy. Dopadają go jakieś silne emocje.

– Przez jakieś dziesięć lat? Byłem, no... – Znowu przełyka, potem chrząka i wierci się na fotelu. Zaciska i rozluźnia palce, drży mu dolna warga. – Nie rozwiązałem w ten sposób swoich problemów. Trochę mi tam chyba odbiło. Za dużo narkotyków. Za dużo mocnego cydru. Próbowałem wszystko zagłuszyć. Kilka razy trafiłem do więzienia. Potem, dwa lata temu, po ostatniej odsiadce, kupiłem tego vana i staram się nie wychylać, wie pan? Staram się trzymać z daleka od wyzwalaczy. Prowadzę spokojne życie. No i nic nie wiem o Thomsenach, o Birdie, o niczym właściwie. Mam w głowie tylko pogodę, ziemię, pory roku, co zjem na obiad. A teraz... – Wskazuje na mnie.

– A teraz pojawił się detektyw z Londynu – odpowiadam.

– Tak. Detektyw z Londynu. Któremu bardzo chciałbym pomóc, jednak naprawdę nie potrafię. Bo cokolwiek tam się wydarzyło, nie było mnie przy tym. Zdążyłem spierdolić.

Sięgam po ołówek, czując, jak ciemne chmury jego żalu i wyrzutów sumienia kłębią się przez chwilę, lecz zaraz znowu się przejaśnia.

– Kiedy mieszkał pan w Chelsea, hodował pan rośliny, prawda? W ogrodzie?

– Zgadza się.

– I hodował pan też wilczą jagodę?

– Nie. Nie, nigdy bym nie hodował takich rzeczy, nie byłaby do niczego potrzebna. A już na pewno nie w domu, gdzie były dzieci.

Poprawiam ułożenie swojego ciała na stolku, formułując kolejne pytanie.

– Wilczą jagodę znaleziono w pozostałościach po ogrodzie. I właśnie tą rośliną otruli się dorośli. Ma pan może jakieś przypuszczenia co do tego, jak mogła tam trafić? Kto mógłby ją tam zasadzić?

To pytanie uderza go w twarz niczym pięść.

– Nie. Nie mam żadnych przypuszczeń.

– Czyli nikt inny w domu nie byłby w stanie zasadzić i wyhodować tej rośliny?

Przed odpowiedzią Justina mija sekunda, dwie.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale kto wie? Jeśli planowali samobójstwo, może któreś z nich znalazło sposób? Zostawiłem w swoim pokoju książkę, pełną zaklęć i mikstur. Zostawiłem też szafkę z nasionami. Połowy nawet nie znałem. Może była tam też *Atropa belladonna*.

Mówiąc o tym wszystkim, pokazuje mi trzy różne oznaki tego, że kłamie, lecz nie jestem pewien, czy robi to, żeby chronić siebie, czy kogoś innego.

– Czyli to mogła być dowolna osoba spośród domowników?

– No tak. Nie licząc oczywiście dzieci.

– Ach tak. Dzieci. A jakie ma pan przypuszczenia na temat dzieci? Wszystkie zniknęły. Z tego, co pan wiedział na ich temat, dlaczego pana zdaniem mogły uciec? Dokąd mogły się udać?

– Jak najdalej od tamtego domu, mam nadzieję. Jeśli miały choć trochę oleju w głowie.

– Ale niektóre były całkiem młodziutkie. Kto mógł im pomóc?

– Naprawdę nie wiem. Może matka Phina i Clemency, Sally? Nie wiem, co się działo w tamtym domu po moim odejściu. Nie wiem, kto został, kto uciekł. Żałuję, ale naprawdę nie wiem.

W tej samej chwili zaczyna mi wibrować telefon w kieszeni. Przepraszam Justina, żeby spojrzeć na ekran. Dostałem wiadomość od Donala. Interpol wysłał zdjęcia osób, które przyleciały do Stanów Zjednoczonych jako Phineas Thomson i Marie Caron. Otwieram fotografię Marie i pokazuję Justinowi.

– Rozpoznaje pan tę kobietę?

Mężczyzna przygląda się uważnie zdjęciu, powiększa, dotykając wyświetlacza opuszkami palców.

– Boże. Czy to...? Tak, to ona. Lucy Lamb. Córka Henry'ego i Martiny. Wygląda dokładnie tak samo jak w dzieciństwie.

Telefon znowu wibruje i zabieram go. Kolejny załącznik. Tym razem nagranie z kamery monitoringu, na którym mężczyzna opuszcza lotnisko. Pokazuję je Justinowi, a on ogląda aż trzy razy.

– Według paszportu ten mężczyzna to Phineas Thomson.

– To nie jest Phin – odpowiada Justin. Gdy widzi Henry'ego Lamba, cała jego postawa ulega zmianie. Prostuje się, robi się bardziej ożywiony. – Nie. Zdecydowanie nie. To jest Henry. Wszędzie rozpoznałbym jego krok.

– Jego krok?

– Tak. – Wskazuje ekran. – Jego stopy kłapią o podłogę. Widzi pan? To jest Henry. Tylko że kiedy go znałem, miał brązowe włosy, nie blond. Czyli je przefarbował. I wie pan, w sumie... – Przygląda się jeszcze raz. – Wygląda zupełnie tak, jakby chciał się upodobnić do Phina. Bo kiedy był młody, strasznie się w nim zakochał, wie pan? Kompletnie się zadurzył. I chyba postanowił się w niego zmienić.

Na tę myśl czuję, jak przechodzi mnie dreszcz. Jednak jeszcze nie jestem pewien, co to oznacza.

Muszę wrócić na komisariat i dołączyć do Donala przesłuchującego Libby i Millera, więc zaczynam się zbierać do wyjścia. Mój ołówek ląduje w kieszeni razem z notatnikiem. Nasza rozmowa wydaje się zakończona, lecz Justin zadaje jeszcze jedno pytanie.

– Właściwie to nie rozumiem. Szuka pan mordercy Birdie?

– Tak, zgadza się.

– Ale to chyba oczywiste, prawda?

– Czyżby?

– Tak, to musiał być David Thomsen. Był agresywnym i chorym człowiekiem. No i miał motyw, skomplikowane relacje romantyczne między jego żoną Martiną i Birdie. Na pewno zabił ją, a potem siebie, prawda?

Kiwam głową, wstając.

– Cóż, tak. Tak można by sądzić, gdyby nie to, że szczątki Birdie zostały przeniesione z Cheyne Walk raptem rok temu przez kogoś, kto wiedział, gdzie znajdowało się ciało i że jeśli go nie przeniesie, zostanie odkryte razem ze starymi tajemnicami przez nowych właścicieli domu. To musiał być ktoś, jak sądzimy, kto martwił się, że zostanie złapany.

Justin przetrawia to przez chwilę. W tej ciszy jego twarz nic mi nie mówi. Mężczyzna kiwa głową. Wypuszcza powietrze z płuc.

– Tak. Rozumiem.

Potem twardo uderza dłońmi o uda.

– Cóż, skoro to już wszystko?

– To już wszystko. Bardzo mi pan pomógł. Mam mnóstwo nowych tropów.

– Czy Henry to jeden z nich?

– Tak, Henry to jeden z nich.

– Biedny Henry.

– Czyżby?

– Tak – mówi Justin z troską w głosie. – Wszystkie dzieci. Wszystkie były ofiarami. Cokolwiek się wydarzyło w tamtym domu, żadne z nich nie zasługuje na karę. Żadne.

Rachel siedziała w kuchni ojca, wciąż trzymając w dłoni wyciąg z konta.

Jej telefon zawibrował i zobaczyła, że to Jonno oddzwania.

– Jonno, cześć.

– Hej, posłuchaj. Mam informacje o firmie, której twój ojciec wpłacił pieniądze. Jesteś gotowa?

– Tak, jestem gotowa.

– Cóż, właściwie to firma zajmująca się zarządzaniem majątkiem.

Rachel wypuściła z ulgą powietrze. Jej ojciec wciąż miał kontrolę nad swoimi pieniędzmi. Mógł je odzyskać.

– Ale...

– Boże, co takiego?

– Przelewu dokonano na konto innej osoby.

– Słucham?

– Tak, na konto inwestycyjne innej osoby.

– I skąd to wiesz?

– Po prostu wiem. Niestety nie udało mi się ustalić, kim jest ta osoba. I nie mam też pojęcia, jak miałabyś się dowiedzieć inaczej, niż dzwoniąc bezpośrednio do tej firmy, żeby skłonić ich szantażem emocjonalnym do przekazania ci tych informacji. Jednak nie zrobią tego. Bo nie mogą. No więc teraz twój ruch.

Rachel zakończyła rozmowę i odłożyła telefon na blat. Wstała, a potem znowu usiadła, sięgnęła po komórkę, wygooglowała nazwę firmy zarządzającej majątkiem i wybrała numer.

– Eee... Dzień dobry. – Nawet ona poznała, że ma drżący i wysoki głos. – Czy mogłabym porozmawiać z kimś z obsługi klienta?

– A mogę zapytać, o jaką sprawę chodzi?

– O sprawę mojego ojca. Jest emerytem i właśnie przeglądałam jego wyciągi bankowe. Okazuje się, że w ciągu ostatnich paru miesięcy przełał wszystkie swoje fundusze na konto założone przez państwa firmę. Jednak nie na swoje nazwisko. I martwię się, czy nie został oszukany, a może nie uległ szantażowi. Jak mogłabym się tego dowiedzieć? Proszę, naprawdę bardzo się martwię.

– Proszę poczekać. Przełączę panią.

Na moment zapadła cisza, po czym zaczęła grać muzyka i ktoś z bardzo wytwornym akcentem przekonywał, że za moment połączenie zostanie odebrane. Rachel krążyła po kuchni przez pięć minut, coraz bardziej zestresowana i zniecierpliwiona, aż w końcu muzyka ucichła i padło pytanie:

– Obsługa klienta, w czym mogę pomóc?

Rachel zaczęła opowiadać swoją rozpaczliwą historię i w połowie, kiedy wymówiła słowo „szantaż”, odwróciła się i znalazła twarzą w twarz z ojcem, który wszedł niezauważenie do pokoju. Patrzył na nią i kręcił głową.

– Przepraszam, czy może pani chwilkę poczekać? – rzuciła do kobiety po drugiej stronie.

Odsunęła telefon od ucha i spojrzała na ojca.

On wbił wzrok w podłogę.

– Rozłącz się – powiedział. – Po prostu się rozłącz, a ja ci wszystko opowiem. Proszę.

Zrobiła to, a potem usiadła na oparciu kanapy.

– O Boże. Byłem takim idiotą – zaczął. – Wiem, naprawdę. Ale nie wiedziałem, co innego począć. Spanikowałem. Tak dobrze ci się układało. Nie mogłem pozwolić, żeby ktoś to zniszczył.

– Tato, nie rozumiem, co mówisz.

– Mówię, że... – Westchnął i spróbował jeszcze raz. – Mówię, że ktoś w jakiś sposób zdobył pewne... zdjęcia.

– Zdjęcia?

– Tak, twoje zdjęcia. Nagie. I jakieś nagranie. I ten ktoś wysyłał je do mnie, każąc mi płacić za ich skasowanie.

– Ale kto?

– Nie wiem. To były anonimowe wiadomości. Za każdym razem wydawało mi się, że to już koniec. Że ten ktoś odpuści, gdy dostanie pieniądze. Lecz wracał po paru tygodniach z kolejnym zdjęciem. Kolejnym filmem. A teraz, cóż, jak sama widziałas, nie mam już żadnych pieniędzy do oddania.

Rachel zacisnęła powieki i zadarła głowę. Później znowu spojrzała w dół i wypuściła głośno powietrze.

– Nadal je masz? Te... nagie zdjęcia?

Ojciec z zażenowaniem pokiwał głową.

– Pomyślałem, że powinienem je zachować na wypadek, gdyby ta sprawa trafiła kiedyś na policję.

– Pokaż mi je, proszę.

– Och, nie. Nie musisz...

– Po prostu pokaż.

Westchnął, a następnie dał jej znak, żeby poszła za nim do biura, gdzie otworzył laptopa.

– Proszę – powiedział, odwracając ekran komputera w jej stronę, po czym odszedł w inną część pomieszczenia.

Rachel wzięła głęboki wdech, szykując się na najgorsze. Ojciec ukrył wszystko w folderze z nazwą „Przepisy”. Kliknęła pierwszą ikonę i od razu zamknęła okno. W jednej sekundzie poznała, że to rzeczywiście jej zdjęcia, z jej telefonu, i że zostały zrobione w czasie, gdy spotykała się z facetem o imieniu Travis, którego poznała w internecie jakieś trzy lata temu i miała z nim bardzo krótki i bardzo intensywny, oparty wyłącznie na seksie romans, aż on rzucił ją bez wyjaśnienia. W pierwszym odruchu pomyślała, że to on stoi za szantażem, że jakoś wrócił do jej życia, zupełnie znienacka, odnalazł adres mailowy jej ojca i postanowił go szantażować. Jednak potem przypomniała sobie, że to było jej zdjęcie, zrobione jej telefonem, a Travis nie miałby do niego dostępu. To nie było ładne ujęcie. Ani trochę ładne. Teraz to dostrzegała. Wtedy wydawało jej się nieprzyzwoite, nadzwyczajne, wyjątkowe, erotyczne. Teraz raczej smutne, prymitywne, trochę tragiczne.

Otworzyła następne. To było z tamtego razu, kiedy Travis przyprowadził kolegę. Rachel nie pamiętała jego imienia, ale patrząc teraz na zdjęcie i widząc jego wyraz twarzy, czuła, jak żołądek wywraca jej się na lewą stronę. Zadrżała

i kliknęła kolejny plik. To było nagranie w formacie MP4 i przełknęła głośno ślinę, zanim je włączyła. Ona, Travis i jego obrzydliwy przyjaciel w jej sypialni w Camden Town. Jej palec od razu nacisnął guzik wyciszający dźwięk. Spojrzała na siebie na tym wideo i widziała zagubioną kobietę. Zastanawiała się, czego właściwie wtedy szukała.

Nie otwierała więcej plików. Zamknęła laptopa ojca i opadła na oparcie krzesła.

– Kurwa. – Potem spojrzała na ojca i dodała: – Tato, przepraszam. Strasznie cię przepraszam. Chciałabym teraz umrzeć. Na myśl o tym, że musiałeś to oglądać. Mam ochotę umrzeć.

– Proszę, nie mów tak, skarbie. Proszę. To nic takiego. Już zapomniałem. Ale to on? Czy to ten mężczyzna ze zdjęć? Kim on jest?

Pokręciła głową.

– Nie, to nie on. Nie widziałam go przez ponad trzy lata i nic o mnie nie wiedział, a już na pewno nie to, że mam bogatego ojca. To po prostu nie ten typ, wiesz? Był na to... za głupi.

I kiedy padły te słowa, już wiedziała. Po prostu wiedziała. Ścisnęło ją w żołądku, jej krew zawrzała i popłynęła wartko w żyłach. Rachel sięgnęła po telefon i przewinęła zdjęcia w galerii, aż do dwa tysiące piętnastego, później scrollowała dalej, do początku roku, do lutego, to było krótko po tym, jak poznała Travisa, po czym przewinęła wszystko aż do lipca i z powrotem do lutego, a wiedziała, doskonale wiedziała, że do lipca było już między nimi skończone, że spotkali się na koniec lutego i właśnie wtedy powstały te zdjęcia i ten film, lecz teraz w galerii ich nie było, nie było ich i istniała tylko jedna osoba, która chciałaby przejrzeć jej galerię, tylko jedna osoba, która była wystarczająco zdesperowana, wystarczająco cwana, wystarczająco podła, żeby zrobić jej coś takiego.

Libby zadzwoniła w środku nocy, dzwonek telefonu Lucy stopił się z jej snami.

– Libby – powiedziała głośnym szeptem, widząc na radiobudziku, że jest kwadrans po drugiej. – Co się stało?

– Mamo! Przepraszam, że cię obudziłam! Strasznie przepraszam! Ale znowu dzwoniли do mnie z policji. Ten detektyw. I wiedział, że jest u mnie Miller. Namierzyli jego komórkę. I teraz oboje musimy jechać na komisariat dzisiaj po południu, żeby odpowiedzieć na pytania.

– Czekał. Nie aresztują cię, prawda?

– Nie. Lecz oni tak dużo wiedzą. I będą zadawać pytania tak długo, aż skończą nam się sposoby na uciekanie przed prawdą, a ja nie mogę dłużej kłamać, ale też nie wiem, co powiedzieć. Co robimy, mamo?

– Którą masz godzinę? – zapytała.

– Tuż po ósmej rano.

– A o której macie się zjawić na komisariacie?

– O piętnastej. Miller zapyta o poradę prawną swojego przyjaciela. Tylko, mamo, musisz znaleźć Henry'ego i musicie ustalić wspólną wersję wydarzeń. Cała sprawa zaraz eksploduje. Poważnie. Nie damy rady tego dłużej powstrzymać.

*

Minęła piętnasta w Wielkiej Brytanii, a Libby i Miller z pewnością są już na komisariacie.

Lucy czuje się bezradna i aż ją mdli.

Nie może znieść tego, że postawiła Libby w takiej sytuacji, zjawiła się w jej niewinnym, nieskomplikowanym życiu, by splamić je kłamstwami, podstępem

i mrokiem. Nie może znieść tego, że nie jest w stanie w żaden sposób pomóc swojemu najstarszemu dziecku, że nie może jej wesprzeć, potrzymać za rękę, ochronić jej przed tym wszystkim. I nie może znieść również tego, że jeśli nawet razem z Henrym jakoś zdołają odnaleźć drogę przez tę część ich podróży, by wyjść po drugiej stronie, kiedy ten cień rozproszy się i mgła opadnie, nad nią wciąż będzie wisiał jeszcze jeden – cień tego, co wydarzyło się w Antibes zeszłego lata – a Lucy nigdy, przenigdy nie poczuje się wolna.

Płacz ściska jej gardło. Nagle pojawia się Marco.

– Mam pomysł – oznajmia, podskakując na skraju łóżka. – Każmy Krisowi zadzwonić do Henry’ego. Wujek na pewno odbierze. Zrobmy to teraz.

Lucy za bardzo kręci się w głowie od natłoku myśli, żeby mogła w pełni przetrwać to, co powiedział jej syn. Jednak zmusza się do uśmiechu i mówi:

– Okej.

Marco pisze wiadomość i za chwilę jego komórka wibruje, powiadamiając o nadejściu odpowiedzi.

Lucy podnosi się i siada, przecierając twarz.

– I co odpisał Kris?

– Że zadzwoni. Ale pyta, co ma powiedzieć. Kazałem mu udawać, że chce się z nim umówić.

Lucy potrząsa lekko głową.

– Słucham?

– No bo Kris wspominał, że Henry wysłał mu jakąś pijacką wiadomość we wtorek w nocy, namawiając go na spotkanie.

– Czeka, Kris jest gejem?

Marco wzrusza ramionami.

– Właściwie to nie ma znaczenia, jeśli podoba się Henry’emu, prawda? Wyrolujemy go. Będziemy udawać, że Kris chce się z nim spotkać, uzgodnią czas i miejsce, a zamiast niego pojawimy się my. I bum!

Lucy potakuje, uśmiech przegania jej ponury nastrój.

– Całkiem pomysłowe. I kiedy zamierzacie zorganizować tę podpuchę?

– Gdy tylko Henry mu odpisze... O! – Marco urywa i spogląda na telefon, który właśnie dał sygnał o nowej wiadomości. – To Kris. Czeka... – Czyta,

a potem odwraca ekran w stronę Lucy.

Umówiliśmy się na brunch o 11:00 w Blanche.

– Blanche? – odzywa się Lucy. – To jest ta knajpka naprzeciwko bloku, w którym być może mieszka Phin?

Marco kiwa głową. Potem szczyrzy zęby i mówi:

– Mój Boże. Zobaczymy Henry'ego!

Lucy dzwoni do Libby sześć razy między przebudzeniem się a wyjściem do Blanche. Sześć razy odzywa się poczta głosowa i Lucy czuje, jak przy każdym kolejnym coraz mocniej coś uciska ją w piersi, gdy próbuje sobie wyobrazić, do jakich wyznań są zmuszeni Libby i Miller po drugiej stronie świata. Jednak teraz skupia się wyłącznie na najbliższych chwilach. Ubrała się starannie, schludnie, umyła włosy sobie i Stelli. Wychodząc z hotelu, zauważa, że Marco też wyszykował się bardziej niż zwykle. Włosy ma ładnie zaczesane, a na nogi włożył półbuty, nie tenisówki.

Zasiedli w milczeniu w foyer swojego hotelu, czekając, aż Kris napisze do nich z restauracji. Telefon Marca wibruje osiem minut po jedenastej i wszyscy podskakują.

Siedzimy w kącie z tyłu po lewej stronie, niedaleko baru. Henry wygląda strasznie.

Wstają, gotowi do wyjścia, kiedy dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach wpada przez drzwi frontowe i rusza prosto do recepcji. Lucy instynktownie schodzi razem z dziećmi z widoku. Jeden z mężczyzn wyjmuje z kieszeni odznakę i pyta recepcjonistkę niskim i burczącym głosem, czy zatrzymała się u nich niejaka Marie Caron. Lucy zabiera szybko dzieci z budynku, zauważa nieoznakowany radiowóz zaparkowany na zewnątrz i szybko prowadzi ich wszystkich za róg, do czekającego ubera.

Już ma zamknąć drzwi, gdy czuje, jak ktoś je szarpie z drugiej strony i w oknie pojawia się twarz mężczyzny oraz przystawiona do szyby policyjna odznaka.

Samuel

Wracam do Charing Cross o osiemnastej. Donal dzwonił do mnie jakąś godzinę temu, żeby dać znać, że przesłuchanie stanęło w miejscu. Kazałem mu kontynuować. Po prostu pytać dalej.

Wchodzę do pokoju przesłuchań i widzę, że Libby Jones jest zmęczona. Podobnie Miller Roe. Donal ma w sobie jeszcze resztki energii, ale nawet on zaczyna opadać z sił po trzech godzinach bezowocnych rozmów.

Jednak ja mam coś nowego. Siadam ciężko na wolnym krześle i patrzę na Libby i Millera. Powoli wyciągam z kieszeni kurtki telefon i włączam ekran.

– Proszę – mówię, odwracając go w ich stronę. – Spójrzcie na to. – Stukam w wyświetlacz. – To jest Lucy Lamb. Trzy dni temu zameldowała się w hotelu w Chicago razem z dziećmi. Co tam robi?

Spodziewam się, że Libby spojrzy na Millera, ale ona nie robi tego. Dość niespodziewanie zabiera komórkę z mojej ręki i wpatruje się w obraz. Widzę, że jest bliska płaczu, i wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na jej odpowiedź. Jednak potem dziewczyna się ożywia. Prostuje się i oddaje mi telefon.

– Mówiłam. Jest na wakacjach.

– Czyli to jest Lucy Lamb, pani siostra?

Kiwa sztywno głową.

– Nie Marie Caron, pani przyjaciółka?

Zaprzecza.

Czuję, jak Miller Roe się jeży. Jest bardzo opiekuńczy w stosunku do Libby. Ten duży, zarośnięty mężczyzna bardziej przejmuje się jej losem niż swoim.

– Na wakacjach? Z dziećmi?

– Zgadza się.

– Ale bez telefonu?

– Tak.

– Wyjechała na wakacje do Chicago z dziećmi, w środku semestru, i nie wzięła ze sobą telefonu?

– Mówiłam to wszystko już wcześniej. Chciała, żeby to był prawdziwy odpoczynek, żeby odcięli się od wszystkiego.

Wzdycham tak głośno, że mój oddech przesuwam kartkę papieru.

Chciałbym powiedzieć mnóstwo rzeczy, jednak powstrzymuję się, bo czuję irytację i mam już po dziurki w nosie tych wszystkich bzdur.

– Libby, proszę, po prostu bądź ze mną szczerą. Wiemy, gdzie zatrzymała się Lucy Lamb, i miejscowa policja jedzie tam w tej chwili. Nie mam wątpliwości, że zaraz po opuszczeniu komisariatu zadzwonisz do siostry albo brata, żeby ich ostrzec, ale wtedy będzie już za późno. Dlatego proszę, oszczędź nam wszystkim stresu i nie udawaj. Po prostu powiedz. Teraz. Dlaczego twoja siostra jest w Chicago i przed czym ucieka?

– Dobra. Dobra – odpowiada. – Powiem. Przed niczym nie ucieka.

Miller wstaje i wyciąga do niej potężną ramię, jakby chciał wyprowadzić ją z pokoju, lecz ona go odpycha.

– Teraz to już bez sensu, Miller – zwraca się do niego. – Wiedzą, gdzie jest. To bez sensu. – I zanim zdążę się wtrącić, zaczyna mówić: – Lucy nie jest moją siostrą. Jest moją matką.

Czuję się trochę skonsternowany tą rewelacją. Zupełnie nie spodziewałem się takiego zwrotu akcji.

– Urodziła mnie, gdy miała czternaście lat. A do Chicago poleciała, żeby znaleźć mojego ojca.

– A kim jest twój ojciec?

– Jest nim Phineas Thomsen. Prawdziwy Phineas Thomsen. Nie ten, którego udaje Henry. Nigdy go nie poznałam, a Lucy, moja matka, nie widziała go, odkąd skończyła osiemnaście lat. Millerowi udało się go namierzyć ze względu na mnie i myśleliśmy, że jest w Botswanie, ale okazało się, że nie, że wyleciał do Chicago. Dlatego najpierw Henry wyruszył na drugą stronę oceanu, a potem moja matka poleciała za nim.

– Tylko po to, by zobaczyć się z Phineasem?

– Tak.

– No i? Udało im się?

– Z tego, co mi wiadomo, to nie.

Wiercę się na krześle. Ta historia nadal nie ma sensu.

– Z tego, co rozumiem, twój brat, Henry...

– Nie jest moim bratem, tylko wujkiem.

– Tak, jasne. Twoim wujkiem. Z tego, co rozumiem, był zadurzony w Phineasie. Kiedy byli jeszcze dziećmi. Do tego stopnia, że zmienił swój wygląd, by się do niego upodobnić, tak? I teraz zmienił też całą swoją tożsamość?

– Nie mam pojęcia. Nie było mnie przy tym.

– Nie. Oczywiście, że nie. Kiedy pierwszy raz ich poznałaś? Swoją matkę i wujka?

– W zeszłym roku. Mniej więcej równo rok temu. Kilka tygodni po moich urodzinach.

– I wcześniej o nich nie wiedziałaś?

– No nie. Tylko tyle, co przeczytałam w artykule Millera. To znaczy o ich istnieniu wiedziałam, ale to wszystko. A potem pewnego dnia po tym, jak odziedziczyłam dom, poszłam go obejrzeć i był tam Henry. Później pojawiła się też Lucy i od tamtej pory... cóż, teraz są moją rodziną. Po prostu częścią mnie.

– A opowiadali ci o tym, co się wydarzyło w tamtym domu? O przemocy?

– Nie za bardzo.

– Nie za bardzo?

– To znaczy wiem, że było im trudno. Wiem, że nie mieli wymarzonego dzieciństwa, żadne z nich. Jednak nie wchodzili w szczegóły.

Wzdycham.

– Libby, zanim cię wypuszczę, muszę zadać jeszcze jedno pytanie. Dlaczego kłamałaś? Przed czym próbujesz ochronić swojego wujka i matkę?

– Nie próbowałam ich chronić. Po prostu nie chciałam... sama nie wiem. Uciekali w popłochu przez całe życie. Od dzieciństwa. Ciągle uciekali.

Libby Jones płacze, a Miller Roe otacza ją ramieniem i przyciąga do piersi. Patrzy na mnie wściekle.

– To już chyba wszystko – rzuca.

– Tak, zgadzam się. To wszystko. Przepraszam, że cię zdenerwowałem. Niemniej nie możemy zapominać, że bez względu na okoliczności w tamtym domu została zamordowana młoda kobieta. Brutalnie zamordowana. Muszę się na tym skupić i nadal będę doprowadzał ludzi do płaczu, dopóki nie dowiem się, kto to zrobił i dlaczego.

Michaela nie było w Wielkiej Brytanii. Rachel dowiedziała się o tym, metaforycznie chowając dumę do kieszeni i dzwoniąc do Elli.

- Jest w Antibes – powiedziała Ella.
- A gdzie się zatrzymał?
- No, chyba w swoim domu.
- Jak długo tam będzie?
- Całe wakacje. Pracuje nad książką, wiesz?
- Książką?
- Powieścią. Opartą luźno na jego życiu.

Rachel przelknęła ślinę, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Naprawdę – powiedziała. – Niesamowite.

Kilka dni później wsiadła na pokład samolotu i poleciała raz jeszcze do Nicei, skąd wzięła taksówkę do Antibes i w gorący lipcowy poranek zarzuciła sobie plecak na ramiona, włożyła okulary przeciwsłoneczne i zaczęła maszerować.

Nie wiedziała, gdzie dokładnie znajduje się dom Michaela. Wiedziała tylko tyle, że jest „rzut beretem od morza”. Wiedziała, że ma „kolor zwiędłych róż”. Wiedziała, że jest „dwa kroki od najlepszej knajpy z owocami morza w Antibes” i jest schowany w alejce z prywatnym podjazdem i parkingiem przy ulicy, co jest „prawdziwym darem niebios w Antibes”.

Okazuje się, że nie ma czegoś takiego jak jedna najlepsza restauracja z owocami morza w Antibes. Było ich całe mnóstwo. Rachel postanowiła odwiedzić wszystkie, korzystając z listy z Tripadvisora, zaczynając od jedyńki. Kiedy dotarła do piątki na liście, było już popołudnie, a ona miała na koncie

prawie dwadzieścia tysięcy kroków. Jednak gdy zbliżała się do szóstej najlepszej restauracji z owocami morza, odwróciła się i zobaczyła za sobą błysk fal oraz sugestię schodów wbudowanych w opaskę brzegową, a przed nią znajdowały się boczne dróżki i wyłożone kocimi łbami alejki, więc Rachel wypila resztki wody z plastikowej butelki, wyrzuciła ją do kosza i ruszyła pierwszą dróżką, a instynkt podpowiadał jej, że to dobry kierunek, aż w końcu za małym zakrętem na końcu znajdował się zjazd prowadzący do pięknego domu w kolorze zwiędłych róż.

Na podjeździe stał sportowy samochód. Nie tani, zawodny sportowy samochód, lecz coś z wyższej półki, coś kosztującego dziesiątki tysięcy funtów. A dokładnie maserati. Rachel poczuła, jak żółć podływa jej do gardła. Zacisnęła mocno pięści. Minęła brzydkie auto i ruszyła do drzwi wejściowych.

Otworzyła jej Azjatka w średnim wieku.

– Dzień dobry?

– Och, dzień dobry. Jestem Rachel, żona Michaela. Mogę wejść?

Kobieta cała się rozpromieniła.

– Ach! Rachel! Żona Michaela! Tak, proszę. Proszę wejść!

– Michael jest tutaj? – zapytała Rachel, rozglądając się po wnętrzu domu, tego mitycznego pałacu, który stanowił tak dużą część uroku Michaela na początku ich znajomości i do którego jednak nigdy nie dotarła. To był piękny dom z takim samym przytulnym wdziękiem co jego londyńskie mieszkanie: łukowe przejścia prowadzące z korytarza do przestronnego salonu i kuchni o otwartym planie, z wysokimi drzwiami o czarnych ramach, za którymi znajdował się porośnięty bujną roślinnością ogród z bananowcami i palmami.

– Tak. Jest tutaj. Chyba ma sjęstę. Mam sprawdzić?

– Nie, nie trzeba. Proszę go nie budzić. Po prostu poczekam na niego tutaj, dobrze?

– Oczywiście. Ciągle go pytam, gdzie się pani podziewa, gdzie jest jego żona, dlaczego nie tutaj. A on zawsze powtarza, że jest pani bardzo zajęta w Londynie. Że robi pani biżuterię. Że nie ma pani czasu na przyjazd. Ale teraz

pani tu jest i tak bardzo się cieszę! Jestem Joy. Proszę usiąść. Przyniosę wodę i przekąski.

– Mogłabym skorzystać z toalety? Gdzie ją znajdę?

– O tutaj, pani Rimmer.

– Och, tylko nie pani Rimmer. Proszę, mów mi Rachel.

Rachel zamknęła za sobą drzwi łazienki i usiadła na spuszczonej klapie sedesu. Serce jej dudniło, miała przyśpieszony oddech. Znowu wstała i wsunęła dłonie pod kran, obróciła je i pozwoliła, by zimna woda obmyła jej nadgarstki, aż do odrętwienia. Prysnęła też trochę na twarz, a potem mamrotała pod nosem „spokojnie spokojnie spokojnie”, by zdusić panikę.

Mokrymi rękami poprawiła spuszone od gorąca włosy i schowała kilka luźnych kosmyków za uszy. Najchętniej wyszłaby z tego domu. Pragnęła uciec. Jednak przypomniawszy sobie ten wstrętny sportowy samochód, za który zapłacił jej ojciec, a później jeszcze, że wcale nie czuje strachu, czuje gniew, wypełnia ją ponury płonący gniew i nie ma nic takiego, co mógłby zrobić jej ten człowiek, co zabolaloby ją mocniej niż krzywda, którą wyrządził jej ojcu.

Wyszła z łazienki i popatrzyła w głąb korytarza. Prowadziły z niego dwa wyjścia, jedno do małego biura z widokiem na podjazd, gdzie stało maserati. Weszła na palcach do środka i szybko przejrzała papiery na biurku. Otworzyła aparat w telefonie i z dudniącym sercem zrobiła zdjęcia wszystkiego, co tylko wpadło w jej drżące ręce. Wysunęła szuflady i obmacała blat od spodu. Otworzyła folder i sfotografowała wyciągi, listy. Nie wiedziała, czym są te rzeczy. Nie wiedziała, czy cokolwiek będzie miało jakiegokolwiek znaczenie, ale Jonno powiedział, żeby zebrała jak najwięcej dowodów na jego działalność biznesową, więc postanowiła postawić na ilość, nie jakość.

Pociągnęła za szufladę na dole i za trzecim razem wreszcie udało się ją otworzyć. Na widok zawartości Rachel się wzdrygnęła, chwyciła za serce.

– Mój Boże – mruknęła pod nosem. – Mój Boże.

Pistolet.

Pistolet tak sobie leżał na dnie.

Zrobiła mu kilka zdjęć i z powrotem zatrzasnęła szufladę.

– Wszystko w porządku, pani Rimmer?

Podskoczyła, słysząc za plecami głos.

To była Joy.

– Tak. Boże. Przepraszam. Przestraszyłaś mnie. Szukałam czegoś.

– To nic! Żaden problem! Po prostu proszę przyjść, gdy będzie pani gotowa.

– Dziękuję, Joy.

Odwróciła się do biurka Michela i poruszyła myszką. Ekran się włączył, pokazując zdjęcie Michaela na motorówce, obejmującego dwie młode kobiety, z butelką szampana w srebrzystym wiaderku w tle. Rachel nie miała pojęcia, kim są te dziewczyny ani kiedy wykonano tę fotografię, ale Michael był ogolony, więc założyła, że to było jeszcze sprzed ich spotkania. Spróbowała wpisać jego datę urodzin jako hasło, lecz nic z tego. Spróbowała od tyłu, dalej nic. Potem jej wzrok powędrował do tego głupiego auta na podjeździe, z głupią spersonalizowaną rejestracją: MR74.

Na palcach policzyła, które w kolejności w alfabecie są jego inicjały, potem dodała cyfry do siebie, wyszło jej 4 i 9. Dopisała do tego 7 i 4, wcisnęła enter. Pojawił się pulpit. Serce zabiło jej szybciej.

Kliknęła skrzynkę odbiorczą i przejrzała wiadomości. I znalazła to, e-mail sprzed czterech dni, PMX Wealth Management, tytuł: *Stan konta za lipiec*. Otworzyła go i przesłała dalej na swój własny adres, po czym skasowała wiadomość z folderu z wysłanymi i z kosza. Wróciła do skrzynki odbiorczej. Mnóstwo podziękowań za zamówienie; najwyraźniej Michael dużo ostatnio kupował. Ubrania. Wino. Książki. Bizuterię.

Poczuła, jak gniew podnosi jej ciśnienie. Ten potwór pieniędzmi jej ojca fundował sobie pięciogwiazdkowy styl życia.

W jego skrzynce odbiorczej znajdowały się podfoldery i już miała kliknąć jeden z nich, kiedy usłyszała męski głos.

Zamknęła pocztę, schowała telefon do kieszeni i szybko ruszyła w stronę salonu, a w tym samym momencie Michael pokonał ostatni stopień schodów.

– O mój Boże. Rachel! Wow! Jak cudownie! Co ty tutaj robisz?

Broda zniknęła, jego twarz była gładka po popołudniowej drzemce, a skóra promieniała ładną opalenizną.

– Byłam w mieście. Pomyślałam, że wreszcie obejrzę ten legendarny dom w Antibes! Czyli jednak nie wynająłeś go na te wakacje?

– Ach, nie! Nie, miałem kilka rezerwacji, ale wszystkie anulowałem. Jak dobrze jest wrócić! Możesz zostać? Śpieszysz się?

– Mogę zostać, jasne, na kilka minut. Dlaczego nie?

Joy wyłożyła chipsy, plastry salami, oliwki i solone krakersy, a do tego postawiła karafkę wody z lodem i dwie szklanki z rżniętego kryształu.

–Dzięki, Joy – zawołał Michael w stronę pomieszczenia za kuchnią.

– Nie ma za co, panie Rimmer – odpowiedział pozbawiony ciała głos.

– Twoja gosposia jest zatrudniona tutaj na cały etat?

– Tak, ale nie mieszka w domu. Pracuje od ósmej do ósmej, od poniedziałku do soboty.

– Wow! Masz własną służącą! – powiedziała to tonem pełnym goryczy, jednak nie była zaskoczona, gdy Michael nie zwrócił na to uwagi.

– No wiesz, tutaj się żyje inaczej niż w Londynie. Jest...

– Drożej?

Zaśmiał się.

– No. Nie to chciałem powiedzieć, ale tak.

– Więc jak udało ci się ogarnąć sprawy finansowe? No wiesz, półtora roku temu musiałam płacić za wszystkie zakupy, bo ty nie miałeś grosza przy duszy. A teraz popatrz! I jeszcze ten samochód! Wow!

– Och, udało mi się wyprostować tę sprawę z zagubionym towarem. Został znaleziony. Dzięki Bogu. No więc tak, wszystko gra i buczy. – Popatrzył na nią z zażenowaniem, zaciekawieniem. – Czy... czy przyleciałaś omówić rozwód?

– Nie, nie. Mówiłam już, chciałam zobaczyć dom. Ella powiedziała mi, że tu jesteś. I tak się wybierałam w te okolice. Taka jestem ciekawska i tyle.

– Ale naprawdę chcesz rozwodu?

– Nie wiem. A ty chcesz?

– Nie. To znaczy właściwie nie zastanowiłem się nad tym. Chyba tak? Ale w sumie podoba mi się bycie twoim mężem, Rachel.

Popatrzył na nią zalotnie, z uczuciem, jakby między nimi wydarzył się tylko nieudany romans, nie gwałt, nie szantaż, nie risotto powoli spływające po kuchennej ścianie.

– Michael. Zgwałciłeś mnie.

– Och, daj spokój, Rach. Nie nazywaj tego gwałtem.

– Spałam. Zakryłeś mi usta dłonią. Chwyciłeś za gardło. To był pieprzony gwałt.

– Rachel. No weź. Oboje dobrze wiemy, że czekałaś, aż przejmę kontrolę. Aż cię zdominuję. Właśnie tego chciałaś. Wiesz o tym.

Rachel wciągnęła powietrze, żeby powstrzymać falę czystej furii, która zatętniła pod jej żebrami.

– Czy ty rozumiesz subtelne niuanse BDSM? Zwłaszcza jego lżejszej odmiany? To gra między dwojgiem ludzi, którzy znają zasady. A ty, Michael, nie rozumiałeś zasad i zrobiłeś coś, co nie było grą. To była przemoc, to była mizoginia, to była zwierzęca brutalność. I chodziło w tym wszystkim wyłącznie o ciebie, to nie miało nic wspólnego ze mną, a jeśli podobało ci się to, co zrobiłeś mi tamtej nocy, jesteś nie tylko gwałcicielem, Michael, jesteś też pierdolonym potworem.

Wtedy się do niej uśmiechnął. To był ten jego dawny uśmiech dobrego chłopca, to za jego pomocą wciągał ludzi w swoją orbitę, to dzięki niemu czuli się bezpiecznie i miło.

– Jak sobie chcesz, Rachel. Jak sobie chcesz. Oboje znamy prawdę na temat tamtej nocy.

– To się nazywa gaslighting, wiesz? To, co teraz robisz. To jest klasyczna technika przemocowca.

Michael prychnął.

– Przemocowca? Kurwa mać, Rachel. Postawiłem cię na pieprzonym piedestale. Wielbiłem cię. Dałbym ci wszystko, gdybyś tylko mi na to pozwoliła. Ale nie, ta jedna rzecz nie poszła po twojej myśli i puf, wyniosłaś się w sekundę. Zawsze w głębi ducha czułem, że masz się za księżniczkę.

– Miałaś szczęście, że nie poszłam na policję.

– Właśnie, Rachel, a dlaczego nie poszłaś na policję? Skoro, jak twierdzisz, stałaś się „ofiara molestowania”? – Narysował w powietrzu cudzysłów.

– Gwałtu, Michael. To nie było molestowanie. To był pieprzony gwałt. A nie poszłam na policję, bo bardzo długo chciałam udawać, że to się nie wydarzyło, bo gdyby się wydarzyło, oznaczałoby, że nie jestem już sobą, a bardziej niż czegokolwiek innego potrzebowałam być sobą. Jednak teraz wiem, że te dwie

rzeczy mogą być prawdziwe jednocześnie; to może być prawdą, że wyszłam za mężczyznę, który mnie brutalnie zgwałcił, i może być też prawdą, że jestem silna i wyjątkowa. Zupełnie tak jak Lucy.

– Lucy? – Wreszcie udało się zetrzeć ten jego zadowolony uśmiešek z twarzy.

– Tak. Poznałam Lucy. Kilka miesięcy temu. Powiedziała mi, że ją też krzywdziłeś. A jednak niesamowita z niej kobieta. Prawda? Przepiękna. I w pojedynkę jakoś radzi sobie z dwójką dzieci.

– Dwójką?

– Tak. Jej życie nie zatrzymało się po tobie. I moje również się nie zatrzyma. Tak czy inaczej, miło było cię zobaczyć, Michael. Naprawdę strasznie, strasznie chciałam obejrzeć ten dom. Zawsze myślałam, że spędzimy tutaj czas we dwoje, ale potem się okazało, że jesteś oszustem, kłamcą i żalonym chujem. No więc przepadło. Nieważne.

Rachel wstała i wciągnęła plecak na ramię.

– Żegnaj, Michael. Miłych wakacji. I powodzenia z powieścią. Nie zapomnij wspomnieć w niej o gwałceniu kobiet, dobrze? Twoi czytelnicy będą zafascynowani.

Wyrzwała za róg kuchni i zawołała do Joy:

– Bardzo dziękuję, Joy. Cudownie było cię poznać!

A potem wyszła z domu Michaela, zatrząskując za sobą drzwi. Jej stopy zadudniły przyjemnie na spieczonych słońcem kocich łbach.

Policjanci z Chicago dali dzieciom napoje z automatu i posadzili je w innym pokoju. W tym, w którym jest teraz Lucy, stoi ekran komputera, a na ekranie widać dwóch brytyjskich detektywów. Jeden jest czarny, z krótko przyszyżonymi włosami, ubrany w lnianą koszulę z krótkim rękawem, a drugi biały, z grubą grzywką brązowych włosów, ubrany w dopasowaną zieloną koszulkę polo. Przedstawiają się jako detektywi Owusu i Muir, po czym informują ją, że rozmawiają z nią z pokoju w Komisariacie Charing Cross. Mówią też, że dopiero co rozmawiali z Libby i Millerem. Detektyw Samuel Owusu twierdzi, że spotkał się również z niejakim Justinem Ugleyem, którego Lucy mogła znać jako Justina Reddinga i który wyjaśnił im, że życie w domu rodzinnym Lucy było nieprzyjemne, może nawet traumatyczne, a on chciałby zapytać, czy Lucy nie zechciałaby czegoś opowiedzieć o tamtym okresie, gdy Libby była niemowlęciem, krótko przed tym, jak ona i jej brat Henry zaginęli.

Lucy czuje suchość w gardle i bierze łyk wody. Jest zdumiona, że detektywi wiedzą tak dużo. Jest zdumiona, że jakimś cudem odnaleźli Justina, który dla niej jest jak poboczny wątek w odległym śnie. Nie pamięta nawet, jak wyglądał; zawsze był bardziej przyjacielem Henry'ego niż jej. Jest zdumiona, że znają jej prawdziwe imię i wiedzą, że jest matką Libby.

– Co powiedziała wam Libby? – pyta teraz Lucy.

– Niewiele. Ponieważ była noworodkiem, kiedy to wszystko się działo, nie była ani uczestnikiem, ani świadkiem wydarzeń; wiedziała tylko tyle, ile dowiedziała się od pani i pani brata. I co przeczytała w artykule swojego chłopaka. Nie znała Birdie, nie znała Justina, nie znała nawet pani, własnej matki, aż do zeszłego roku. Jej pomoc w wyjaśnieniu sytuacji była znikoma. I właśnie dlatego musimy porozmawiać z panią, pani Lamb.

– Nie jestem pewna, czy coś pamiętam. To było bardzo dawno temu.

– Cóż, na przykład może mogłaby pani nam opowiedzieć coś o Davidzie Thomsenie. O tym, jakim był człowiekiem.

Lucy czuje, jak jej wnętrzności się zaciskają, jakby uciekła z niej ostatnia cząsteczka powietrza.

David Thomsen.

Czerń wpełza na obrzeża jej pola widzenia. Chwyta siedzisko krzesła i robi głęboki wdech.

– Wszystko w porządku, pani Lamb?

– Aha. – Kiwa głową. – Tak. – Po czym mówi: – Powinnam poprosić o adwokata? To znaczy, czy jestem aresztowana, czy...?

– Nie, pani Lamb. Nie jest pani aresztowana. Po prostu staramy się rozwikłać poplątane losy Birdie w pani domu rodzinnym i ustalić okoliczności jej zabójstwa. Chyba że już zna pani odpowiedź? Może jest pani w stanie powiedzieć nam to od razu? Wtedy będzie pani mogła odejść i cieszyć się ostatnimi dniami wakacji w Chicago razem z dziećmi.

– Nie wiem, co się stało z Birdie.

To była prawie prawda. Była niemal pewna, że Henry uderzył ją ciosem słońca. Jednak trzymała wtedy Libby, która płakała, a wszystko wydarzyło się tak szybko, że właściwie to nie wie, nie wie.

– Była złym człowiekiem – stwierdza, a słowa wypadają z jej ust zupełnie bez udziału jej woli. – Birdie była czystym złem.

Obserwuje twarz detektywa na ekranie. Nic się nie porusza oprócz brwi.

– W jakim sensie była zła?

– Wpłynęła na mnie, żebym uprawiała seks z jej kochankiem, kiedy miałam trzynaście lat.

– Jej kochankiem?

– Davidem Thomsenem. Miał czterdzieści sześć lat. Może więcej. Chciała, żebym zaszła z nim w ciążę, bo ona nie mogła. Dlatego wpłynęła na mnie. Zostawiła mnie z nim samą. Wmawiała, że to romantyczne. Wmawiała, że robię coś szlachetnego i pięknego. A potem...

Płacz chwyta ją za gardło, łzy cisną się do oczu. Dusi je i czuje niepohamowaną chęć, absolutnie niepohamowaną chęć, żeby opowiedzieć

komuś o tym, co się jej przytrafiło, kiedy była dzieckiem; żeby rzucić tym w kogoś, cisnąć mocno, aby wylądowało gdzieś, gdzie ktoś to zobaczy, żeby poznał to coś, o czym nigdy nikomu nie mówiła, nawet Libby.

– Ukradli mi dziecko, gdy jadło już pokarmy stałe, nie pozwalali mi jej dotknąć. Zabrali ją, Birdie i David, zabrali ją i nazywali „swoim maleństwem”. Słyszałam jej płacz, ale nie pozwalali mi do niej iść. I to zrobiła Birdie, to ona. Miała takie spojrzenie, patrzyła tymi swoimi oczami, takimi jasnymi, że prawie nie niebieskimi, prawie jak okruchy szkła. I ręce zawsze miała takie zimne. Nigdy nie dotykała miło, zawsze szorstko. A kiedy uczyła nas gry na skrzypcach, zaciskała je na nadgarstkach jak metalowe klamry. – Bezwiednie chwytła się przy tych słowach za przeguby. – No i zapach, ten zapach. Seksu. Często. Włosów. Miała tyle włosów. Nigdy ich nie myła. Nigdy się nie uśmiechała. Zabrała mi dziecko i udawała, że należy do niej. To ja powinnam była ją zabić. Gdybym to ja ją zabiła, byłabym z tego dumna.

Jej serce bije mocno pod wpływem adrenaliny i Lucy bierze głęboki oddech, żeby nad nim zapanować.

Detektyw patrzy na nią przez sekundę, po czym mówi:

– Czyli chce mi pani powiedzieć, że chociaż chciała pani zabić Birdie Dunlop-Evers, nie zrobiła pani tego.

– Tak. Właśnie to chcę powiedzieć.

– No to kto ją zabił?

– Nie wiem. – Wzdryga się przy tym kłamstwie i ma nadzieję, że detektyw z Londynu nie zauważy tego na ekranie.

– Widziała pani jej śmierć?

Lucy przetyka ślinę. Oczami wyobraźni widzi obraz. Cios słońca w ręce Henry’ego. Birdie na podłodze. Jednak ten moment między jednym a drugim jest zamazany, zaciemniony. Lucy unosi wzrok na detektywa i mówi z przekonaniem:

– Nie.

– Co się wydarzyło tamtego dnia, pani Lamb? Co się wydarzyło, kiedy dorośli umarli, a pani dziecko zostało samo w domu?

– Nie wiem. Oni umarli. Zabili się. Pewnie dlatego, że byli złymi ludźmi.

– Ale Birdie się nie zabiła.

– Nie. Pewnie oni ją zabili. Pewnie zrobił to David. A potem zabił siebie. I zabrał ze sobą moich biednych, głupich rodziców.

– To rzeczywiście byłoby oczywiste wytłumaczenie, pani Lamb. Zgadzam się. Tylko że sytuacja jest bardziej skomplikowana. Ponieważ ktoś próbował pozbyć się szczątków. Zabrał je z dachu budynku i wyrzucił do Tamizy. I to w zeszłym roku. To nie David Thomsen próbował zatrzeć ślady swojej zbrodni, bo nie żyje. Ktoś inny usiłował to zrobić.

Lucy się wzdryga. Pieprzony Henry. Powiedział, że się ich pozbył, że nikt ich nigdy nie znajdzie. Co on sobie myślał, wrzucając do choliernej Tamizy coś tak niebezpiecznego? Czy naprawdę myślał, że to się nie wyda? Tak czy inaczej, Lucy nie może teraz stracić kontroli. Prostuje się i oznajmia:

– Jeśli kości zostały znalezione w Tamizie, mogła zginąć gdziekolwiek. Dlaczego uważa pan, że zabito ją w naszym domu?

– Przez taką małą rzecz zwaną medycyną sądową, pani Lamb. – Detektyw uśmiecha się łagodnie, a Lucy sztywno kiwa głową. *Oczywiście.* – Osoba, która usunęła kości z dachu domu przy Cheyne Walk, musiała mieć dostęp do budynku w ciągu co najmniej ostatnich kilku miesięcy, jak nie roku. Wiemy, że Libby przejęła własność jakiś rok temu i stąd wynika, że mogła to być pani, Henry, Libby Jones, Miller Roe albo prawnicy. Libby twierdzi, że Phineas Thomsen w tym momencie przebywa w Chicago, ale pracuje w rezerwacie dzikiej przyrody w Botswanie, a my rozmawialiśmy z jego pracodawcami, którzy potwierdzili, że spędził w Botswanie każdy dzień w ciągu ostatnich dwóch lat. Dlatego rozumie pani, że o ile to nie Libby przeniosła szczątki, co wydaje się mało prawdopodobne, ponieważ nie wiedziała, że one tam są, wydarzyło się coś jeszcze. Coś wykraczającego poza samobójczy pakt. Popelniono jakąś zbrodnię i logika każe domniemywać, że kości Birdie zostały przeniesione i usunięte albo przez pani brata, albo przez panią. Skoro więc nie była to pani, pani Lamb, w takim razie czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie znajdziemy Henry'ego?

Lucy unosi wzrok na mężczyznę na ekranie. On wpatruje się w nią i tam, gdzie spodziewałaby się obojętności, widzi empatię. On nie próbuje jej dorwać. Po prostu chce rozwiązać zagadkę. Mimo wszystko, myśli Lucy, mimo wszystko, żeby rozwiązać tę zagadkę, detektyw bada zbyt wnikliwie samą Lucy, podąża za nią zbyt daleko i kto wie dokąd go to zaprowadzi. Nagle drży, bo

dociera do niej, że zaprowadzi go to do piwnicy domu Michaela w Antibes, a potem Lucy straci wszystko. Absolutnie wszystko.

Spogląda jeszcze raz na mężczyznę na ekranie i kiwa głową, tylko raz.

CZĘŚĆ CZWARTA

Opuszczam rękawy bardzo eleganckiej koszuli marki Reiss, którą kupiłem na lotnisku Heathrow po drodze tutaj, i mam wrażenie, jakby to było sto lat temu, a nie raptem tydzień. Kris siedzi naprzeciwko mnie i wygląda niesamowicie przystojnie, bawiąc się telefonem. Wydaje się bardzo rozkojarzony i zaczynam się zastanawiać, czy może w jego nagłym i niezwykle ekscytującym zaproszeniu na brunch nie ma ukrytego motywu.

– Wszystko w porządku, Kris? – pytam, spuszczaając wzrok na jego komórkę.

– Tak. Pewnie. Przepraszam, Josh. Spodziewam się, eee, wiadomości od klienta. Zarezerwował wstępnie przejażdżkę o czternastej, ale miał się jeszcze odezwać z potwierdzeniem. Chciałbym po prostu wiedzieć, ile mam czasu.

Zerkam na godzinę w telefonie. Jest jedenasta trzydzieści trzy.

– Mamy mnóstwo czasu. Może zamówię sobie krwawą mary. A ty?

– Och, nie. Nie, jeśli mam później klienta. Muszę być trzeźwy.

– Oczywiście. A będzie ci przeszkadzać, jeśli...?

– Nie. Oczywiście, że nie! Śmiało.

Zamawiam krwawą mary, po czym patrzę znowu na Krisa, który obserwuje mnie intensywnie.

– Więc co tam się u ciebie działo od naszego ostatniego spotkania? – pyta, upijając łyk wody.

– Och – rzucam beztróska. – Takie tam. Staralem się po prostu odpocząć.

– A gdzie się teraz zatrzymałeś? – Jego wzrok znowu wędruje do telefonu.

– Przeniosłem się do Airbnb. Właściwie niedaleko stąd. Chciałem mieć trochę więcej swobody, ugotować coś samemu, takie tam.

– A kiedy planujesz wrócić do Londynu?

– Spodziewam się, że niedługo, ale nie zarezerwowałem jeszcze biletu powrotnego.

– Czeka ktoś na ciebie w domu?

Uśmiecham się cierpko.

– Tylko dwa trochę śmieszne koty.

– Czyli mieszkasz sam?

– Tak, sam jeden w pięknym mieszkaniu.

– A rodzina?

– Tak, mam „rodzinę”. – Śmieję się ochryple. Właściwie to nie wiem, dlaczego użyłem cudzysłowu. Przestaję się uśmiechać i poprawiam: – Tak, mam siostrę, dwie siostrzenice i jednego siostrzeńca. Rodziców już nie.

– A czym się zajmuje twoja siostra?

– Och. Boże, w sumie niczym. To znaczy można powiedzieć, że jest muzyczką, ale właściwie to w tej chwili za bardzo nie gra. Zajmuje się różnymi sprawami finansowymi, szuka nowego domu. To wszystko jest bardzo skomplikowane.

Przynoszą mojego drinka, unoszę szklanekę.

– Za ciebie. I dziękuję, że stałeś się częścią mojego chicagowskiego doświadczenia. Och, a skoro już o tym mowa, chciałem przeprosić z całego serca za tamtą prymitywną wiadomość, którą wysłałem ci we wtorkową noc. Trochę mnie zmogło, delikatnie mówiąc. Ekstremalnie delikatnie. Nawet nie pamiętam, że to napisałem.

– Tak, poznałem po literówkach, że nie byłeś trzeźwy. Ale nie przejmuj się. To się zdarza. Rozumiem.

Kris znowu spogląda w komórkę. Potem jego wzrok wędruje do drzwi restauracji i nagle wiem. Już wiem. Ktoś inny miał tu być. Tylko kto? Kogo może znać Kris, kto mógłby chcieć się ze mną tutaj spotkać? Z pewnością nie moją siostrę. Nie ma mowy, żeby ich drogi się przecięły. Jednak potem sobie przypominam. Marco. Zdobył dostęp do mojej historii wyszukiwania. Mógł zobaczyć stronę z usługami Krisa. I wszystko staje się jasne. To podstęp. Zostałem oszukany i wystawiony. Powstrzymuję chęć, by odwrócić się i spojrzeć na drzwi.

– Udało ci się w końcu znaleźć tego brytyjskiego przyjaciela, Finna?

Kris potrząsa głową i nerwowo chwyta się za kark.

– Nie – odpowiada. – Nadal próbuję go namierzyć. Coś dziwnie ucichł. Właściwie zaczynam się trochę o niego martwić. I wiesz co, Joshua, tak sobie pomyślałem ostatnio. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy tamtego dnia nad jeziorem? Wspomniałeś, że twój dom miał widok na brzeg Tamizy. Wtedy tego nie skojarzyłem, ale, niesamowite, mój przyjaciel miał taki sam widok! Może się mylę, jednak to chyba niezły zbieg okoliczności. I dlatego o tobie pomyślałem, Joshua! – Mówi to żartobliwym tonem, lecz widzę, że buzuje w nim adrenalina.

Patrzę na niego, odpowiadając na jego żartobliwość tandetnym uśmiechem.

– A co dokładnie sobie o mnie pomyślałeś, Kris?

– Nie wiem. Że może to ty jesteś tym kolesiem? Tym kolesiem, o którym mówił mi Finn?

– Przypomnij mi, o kogo chodzi?

Widzę, jak mu drży mięsień w policzku.

– O gościa, który miał obsesję na jego punkcie. Który zamknął go w pokoju.

– Zamknął go w pokoju? – rzucam. – To okropne. Biedny ten twój przyjaciel. Tak czy inaczej, zapewniam, że to nie ja.

– Jesteś pewien?

Zamieram.

– Tak, jestem pewien. I wiesz co, właściwie to mam parę spraw do załatwienia. Chyba powinienem już się zbierać. – Zostawiam kilka dziesięciodolarówek na stole, żeby zapłacić za jajecznicę z tostem i drinka, a potem ściągam marynarkę z oparcia krzesła.

Kris nagle wstaje i wyciąga do mnie rękę.

– Nie – wypala z nutą paniki w głosie. – Nie idź. Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć. Po prostu... tak jakoś mi się wydawało... Proszę, zostań, dokończ przynajmniej swojego drinka.

Raz jeszcze patrzy na drzwi i wtedy ja też kieruję tam swój wzrok. Przed wejściem zatrzymuje się ciemne auto, parkując ryzykownie na ulicy. W jednej chwili otwierają się dwie pary drzwi i ze środka wysiada dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach.

Odwracam się, patrzę na tył restauracji, gdzie znajduje się korytarz prowadzący do kuchni, i rzucam się do ucieczki.

Samuel

Wracamy z Donalem do biurka. Przez jakiś czas siedzimy w pełnym zdumienia milczeniu, nie mogąc uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło.

Lucy Lamb wystawiła swojego brata.

Mój kontakt z Chicago właśnie jedzie z drugim funkcjonariuszem do knajpy, w której, jak powiedziała Lucy, Henry Lamb miał zjeść śniadanie z kolegą. Niedługo dowiemy się, czy będziemy mogli przesłuchać go w sprawie okoliczności śmierci Birdie Dunlop-Evers. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli odłożyć te wszystkie papiery, odłożyć ten świat, który stworzył w mojej głowie Jason, znajdując worek kości na brzegu Tamizy dwa tygodnie temu. Ten sam świat wypełnia moje ciche chwile, mój sen i wszystkie szczeliny pomiędzy; świat przemocy, mroku i bogactwa; świat, który wypluł czworo skrzywdzonych dzieci na ulice i zostawił je na pastwę losu.

Jednak najpierw musimy porozmawiać z Henrym i do tego czasu nie mamy z Donalem nic do roboty, możemy tylko siedzieć tutaj i czekać, gapiąc się w ścianę.

– Całkiem seksowna, nie uważasz? – rzuca niespodziewanie Donal.

– Słucham?

– Lucy Lamb. Te jej ciemne oczy. Szczupła twarz. Taka... seksowna.

Przewracam oczami. Dziewczyna, z którą mieszkał, zostawiła go jakieś trzy miesiące temu i z faceta, który opowiada o montowaniu półek cały weekend i zabieraniu kotów do weterynarza, zmienił się w kogoś, kto mówi wyłącznie o kobietach. Musi sobie szybko znaleźć następną dziewczynę. Ta lubieżność nie pasuje do niego.

Otwieram pocztę, żeby oderwać się od rozmowy na temat kości policzkowych Lucy Lamb. Widzę wiadomość od Philipa Dunlopa-Eversa. Píše

do mnie codziennie. *Tak tylko chciałem zapytać, czy jest coś nowego. Wiem, że jest pan zajęty. Z pewnością da mi pan znać, gdy będzie coś wiadomo.*

Klikam odpowiedź i zaczynam stukać w klawisze.

Jesteśmy bardzo blisko przesłuchania głównego podejrzanego – mężczyzny, który jako nastolatek mieszkał w tamtym domu w czasie zaginięcia Birdie. Namierzyliśmy też Justina Reddinga, który bardzo nam pomógł, jednak, jak się okazało, nie przebywał wtedy w Londynie. Mam nadzieję, że będę mógł się czymś podzielić na koniec dnia. Proszę czekać na wiadomość albo śmiało dzwonić do mnie.

Nie zadzwoni. Jest zbyt uprzejmy. Wyobraża sobie, że jestem zbyt zajęty, by odbierać telefony. To bardzo miły człowiek. Wygląda na to, że miłszy od siostry, którą Lucy Lamb i Justin Ugley przedstawili w bardzo złym świetle. Myślę o tych drobnych kościach, tak delikatnych, że w pierwszej chwili wydawało nam się, że należały do dziecka. Jednak teraz się okazuje, że być może należały do potwora.

Podskakujemy z Donalem na dźwięk mojego dzwonka. Sięgam po komórkę i od razu odbieram.

– Halo, inspektor Owusu? Z tej strony agent Jacobs. Dzwonię z Chicago. Pański świadek już czeka. Jest pan gotów, żeby dołączyć do nas przez kamerkę?

– Tak, tak. Proszę nam dać trzy minuty. Bardzo dziękuję.

Zerkam na Donalę i kiwam głową. On odpowiada tym samym i wracamy do pokoju przesłuchań.

Rachel zameldowała się w hotelu w Nicei i od razu zrzuciła z siebie ubrania, by wziąć dziesięciominutowy prysznic i zmyć z siebie nie tylko pot po całym dniu, ale też wrażenie towarzystwa Michaela. Nie planowała powiedzieć tego wszystkiego, co powiedziała, zamierzała rozegrać to na chłodno, zostać dłużej, pogadać więcej, dowiedzieć się czegoś o jego finansach. Jednak nawet w ciągu tych zaledwie piętnastu minut w jego gabinecie zdołała zebrać całkiem sporo informacji, więcej, niż się spodziewała, a wszystko, co mówiła, dało jej nadzwyczajne poczucie, że stanęła na nogach. Nie, że zamknęła ten rozdział w swoim życiu. W żadnym wypadku. To niemożliwe, dopóki Michael wciąż ma sześćset tysięcy funtów należące do jej ojca. Dopóki to czerwone maserati stoi bezwstydnie na jego podjeździe. Dopóki nadal pod spuszczonej powiekami widzi powidoki tamtych obrzydliwych zdjęć oraz zawstydzony kształt pleców ojca, gdy oglądała je na laptopie w jego przytulnym biurze.

Włożyła jedwabną niebieską spódnicę, która sięgała jej do kostek, i czarny top, zarzuciła sobie torebkę na ramię i wyszła na duszne powietrze wieczoru. Centrum Nicei wydawało się innym światem w stosunku do tego, czego doświadczyła w lutym. Słysząc było głośną muzykę płynącą z restauracji, z karuzeli, od licznych grajków i artystów, którzy zapewniali rozrywkę na każdym placu. Mężczyźni stali przed restauracjami i machali menu, próbując zachęcić ją do wejścia, a ona dała się skusić jednej restauracji na głównym placu, przed którą stał mężczyzna z siwymi lokami i w białej koszuli opinającej się na brzuchu. Zamówiła minutowego steka z frytkami i karafkę białego wina poleczonego przez kelnera. Obsługa w średnim wieku kręciła się dokoła, udając wielce pomocnych, a była od nich paternalistyczna energia seksualnych drapieżników, ale jej to nie obchodziło. Była niczym gładki kamień na dnie jeziora pełnego ryb. Była twarda, nieporuszona, zrównoważona. Zawibrował jej telefon, spojrzała na ekran. Wiadomość od Jonno. Jego kontakt

wciąż sprawdzał wszystkie informacje, które wysłała mu wcześniej. Nic jeszcze nie wiadomo.

Zamówiła dodatkowy kieliszek wina i kawałek tarty czekoladowej, a potem z chaosu panującego na placu wyłonił się znajomy odgłos. Pierwsze nuty *Titanium* granego na skrzypcach. Rachel odsunęła talerzyk, wypła wino, zapłaciła rachunek i wyszła z restauracji.

Lucy wyglądała okropnie. Taka chuda. Wymizerowana. Usta miała wysuszone. Dzieci też nie prezentowały się dobrze. Rachel podeszła kilka kroków bliżej, obejmując się w pasie. Wokół Lucy zaczynał się zbierać mały tłum. Rachel widziała monety wrzucane do jej melonika. Szybko podeszła, nie nawiązując kontaktu wzrokowego, i dorzuciła jeszcze dwadzieścia euro. Usłyszała wykrzyczane podziękowania od Lucy, a potem Rachel odsunęła się z powrotem, oglądała ją z drugiego końca placu, aż w końcu, przed dwudziestą drugą, kobieta schowała skrzypce, przesyła pieniądze z melonika do torebki, podała futerał, matę i psa synowi, obudziła śpiącą córkę i ruszyła w drogę do niebieskiego domu na Wzgórzu Zamkowym, gdzie Rachel widziała, jak puka do drzwi, jak w oknie na dole pojawia się twarz konsjerża, który otwiera im, mówiąc: „Dziewczyno. Dzieciaczki. Piesku! Wejdźcie!”.

Niedzielny lot Rachel miał wystartować dopiero wieczorem, więc po późnym śniadaniu spakowała torbę, zostawiła ją na recepcji hotelu i ruszyła uberem do Antibes. Jonno odpisał jej godzinę temu, potwierdzając, że beneficjent konta PMX był blisko związany z firmą o nazwie MCR International: firmą Michaela.

– Czyli to na pewno on, tak? – zapytała.

– Tak. Na sto procent. Chcesz, żebym zadzwonił na policję?

Rachel zawahała się.

– Nie – odparła. – Jeszcze nie. Na razie nie wiem, co robić. Muszę się zastanowić.

Jednak po godzinie już bardzo dobrze wiedziała, co zrobi. Zamierzała w tej chwili pojechać do domu Michaela, wyjąć broń z jego szuflady i przycisnąć ją do jego głowy, aż odda każdego funta z pieniędzy jej ojca. Każdego funta.

Powiedział jej, że gosposia nie pracuje w niedziele.

Będą mieli cały dom dla siebie.

Kierowca ubera podrzucił ją na główną ulicę i ruszyła po kocich łbach w stronę domu Michaela. Czerwone maserati stało na podjeździe. Okiennice były otwarte. Powietrze pachniało dymem z grilla. Rachel zajrzała przez okna po obu stronach drzwi, zauważyła jakiś ruch i schowała się.

Już miała go zawołać, lecz nie zrobiła tego. Odczekała kilka minut, a potem podeszła do wejścia po drugiej stronie domu i odsunęła zasuwkę. Furtka prowadziła do ogrodu, w którym widać było błyszczący lazur basenu, kolorowe ptaki na liściach bananowców i maleńkie fruczaki wiszące nad krzakami lawendy. To była idealna, przepiękna oaza w mieście, jednak z jakiegoś powodu powietrze wydawało się ciężkie i martwe.

Zajrzała przez wysokie szklane drzwi, które prowadziły do kuchni, i przez chwilę wydawało jej się, że widzi Joy, gosposię, jak sprząta. Kobieta z ciemnymi włosami, z gumowymi rękawiczkami właśnie pryskała wybielaczem na różne powierzchnie i szorowała je mocno. Sięgnęła po coś, co wyglądało jak czerwony materiał, lecz zaraz dało się zobaczyć, że to nie czerwony materiał, to czerwona plama. Rachel podążyła wzrokiem za drugą czerwoną plamą na dywanie i ujrzała coś, co wyglądało jak stopa. Naga stopa, opalona, nieco zarośnięta.

Rachel wiedziała, do kogo należy. Rozpoznałaby ją wszędzie. Michael miał takie piękne stopy. Potem kobieta obróciła się lekko i Rachel nagle zrozumiała, że to nie Joy, że to Lucy, a później obserwowała sparaliżowana, z odrazą i euforią, jak Lucy owija pozbawione życia ciało Michaela w prześcieradło, następnie przetacza je na dwa leżące obok siebie worki na śmieci. Patrzyła, jak Lucy ciągnie go po chłodnych granitowych płytkach kuchni do pomieszczenia z tyłu, do którego poprzedniego dnia poszła Joy, gdy Rachel rozmawiała z Michaeliem. Kilka chwil później Lucy wróciła i zaczęła jeszcze raz szorować, psikać, czyścić, wyrzucając niekończące się szkarłatne ręczniki kuchenne do otwartego worka na śmieci. Wreszcie, gdy minęło już półtorej godziny, zdjęła gumowe rękawiczki, umieściła je również w worku, a potem go zawiązała.

Wkrótce Rachel usłyszała trzask drzwi wejściowych. Stała cicho, jej oddech utknął gdzieś pomiędzy wnętrzościami a gardłem. Czego właśnie była

świadkiem? Czy to możliwe? Naprawdę? Czy Lucy zamordowała Michaela? Z pewnością nie? Z pewnością nie?

W końcu zwalczyła odrętwienie, poruszyła ramionami, zrobiła kilka kroków w stronę domu. Wyjęła chusteczkę z torebki i przez nią nacisnęła klamkę drzwi od ogrodu. Otworzyła je z łatwością. W środku zauważyła klapki Michaela i włożyła je, zostawiając swoje sandały w ogrodzie.

Powoli i w milczeniu, na paluszkach obeszła dom, próbując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Jednak wszystko było idealne, nieruszone: kuchnia błyszczała, zmywarka pracowała cicho; nigdzie nie było najmniejszego śladu, że wydarzyło się coś złego. Serce Rachel dudniło z niezdrową ekscytacją. Ach, co za tragedia. Ach, co za cud. Ach, co za zajebistość. Lucy go zabiła. Zaczekała na właściwy moment i zaatakowała go, zamordowała, a teraz – teraz on już nigdy nie zdoła skrzywdzić żadnej innej kobiety. Serce Rachel dudniło z ulgą, z adrenaliną, ze wstrętem, z zachwytem.

I wtedy dopadła ją myśl, że jeśli Lucy miała powód, by zabić Michaela, to Rachel też go miała, więc nie powinno jej tutaj być, w ogóle nie powinno jej tutaj być. Jednak musiała go zobaczyć. Musiała mieć pewność, że z nim definitywny koniec. I dlatego szybko, ukradkiem weszła do pomieszczenia za kuchnią, które okazało się swego rodzaju magazynkiem z wąskimi schodami prowadzącymi do piwnicy. Rachel włączyła światło i zeszła prędkim krokiem. W piwnicy znalazła wino; na ścianach wisały ramki z printami winogron i insygniami winiarni. Stał też szklany bar z dwoma drewnianymi stołkami oraz rzędem kieliszków na półce z tyłu, na tle vintage'owego lustra z obrazem w stylu art nouveau. I był też Michael w plastikowym kokonie. Worki nie były związane i Rachel schyliła się, żeby chusteczką odsłonić czarną folię. Zobaczyła jego brzuch, miękkie włosy pokryte krwią. Zobaczyła trupie opuszki jego palców. Zobaczyła koszulkę, podniesioną na piersi, zagłębienie w gardle i wiszącą luźno szczękę, przekrzywione usta i patrzące gdzieś za nią oczy.

Zasłoniła go workiem i zostawiła, zatrzymując się na krótko na szczycie schodów, żeby jeszcze raz na niego popatrzeć. Żałosny, pomyślała, żałosny.

Potem wróciła do kuchni, zrzuciła klapki Michaela, włożyła swoje buty, zamknęła za sobą drzwi dłonią owiniętą w chusteczkę i wróciła przez kocie łby na zatłoczoną ulicę, kierując się na postój taksówek, by pojechać do hotelu, zabrać torbę od recepcjonistki i ruszyć na lotnisko.

Patrzę na ekran i widzę dwóch detektywów. Jednego czarnego, drugiego białego. Ten czarny nazywa się Samuel i najwyraźniej tu dowodzi. Opiera łokcie o blat stolika w pokoju w Londynie i mówi do mnie, uśmiechając się ciepło.

– Henry Lamb – rzuca. – W końcu się poznamy.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że mnie pan szuka – zauważam.

– No cóż, nie. Zdaje się, że nie. Wyjechał pan jakby incognito.

– Miałem ostatnio sporo stresu w pracy. Musiałem porządnie wypocząć.

– A także, oczywiście, niedawno otrzymał pan dużą sumę pieniędzy?

– Tak. Chociaż to nie ma nic wspólnego z wyjazdem. Już wcześniej miałem dużo pieniędzy. Musiałem uciec z Londynu. Spuścić trochę pary. Ponad rok tłoczyłem się w małym mieszkaniu z siostrą, jej dziećmi i psem. Potrzebowałem trochę przestrzeni.

– Co wyjaśnia, dlaczego nie odbierał pan telefonu i nie odpisywał na żadne wiadomości...

– W rzeczy samej.

Zerkam na drugiego detektywa. Widzę, że mną gardzi, że reprezentuję wszystko, czego nienawidzi. Rzucam mu zalotne spojrzenie, żeby popatrzeć, jak się wzdryga. I się wzdryga.

Samuel, ten czarny detektyw, szybko przedstawia mi wyniki swojego śledztwa. Jest bardzo zadowolony z siebie, to widać. I muszę przyznać, że ma do tego powody. Tylko że ja mu wszystko bardzo ułatwiłem.

Raz po raz odtwarzam w głowie tamte wydarzenia: czerwcowy dzień zeszłego lata, krótko po tym, jak Libby przejęła własność domu przy Cheyne Walk 16. Ciepłe wieczorne słońce ogrzewało mi ramiona, kiedy wspinałem się

na dach, odsunąłem brezent za kominem i zeszkrobałem warstwę martwych liści, połamanych mniejszych i większych gałązek, pozostałości po wielu zimowych zamieciach, a potem patrzyłem przez chwilę niewidzącym wzrokiem na brudny całun ze starych ręczników i prześcieradeł. Widzę teraz samego siebie, jak ściągam kolejne tkaniny i wpatruję się w szoku i zachwycie na skryty pod nimi maleńki szkielet, po czym szybko wrzucam kości, jedna po drugiej, do czarnego worka na śmieci. Pamiętam, jak wdrapałem się z powrotem do domu i siedziałem tam chwilę z zimnym piwem, które otworzyłem i popijałem w słońcu, z kośćmi Birdie u moich stóp, a następnie rozpałiłem małe ognisko, żeby spalić ręczniki.

Pamiętam, jak czekałem, aż zrobi się ciemno, a później wziąłem dwie puste butelki po piwie i mały czarny worek i stałem z nimi przez jakiś czas nad Tamizą, spoglądając na zachód słońca, który malował na powierzchni wody żywe wstęgi koloru. Czekałem, aż pojawi się przerwa w rzeczonym ruchu, i już miałem otworzyć worek, by wyrzucić kości do rzeki, kiedy niespodziewanie ukazała się barka, rozległ się odgłos klaksonu, a ja podskoczyłem, straciłem równowagę i cały worek wypadł mi z rąk prosto do wody. Próbowałem go wciągnąć z powrotem, lecz odpłynął zbyt daleko i nic już nie mogłem zrobić, jedynie stać i patrzeć, jak sobie dryfuje w dół rzeki, z całą Birdie, każdym jej kawałeczkiem, a także wszystkimi śladami dla techników medycyny sądowej. Czy zostanie odnaleziona? Nie miałem wtedy pojęcia. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nawet jeśli, to przez ryby albo ptaki, że będą ją roznosić przez dziesięć, sto, może tysiąc lat, a ja już nigdy więcej o niej nie usłyszę.

Jednak okazuje się, że przetrwała tylko rok, zanim raz jeszcze dała o sobie znać. I chociaż mnie to wkurza, nie mogę winić nikogo prócz samego siebie.

– No więc, panie Lamb...

Pierwszy raz, być może w całym moim życiu, ktoś nazwał mnie panem Lambem i prawie odwracam się odruchowo, żeby zobaczyć, że jakimś cudem w pokoju pojawił się mój ojciec. *Pan Lamb*. Właśnie nim jestem, jakiegokolwiek nazwiska bym sobie przypisywał. A jednak niemal zapomniałem.

– Ktoś wrócił do domu przy Cheyne Walk w którymś momencie zeszłego lata i zabrał szczątki Bridget Dunlop-Evers z dachu, by wrzucić je do Tamizy – ciągnie Samuel. – Ma pan pojęcie o tym, kto mógłby to być? Zakładając, oczywiście, że nie pan był tą osobą?

Samuel patrzy na mnie i nawet z odległości tysięcy kilometrów, nawet na ekranie, widzę żar zrozumienia w jego oczach i wiem, że potrafiłby mnie przejrzeć, każdy skrawek, każdy atom, gdybym tylko mu na to pozwolił. Ale nie docenia mnie. Całe życie znajdowałem sposoby na to, by ograniczyć mowę swojego ciała, ukryć prawdę o tym, kim jestem i jaki jestem. Niczego się ode mnie nie dowie. Niczego.

– Cóż, to nie byłem ja. I nie była to też Lucy. Rozwazał pan możliwość, że to mógł być ktoś inny obecny w tamtym czasie?

– Ach, tak. Na przykład dzieci Thomsena. Prześledziliśmy ich poczynania w ostatnim roku. Nie było ich w Londynie. A jeśli nawet byli, nie mogli dostać się do domu bez klucza. A zdaniem wszystkich, z którymi rozmawialiśmy, najwyraźniej tylko ty, twoja siostra i Libby dysponowaliście kluczami.

– Myli się pan – oznajmiam triumfalnie.

– W jakim aspekcie?

– Myli się pan, że jedynym sposobem na dostanie się do ogrodu jest wejście przez dom. Jest też furtka.

Widzę, jak obaj się trochę wzdrygają, kiedy ich wodoodporna teoria zaczyna przeciekać.

– Furtka?

– Tak. W murze na tyłach. Prowadzi do ogrodu domu z tyłu. Jest cała zarośnięta bzem. Może nie zwrócił pan uwagi.

– Czyli twierdzi pan, że ktoś, kto mieszka w domu z tyłu, mógł wykorzystać tę furtkę, by wejść do ogrodu pańskiego domu, wspiąć się na dach i przenieść szczątki Bridget Dunlop-Evers?

– Nie, wcale tego nie twierdzę. Tamten dom został przerobiony na mieszkania i ogród z tyłu to teraz mały parking. Łatwo do niego dotrzeć z ulicy. Każdy mógł się tam dostać.

Rozkoszuję się chwilą ciszy, jaka zapada po tym oświadczeniu.

– Mogę już wrócić na swoje wakacje, panie detektywie?

– Przepraszam, panie Lamb. Jeszcze tylko kilka pytań, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

– Wydaje mi się, że nie mam już nic więcej do powiedzenia. Pan wie już wszystko. Birdie Dunlop-Evers była socjopatką, terroryzowała całą naszą rodzinę przez ponad pięć lat, zmanipulowała moją siostrę, żeby uprawiała seks z dorosłym mężczyzną, kiedy miała zaledwie trzynaście lat, potem ukradła jej dziecko i jeszcze współtworzyła samobójczy pakt z moimi rodzicami i Davidem Thomsenem, a w końcu w jakiś sposób zginęła od ciosu w głowę, na który zapewne sobie zasłużyła i który potencjalnie mogło zadać wiele osób, ponieważ była nie lubiana przez wszystkich i bardzo niebezpieczna. A teraz ustaliliśmy, że dowolna osoba miała dostęp do ogrodu, więc mogła usunąć szczątki z dachu i wyrzucić je do rzeki. Wydaje mi się, panie detektywie, że ta niezbyt obiecująca sprawa właśnie została zupełnie przekreślona. I pomyśleć, że zaangażował pan w nią Interpol. Jakie to żenujące!

Samuel przygląda mi się przez kilka sekund, po czym wierci się trochę na krześle i sprawdza coś w papierach.

– Jeszcze tylko kilka pytań, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Patrzę na niego spode łba. Co jeszcze niby tam skrywa?

– Był pan ostatnią osobą, która widziała Libby Jones, a raczej wtedy Serenity, zanim opuścił pan dom. A jednak kiedy na miejsce przyjechała policja, ciała pańskich rodziców oraz Davida Thomsena leżały na podłodze w kuchni już od trzech do czterech dni. Czy mógłby pan wytłumaczyć, co się działo w tym czasie? Kto tam był i co robił?

Wzdycham.

– Nikogo tam nie było. Wszyscy inni uciekli i zostawili mi cały ten bajzel do posprzątania. Lucy zostawiła mnie ze swoim dzieckiem. Wszystko było w moich rękach. Zostałem tak długo jak mogłem. – Posyłam mu najbardziej męczeńską minę, na jaką mnie stać, i znowu wzdycham.

– Jednak czegoś nie rozumiem, panie Lamb. Naprawdę zdaję sobie sprawę, że był pan wtedy tylko dzieckiem, ale dlaczego nie zadzwonił pan na policję? Oto czworo nastolatków utknęło w domu ze złymi ludźmi, dochodziło do aktów wykorzystywania seksualnego, do przemocy wobec dzieci, a potem w końcu pańscy dręczyciele zginęli i byliście wolni. Dlaczego nikt z was nie zadzwonił wtedy na policję? Żeby zapewnili wam bezpieczeństwo?

Dobre pytanie. Poprawiam się na krześle i patrzę prosto w ekran.

– Przeżyliśmy traumę – tłumaczę. – Byliśmy złamani, zgnębieni. Nie mam innego wyjaśnienia. Decyzje, jakie się podejmuje w wieku szesnastu lat, wydają się tak odległe, że praktycznie obce. Gdyby to się znowu wydarzyło, zadzwoniłbym na policję. Ale wtedy... nie zrobiłem tego.

Samuel wypuszcza powietrze i widzę, że go pokonałem.

– Cóż, w takim razie zostaje mi już tylko podziękować za poświęcony mi czas, panie Lamb. Jednak muszę mieć z panem kontakt, ponieważ śledztwo nie zostało jeszcze zamknięte. Dlatego byłbym bardzo zobowiązany, gdybyście pan i pańska siostra wrócili natychmiast do Londynu i więcej nie znikali.

Chwilę później ekran gaśnie, a ja odwracam się do obecnego obok mnie funkcjonariusza.

– Czyli jestem wolny, zgadza się?

– Zgadza się.

Po wyjściu na ulicę włączam telefon. Zatrzymuję się na moment. Czuję, jak łązy ściskają mi gardło. Czuję jakiś niepokój, jakąś niesprecyzowaną potrzebę, lecz tym razem nie chodzi o zapomnienie, wręcz przeciwnie. Chciałbym, żeby siostra mnie przytuliła. Chciałbym być z rodziną. Być bezpieczny. Chcę zobaczyć swoje koty. Chcę zobaczyć swoich współpracowników. Chcę się przebiec po Regent's Park. Chcę wrócić do domu. Naciskam parę guzików i odblokowuję numer siostry. Od razu dostaję lawinę powiadomień. Otwieram najnowszą wiadomość i odczytuję:

Przepraszam. Po prostu chciałam, żeby to się skończyło. Mam nadzieję, że było okej. Proszę, zadzwoń.

Dzwonię.

– No cześć.

– Mój Boże, Henry. Wszystko w porządku. Co się stało na komisariacie? Gdzie jesteś?

Mówię jej, że nic mi nie jest, że mnie nie aresztowali. Mówię, gdzie jestem, a ona odpowiada, że zatrzymała się w tym samym hotelu co ja parę dni temu.

Czeka na mnie na dole razem z Markiem i Stellą, ku mojemu zaskoczeniu cała trójka rzuca mi się od razu na szyję i na moment zanurzam się w zapachu ludzi, których znam, i to przedziwnie wspaniałe uczucie. Delikatnie ich ściskam.

A potem zamawiamy coś do jedzenia i czuję to, czuję, jak to mija, chociaż nie do końca, chociaż inspektor Owusu w Londynie w tej chwili myśli nad nowymi tropami do sprawdzenia, nowymi pytaniami do zadania. Chociaż wiem, że jeszcze mi się nie upiekło, pierwszy raz od kwietniowego poranka w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy zostawiłem rodziców martwych na podłodze, a Libby śpiącą w kołysce, i pomaszerowałem do centrum Londynu z tysiącem funtów w kieszeni kurtki mojego ojca z Savile Row, dostrzegam przyszłość malującą się w jasnych barwach i chciałbym już w niej żyć. Zostałem w jakiś sposób uzdrowiony i proszę wybaczyć ten cały wzniosły nonsens, ale naprawdę czuję się jak nowo narodzony.

Chicago mnie uzdrowiło. Lucy i jej dzieci mnie uzdrowiły. A teraz ten makaron z oliwą i czosnkiem mnie uzdrawia. Kiedy wrócę do Londynu, z powrotem przyjmę swoją prawdziwą tożsamość. Znowu stanę się Henrym Lambem. Będę tym małym chłopcem, którego ostatni raz zobaczyłem w lustrze w domu w Chelsea tak wiele lat temu. Nie mam już powodu udawać, że nim nie jestem. Najmniejszego.

– Och – rzuca Lucy, przywracając mnie do rzeczywistości. – Nie mogę uwierzyć, że nie zapytałam. Co z Phinem? Udało ci się go znaleźć?

Krztuszę się kęsem makaronu i przykładam serwetkę do ust.

– Nie – odpowiadam. – Niestety nie. Ale próbowałem.

Widzę, że coś przemyka po jej twarzy. Nie jestem pewien, co takiego. Niedowierzenie? Strach? Znika, zanim zdążę się przyjrzeć, i zastępuje go uśmiech.

– Ach, cóż. Może nie było ci to pisane.

– Może nie – przyznaję. – Może nie.

CZĘŚĆ PIĄTA

Samuel

Obraz znika, zabierając ze sobą Henry'ego Lamba. Przeciągam dłońmi po twarzy.

Donal patrzy na mnie.

– Pub?

Głowa mówi: nie, idź do domu, Samuel. Idź spać. Jednak serce pierwsze dociera do ust, które odpowiadają:

– Tak, pub.

W środku jest tłoczno, na chodniku pełno piątkowych imprezowiczów, noc jest ciepła, spokojna i niemal jasna. Donal zbiera się na odwagę i staje w kolejce do baru, a ja siadam przy wysokim stoliku, który dopiero co został zwolniony. Próbuje otrząsnąć się z całodniowego stresu w stylu zen, sięgając do samego środka poprzez oddech. Niestety ten dzień był zbyt długi. Pojechałem do Walii i z powrotem, i to zanim jeszcze przeprowadziłem trzy przesłuchania. Napięcie nie opuszcza mojego ciała i wiem, że tylko alkohol pozwoli mi się go pozbyć. Czekając na Donalą, sięgam po telefon. Na ekranie widzę powiadomienie o wiadomości od Cath Manwaring. Chce wiedzieć, jak mi poszła rozmowa z Justinem. Zakładam, że jest po prostu wścibska, pragnie dostać nagrodę za bycie dobrą samarytanką i swój telefon do mnie. Jednak potem pisze, że się o niego martwi. Że normalnie Justin w piątki przychodzi do pubu, a dzisiaj go nie ma, i czy coś wiem na ten temat.

Czy został aresztowany?

Odpowiadam szybko: *Nie. Nie został aresztowany. Zostawiłem go w jego vanie około czternastej.*

A czy wydawał się zdenerwowany?

Nie, raczej spokojny.

Chyba wyślę do niego męża. Martwię się. Mam wyrzuty sumienia.

Niepotrzebnie, pani Manwaring. Postąpiła pani właściwie. Wyjaśnienia Justina bardzo nam pomogły.

Oby miał pan rację. Oby.

Przychodzi Donal z piwem. Złocisty napój wygląda cudownie, marzyłem o nim cały dzień, który wydawał się trwać bez końca, a nie przyniósł żadnych rezultatów. Henry Lamb pokazał mi, że tej sprawy nie da się rozwiązać. Niczego nie będziemy w stanie udowodnić. Wszystko to poszlaki. To morderstwo przykryła gruba warstwa kurzu, przez którą nie damy rady się przebić, a teraz, gdy upijam pierwszy solidny łyk zimnego jak lód piwa, na które zdecydowanie zasłużyłem, czuję, jak moja determinacja słabnie. Ile jeszcze pieniędzy podatników wpakuję w to śledztwo? Nikczemna kobieta, której nikt nie kochał, za którą nikt nie tęskni, która miała okruchy lodu w sercu. Przypadek przemocy wobec dzieci bez żadnych dowodów, w domu pełnym ludzi, bez żadnych zapisków z sześciu lat, gdzie wprowadziła się rodzina wędrownego uzdrowiciela i przejęła po cichu kontrolę. To niemożliwe. To tragiczne. To mnie zabije, jeśli nie odpuszczę. Może po prostu powinienem dać sobie spokój. Może. Jednak najpierw dokończę to piwo i będę gadał o bzdurach z Donalem, a później położę się do łóżka i jutro zdecyduję, czy jest jeszcze coś, co mógłbym zrobić.

Ponieważ wciąż mnie coś dręczy, męczy, a tym czymś jest postać Henry'ego Lamba. Jest kimś więcej niż tylko skrzywdzonym dzieckiem. Miał w sobie coś jeszcze, coś chorego. Coś złego. Nie zwróciłem amerykańskiemu funkcjonariuszom uwagi na fakt, że Henry i Lucy wjechali do kraju na fałszywych dokumentach. Muszą oboje wrócić. Potrzebuję ich tutaj, w Londynie, na wyciągnięcie ręki, ponieważ nie wszystko jeszcze zostało odkryte w tej historii. Jestem tego pewien.

W połowie drugiego piwa czuję, jak wibruje mi telefon. To kolejna wiadomość od Cath Manwaring. Odczytuję i serce mi zamiera.

Proszę, niech pan zadzwoni do mnie. Chodzi o Justina. Stało się coś strasznego.

Rachel wróciła do Antibes kilka dni później. Ciało Michaela zostało odkryte przez Joy, jego gosposię, a policja, oczywiście, chciała porozmawiać z Rachel. Tak, powiedziała im, odwiedziła go raptem tydzień wcześniej. Tak, pożegnali się w złej atmosferze. Tak, byli w separacji. Tak, mieli różne sprawy finansowe do omówienia. Ale nie, powiedziała, nie miałam faktycznego powodu, żeby go zabić. Najmniejszego. Wyszłam stamtąd, powiedziała im, z postanowieniem, że nigdy więcej się z nim nie spotkam.

Był przemocowcem, mówiła, przestępcą, który sprzedawał sprzęt producentom narkotyków, który działał w świecie mroku i podstępny, który trzymał broń w biurze. Był złym człowiekiem i cieszyła się, że umarł, ale nie, nie zabiła go i nie miała pojęcia, kto mógł to zrobić. Miał liczne długi u licznych osób, powiedziała im. Znał naprawdę złych ludzi. Wiele osób z jego świata, powiedziała, mogło mieć powód, żeby chcieć jego śmierci. Wiele osób.

– A co pani myśli o jego pierwszej żonie? – zapytali. – Lucy Smith?

– Nic o niej nie myślę – odparła. – Michael nigdy o niej nie mówił. Wiem tylko tyle, że rozstali się skłóceniu wiele lat temu i od tamtej pory jej nie widział.

– To ciekawe, bo zdaniem gosposi pana Rimmera niedawno się z nią spotkał. Właściwie bardzo niedawno.

Serce Rachel na moment zamarło. Skąd Joy mogła wiedzieć o wizycie Lucy? Nie przychodziła do Michaela w niedziele.

– Podobno Lucy Smith odwiedziła Michaela Rimmera jakieś pięć dni przed jego śmiercią. Tego samego dnia co pani. Przyszła z dziećmi i psem, spędziła jakieś piętnaście minut w jego ogrodzie. Gosposia powiedziała, że ich rozmowa wydawała się serdeczna.

Rachel starała się nie dać po sobie poznać zdezorientowania i pokiwała głową w zamyśleniu.

– Cóż, może okłamał mnie w sprawie Lucy. Okłamywał mnie w wielu innych sprawach, więc to ma sens.

Ponieważ nie mieli żadnych materialnych dowodów na jej udział w zabójstwie, musieli ją wypuścić kilka godzin później. Włożyła okulary przeciwsłoneczne i przeszła przez teraz już znajome miasteczko w stronę plaży. Powstrzymała silną chęć, żeby ruszyć nadbrzeżną drogą na Wzgórze Zamkowe i zapukać do drzwi zniszczonego niebieskiego budynku, by zobaczyć się z Lucy i powiedzieć jej, że jest bohaterką i że Rachel będzie ją chronić z całych sił do końca świata. Jednak nie mogła, na wypadek gdyby policja ją śledziła. Dlatego usiadła przy stoliku z widokiem na ocean i wypijała aperol spritz przyniesiony przez młodego człowieka, który wyglądał jak model reklamujący wodę po goleniu. Wzniosła niemy toast za siebie i za Lucy.

Przez wiele miesięcy później Rachel otrzymywała wiadomości o postępach w sprawie od francuskiej detektyw imieniem Avril. Przez wiele miesięcy później Rachel wiedziała, że wciąż jest uznawana za podejrzaną i że policja nie przestała też poszukiwać Lucy. Namierzyli jej ostatni znany adres przez szkołę dzieci, a potem dowiedzieli się od zarządcy budynku, że jej rodzina wyjechała na wakacje na Malte, lecz nie znaleziono po nich ani śladu na Malcie czy w ogóle gdziekolwiek. Lucy zwyczajnie rozplynęła się w powietrzu.

Przez wiele, wiele miesięcy Rachel spała niespokojnie w nocy, czekając na dzwonek telefonu, na informację, że jej obecność w domu Michaela po jego morderstwie została odkryta. A przy tym oblana zimnym potem ze strachu, że odnajdą Lucy. Pomyślała o tamtym poważnym chłopcu, anielskiej dziewczynce, ich zmęczonych oczach, gdy siedzieli obok matki na placu. Pomyślała nawet o psie i bała się o ich los, gdyby Lucy została złapana. A potem pewnego ranka na początku czerwca, prawie rok po tym, jak Joy natknęła się na ciało Michaela w piwnicy, zadzwoniła komórka Rachel.

To była Avril, francuska detektyw.

– Mamy wieści na temat sprawy Michaela, pani Rimmer – powiedziała. – Może pani rozmawiać?

Przylatują do Londynu o dziewiętnastej w sobotę, Lucy, dzieci i Henry. Poważni panowie z kontroli paszportowej pomachali na nich beznamiętnie na koniec obu podróży, zgodnie z przewidywaniami Henry'ego.

– Tamten detektyw nikomu nic nie powie – zapewniał Lucy, kiedy siedzieli w uberze w drodze na lotnisko. – Chce, żebyśmy wrócili do Londynu, a nie utknęli tutaj nie wiadomo jak długo.

O dwudziestej pierwszej gramolą się z czarnej taksówki, którą wzięli przy Paddington Station, i wchodzą do bloku Henry'ego. Portiera Oscara nie ma, w weekendy kończy wcześniej, więc w milczeniu idą z walizkami do windy, żeby wjechać na trzecie piętro.

Lucy rzuca plecak na podłogę w korytarzu i rozgląda się. Czy to możliwe, że od ich wyjazdu minęły zaledwie cztery dni? Zaledwie osiem, odkąd piekła ciasta do szkoły dla Stelli? Jak to możliwe? Jak? Czuje się, jakby przeżyła w tym czasie tysiąc żyć.

Słyszac ludzi, koty pojawiają się niczym duchy odklejające się od ścian mieszkania. Henry bierze oba na ręce: ten miły ociera się o niego pyszczkiem, ten paskudny miauczy i drapie go, a Henry pozwala mu uciec na podłogę. Sprzątaczką zadbała, by każdy fragment powierzchni był idealnie czysty.

Tego wieczoru zamawiają smażonego kurczaka z Deliveroo i oglądają telewizję, siedząc na kanapie, a Henry wydaje się jakiś inny, łagodniejszy, kiedy bierze sobie miłego kota na kolana i karmi go kąskami mięsa wyjętymi z własnych ust, żartując razem z Lucy i dziećmi. Stella w pewnym momencie zabiera wszystkie poduszki z za swoich pleców i kładzie je na podłodze, żeby na nich usiąść, a Henry nawet nie zwraca na to uwagi.

Ze względu na jet lag wszyscy kładą się do łóżek najwcześniej jak tylko mogą, tuż po drugiej w nocy. Lucy leży i nasłuchuje odgłosów londyńskiego ruchu za

oknem, a wtedy wraca to uczucie, które napełniało ją pustką przez ponad rok, to napięcie napierające na czaszkę, strach tępiący wszystko swoim nieustannym podkopywaniem jej poczucia bezpieczeństwa. Gdyby policja w jakiś sposób dowiedziała się, że to Henry zabił Birdie Dunlop-Evers jednym ciosem w głowę, po dwudziestu sześciu latach od tego, jak dokonał tej zbrodni, co jeszcze zdołają odkryć? Jestem w domu, myśli sobie, mam na sobie czystą piżamę i leżę w wielkim miękkim łóżku w luksusowym apartamentowcu w centrum Londynu. Ale nigdy nie będę bezpieczna, dopóki francuska policja wciąż mnie szuka.

– Witaj w domu, Henry.

Przytrzymuję drzwi otwarte, nieco rozdrażniony, i wpuszczam inspektora Owusu do mieszkania. Przyznaję, że przeżyłem nie lada szok, widząc kilka chwil temu jego twarz na ekranie wideofonu; twarz człowieka, którego ostatni raz oglądałem na laptopie w pokoju przesłuchań w Chicago, którego rzekomo pozbyłem się w piątek, który naprawdę powinien się już zamknąć i znaleźć sobie nową, bardziej ekscytującą sprawę. Taką, w której będzie miał choćby znikome szanse na sukces. Ale nie, to znowu on, i ten uparty detektyw musiał się pojawić we własnej osobie akurat w niedzielny poranek.

– Dziękuję – mówię i wpuszczam go do mieszkania, przepraszając za bałagan, rzucając poduszki z powrotem na kanapę. – W czym mogę dzisiaj pomóc, panie inspektorze?

– Właściwie, panie Lamb, przybywam ze smutnymi wieściami. Chciałem, żeby ode mnie pierwszego pan to usłyszał, zanim trafi do wiadomości, ponieważ, panie Lamb, obawiam się, że będzie z tego bardzo głośny news. Lepiej niech pan usiądzie.

Mrugam powoli. Naprawdę nie mam pojęcia, co takiego za chwilę powie mi inspektor Owusu. W jednej chwili przed oczami stają mi wszyscy, których kocham: Lucy, dzieci, Libby, nawet Miller Roe. Opadam na kanapę i wbijam wzrok w policjanta.

– Okej.

– W czwartek pojechałem do Walii, żeby porozmawiać z Justinem Ugleyem, albo Reddingiem, bo pod takim nazwiskiem znał go pan jako dziecko.

Kiwam głową i przelżykam głośno ślinę.

– Cóż, niestety, panie Lamb, zeszłej nocy jeden z sąsiadów znalazł Justina martwego. Bardzo przykro mi to mówić, ale odebrał sobie życie.

– O mój Boże. – Zakrywam usta dłońmi i czuję prawdziwy cios smutku prosto w splot słoneczny.

– Zostawił list i pomyślałem, że powinien go pan zobaczyć, ponieważ dotyczy pana. Chciałby pan go przeczytać?

– Och. Tak, chyba tak.

Policjant podaje mi wydruk listu i rozkładam kartkę. Charakter pisma jest uderzająco znajomy – ten sam widziałem we wszystkich notatkach, nad którymi kiedyś ślęczeliśmy w ogrodzie, to nim równiutko zapisano łacińskie nazwy wszystkich roślin, które razem hodowaliśmy, i roczny plan wysiewu. To śliczne pismo Justina.

Zaczynam czytać:

Przede wszystkim chciałbym przeprosić osobę, która mnie znajdzie. To oczywiście samolubny akt, przez który ucierpi pierwszy, kto tutaj wejdzie. Zapewniam, że jestem teraz szczęśliwy, a przynajmniej nie był to akt gwałtownej desperacji, raczej duchowego uwolnienia. Bardzo długo byłem bardzo nieszczęśliwy. Podjąłem niewłaściwe decyzje i dokonałem strasznych wyborów. Skrzywdziłem ludzi. Zawiodłem ludzi. Jestem pusty w środku i to, co teraz widzicie, to zaledwie skorupa, którą byłem przez ostatnie dwadzieścia lat. Długo dręczyło mnie to, co widziałem na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych w tamtym domu w Chelsea, potworna przemoc wobec dzieci z rąk Davida Thomsena i Birdie Dunlop--Evers, a także zdefraudowanie pieniędzy i przedmiotów osobistych Lambów pod przykrywką „ratowania ich dusz”, chociaż w rzeczywistości chodziło im o wypchanie własnych kieszeni. Za zamkniętymi drzwiami tamtego domu działy się przerażające rzeczy, a ja uciekłem jak ostatni tchórz. Zostawiłem ich na pastwę losu.

Jednak poczucie winy mnie przytłoczyło i zżerało od środka. Cały czas myślałem o tych dzieciach. A w szczególności o Henrym. Henry był czarną owcą tamtej rodziny. Dziewczyny miały wyższy status, a Phin był chłopcem alfa, synem samca alfa. Henry znajdował się na samym dole drabiny i rozpaczliwie pragnął jakiegokolwiek więzi. Taki ciekawy świata młody człowiek. Tak szybko się uczył. Miał takie silne poczucie, co jest dobre, a co złe. Nikt tak jak Henry nie był świadomy tego, co to znaczy moralność, i nieustannie błagał dorosłych, żeby jej poszukali. Lecz na próżno.

Pewnego dnia w 1994 wróciłem do Londynu. Wielokrotnie pisałem do Henry'ego, ale on nie odpowiadał, a ja chciałem się upewnić, że wszystko jest

w porządku. Zadzwoiłem do drzwi, jednak nikt mi nie otworzył. Dlatego wszedłem przez furtkę i podwórko domu z tyłu, a wtedy zobaczyłem Henry'ego przez okno w kuchni. Wydawał się taki chudy. Taki słaby. Taki złamany. Widziałem też Davida i Birdie, śmiali się. Henry zauważył mnie przez szybę i dałem mu znak, żeby wyszedł do ogrodu. Opowiedział mi okropne rzeczy. Odparłem, że przekażę to policji. Że ich stamtąd wyciągnę. Zamierzałem ich uratować i to obiecałem Henry'emu, a on przytulił mnie, zapłakany, i w tej samej chwili pojawiła się Birdie, zaczęliśmy się szamotać i obawiam się, że w wyniku tej szamotaniny Birdie zginęła.

Ukryliśmy jej ciało razem z Henrym. To było złe. Teraz to wiem. Żałuję, że nie zadzwoniłem na policję, by od razu przyznać się do winy; dzieci byłyby uratowane, a ich życie wyglądałoby zupełnie inaczej. I dlatego uważam, że kiedy Henry – o ile to był on, a tego chyba nigdy się nie dowiemy – przeniósł ciało Birdie, zrobił to dla mnie, żeby mnie ratować, chronić. Dlatego proszę, jeśli znajdziecie Henry'ego, powiedzcie, że nie zrobił nic złego. Proszę, powiedzcie mu, że jest i zawsze będzie najgrzeczniejszym dzieckiem. I przepraszam, że go zawiodłem. Za to nigdy nie będę w stanie sobie wybaczyć. Jednak mam nadzieję, że pewnego dnia może on zdoła wybaczyć mnie.

Justin L. Ugley

PS. Proszę zadzwonić pod ten numer do mojej matki, żeby wiedziała, co się stało. Jest w bardzo podeszłym wieku i może nie pamiętać, kim jestem, ale chyba ktoś powinien poinformować ją o tym, co zrobiłem.

Przeczytałem ponownie ostatni akapit, żeby mieć pewność, co jest tam napisane. To wszystko kłamstwo. Oczywiście, że kłamstwo. Jednak nie mogę pozwolić, by detektyw się zorientował. Musi zakładać, że opowieść z tego listu jest prawdziwym i dokładnym przedstawieniem wydarzeń sprzed lat. Dlatego unoszę wypełnione łzami oczy – prawdę mówiąc, akurat one są szczerze, Justin był miłym i radosnym człowiekiem, złocistym promykiem w tamtych mrocznych czasach, więc jest mi bardzo smutno, że odebrał sobie życie, że wydawało mu się tak mało wartościowe, by był gotów je dla mnie poświęcić – i mówię:

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Był moim najlepszym przyjacielem. Moim jedynym przyjacielem. I tak strasznie starał się nas uratować. Biedny, biedny Justin.

I wtedy zdaję sobie sprawę, czując przy tym falę mdłości, że Justin rzeczywiście się dla mnie poświęcił. Że oddał siebie, żeby mnie ratować. Henry'ego Lamba. Tę żalosalną ofiarę losu, którą jestem.

Lecz z jakiegoś powodu uznał, że jestem wart jego życia. I dopiero pod wpływem tej świadomości zaczynam naprawdę płakać. Z moich oczu płyną łzy wdzięczności, ale również ulgi, bo choć list jest kłamstwem, mógłby być też prawdą. I to z łatwością. Tak jak zmieniłem swoją osobistą historię, żeby przepisać na nowo tamten fragment, w którym wyhodowałem wilczą jagodę w ogrodzie przy Cheyne Walk 16 i wykorzystałem ją do śmiertelnego otrucia swoich rodziców oraz Davida Thomsena, po czym niemal naprawdę uwierzyłem, że zabili się w wyniku samobójczego paktu, może w równoległym świecie Justin rzeczywiście wysyłał mi listy, których nigdy nie otrzymałem, może rzeczywiście przyjechał do Londynu, by nas ocalić, i może to on, nie ja, uderzył Birdie w głowę ciosem słońca, pozbawiając ją w ten sposób życia. Dlaczego nie, myślę sobie, dlaczego nie? I w tej samej chwili elementy historii przesuwają się i lokują w nowych miejscach w mojej głowie, a ja w ciągu paru minut mam już wszystko poukładane, całą pieprzoną przeszłość, i wcale nie zabiłem Birdie, za to faktycznie mogłem przenieść jej kości, a czy to taka straszna zbrodnia bronić kogoś takiego jak Justin? Tak dobrego człowieka?

– Czy ten opis zgadza się z pańskimi wspomnieniami z tamtych wydarzeń?

Kiwam żalosalnie głową i przeciągam dłonią po zasmarkanym nosie.

– Tak – mówię cieniutkim głosikiem. – Tak, zgadza się.

Inspektor Owusu wzdycha i opada na oparcie krzesła. Wpatruje się we mnie.

– Wróciliśmy do ogrodu przy Cheyne Walk – tłumaczy. – Zobaczyc furtkę, o której nam pan powiedział. Znaleźliśmy ją. Jednak jest zarośnięta bzem. Gałęzie są dojrzałe i nienaruszone. Nie ma mowy, żeby ktoś w ciągu ostatnich kilku lat dostał się tamtędy do ogrodu. To niemożliwe. Dlatego, panie Lamb, muszę zapytać. Czy to był pan? Czy to pan przeniósł te kości?

Potakuję raz jeszcze. Potem unoszę wzrok na detektywa i odpowiadam:

– Aresztuje mnie pan? Za to, co zrobiłem ze szczątkami Birdie?

– Nie wiem, panie Lamb. A myśli pan, że powinienem?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, nie myślę tak.

Przez dłuższą chwilę inspektor Owusu nie odrywa ode mnie wzroku. Widzę w jego oczach prawdę. On wie, że list Justina to kłamstwo. Wie, że moje łzy są udawane. Wie, że to ja zabiłem Birdie. I wie też, że ja wiem, że on wie. Obaj milczymy, nieruchomi w tym migoczącym, kryształowym momencie oceny. Czekam, aż on jeszcze mnie czymś zaatakuje, ostatni raz spróbuje podważyć moją wersję wydarzeń. Jednak nie robi tego. Tylko się uśmiecha.

– Cóż. – Zaczyna się podnosić. – Zobaczymy. Na razie myślę, że sprawa jest zakończona. Och, jeszcze tylko jedna rzecz, niezwiązana bezpośrednio ze śledztwem. Kilka razy powiedziano mi, że próbował pan odnaleźć Phineasa Thomsena. Prawdziwego Phineasa Thomsena. Tak się zastanawiam: udało się to panu?

Czuję nagły żar rozkwitający w moim ciele, emanujący z brzucha, i próbuję go złapać, zatrzymać, zanim dotrze na moją twarz.

– Nie, niestety nie. Chyba twardo trzyma się postanowienia, by nie dać się odszukać.

– Był dla pana kimś bardzo ważnym?

– Tak. Powiedziałbym, że kimś w rodzaju wzoru do naśladowania. Można poznać po tym, jak przez lata używałem jego imienia. Ale też jest prawdziwym ojcem Libby. Wiedział pan o tym?

– Tak, wiedziałem – odpowiada Samuel.

– To był rzeczywisty powód, dla którego go szukałem. Chciałem połączyć rodzinę. Chciałem, żeby wreszcie poznał córkę, której nie widział, odkąd była niemowlęciem. No ale trudno, jego strata. Chyba nigdy nie miał instynktu rodzicielskiego.

Zaczynam paplać, co mi ślina na język przyniesie, i widzę, że inspektor Owusu cały czas przygląda się mojej mowie ciała, więc gryzę się w język. Wciągam i wypuszczam powietrze.

– Taka szkoda. Omija go wspaniała relacja ze wspaniałą dziewczyną. Naprawdę wiele traci.

Inspektor Owusu wychodzi chwilę później. Zamykam za nim drzwi i przyciskam do nich plecy, opadając na podłogę, gdzie trzęsę się przez kilka minut.

Lucy podnosi wzrok na dziwny budynek. Wygląda jak lodówka, którą ktoś przewrócił na bok. Staje przy drzwiach wejściowych i spogląda na domofon, próbując sobie przypomnieć, który guzik powinna nacisnąć. Trzydzieści jeden, myśli sobie, po czym wybiera taki numer.

– Cześć, to ja, Lucy. Mogę wejść?

Na króciutki moment zapada cisza, po czym rozlega się brzęczenie, Lucy popycha drzwi i wchodzi do środka. Rachel wita ją przed swoim mieszkaniem. Ma na sobie krótką piżamę, ciemne włosy zebrała na czubku głowy. Jej gładkie nogi ciągną się bez końca i Lucy na chwilę traci rezon pod wpływem piękna tej kobiety; przez chwilę myśli: nie, Michael nigdy by nie skrzywdził kogoś takiego, żaden mężczyzna nie skrzywdziłby kogoś takiego, bo ona jest boginią. Odwraca się na sekundę, rozważając ucieczkę, ale potem Rachel się uśmiecha i mówi:

– Chryste. Dziękuję. Strasznie ci dziękuję, że przyszedłeś. Wejdz.

Rachel dwa dni wcześniej wsunęła wiadomość pod drzwi mieszkania Henry'ego: „Lucy, mam wieści w sprawie śledztwa we Francji. Proszę, zadzwoń do mnie”. Rachel widziała doniesienia we wszystkich gazetach w zeszłym miesiącu, o sprawie gwiazdy muzyki pop, która zginęła w wielkim domu w Chelsea. Widziała zrobione z ukrycia zdjęcia Lucy wychodzącej od Henry'ego z psem i tak ją namierzyła.

Lucy idzie za Rachel w głąb mieszkania. Jest zabałaganione i nowoczesne, z blatem kuchennym z drewna tekowego zwieszającym się z sufitu. Z salonu roztacza się widok na kanał, a całe pomieszczenie wypełnia blask słońca. Lucy myśli, że właśnie w takim miejscu chciałaby mieszkać, gdyby była bezdzietną singielką.

– Wiesz, że już się kiedyś spotkałyśmy? – zaczyna Rachel, napełniając czajnik wodą z kranu.

– Naprawdę? – Lucy przygląda jej się, szukając czegoś znajomego. I wtedy to do niej dociera. – Och, tak! To byłaś ty? W Nicei zeszłego roku?

– Tak, w lutym dwa tysiące osiemnastego. Byłam tam. Zagrałaś mi *Firework* Katy Perry.

Lucy kiwa głową.

– Pamiętam. Teraz już pamiętam. Byłaś bardzo szczodra. Bardzo miła. Dlaczego nie...? – Urywa. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Och – rzuca Rachel, wyjmując herbatę ze słoika. – Nie wiem. Chyba szukałam odpowiedzi i mi je podałaś, więc nie chciałam więcej ingerować w twoje życie. Nie chciałam namieszać.

– Jakich odpowiedzi?

Oczy Rachel zachodzą mgłą łez.

– Och, czy to tylko mnie się przytrafiło. Czy to ja zrobiłam coś, co na niego w ten sposób wpłynęło, czy wcześniej już taki był. – Śmieje się nerwowo i wrzuca torebki do wielkich kubków. Potem uśmiech znika z jej twarzy, Rachel wzdycha ciężko i zamyka oczy. – Lucy – mówi, patrząc na nią intensywnie. – Tamtego dnia, kiedy Michael zginął, ja tam byłam. Widziałam cię.

Lucy potrząsa głową w szoku i śmieje się, również nerwowo.

– Słucham?

– Widziałam cię w domu Michaela. Sprzątałaś kuchnię. Zabrałaś Michaela do piwnicy. Widziałam to wszystko i od tamtej pory chciałam ci powiedzieć, że robiłam, co w mojej mocy, żeby cię ochronić, żebyś była bezpieczna. Za każdym razem, kiedy rozmawiałam z policją, przypominałam im, że Michael był przestępcą, że nie był ofiarą zbrodni, że sam sobie to zrobił. I wiedziałam, że wciąż nie przestali cię szukać, że nadal byłaś jedną z podejrzanych. Potem jednak, parę tygodni temu, odebrałam telefon od śledczych z Francji. I to oficjalne wieści. Zamknęli sprawę. Morderstwo zostało uznane za przejaw przestępczości zorganizowanej. Już cię nie szukają, Lucy. To koniec.

Lucy czuje, jak wzbiera w niej nerwowa euforia. Potrząsa lekko głową.

– Jesteś pewna?

– W zupełności, Lucy. Właśnie to chciałam ci powiedzieć. Tylko to. Po tylu miesiącach wreszcie koniec.

Lucy jeszcze raz potrząsa głową, nie mogąc do końca przetrawić tych wieści.

– Ale co, jeśli... Nie wiem. Co, jeśli ktoś nagle odkryje nowe nagrania z monitoringu albo ktoś sobie przypomni, że mnie widział? Ciągle mogłoby...

Rachel jej przerywa.

– Nie. To się nie wydarzy. Śledztwo było dokładne i szeroko zakrojone. Sprawdzili wszystko, co się dało, a teraz nastąpił koniec. Odłożyli akta na półkę. Nikt cię nie szuka, Lucy. Już nikt nigdy nie będzie cię szukał. – Posyła jej szeroki uśmiech, który Lucy odwzajemnia.

– O mój Boże – mówi. – Nie mogę w to uwierzyć. Przez tyle miesięcy nawet na minutę nie opuszczał mnie ten strach. Byłam gotowa do ucieczki. Wiesz. Gotowa się ukryć. A teraz...

– Tak... to już przeszłość. – Rachel znowu się uśmiecha. – Ale naprawdę muszę cię o coś zapytać, Lucy. Dlaczego to zrobiłaś? Co cię do tego skłoniło?

Lucy spuszcza wzrok na podłogę, a potem znowu patrzy na Rachel i jej oczy lśnią od łez.

– Poszłam do niego, żeby odebrać nasze paszporty. W tamtą niedzielę. Wiedziałam, że w zamian za nie będzie oczekiwał seksu, ale byłam gotowa zapłacić tę cenę za wolność. Chciałam pojechać do Wielkiej Brytanii, by odnaleźć córkę. Dlatego się przygotowałam. Włożyłam ładną bieliznę. Szykowałam się na seks. Tylko że on chciał czegoś innego. Zgwałcił mnie w kuchni. Pchnął mnie na odłamki szkła. Popatrz. – Lucy unosi koszulkę, żeby pokazać Rachel bliznę, wciąż zaczerwienioną po roku. – Bolało, leciała mi krew, a on mnie dalej gwałcił. Obok leżał nóż. Kroiłam nim pomidory. No i... Cóż, wiesz, co zrobiłam.

Rachel chwyta ją za rękę i jej oczy też napęniają się łzami.

– Wiem – odpowiada. – Wiem. Nie musisz nic więcej mówić. Wiem.

– A ty? Co ty tam robiłaś tamtego dnia?

– Ha! Też chciałam go zabić!

Lucy wciąga gwałtownie powietrze.

– Co takiego? Naprawdę?

Rachel się uśmiecha.

– Nie. To nie tak. Chociaż może. Gdyby przyszło co do czego.

– Przez to, jak cię traktował?

– Tak. Przez to, jak mnie traktował. Bo, wiesz, mnie też zgwałcił. Zgwałcił mnie. Jak spałam. Jak spałam! – Rachel zakrywa szybko dłońmi usta, z których wydostaje się rozpaczliwy szloch. – A potem... – Uśmiecha się przepaszająco i ciągnie, robiąc wdech: – Kilka miesięcy później dowiedziałam się, że szantażował mojego ojca i wyłudził od niego wszystkie oszczędności, grożąc, że opublikuje erotyczne zdjęcia wykradzione z mojego telefonu w czasie naszego krótkiego małżeństwa. Poszłam tam, żeby zmusić go do zwrotu tych pieniędzy. Chciałam wziąć jego broń... Wiedziałaś, że ma broń? I chciałam z niej celować w niego tak długo, aż odda mojemu ojcu ostatniego funta.

– A gdyby odmówił?

Rachel patrzy prosto w oczy Lucy i po chwili ciszy rzuca:

– Zastrzeliłabym go.

– Ale ja byłam pierwsza?

– Tak. Ty byłaś pierwsza. I jesteś moją bohaterką, Lucy.

Rachel rusza w jej stronę, a potem bierze ją w ramiona.

– Dziękuję – szepcze w jej włosy. – Dziękuję za to, co zrobiłaś.

– A co z pieniędzmi twojego ojca? – pyta Lucy. – Odzyskałaś je?

Rachel kiwa głową i się uśmiecha.

– Firma zarządzająca kapitałem, która trzymała je dla Michaela, nie chciała złej sławy, więc wypłacili ojcu wszystko, nie zadając żadnych pytań. No i mamy swoje szczęśliwe zakończenie. – Znowu się uśmiecha i uderza dłońmi w gołe nogi. – Czy dziesiąta trzydzieści to za wcześnie, żeby wypić szampana? Jak myślisz?

Lucy mruga kilka razy z zaskoczenia, po czym odpowiada z uśmiechem:

– Dla mnie nie jest za wcześnie.

Biorą szampana na balkon Rachel i wznoszą toast za siebie nawzajem, za bezpieczeństwo, za to, by złe rzeczy przydarzały się złym ludziom, a dobre dobrym. Lucy opowiada Rachel o starej plebanii w St Albans, a Rachel mówi, że

chciałaby ją zobaczyć, więc Lucy obiecuje zaprosić ją na drinka, gdy tylko się urządzi, po czym Rachel opowiada o projektowaniu biżuterii i pokazuje jej kilka wyjątkowo ładnych okazów na stronie internetowej.

– Zrobię coś dla ciebie, Lucy – mówi. – Co tylko zechcesz. Wybierz coś i jest twoje.

Jednak Lucy kręci głową i odpowiada:

– Dziękuję. Niczego mi nie trzeba.

– W takim razie może dla Libby? Dla twojej córki?

Lucy się uśmiecha.

– Och, tak. Byłoby miło.

I nie rozmawiają więcej o Michaelu, bo Michael jest martwy, a one żyją i mają się dobrze, skąpane w promieniach słońca obserwują przepływające dołem barki.

Agent nieruchomości Max Blackwood stoi przed plebanią w St Albans w chłodny sierpniowy poranek, ubrany w sweter narzucony na koszulę.

– Dzień dobry, dzień dobry! – woła śpiewnie, kiedy Lucy wysiada z auta. – Nadszedł ten dzień!

Lucy czeka, żeby przypilnować wysiadającą z tyłu Stellę, a z fotela pasażera i drugiej strony samochodu wychodzą też Henry i Marco, po czym całą czwórką stoją i patrzą na dom.

– Ja pierdolę – rzuca teatralnym szeptem Henry do Marca. – Rozumiem, co miałeś na myśli.

– A nie mówiłem? – wypala chłopiec, który nienawidzi tego budynku z całego serca. – Ruina.

Tymczasem Stella chwyta mamę za rękę i ściska z ekscytacją. Całą drogę marudziła, kiedy wreszcie dojadą na miejsce, bo ona chce znowu zobaczyć swój pokój. Dzieci były tutaj tylko raz, krótko po tym, jak podpisano kontrakt. Dzisiaj nieruchomość zostaje oficjalnie przekazana i Lucy podchodzi do agenta, żeby wziąć klucze z jego wyciągniętej ręki.

– Bardzo dziękuję – mówi do niego. – To chyba najbardziej emocjonujący dzień mojego życia. Mam czterdzieści lat i to pierwszy dom, którego jestem właścicielką. Nie do wiary, co?

Agent uśmiecha się do niej promiennie i odpowiada:

– Lepiej późno niż wcale. Moim zdaniem warto było czekać. Przepiękny dom.

Chwilę później machają mu na pożegnanie i gdy odjeżdża, pojawiają się Libby i Miller. Libby niesie wielki bukiet kwiatów, a Miller butelkę szampana.

– Miłego dnia zakupu! – rzuca Libby, biegnąc do Lucy, żeby ją uściskać.

Libby widziała już dom wcześniej, jednak Miller nie, więc spogląda na budynek z podjazdu i mówi:

– Wow, jest w gruncie rzeczy piękny, ale, Boże, czeka cię mnóstwo pracy.

– Tak, cóż, jestem na to przygotowana. Tak się składa, że najlepsza projektantka kuchni w Hertfordshire już zdążyła narysować plany i będzie cudownie.

Dido ma nadzorować większość prac. Zebrała zespół miejscowych projektantów i architektów, żeby z nią współpracowali. Jednak najpierw Lucy chce po prostu wejść do środka. To jej pierwszy dom. I wszystkie jej dzieci w jednym miejscu. Wreszcie. Przekręca klucz w zamku i czuje dreszcz przyjemności, kiedy drzwi się otwierają – za każdym razem, gdy przyjeżdżała go oglądać, do domu wpuszczał ją agent – a potem wędrują wszyscy do środka i chociaż wewnątrz jest zniszczone, różne rzeczy popsute albo źle przerobione, rozpadające się, serce Lucy wypełnia ciepło, jakiego nigdy wcześniej nie знаła.

Fitz biegnie przed nimi aż do tylnych drzwi, za którymi, co już wie, znajduje się prawie dwadzieścia metrów kwadratowych ogrodu należącego wyłącznie do niego. Stella pędzi po schodach na górę, prowadząc do swojego pokoju Libby, a Lucy słyszy z dołu, jak mała wyjaśnia starszej siostrze, że będzie pić herbatkę z Freyą i Freyą, kiedy będą u niej nocować, co zdaniem Stelli będzie się zdarzać cały czas. Tymczasem na parterze Lucy staje między Millerem a Henrym, którzy oglądają dom i rozmawiają o tym, gdzie co się znajdzie, kiedy plany Dido staną się rzeczywistością. A potem odwraca się i widzi Marca w kącie korytarza, w milczeniu kopiącego czubkiem buta w listwę przypodłogową.

– Już za późno, żebyśmy zmienili zdanie? – pyta.

– Tak – odpowiada Lucy, która musiała przez dwa miesiące znosić jęki Marca proszącego, by pozwolić mu zostać u Henry’ego i w szkole w centrum Londynu, zamiast jechać razem z nimi na wieś. Jednak chwilę później Marco już jest w ogrodzie z psem, gdzie znalazł jakąś piłkę i właśnie rzuca ją Fitzowi, a piesek pędzi po całym trawniku, aportując. Zaraz na policzkach syna pojawiają się rumieńce i Lucy już wie, że będzie mu się tutaj podobało. W końcu.

Libby zamawia ogromne pizze i jedzą je w ogrodzie, popijając szampanem, a Stella skacze na trampolinie z psem. Kilka ostatnich miesięcy było

stresujących z wielu różnych powodów. Historia samobójstwa Justina, martwej gwiazdy pop i głodujących dzieci zamkniętych w willi w Chelsea stała się, co zrozumiale, bardzo popularna. Prasa nie dawała im spokoju. Do artykułów dołączono liczne zdjęcia Birdie, domu, Lucy wychodzącej z psem z mieszkania Henry'ego, Libby i Millera przed jej domem w St Albans, Martiny i Henry'ego seniora tuż po ich ślubie, kołyski od Harrodsa z malowanymi niebieskimi kwiatami, w której znaleziono Libby, gdy była jeszcze niemowlęciem, oraz kampera Justina i jego ulubionego pubu.

Zamieszczono też zdjęcie młodego mężczyzny o nazwisku Jason Mott, przewodnika zbieraczy nad Tamizą, który znalazł worek z kośćmi. Miał gęstą czuprynę w kolorze truskawkowego blondu i ocieplaną kamizelkę z wieloma kieszeniami zarzuconą na koszulkę bez rękawów. Powiedział: „Przez lata przeszukiwania brzegów znalazłem niejedną dziwną rzecz, od sztucznej szczęki przez piłeczki do golfa aż po rzymskie monety i biżuterię, jednak ten worek kości był najbardziej szokującym odkryciem w mojej karierze. A teraz nie żyje człowiek i żałuję, że nie wrzuciłem ich z powrotem do rzeki. Gdybym mógł cofnąć czas, tak bym zrobił”.

Jednak blask tej historii zaczyna przygasać. Prasa zajęła się nowymi tematami, opinia publiczna również. Lucy ma swój dom. Henry odzyskał mieszkanie. Otrzymali swoje pierwotne akty urodzenia i wrócili do właściwych imion – akt notarialny został wystawiony na Lucy Martinę Lamb – i teraz oboje są wolni od cienia, który podążał za nimi całe dorosłe życie. Żadne z nich już się nie ukrywa. Dom przy Cheyne Walk wreszcie został wypleniony z ich świadomości. Ich życia zaczęły się od nowa.

Wciąż jednak brakuje jednego elementu i kiedy wczesne popołudnie płynie ku wieczorowi, Lucy raz po raz spogląda na godzinę na telefonie oraz podjazd za oknem w kuchni, z każdą chwilą staje się coraz bardziej rozkojarzona, nie skupia się na toczącej się rozmowie.

Wreszcie, tuż przed siedemnastą, słysząc chrzęst opon na żwirze i ktoś dzwoni do drzwi.

– Libby, otworzysz? – woła do najstarszego dziecka.

Lucy staje na samym końcu korytarza i patrzy, jak przed Libby pojawia się wysoki mężczyzna z włosami w kolorze brudnego blondu, rzadką brodą i nieśmiałym uśmiechem.

Na jego widok czuje ciepło na sercu i Lucy robi kilka kroków w stronę drzwi, lecz wciąż trzyma się poza polem widzenia. Za jej plecami słysząc kroki, to Henry się do niej zbliża. Lucy przykłada palec do ust, on kiwa głową i staje za nią.

– Tak? – odzywa się Libby.

– Dzień dobry – mówi mężczyzna. – Ty jesteś Libby?

– Zgadza się. A pan to...?

– Ja jestem Phin.

– Och – wyrywa jej się cicha, pozbawiona tchu zgłoska. – Rany.

Lucy i Henry wymieniają porozumiewawcze spojrzenie. Henry delikatnie ściska jej ramię, a Lucy chwytą jego dłoń.

– Zakładam, że nikt cię nie uprzedził...? – ciągnie Phin.

Libby potrząsa głową.

– Nie – odpowiada. – Nikt mnie nie uprzedził.

– Czyli troszkę cię zaskoczyłem?

– Tak, troszkę zaskoczyłeś. – Libby się śmieje. – Chcesz... chcesz wejść?

– Dziękuję, z przyjemnością.

Lucy i Henry odsuwają się trochę, kiedy Libby prowadzi Phina przez korytarz do kuchni.

– Miałem dotrzeć tutaj dwie godziny temu – wyjaśnia Phin. – Byłem w Kornwalii, u swojej matki i siostry. Na drodze panował straszny ruch. Mam nadzieję, że nie zepsułem wam dnia?

– Nie – słysząc radosną odpowiedź Libby. – Ani trochę. Mieliśmy wspaniałą dzień. A teraz...

Lucy robi głęboki wdech i wstrzymuje powietrze.

– Teraz jest jeszcze lepszy. – Libby robi krótką pauzę. – A w ogóle czego się napijesz? Wina? Piwa? Może zjesz kawałek zimnej niedobrej pizzy?

Po tych słowach rozlega się podwójny śmiech. Śmiech jej córki i ojca jej córki w piątkowe popołudnie w domu Lucy.

Odwraca się do Henry'ego z uśmiechem. Dziękuję mu bezgłośnie, samym ruchem warg.

Potem ściska jego rękę i wspólnie idą do kuchni. Ich rodzina jest wreszcie w komplecie.

DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Phin odsuwa zasuwkę w drzwiach wynajętego mieszkania. Jest późno i nie ma ochoty na rozmowę z kimś o imieniu Jeff. Poza tym narobił bałaganu i wolałby tego nikomu nie pokazywać. Wzdycha ciężko i mówi:

– Chwileczkę.

Nagle czyjaś stopa blokuje drzwi i wysoki mężczyzna popycha go w głąb przedpokoju. Mężczyzna z rozjaśnionymi włosami i dzikim spojrzeniem. Jego oddech cuchnie przetrawionym winem i jedzeniem. Jego jasne oczy mają w sobie obłąd.

– Pojechało cię? – wypala Phin. – Co ty odpierdalasz?

Mężczyzna odwraca się i zamyka drzwi na zasuwkę, a Phin próbuje je otworzyć.

– Poważnie, koleś. Wypieprzaj stąd.

Serce zaciska mu się w piersi. Miał dziwne przeczucie w związku z notatką od „Jeffa” przypiętą pod kołatką. Było w niej coś niepokojącego i odkąd ją znalazł, czuł się nieco zagrożony, a teraz myśli, że być może jego życie za chwilę dobiegnie końca.

Facet wpada na Phina, popycha go przez przedpokój aż do salonu, gdzie rzuca go na kanapę, trzymając za ramiona, potrząsa głową, żeby pozbyć się włosów, które mu wpadły do oczu, zionie kwaśnym oddechem prosto w twarz Phina, po czym wypala:

– Cześć, stary przyjacielu.

Phin wpatruje się w człowieka, który przyszedł tutaj go zabić, a potem go rozpoznaje.

– Henry – mówi. – Ja pierdolę, co to ma być.

– Kurwa, wyglądasz zupełnie inaczej, Phin.

– Henry, a ty...

– Tak, wiem. Wyglądam jak ty. Szaleństwo, co? Nie do wiary, prawda? Jaki przegryw całe dorosłe życie udaje kogoś, w kim się podkochiwał, kiedy był dzieckiem. Wiesz, czasami nawet używałem imienia Phin. Czy to nie żałosne?

Phin kiwa głową, później nią potrząsa i w końcu odpowiada:

– Tak. Nieźle popierdolone. Co ty tutaj robisz? Czego chcesz?

– Och, Phin. To jest doskonałe pytanie. Doprawdy. I wiesz co, nie wiem, czy jestem w stanie na nie odpowiedzieć. Po prostu... po prostu musiałem tutaj przyjechać. No wiesz, zniknąłeś. Zostawiłeś mnie. A odkąd mnie zostawiłeś, czułem się... samotny.

– Samotny?

– Tak, samotny. Udawałem cię, by poczuć, że jesteś bliżej mnie. Poczuc, że jestem mniej samotny.

Henry wreszcie uwalnia Phina i pada ciężko na kanapę obok niego. Wypuszcza głośno powietrze, po czym odwraca się do dawnego przyjaciela i mówi:

– Przepraszam.

– Za co przepraszasz?

– Za to, że jestem sobą.

– Dlaczego przepraszasz za bycie sobą?

– Och, sam nie wiem. Bo przeze mnie w tamtym domu wszystko było dla ciebie dwa razy gorsze? Bo jestem zwyczajnie ciężki, prawda? Jestem martwym ciężarem. Wiem o tym.

– Cóż, Henry, nie widziałem cię ponad dwadzieścia lat, więc nie mogę powiedzieć, żebyś mi ciążył.

– Nalej mi czegoś, dobra? Naprawdę muszę się napić.

– Nie mam nic.

– Ach, no tak. Oczywiście. Nigdy nie potrzebowałeś takiego wsparcia, co nie? Zawsze byłeś dla siebie wystarczający.

– A to już gówno prawda.

Henry obrzuca Phina pytającym spojrzeniem.

– Naprawdę tak uważasz? – odzywa się Phin.

– Nie uważam. Ja to wiem.

– No to się mylisz. Całe życie szukałem sensu. Całe życie szukałem odpowiedzi na to, po cholere istnieję.

– Tak, jasne.

– A właśnie, że tak. Wiesz co, Henry, zastanawiałeś się kiedyś, jaki wpływ miało na mnie dzieciństwo z takim ojcem jak mój? W twoim życiu był obecny tylko przez kilka lat. W moim osiemnaście. Na długo przed tym, jak poznałem ciebie, walczyłem o swoją tożsamość, swoje przetrwanie.

– Ale sprawiłeś, że poczułem się taki...

– Jaki? Jak się przeze mnie czuleś, Henry?

– Gorszy.

– To straszna ściema. Daj spokój. To ty miałeś wielki dom, prywatną szkołę i pokój pełen ładnych rzeczy. Ja pojawiłem się u ciebie bez niczego. Dosłownie z torbą ubrań. A ty, proszę bardzo, mały lord Fauntleroy, który miał wszystko. Wszystko, czego mogłoby chcieć dziecko. Jak myślisz, jak ja się przez to czułem?

– Nie wiem. Nie wiem, jak się przez to czuleś.

– Przyjąłem pozycję obronną, Henry. Kierowałem swoją uwagę do wewnątrz. Miałem ochotę zatopić się w książkach, marzeniach i rozmyślaniu o świecie, który istniał gdzieś poza moją tragiczną egzystencją. I byłeś jeszcze ty. Ciągle czegoś chciałeś, ciągle. Patrzyłeś na mnie, jakbym znał odpowiedzi na wszystkie pytania. A ja nie miałem nic, Henry. Nie dostrzegałeś tego? Nie miałem nic. Im bardziej oczekiwałeś, że coś ci dam, tym bardziej mi to przypominało, jak niewiele mam. To ty byłeś na górze, Henry. To ty przewodziłeś. I to dzięki tobie udało nam się ostatecznie uwolnić.

– Ale prawie cię zabiłem. Wiedziałeś? Prawie cię zabiłem. Podawałem ci środki, przez które chorowałeś. A miały sprawić, żebyś mnie pokochał. To był jakiś śmieszny, popierdolony eliksir miłości, Phin. I prawie cię zabił.

– Nie chorowałem przez twój eliksir miłości, Henry. Chorowałem przez niedożywienie, odwodnienie. To była ich wina, nie twoja. – Phin wzdycha i odwraca się, żeby popatrzeć Henry'emu w oczy. – Posłuchaj, przyjacielu. Między nami wszystko okej. Rozumiesz? Wszystko okej.

Henry przez chwilę się namyśla, po czym kiwa głową. Jednak zaraz znowu sprawia wrażenie zdenerwowanego.

– Ale skoro wszystko okej, dlaczego uciekłeś z Botswany, gdy usłyszałeś o moim przyjeździe?

Phin patrzy na niego zaskoczony.

– Nie uciekałem przed tobą, Henry – wyjaśnia. – Co ci przyszło do głowy? Uciekałem przed innymi. Przed Lucy i... no cóż, przed jej córką. Po prostu... – Phin przez moment próbuje nad sobą zapanować. – Po prostu nie byłem gotów na to całe spotkanie ojca i córki po latach. Zwyczajnie się przestraszyłem. Stchórzyłem.

Phin wzrusza ramionami, a Henry wzdycha głośno i mówi:

– Ja pierdołę, Phin. No ja pierdołę. – Potem wyciąga z kieszeni telefon i otwiera galerię, szukając zdjęć z rodzinnego obiadu w restauracji, po czym pokazuje Phinowi fotografię młodej kobiety z jasnymi włosami i mówi: – Spójrz na nią. To twoja córka. To jest Libby.

Phin wpatruje się w nią w ciszy. Dziewczyna ma miłą twarz, szeroki uśmiech, dołeczki. Wygląda jak on. Wygląda zupełnie jak on.

– To najmiłsza osoba na świecie, Phin. I wiem, że nie podobała ci się ta cała sprawa z dzieckiem, rozumiem. Noworodki są zajebiście przerażające. Ale popatrz na nią. Nie jest już dzieckiem. Jest dorosłą kobietą, która ma własny dom, pracę i chłopaka. Nie potrzebuje taty. Nie potrzebuje cię. Kurwa, Phin. – Henry robi na moment pauzę i gasi telefon, a następnie wbija wzrok w dawnego przyjaciela i ciągnie: – Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może ty potrzebujesz jej? Przyleć do domu, Phin. Przyleć i się z nią spotkaj.

Phin zamyka oczy. Potem znowu je otwiera. Patrzy na Henry'ego i gdzieś głęboko czuje napływ pewności, napływ uczucia. Przyciąga do siebie Henry'ego i długo, bardzo długo ściskają się mocno.

Kiedy wreszcie się od siebie odrywają, Phin mówi do niego:

– Okej, przylecę. Obiecuję, że przylecę. W tym roku. Może w sierpniu. Tylko przyrzeknij, że do tego czasu nie powiesz nikomu, że mnie widziałeś.

Henry unosi na niego wzrok i odpowiada z uśmiechem:

– Przysięgam na własne życie. Nie pisnę ani słówka.

Epilog

OSIEM MIESIĘCY PÓŹNIEJ

– Mogę w czymś pomóc?

Henry szybko zerka na swoje odbicie w szybie okna showroomu. Poprawia ciemne, marne włosy i przeciąga opuszkami palców po trzydniowym zarostcie. Potem odwraca się do stojącego obok sprzedawcy i posyła mu ujmujący uśmiech.

– Hej – odpowiada. – Tak, dziękuję. Szukam goldwinga. Na stronie było napisane, że są dostępne, ale żadnego nie widzę...

– Pięknie! – Sprzedawcy aż się oczy świecą. Pstryka palcami. – Proszę za mną, tędy.

Henry idzie za młodym człowiekiem przez showroom w stronę wystawy znajdującej się w innej części sklepu. Dostaje gęziej skórki na widok wielkich motocykli, cztery stoją ukośnie na podiach, oświetlone ze wszystkich stron przez halogeny.

– Nieźle – rzuca.

– Tak – potwierdza sprzedawca. – W rzeczy samej, nieźle. Szuka pan konkretnego modelu?

– Cóż, tak. GL1500.

Mężczyzna uśmiecha się i wskazuje gestem czerwono-czarny motocykl.

To jest ten.

Dokładnie taki sam.

Henry'ego coś ściska w żołądku.

– To model z dziewięćdziesiątego ósmego – tłumaczy sprzedawca. – Praktycznie w doskonałym stanie. Jedynie tysiąc pięćset mil na liczniku. Większość czasu stał pod brezentem. A teraz jest gotowy, żeby spędzić resztę czasu na drodze, rycząc. Chce go pan dosiąść?

– Pewnie. – Henry kiwa głową. – Byłoby super.

Sprzedawca naciska guzik na ścianie i podium opuszcza się, aż w końcu motocykl stoi równo z podłogą.

Henry przerzuca nogę przez siedzisko i od razu myślami wraca do upojnych chwil w Chicago. Przeciąga dłońmi po kontrolkach, rączkach.

– Piękny, prawda? – rzuca mężczyzna.

Henry znowu potakuje, lecz milczy. Jedność, jaką czuł ze światem od czasu powrotu z Ameryki, od czasu pogodzenia się z Phinem, od czasu wielkiego zjednoczenia rodziny w nowym domu Lucy, zaczęła trochę blaknąć. Przez kilka miesięcy cieszył się z bycia Henrym Lambem. Myśl o tym, że Justin poświęcił swoje życie nie dla tej wspaniałej, odświeżonej wersji Henry’ego Lamba, ale tej oryginalnej, nieco niedorobionej, napełniła jego duszę słuszością i siłą. Henry Lamb był wystarczający. Nie potrzebował nikogo innego. Tak mu się wydawało, lecz ostatnio jego piękne mieszkanie znowu zaczęło być jakieś puste, a on raz jeszcze poczuł się samotny, dziwny, inny. Kiedy odrosły mu włosy w naturalnym popielatym kolorze, kiedy wchłonęły się wypełniacze ust i policzków, kiedy zaczął oglądać w lustrze dawnego Henry’ego, spanikował. Nie chciał już być Phinem, jednak wiedział też z przyprawiającą o mdłości pewnością, że nie chce być nudnym wujkiem Henrym. Przez kolejne tygodnie i miesiące wracał myślami do ostatniej chwili, kiedy coś czuł, kiedy nie był odrętwiały. Do ostatniej osoby, którą poznał, wartej, by ją naśladować.

– Och – rzuca sprzedawca. – Tak w ogóle to nazywam się Theo.

– Miło cię poznać, Theo – odpowiada Henry, strząsając ciemne włosy z ciemnych oczu i wyciągając rękę. – Ja jestem Kris. Kris Doll.

– Cudownie cię poznać, Kris. Masz świetny gust, jeśli chodzi o motocykle.

Podziękowania

Po pierwsze, muszę podziękować każdemu czytelnikowi i czytelniczce *Idealnej rodziny*, którzy pisali do mnie w ciągu ostatnich czterech lat, prosząc o sequel, bo „muszą wiedzieć, co się wydarzyło dalej!”. Zdecydowanie nie jestem kimś, kto lubi tworzyć sequele. Zdarzyło mi się to raz i nie sprawiło mi przyjemności. Przez jakiś czas twardo trzymałam się postanowienia, by z tym skończyć. Jednak potem coś zaskoczyło i zdałam sobie sprawę, że niczego tak nie pragnę, jak spędzić kolejny rok w głowie Henry’ego Lamba. Dlatego dziękuję wam za to, że popchnęliście mnie ku czemuś, czego w sekrecie musiałam chcieć od samego początku!

Dziękuję jak zawsze moim wydawcom w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. W szczególności Selinie Walker, Najmie Finlay, Claire Bush, Sarah Ridley, Laurze Richetti oraz Claire Simmonds z Cornerstone, a także Lindsay Sagnette, Ariele Fredman, Milenie Brown, Jade Hui i Zoe Harris z Atrii.

Dziękuję niesamowitemu zespołowi z Curtis Brown, mojej londyńskiej agencji. Na szczególne podziękowania zasługują Jonny Geller, Viola Hayden i Ciara Finan, a także Kate, Nadia i Sophia z działu praw zagranicznych. Również moja niesamowita agentka literacka w Stanach Zjednoczonych, Deborah Schneider z Gelfman Schneider, oraz Luke Speed i Josie Freedman, moi agenci do spraw telewizji i filmu w Wielkiej Brytanii i USA.

Dziękuję wszystkim zagranicznym wydawcom. To był niesamowity rok pod względem sprzedaży moich książek na innych rynkach i jestem niezmiernie wdzięczna za to wszystko, co robicie, żeby dostarczyć je swoim wspaniałym czytelnikom.

Dziękuję księgarzom i bibliotekarzom oraz wszystkim, których poznałam w sieci oraz w prawdziwym życiu w czasie wydarzeń organizowanych przez was z takim poświęceniem.

Jak zawsze dziękuję Richendzie Todd, najlepszej korektorce świata. Dziękuję za czułość, z jaką niezmiennie traktujesz moje teksty.

Dziękuję Willowi Brookerowi, który nie odstępował mnie na krok, tworząc własną książkę zatytułowaną *Prawda o Lisie Jewell: rok z życia bestsellerowej pisarki*. Dziękuję za to, że byłeś kimś więcej niż moim cieniem, za motywowanie mnie, gdy wysyłałam ci kolejne etapy mojej pracy, i za to, że dzięki tobie tworzenie tej powieści okazało się tak godnym zapamiętania i przyjemnym doświadczeniem. Dziękuję również za to, że z taką łatwością pomogłeś mi rozwiązać fabularną katastrofę w grudniu.

Na koniec niezmiennie dziękuję wszystkim przyjaciółom i rodzinie za to, że są najlepszymi przyjaciółmi i rodziną, a także kolegom i koleżankom po piórze za to, że są najlepszymi kolegami i koleżankami po piórze, oraz mojemu psu za bycie, oczywiście, najlepszym psem na świecie.

Informacja w sprawie postaci o nazwisku

Oliver Wolfensberger

W zeszłym roku Spear Camden przeprowadziło aukcję, żeby zebrać fundusze na pracę charytatywną, a nazwisko postaci z mojej książki było jedną z wielu ofert. Zwyciężył Oliver Wolfensberger, który został unieśmiertelniony w tej powieści jako nowy właściciel niesławnego domu przy Cheyne Walk 16! A tutaj co nieco o samej akcji:

Spear Camden to jedna z fundacji charytatywnych wspieranych przez London Lighthouse Community Trust. Zbiera miejscowych ludzi w wieku od szesnastu do dwudziestu czterech lat, którzy mają różne problemy ze znalezieniem pracy, a potem zaprasza ich na intensywny sześciotygodniowy program coachingowy, a także wspiera ich przez kolejny rok. W rezultacie mimo trudnej przeszłości – wychowywania się w rodzinach zastępczych, pobytu w zakładzie karnym, ucieczki przed przemocą przestępczości zorganizowanej, problemów ze zdrowiem psychicznym albo długiego bezrobocia – ponad trzy czwarte tych młodych ludzi rok po ukończeniu programu pracuje albo się szkoli.

Przekazuję też wiadomość od Spear Camden:

Pieniądze zebrane dzięki aukcji wystarczyły, żeby całkowicie odmienić życie półtorej osoby. Dlatego wielkie, wielkie dzięki dla ciebie oraz pana Wolfensbergera!